

MICHAŁ WÓJCIK

# BARONÓWNA

Na tropie Wandy Kronenberg –  
najgroźniejszej polskiej agentki

ŚLEDZTWO DZIENNIKARSKIE

znak litera  
nova

**Michał Wójcik**

# **BARONÓWNA**

**NA TROPIE  
WANDY KRONENBERG –  
NAJGROŹNIEJSZEJ POLSKIEJ AGENTKI**

**ŚLEDZTWO DZIENNIKARSKIE**

Copyright © by Michał Wójcik

Projekt okładki  
Paweł Panczakiewicz / PANCZAKIEWICZ ART.DESIGN

Fotografia na okładce  
Copyright © Imagno / Hułton Archive / Getty Images

Redakcja  
Olga Wróbel

Opieka redakcyjna  
Monika Janota  
Anna Niklewicz  
Magdalena Suchy-Polańska  
Agata Pieniążek

Opracowanie tekstu i przygotowanie do druku  
Wydawnictwo JAK

**ISBN 978-83-240-3825-1**

Książki z dobrej strony: [www.znak.com.pl](http://www.znak.com.pl)  
Więcej o naszych autorach i książkach: [www.wydawnictwoznak.pl](http://www.wydawnictwoznak.pl)

Spółeczny Instytut Wydawniczy Znak  
ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków  
Dział sprzedaży: tel. 12 61 99 569  
e-mail: [czytelnicy@znak.com.pl](mailto:czytelnicy@znak.com.pl)

Wydanie I, Kraków 2018

# Spis treści

Prolog.....	8
Rozdział 1	
Z pejczem do powstania.....	17
Rozdział 2	
Na aryjskich papierach.....	26
Rozdział 3	
Być jak Smosarska!.....	35
Rozdział 4	
Jako żona „Grota”.....	40
Rozdział 5	
Śledztwo porucznika Kaskiewicza.....	49
Rozdział 6	
Bo we mnie jest seks.....	52
Rozdział 7	
Misja pułkownika Albrechta.....	59
Rozdział 8	
Perskie dywany, judaszowe srebrniki.....	73
Rozdział 9	
Warszawskie Champs Élysées.....	78
Rozdział 10	
Agentka Lida melduje.....	86
Rozdział 11	
Robota rusza „na całego”.....	99
Rozdział 12	
Śledztwo porucznika Kaskiewicza. Część 2.....	107
Rozdział 13	
Czerwony ołówek SS-Standartenführera.....	111
Rozdział 14	
Warszawskie sprawy Frau Müller.....	117

Rozdział 15	
„Jednym strzałem położył go trupem...”.....	124
Rozdział 16	
Gwiazda Alei Ujazdowskich.....	132
Rozdział 17	
W służbie AS-a.....	142
Rozdział 18	
Ryzykowna partia herbaciarza.....	153
Rozdział 19	
Sercowe sprawy referenta.....	163
Rozdział 20	
Śledztwo kapitana Kaskiewicza. Część 3.....	177
Rozdział 21	
„Kuria” wydaje wyrok.....	182
Rozdział 22	
Strzały na Królewskiej.....	197
Rozdział 23	
Na stos rzuciliśmy.....	204
Rozdział 24	
Blondynka, Brutus i rikszarze.....	211
Rozdział 25	
Śledztwo kapitana Kaskiewicza. Część 4.....	220
Rozdział 26	
Brytyjski łącznik.....	227
Rozdział 27	
Nie mam już nic.....	237
Rozdział 28	
Śledztwo kapitana Kaskiewicza. Część 5.....	244
Rozdział 29	
Kim jesteś, Wando?.....	248
Epilog. Losy.....	252
Podziękowania.....	260

Aneks.....	262
Fotografie.....	306
Bibliografia.....	330
Źródła fotografii.....	339

Piją dalej. Bert trąca Wiktora w łokieć.

– Popatrz tam.

– Gdzie?

– Ta piękna brunetka z koliaż na szyi.

– Nie znam.

– Kurwa. Baronówna Krummberg.

– Córka tego...?

– Ta sama. Śpi z majorem Hahnem, jeszcze z kilkoma z Szucha. Wciąga do swego mieszkania chłopaków organizacji, przez całą noc każe się chędożyć, a rano zabiera ich gestapo. Wydała już ze trzydziestu. Od roku jest na nią wyrok, możesz ją zastrzelić, jeśli masz ochotę.

– Nie chcę.

– Masz rację. Sam nie wiesz, jaką masz rację.

Juliusz Garztecki, *Koralowce*

## Prolog

Leży nieprzytomna. I naga, nie licząc pończochy, która zwisa długim flakiem ze stopy, uczepona dużego palca. W ustach ma sucho.

Drży. Mokra pościel lepi się do jej ciała niczym brudny całun.

Nie ma siły się ruszyć. Chciałaby zawołać o szklankę wody, ale nie z tego. Nie może nawet otworzyć ust. Oczu też nie. Poza tym nie chce. Boi się, że światło wstrzeli się drugim jęzorem i rozsadzi jej czaszkę.

„Odys” krząta się w kuchni. Rześki, zadowolony z siebie i z wczorajszego wieczoru. Słysząc chrzęst rozgryzanego jabłka. Pyta z pełnymi ustami:

– Skąd oni wytrzasnęli tych... – Przerzywa. Odgryza kolejny kawał. Jego szczęki pracują zawzięcie.

– ...tych Cyganów? Myślałem, że wszyscy już... wiesz.

Wanda prostuje nogi. Próbuje rozciągnąć ścięgna i mięśnie, chce się odwrócić na plecy. Jest jak manekin, którego obsługa sklepu zamierza dopiero ubrać i postawić w okiennej wystawie. „Odys” patrzy na nią rozbawiony, dojadając jabłko.

Czuje, że cała się klei. Kochali się wczoraj z atrakcjami. Chłopak strzelił korkiem od szampana w obraz pradziadka. Wielki Leopold nawet nie drgnął, dalej łypał srogo spod krzaczastych brwi. A potem mimo jej protestów „Odys” wylał na nią pianę z butelki. Wszystko zalał tym szampanem, kretyn. To był szampan od doktora Schmidta. Kiedy jej przełożony z Abwehry wróci z Berlina, na pewno zapyta, co tak ważnego celebrowała, że nie mogli wypić go razem.

„Odys”, co za głupi pseudonim. A ona? Na tym spienionym morzu pościeli wygląda żałośnie – jak martwa syrena.



Tańce w Adrii, porywający śpiew Cyganów, występ derwiszów, wielbłądy, no i ten koncert orkiestry Scotta... Obrazy migają jej przed oczami. To była szalona czerwcową noc, być może jedna z ostatnich w tej Warszawie. Jednak Wehrmacht potrafi się bawić, nawet gdy podaje tyły. Ale nic nie przebije węgierskich huzarów. Chyba ze trzech oficerów prosiło ją do tańca. Jeden miał takie śmieszne imię. Glazier... Glazar...? No i ten Murzyn. Ależ oni czują muzykę, ci Amerykanie. Jak on się tutaj uchowal? Widocznie Niemcy potrafili docenić sztukę i zostawili go w spokoju.

Niech to się wreszcie skończy – myśli. Sama nie wie, co dokładnie. Kac czy ten cały bałagan za oknem.

Czerwona bestia nadchodzi. Miażdży kolejne niemieckie dywizje, potyka gigantyczne połączenie ziemi. Na nic się zdała potężna linia obronna w lasach i błotach pińskich. Rowy przeciwczołgowe, transeje z betonu i stali, poukrywane działa. W hukku dział, terkocie karabinów, z chrzęstem gąsienic pełznie czerwona zaraza. A jeszcze kilka miesięcy temu doktor Schmidt mówił o jakiejś niespodziance, którą Führer miał sprytnie przygotować. Jakieś jednostki pancernie. Kontrnatarcie. Kolejny „cud nad Wisłą”. Palcem po wodzie. Szkoda gadać.

Słychać kroki. „Odys” staje przed nią. Też jest nagi, nie licząc oficerów. Debil, wyciągnął je z szafy gospodarza. Nie wygląda na to, żeby miał kaca. W wyglansowanych butach robi krok w przód, krok w tył, wspina się lekko na palce, niezdarnie naśladowując kroki w walcu. Obraca się, pokazując ślady szminki na gołym tyłku.

– Ta mata piła dziś... i jest wstaawioona, kto nie chce wierzyć mi, niech się przekonaa... – zaczyna śpiewać. Falszuje. Wanda nie może unieść głowy, widzi tylko włosy na jego udach.

– Przestań! – Zamiast krzyku z jej ust wydobywa się chrapliwy szepet.

– Rozkoszny szmerek w pijanej główce maa, więc jak cukierek, rozkoszne usta wszystkim daa...

„Odys” przestaje się kręcić i pada na mokrą pościel.

– Wiesz, że ta Pogorzelska to była Niemka? Świetny kawalek. Niemcy to muzyczny naród. Widziałaś wczoraj, jak się wyglupiali?! Mając Stalina na karku!

Dziewczyna nie odpowiada. I wtedy on zmienia ton.

– Masz? – pyta ostro.

– Mam.

Odpowiedź też jest stanowcza. Jakby Wanda w mig wytrzeźwiała.

– Gdzie?

– W biurku.

„Odys” znika za wielkimi rozsuwanymi drzwiami.

– Ilu?

– Nie wiem, nie liczyłam. Koło stu.

Chłopak przegląda listę. Nazwiska, przy nich adresy. Komuniści. Lista jest niemiecka, całkiem świeża. Gestapo sporządziło ją zaledwie miesiąc temu.

– Nu ładna, ładna. – Chłopak jest zadowolony. Powinni uporać się z robotą w miesiąc. Zastrzeli się z dziesięciu, dla postrachu. Reszta niech pozrywa kontakty i spierdala. Do swojego kochanego Soso. Do matuli Rosiji.

– A ty masz? – pyta teraz Wanda.

Niewielkie zawiniątko. Jak gryps z Pawlaka. Malutki świstek. Gdy wyciąga rękę, „Odys” cofa dokument. No tak, teraz się zacznie – myśli Wanda. Ceremonia przekomarzanek, chowanie za plecami, zgaduj zgadula, ciepło zimno. Nie ma na to sity. Odrywa się od pościeli i powoli łapiąc równowagę, staje na łóżku.

– Dawaj!

Chłopak podchodzi powoli. Wsuwa jej dokument delikatnie w dłoń. Robi jeszcze krok. Opiera policzek o jej pierś. Przemyka oczy, chyba wreszcie czuje zmęczenie.

Jej palce gwałtownie rozchylają zwitek. Wanda ożywia się, „Odys” czuje, jak napina mięśnie, Czułość gdzieś się ulatnia. Dziewczyna zeskakuje z łóżka, znika w pokoju. Słysząc, jak wykręca numer na tarczy telefonu.

– *Ich habe. Das Glas ist voll. Lassen Gärtner sind gekommen.* – „Odys” słyszy tylko co drugie słowo.

Trach. Odłożyła słuchawkę. Chwila ciszy. Pewnie czyta teraz nazwiska. Jest ich zaledwie kilkanaście. Przy niektórych pseudonim, gdzieniegdzie adres. Jakiś znak szczególny. Czarnomski, Kamiński, Kotarbiński, Krahelska, Mantuffel, Makowiecki, Płoski, Rzepecki, Warden-Zagórski, Widerszal.

– Za co? – Wanda krzyczy z drugiego pokoju.

– To samo. Żydy i komuna. Jutro zaczynamy. Na Asfaltowej, potem Jesionowa...

– Przecież Rzepecki...i Kamiński... to nie są Żydzi... – Nadal nie wchodzi do pokoju.

– Skąd mam wiedzieć, czy to Żydy, czy nie. Jest robota, to robimy. Czy to

waż...? – Nie kończy, Wanda pojawia się w drzwiach. Ma na sobie japoński szlafroczek. Przezroczysty, do pól uda. Ładnie w tym wygląda – myśli chłopak. Już chce wsunąć ręce pod materiał, gdy widzi, że Wanda trzyma coś w dłoni. Zanim pojmuje, co to jest, dziewczyna unosi rękę. Trzask nawet nie jest głośny. Na jego czole pojawia się mata dziurka.

Wanda kładzie dłoń na jego piersi. Popycha leciutko i „Odys” wali się bezwładnie na łóżko. Odkłada pistolet. Patrzy przez chwilę na opalone ciało kochanka.

Czy to możliwe, że rok temu pływali razem w Wiśle koto Otwocka? Był w tej grupie? Bo na pewno byli Janek, Bronek, była Krysia. Nie może sobie przypomnieć. Ale to chyba był on. Wtedy mówili na niego Stefan. Narodowczyk. Trochę tajemniczy. Kapał się w takich śmiesznych gaciach. Bał się zostawić broń w spodniach na brzegu. Zawsze gotowym trzeba być! Dzieciak. Opiera się lekko kolanami o brzeg łóżka.

– A Pogorzelska, kochany, wcale nie była Niemką. A to, co śpiewała, skomponował Żyd. Takie rzeczy lepiej wiedzieć.

Przed kamienicą na Chopina zatrzymuje się czarny opel. Z auta wychodzi czterech krótko podstrzyżonych mężczyzn. Sprężyste ruchy, władcze gesty. Zaraz tu będą. Już słysząc kroki na schodach. Podkute buty, gardłowe śmiechy. Stają przed drzwiami.

– Jezus Maria! – syczę przez zęby.

Dopiero teraz sobie uświadamiam, że stoję tu durnowato jak wieszak, a przecież nie mam kenkarty. Trzymam w ręku starą legitymację prasową. Już dawno nie jest aktualna. Po co ją w ogóle wyciągam? Aha, bo nie mam broni. Poza tym gdzie mam portfel? W spodniach. Gdzie są moje spodnie?

Pukają. Chcę uciekać. Do kuchni, do służbówki, obojętne. Odwracam się. Patrzę na kławkę. Mosiężna z głową lwa... widzę, jak powoli opuszcza się do dołu. Lew otwiera paszczę. I wtedy się budzę.

Jestem u siebie, we własnym łóżku. To mój widok z okna, moje głupie gołębie na moim parapecie. Znowu mi się śniła. Znowu ten

sen.

Tylko kogo tym razem zabiła? Jak on...? „Odys”? Swoją drogą to ciekawe, że nigdy się nie budzę, gdy ona go zabija. Jakby samo zabijanie było w porządku. Budzę się dopiero, gdy walą do drzwi. Dziś to byli Niemcy. Kilka dni temu łomotali „nasi”.

\* \* \*

Zaczął się od zlecenia. Redakcja znanego tygodnika zaproponowała mi przygotowanie rocznicowego dodatku o Powstaniu Warszawskim. Jestem dziennikarzem, zajmuję się historią. Nic prostszego, zrobi się – pomyślałem.

A potem naszły mnie wątpliwości. W ostatnich latach powstały setki takich publikacji opartych na wspomnieniach, relacjach, z wyblakłymi zdjęciami. Czy jest sens produkować kolejną? Nie, to trzeba zrobić inaczej – postanowiłem.

Katalog Biblioteki Narodowej pod hasłem „powstanie” wyświetla tysiące rekordów. Zacząłem zamawiać tylko te książki, których tytuły nic mi nie mówiły. Im bardziej enigmatyczne, tym lepiej. Mało znane, nieobecne na księgarskich półkach. Uzbierałem kilkadziesiąt pozycji. Wiele z nich zostało wydanych własnym sumptem. Oto powstaniec przed śmiercią chciał zostawić relację z kanałów i rodzina złożyła się na druk. Zamawiam. Oto sanitariuszka, którą wnuczka namówiła do spisania przeżyć w zbombardowanym szpitalu. Zamawiam. Oto kompletny świr, historyk, doktor wielokrotnie habilitowany, wgryza się w niuanse powstańczego sprzętu, analizuje kalibry, osiągi i numery seryjne broni. Przyda się.

Pomiędzy tymi książkami natknąłem się na cienki biuletyn, wspomnienia Mieczysława Ćwikowskiego, powstańca ze Śródmieścia. Sprawdziłem nakład: 300 egzemplarzy. Teksty Ćwikowskiego okazały się fascynujące! Po latach patrzył na swój udział w powstaniu raczej krytycznym okiem. Podchodził z rzadko spoty-

kany dystansem do własnych przeżyć, do opowiadań kolegów, których pseudonimy nic mi nie mówiły. I w tej właśnie broszurze natknąłem się na relację, która zmieniła moje dotychczasowe myślenie o Sierpniu '44. Ćwikowski pisze czarno na białym o pewnej kobiecie: „przelazła przez barykadę, szła z pejczem w dłoni”. Pomyślałem: z pejczem do powstania?! Nie z karabinem albo z pistoletem, nie ze starą strzelbą, tylko z pejczem. Tego w muzeum nie pokazują. Tego nie opisali ani Norman Davies, ani Alexandra Richie, o pejczach nie wspominał Władysław Bartoszewski ani Jerzy Kirchmayer. Pomyślałem wtedy: nieźle się tam bawili na początku narodowego zrywu. Narąbani wolnością, zachłyśnięci euforią. Otumanieni.

Odłożyłem tomik, wyszedłem z biblioteki i trochę nieprzytomny na piechotę ruszyłem do domu. Droga wiodła wzdłuż kanału, którym ewakuowali się obrońcy Reduty Wawelskiej (zresztą strasznie się pogubili, jeden wyszedł po tygodniu i miał dosyć wojowania). Szedłem i dalej nie wierzyłem w to, co przed chwilą przeczytałem.

I tak to się zaczęło. Musiałem ją znaleźć. Ruszyłem za nią, za dziewczyną z pejczem na barykadzie. To była podróż z nosem w papierach, szaleństwo archiwów, kilometry teczek, tysiące dokumentów. Aż w końcu złapałem trop. To była mała wzmianka, nazwisko oficera. Ten zaprowadził mnie do kogoś następnego. Ten dalej. Krążyłem wokół niej, czułem, że pętla zaciska się, a chwilę potem rozluźnia. Czasami kłąłem pod nosem. A jeśli się śmiałem, to do siebie. Jak pewien dziadek wariatuńcio z czytelni w IPN-ie. Oderwany od rzeczywistości, z nosem w teczkach, coś tam szepczący do siebie. Zafiksowany. Gdy podnosi wzrok, wygląda jak stary Łomnicki w *Ostatniej taśmie Krappa*. Bo właśnie coś odkrył, mroczną tajemnicę nieudanego życia. Klucz do katastrofy sprzed lat.

Wpadłem. Stałem się jak on. I pozostali, w IPN-ie poznałem ich całą grupę. Każdego ranka spotykaliśmy się w archiwum. Stojąc w kolejce do rejestracji, uważnie liczyłem drobiny łupieżu na ich znoszonych marynarkach. Cierpliwie słuchałem tych samych

narzekań na wypełnianie druczków. Potem razem posłusznie oddawaliśmy się biurokracji, pożyczaliśmy jeden drugiemu okulary.

Na koniec człapaliśmy do naszych stolików. I klik, każdy zaczynał swoje mantry do komputera. Oni dostrzegali we mnie towarzysza drogi. Kiwali nieznacznie głowami, jeden zaczął mi salutować, więc też postanowiłem oddawać mu honory. Wiadomo, jesteście na służbie. Nasze ślęczenie, czytanie aż do oślepienia to ciężka praca na froncie, w okopach prawdy, w służbie wyższej sprawy. Rozumieliśmy się bez słów. Każdy w swoim żywiole.

To był mój świat, mój obłąd. Ta książka to zatem zapis choroby i niech padnie wreszcie to słowo: o b s e s j i .

Moja obsesja miała imię, miała też nazwisko. Wanda Kronenberg. To ona i sierpnia 1944 roku szła do powstania z pejcem, w obcym kombinezonie. Jak postać z kreskówki, jak Kobieta-Kot z przygód Batmana.

Infekcja trwała dość długo. Przedzieranie się przez meldunki, raporty, donosy, relacje, odpisy, rejestry, często zwykłe świstki czy odręczne bazgroły trwało trzy lata. Przez ten czas ostatnia córka słynnego warszawskiego rodu była jak wirus. Zagnieździła się w plikach, wlaźła głęboko w łącza i nie chciała wyjść, nawet kiedy przepalił mi się twardy dysk, wykończony olbrzymią liczbą dokumentów, skanów i zdjęć.

Pocieszam się, że nie tylko ja zbzikowałem. Na Wandę Kronenberg, Edith Müller, Wandę Jegoroff, agentkę Werę lub Lidę (a miała jeszcze kilka innych wcieleń) zachorowało wiele osób, głównie facetów. Polacy, Rosjanie, Niemcy, Ukraińcy. Podobno jakiś Rumun. I chyba Anglik. Przeważnie mundurowi i konspiratorzy. Po polskiej stronie żołnierze i funkcjonariusze Podziemia. Po niemieckiej gestapowcy, esesmani i zwykli wehrmachtowcy. Aristokraci i inteligencja, ale także cwane kmiotki. No i mnóstwo zwykłych głupków. Tych ostatnich Wanda pozbywała się bez

skrupułów. Smagała takich... No właśnie, już mnie ponosi.

Wanda Kronenberg to niejedyna pracowita agentka polska podczas II wojny światowej. Słynna Krystyna Skarbek, ulubienica Churchilla, była agentką podwójną, a pracowała za trzy. Albo arcydzielna Halina Szwarc. Tak rozpracować zmilitaryzowany Hamburg! Dywanowy nalot zdmuchnął marzenie Hitlera o panowaniu U-Bootów na Atlantyku. Z kolei Teodora Żukowska podała Armii Krajowej numery blach auta generała Kutschery. Kat Warszawy zginął. Kronenberg była inna. Zaczęła swoją misję jako siedemnastolatka, prawie dziecko, a skończyła jako wytrawny i przebiegły gracz. W sumie obsługiwała pięć wywiadów! Pięć machin tajnego frontu.

„Obsługiwała”? W tym kontekście brzmi to niedobrze, dwuznacznie. Może „służyła wywiadam”? Też nie, bo przecież to one służyły jej, to ona się nimi posługiwała, nimi manipulowała. Może zatem „korzystała”? Ale kto tu kogo tak naprawdę wykorzystywał?

O tym jest ta opowieść. O kobiecie, która podjęła grę ze służbami własnego i wrogiego państwa. A także o grach wywiadów i kontrwywiadów przeciwko niej. Liczba nazwisk, pseudonimów, kryptonimów jest przytłaczająca. Służb działało sporo, agenci nie zawsze byli lojalni wobec macierzystych firm, wobec siebie, szefów, figurantów, no i wobec prawdy. Ale co tam prawda! W świecie służb czegoś takiego nie ma. Sama Wanda miała ją gdzieś. Ona grała, prowadziła ten nierówny pojedynek, bo musiała. AK razem z Gestapo przeciwko komunistom, Gestapo z czerwonymi kontrarodowcy, narodowcy i AK tłuką komunistów, AK idzie ramię w ramię z komuną przeciwko szwabom. Wszyscy zdradzali wszystkich, wszyscy kłamali. Wanda, która właśnie wchodziła w dorosłość, również postawiła się wszystkim. Absolutnie wszystkim. Przejęła inicjatywę i sama zdecydowała, jak będzie wyglądać cała ta pieprzona wojna. Wbrew międzynarodowym układom. Wbrew faszystom i aliantom, strategiom i sojuszom. Ustawom i dekre-

tom. Obwieszczeniom i poleceniom. Wbrew rozkazom. Po prostu:*fuck off*.



## Rozdział 1

# Z pejczem do powstania

Trudno powiedzieć, czy mieszkanie jest małe czy duże. Nie widać go zza drewnianych regałów. Piętrzą się na nich wielkie stopy papierów. Aby przejść wąskimi korytarzami do kuchni czy łazienki, trzeba na papiery napierać, przeciskać się przez rafy z celulozy. Gospodarz zaprasza mnie do salonu. Scylla i Charybda z dokumentów ustępują, zostawiając za nami miliardy fruujących drobin kurzu.

Jestem w mieszkaniu Lecha Ćwikowskiego, historyka amatora, syna Mieczysława, którego powstańcze wspomnienia zainfekowały mnie tą historią. Za kartą tytułową broszury z Biblioteki Narodowej była informacja o autorze i numer telefonu. Zadzwońłem. W słuchawce usłyszałem zachęcający głos:

– Wiedziałem, że się pan odezwie.

Pomyślałem wtedy: jak tu nie wierzyć w przeznaczenie?

Tydzień później przedzieram się przez papierowy kanion. Po obowiązkowej herbacie i wymianie historycznych ciekawostek przechodzę do rzeczy. Pytam o Wandę. Czy Mieczysław Ćwikowski, pseudonim „Zbigniew”, podporucznik w zgrupowaniu „Ruczaj”, poznał ją osobiście? Widział jej pejcz na własne oczy?

Pan Lech nie ma dobrych wieści.

– Szczerze wątpię, żeby ojciec tam wtedy był – mówi. – Ale przeprowadził potem własne dochodzenie. Bo że wtedy ją zatrzymali, to pan wie?

Czułem to. Przecież nie można tak sobie chodzić po powstańczej Warszawie z pejcem! Ćwikowski zaczerpnął ten pikantny obraz z pisemnej relacji rotmistrza Władysława Abramowicza, „Litwina”, szefa II Rejonu Śródmieście. Pełna wersja jego wspomnień znajduje się w Centralnym Archiwum Wojskowym w Rembertowie. „Zbigniew” opublikował tylko fragment<sup>[1]</sup>.

Okazuje się, że pana Lecha również ten pejcz zafascynował. Jeszcze za życia ojca próbował razem z nim rozszyfrować tę zagadkę. Dlaczego i sierpnia wśród rozentuzjasmowanego tłumu warszawiaków, w burzy patriotycznych uniesień, dziewczyna paradowała po mieście niczym komiksowy kociak tygodnia?

Pan Lech ma wszystko przemyślane. Nieposkromioną fantazją obdarzony był raczej pan rotmistrz, nie Wanda. Spisując wspomnienia w 1966 roku na zamówienie Centralnego Archiwum Wojskowego, Abramowicz nie bał się sceny z pejcem. Czyżby na stare lata zbzikował i dał upust nietypowym marzeniom? Nie wystarczyła mu Emilia Plater, bogoojczyźniana heroina, jedyna polska kobieta w przyciasnym mundurze? Każde pokolenie chłopców w podręcznikach do historii podziwiała jej smukłą sylwetkę na koniu, gdy prowadziła kosynierów do ataku. Nie, Abramowicz wiedział, że jego tekst nie zostanie opublikowany. Pisał tylko dla archiwistów i dlatego nie musiał się przejmować opiniami towarzyszy broni.

– Ten pejcz w dłoni, nie szpicruta czy jakaś inna witka, to przecież musi być znak – myślałem na głos.

Zdaniem pana Lecha nawet nahaj czy harap, o pejczu nie wspominając, w powstańczych okolicznościach byłby tak absur-

---

1 Mieczysław Ćwikowski, *Śladami walk żołnierzy VII-go Zgrupowania A.K. „Ruczaj” w Powstaniu Warszawskim 1944 roku*, Warszawa 1998.

dalny, że musiał zostać wymyślony. Do czego miał niby służyć? Do smagania ludzi czy czołgów?

– Niekoniecznie – oponuję. – Hitlerowcy podczas wojny używali pejców. W obozie w Treblince każdy z esesmanów miał swój własny i osobisty. To była broń służbowa. Pejcz pozwalała utrzymywać dystans między oprawcą a ofiarą. Esesman nie kalął się dotykaniem podczłowieka.

– Tak, ale moim zdaniem to nie był pejcz – twierdzi mój rozmówca. – Wanda Kronenberg była miłośniczką koni, jej ojciec miał przed wojną wielką stadninę, trzymał na Służewcu wyścigowe kłacze. Ona właściwie wychowała się w stajni. Tego dnia mogła mieć w ręku... szpicrutę.

– Wykluczone!

Temperatura dyskusji rośnie. Dyszymy jak dwa ogary, które wróciły z lasu z niczym. Gwałtownie gestykulujemy.

– Żaden rotmistrz kawalerii nie pomyli pejcza ze szpicrutą!

– A skąd pan wie, że „Litwin” był kawalerzystą?!

– No przecież jako rotmistrz...

Pan Lech zasypuje mnie informacjami w takim tempie, że po trzydziestu minutach mam w głowie absolutny mętlik. Kapitan na wzburzonym morzu dokumentów chyba to dostrzega, z papierowych otchłani wyciąga kilka kolejnych brulionów. To jego opus magnum, owoc wielu lat benedyktyńskiej pracy w Archiwum Akt Nowych. Spisane kilkadziesiąt lat temu sygnatury dokumentów, przy każdym numerku kilka zdań wyjaśnienia. Dziś wszystko to można znaleźć w sieci, ale wtedy, w poprzednim millenium, pan Lech cierpliwie przepisywał cyferki, opatrywał komentarzami. Tam, gdzie znalazł coś o Wandzie, stawiał znak czerwonym flamastrem.

Wykonał genialną pracę.

– Na początku powstania działały się różne dziwne rzeczy – mówi pan Lech. – A „Litwin” kłamał, to oczywiste. Pytanie tylko

po co? – Ostatnie zdanie rzuca tak, jakby nadal prowadził dialog z ojcem. Daje mi zapiski i błogosławieństwo na drogę.

Do zamknięcia Centralnego Archiwum Wojskowego zostały jeszcze trzy godziny. Z miejsca ruszam do Rembertowa. Skarbnica wiedzy o polskim żołnierzu nie robi na mnie spodziewanego wrażenia. Myślałem, że to będzie kolos, wielopiętrowe gmaszysko bez okien, z mnóstwem pustych korytarzy i migoczącą w toalecie ze-psutą jarzeniówką. W archiwum powinny być tysiące fiszek, danych osobowych, miliony wspomnień, meldunków, rozkazów, wszystko, co wojsko po sobie pozostawiło.

Tymczasem budynek jest mały. Czytelnia to ciasne pomieszczenie, gdzie wciśnięty za stoliczek z lampką dostaję zamówiony brulion już po dziesięciu minutach. Jest cicho. Tak cicho, że własne burczenie w brzuchu wydaje mi się grzmotem podczas burzy.

Maszynopis rotmistrza Abramowicza leży przede mną w papierowej teczce. Na fiszce nieliczne nazwiska tych, którzy zaglądali tu przede mną. Jest i podpis pana Mieczysława złożony dwadzieścia siedem lat temu. Odwracam kilka pożółkłych kart i wpadam po uszy w opis warszawskiego zrywu. Rotmistrz miał nie tylko wyobraźnię, ale również pisarski talent. Zaznacza, że utrwala swoje przeżycia, żeby pokazać, jak naprawdę wyglądało powstanie na podległym mu terenie, gdyż coraz więcej bałamutnych dzieł wykrzywia obraz tamtych dni.

Pierwsze strzały w II Rejonie, czyli w południowo-wschodnim Śródmieściu, padły zgodnie z rozkazem o godzinie „W”. Po pewnym czasie rekonesans osobisty i napływające wiadomości potwierdziły obawy rotmistrza: jedynym sukcesem powstańców był brawurowy szturm na gmach Poselstwa Czechosłowackiego. Opanowano budynek po godzinnej strzelaninie, wzięto do niewoli kilkudziesięciu Niemców i własowców. Powstańcy zdobyli dużo broni i wóz pancerny. Co ciekawe, w ataku wzięła udział prawie cała przedwojenna reprezentacja Polski w tenisie: bracia Ksawery i

Ignacy Tłoczyński, Czesław Spychała i Antoni Smordowski, oraz Tadeusz Hanke, nagradzany medalami w latach trzydziestych wieloboista. To jego fenomenalny rzut granatem w otwarte okno zламаł morale obrońców Poselstwa.

A potem wszystko szlag trafił. Rotmistrz, stary wojskowy wyga, po kilkunastu godzinach walk miał absolutną świadomość, że wybuch powstania nie zaskoczył Niemców i entuzjazm powstańców nie wystarczy.

„Zadanie postawione przed oddziałami II-go Rejonu nie zostało wykonane”, napisał samokrytycznie<sup>[2]</sup>.

Większość obsadzonych przez Niemców punktów nie została zdobyta. Do tego nastąpił totalny kłops z wymianą informacji. Łączność zawiodła, nikt nie miał pojęcia, co działo się u sąsiadów. Czy V Zgrupowanie porucznika „Siekiera” na bliskim Czerniakowie zrobiło swoje, czy nie? Czy kapitan Cegielski z rejonu Ogrodu Botanicznego żyje i czy dowódca dywizjonu „Jeleń” wdarł się do Domu Prasy?

Niemieckie Pantery bez przeszkód buszowały po ulicach. Na ulicy Piusa XI, w Alejach Ujazdowskich, na Mokotowskiej i Marszałkowskiej ich ogień był morderczy. Prowadzony z dział kalibru 75 milimetrów (nie ma wojskowego, który by nie podkreślał tych cholernych kalibrów!) rozwałkał okna, ściany i wejścia do kamienic, jakby były z gipsu. Uniemożliwiał swobodne poruszanie się po ulicach. Sytuacja stała się szczególnie groźna akurat tam, gdzie swój sztab ustanowił rotmistrz, czyli przy ulicy Kruczej 7. Niemcy musieli dostać od kogoś cynk. W kamienicę strzelało kilka czołgów naraz.

„Siła ognia z dział oraz jego niszczycielskie działanie, lecące odłamki szkła, futryn, tynku, cegieł i gruzu – były tak deprymujące, że budziły grozę i powodowały spazmy płaczu dzieci i kobiet.

---

2 Ten i kolejne cytaty za: Roman Abramowicz, *Powstanie Warszawskie. Relacja d-cy II rejonu dotycząca przygotowań, przebiegu walk od rozpoczęcia powstania do kapitulacji*, s. 13n.

(...)

Ze wszystkich stron było słycać silny jazgot broni maszynowej i huk dział, a łuny pożarów oświetlały miasto. Widok z punktów obserwacyjnych na dachach był przygnębiający – Warszawa płonęła jak pochodnia”, pisał „Litwin”

Po dwóch godzinach bez powstańczej kontry Niemcy poczuli się bezkarni. Podjeżdżali od strony Sejmu i pakowali w polskie placówki kilogramy ołowiu.

Pierwszej nocy „Litwin” prawie nie spał. Wiedział, że bez odwołów i przy takim niedostatku broni niewiele zdziała i następnego dnia zacznie tracić zdobyty teren. Czyli klęska, a zaraz potem zemsta. Niemcy nie będą się patyczkować z cywilami... Do jego kwatery wciąż przybywali gońcy, odsyłał ich z rozkazami, poza tym miał mnóstwo papierkowej roboty. Zaskakujące, ale wojna to nie tylko strzelanina, lecz także dużo meldowania i raportowania.

Dopiero następnego dnia po obiedzie zjedzonym u rodziców adiutanta śmiertelnie znużony padł w ubraniu na leżankę w ich mieszkaniu i zasnął.

Nie odpoczywał długo. Obudził go podchorąży „Młot” meldując, że do kancelarii sztabu przybyła jakaś pani z rannym w nogę powstańcem i prosi o przyjęcie w ważnej sprawie. Rotmistrz, klnąc pod nosem, zwlókł się z posłania.

„Bez entuzjazmu nałożyłem buty, przetarłem oczy, poprawiłem włosy i wyszedłem. I tu miłe zaskoczenie, z krzesła powstała młoda, mniej więcej 20-letnia kobieta dziwnej urody, o modnych dziś włosach w kolorze lśniącego kasztana, ubrana po męsku z pistoletem w kieszeni i pejczem w ręku. Obok niej stał wysoki c-a 30-letni mężczyzna z opatrunkiem na nodze”.

Kobieta przedstawiła się dowódcy jako baronówna Kronenberg. Rotmistrz zapisał, że użyła formy panieńskiej: „Kronenberżanka”. Jej towarzysz podał się za podporucznika AK o pseudonimie „Zając”. Miał zostać ranny w natarciu na koszary lotnicze na

Mokotowie. Dziewczyna założyła mu opatrunek i oto są.

Dlaczego akurat tu? Z Puławskiej to kawał drogi.

„Mam ważne wiadomości i muszę natychmiast dotrzeć do Komendy Głównej AK i generała „Bora” – powiedziała rzekoma baronówna.

To zaskoczyło „Litwina”. Z miejsca nabrał podejrzeń.

„Zacząłem ją indagować co do przynależności konspiracyjnej i z czyjego rozkazu tu się znalazła. Wyjaśnienia i odpowiedzi nie zmniejszyły podejrzeń, wówczas odwołała się do przyprowadzonego ppor. Zająca, by ten udowodnił, że intencje, z jakimi rudowłosa piękność idzie do KG AK, są jak najbardziej prawdziwe i zasługują na wiarę”.

Tożsamość „Zająca” potwierdziła gospodyni lokalu, w którym kwaterował „Litwin”.

„Znam tego pana, bywał na konspiracyjnych spotkaniach w moim mieszkaniu, w których brały udział wysoko postawione osoby w życiu konspiracyjnym”, powiedziała, ale to nie rozwiało wątpliwości dowódcy. Okazało się bowiem, że rudowłosa ma dla dowódcy AK informacje z Szucha. Co znaczył ten adres, wiedział każdy w Warszawie. Szucha, czyli Gestapo, niemiecka tajna policja. Jeśli to Niemcy wysłali ją w roli pośredniczki do „Bora”, to znaczy, że i jego, „Litwina”, akcje idą w górę. Już nie jest zwykłym dowódcą rejonu, ma do spełnienia misję, od której może zależeć los powstania.

Postanowił przejąć inicjatywę. Nie zdradził baronównie adresu „Bora”, nie podał także, choć o to prosiła, adresu dowódcy Obwodu. Poradził zostać na miejscu i czekać na rozkazy. To ją zirytowało.

„Powiedziała z tupetem: »Pan komendant mi nie wierzy, a ja mam kontakty w al. Szucha i jeżeli pana co interesuje, względnie chce pan coś przekazać w formie propagandy, to ja to uczynię i jutro ponownie się zgłoszę. Dla pewności pozostawiam swój pistolet i proszę przepuścić mnie przez barykady«”.

To zbiło rotmistrza z pantafelku. Kobieta powiedziała otwartym tekstem, że sporo u Niemców może, że odgrywa rolę emisariuszki i czekać beczynn timer nie zamierza, musi działać dalej. Skonsultował sprawę ze swoim zastępcą i... postanowił zaryzykować. Poleciał odprowadzić ją do brygady odgradzającej stanowiska polskie od niemieckich i puścił na wabia w aleję Szucha. Kronenberżanka nie pojawiła się już u rotmistrza. Ale to „Litwina” nie zdziwiło, bo doszło do dwóch wydarzeń, które pomogły rozszyfrować baronównę.

Następnego dnia rozpętało się piekło. Na sztab „Litwina” spadły niemieckie bomby. Trafienia były tak precyzyjne, jakby ktoś podawał niemieckiej artylerii koordynaty. „Cała oficyna została zdemolowana, wyleciały okna, drzwi i futryny, część budynku uszkodzona – w gruzach. Detonacja była tak silna, że odrzuciło mnie kilka metrów od biurka, przy którym pisałem rozkaz bojowy”.

Drugie wydarzenie wstrząsnęło nim bardziej. Wieczorem udało mu się wreszcie nawiązać kontakt ze sztabem pułkownika Edwarda Pfeiffera, „Radwana” dowódcy Obwodu I Śródmieście. Powiedział pułkownikowi o dziwnym spotkaniu przy barykadzie. Odpowiedź była szokująca:

„Otrzymałem wiadomość i nakaz: »Kronenberżanka jest szpiegiem Gestapo i kochanką wysokiego dygnitarza z al. Szucha Oberführera Wenera. Dwukrotnie był wydany na nią wyrok śmierci. Jeżeli wróci, należy ją zatrzymać i przekazać do Obwodu«”.

Zamiast Wandy Kronenberg pojawił się grad pocisków. Łup, łup, łup... aż się poderwałem. Ktoś stuka mnie w ramię. Nade mną stoi pracownik archiwum i śmieje się z mojej niemądrej miny. Musi zamykać, sygnalizował mi to od kwadransa.

– Nawet gasiłem i zapalałem światło. Przepraszam, ale na dziś już koniec.

Dociera do mnie, jak bardzo się zasiedziałem. Jest po osiemnastej, a ja tak skutecznie przeniosłem się w czasie do powstania,



że zapomniałem o całym świecie. Pora wracać. Nie, nie tylko do domu. Do teraźniejszości.

## Rozdział 2

# Na aryjskich papierach

Przedzieram się przez zarośla. Stąпам uważnie, aby nie chodzić po mogiłach. W tej części cmentarza nagrobki już leżą. Przekrzywione, połamane, niektóre tak zrujnowane, że liter nie można dostrzec. Co ja tu robię? To cmentarz żydowski. Wanda nie może mieć z tym miejscem nic wspólnego. Agentka Gestapo z wyrokiem śmierci na karku, kochanka jakiegoś ważniaka z Szucha... i warszawski kirkut. Przecież to kompletny absurd.

Niekoniecznie. Najpierw sprawdziłem jej domniemanego kochanka. Poszedłem po linii najmniejszego oporu. Wpisałem w wyszukiwarkę „obsada Gestapo na Szucha” i... bingo! SS-Hauptsturmführer Paul Werner, wspomniany przez „Litwina”. Rzeczywiście szycha, przez jakiś czas zastępca szefa referatu A w wydziale IV, zajmującego się zwalczaniem polskiego ruchu oporu. Na Szucha zajmował aż trzy piętra.

Polakom Gestapo kojarzy się jak najgorzej. To synonim okupacyjnego terroru, prześladowania zarówno patriotów, jak i zwykłych obywateli. Gestapo było jednak także korporacją działającą według ściśle określonych zasad. Kto najwięcej wie o szefach w takich strukturach? Wiadomo, sekretarka.

Sekretarką Wenera była Polka, Irena Chmielewicz. Przeżyła wojnę, została przez komunistyczny sąd skazana na karę śmierci za kolaborację, po wielu latach więzienia wyszła na wolność i wyemigrowała do Niemiec. Zawsze twierdziła, że trafiła na Szucha, by pomagać rodakom, bo jako Ślązaczka znała język i mentalność Niemców. Zeznawała z wolnej stopy w procesach swoich pracodawców. Pewien polski dziennikarz, który relacjonował je z Hamburga, zapamiętał, że była dystyngowaną damą. Zanim przystąpiła do składania zeznań, zdejmowała białe rękawiczki. Dokładnie to zapamiętał: ściągała je palec po palcu, powoli. Dopiero potem zaczynała odpowiadać na pytania.

Paul Werner pochodził z gminu i nie mógł się poszczycić znajomością form towarzyskich – wyjaśniała Chmielewicz. „Niski, pękaty, brzydki, włosy przeredzone, szatyn, oczy niebieskie, bardzo nerwowy, niesystematyczny, lubił sobie wypić”<sup>[3]</sup>. Lubił też mawiać, że wszystko zawdzięcza sobie. Taki *self-made man*. Chmielewicz znała go też jako bardzo dobrego człowieka, który miał cztery córki i wrzeszał się na widok kobiecych łez. Dlatego do tego podtatusiałego Niemca ustawiały się na korytarzu kolejki interesantek. Wiele Polek prosiło go o zwolnienie bliskich z aresztu, a nawet wykreślenie ich z gotowej już listy egzekucji. Wieści, że za jego wstawiennictwem można uratować męża, ojca czy kuzyna, rozchodziły się po Warszawie pocztą pantoflową. A Werner nie odmawiał. Z miłosierdzia uczynił intratny biznes – wprowadził taryfikator swoich usług. Wymazanie z akt – okrągła suma. Wyciągnięcie z Pawiaka – większa. Z Auschwitz – jeszcze większa, bardzo duża. W końcu wybuchł skandal, Werner został zdegradowany. Z wydziału IV A przesunięto go do IV B. Niby na tym samym piętrze, ale jednak niżej. Tu zajmował się sprawami kościelnymi, sektami, masonami i... Żydami.

Ten interesowny grubas, pytam sam siebie, chodząc po cmenta-

---

3 Akta Ireny Chmielewicz, IPN 2386/15629, s. 52n.

rze, miałby być kochankiem pięknej baronówny? Nie, to niemożliwe. Również z innej przyczyny. Za intymne kontakty z przedstawicielką niższej rasy esesman Werner mógłby trafić na front wschodni. A Wanda Kronenberg była Żydówką. I dlatego tutaj, na cmentarzu przy ulicy Okopowej w Warszawie, szukam początków tej historii.

Kronenbergowie byli rodziną przedsiębiorców. Prapradziad Wandy, Lejzor Hirschowicz, pochodził z Wyszogrodu. W Warszawie pojawił się w epoce napoleońskiej. Chciał się poświęcić świętym księgom, ale czasy były niespokojne, więc Lejzor ku rozpaczy ojca rabina zrzucił chałat. Okazało się, że ma smykałkę do handlu. Zaczął sprzedawać tytoń. Najpierw detalicznie, potem hurtowo, a na koniec zaopatrywał już wszystkich palaczy fajek na Mazowszu. Założył kantor, następnie bank. I zmienił nazwisko. W 1826 roku umierał jako Samuel Kronenberg – potężny przedsiębiorca i mason. Został pochowany na cmentarzu żydowskim w Warszawie, ale jego grobowca nie mogę znaleźć.

W końcu się poddaję, idę po pomoc. Opiekun cmentarza na hasło „Kronenberg” macha tylko ręką.

– To nie tu, to na ewangelickim. Tam jest pochowany. No co pan?!

Cmentarz ewangelicki znajduje się niedaleko, przy ulicy Młynarskiej. Po kwadransie stoję przed neogotycką katedrą w skali mikro. To tu spoczywa Leopold, syn Samuela. Do historii przeszedł jako Kronenberg „Wielki”. Najpierw był kupcem jak ojciec, potem bankierem i przemysłowcem, lecz to mu nie wystarczało. Zaczął budować. Fabryki i kopalnie, cukrownie i huty. Zakładał spółki, towarzystwa, banki. Dwoił się i troił. Skończył jako król kolei i dobroczyńca Polski w niewoli. Przez dwadzieścia lat położył w Królestwie Polskim tysiące kilometrów szyn, czyli tyle, ile nikt przed nim i długo, długo po nim. Jego majątek wart był 20 milionów rubli. Do tego miał pałac w centrum Warszawy tak

onieśmielający przepychem, że sam miał o nim powiedzieć: „Oto pomnik mojej głupoty”.

W 1845 roku pradziadek Wandy porzucił wiarę mojżeszową i przeszedł na protestantyzm. Do końca życia bardziej ufał własnej potędze aniżeli Bogu. Tu, na cmentarzu ewangelickim, leży sam. To trochę dziwne. Leopold miał bowiem ośmioro rodzeństwa, jego bracia i siostry dochowali się w sumie kilkudziesięciorga dzieci. Wszyscy pochowani są gdzie indziej, jakby pod skrzydłami wielkiego kuzyna i *pater familias* było im za ciasno.

Jadę na kolejny cmentarz. To katolickie Powązki. Znajduję dwa groby z czasów, kiedy Kronenbergowie byli już rzymskimi katolikami.

Pierwszy to wielkie mauzoleum w stylu perskich grobowców Cyrusów. W 1883 roku zaprojektował je architekt Artur Goebel, znany budowniczy synagog i kościołów, który wcześniej wybudował dla Kronenbergów pałac w Wieńcu. Drugi, strzelisty „grób rodziny Kronenbergów” (jak informuje wykuta w kamieniu inskrypcja) ozdobiony jest silnie wyeksponowanym, marmurowym krzyżem, tak jakby projekt miał rozwiać wszelkie wątpliwości co do wiary ludzi, którzy go wybrali. Pochowany tu jest brat „Wielkiego” i kilku jego kuzynów. Jednak imienia ojca Wandy nie znajduję.

Opuszczam cmentarz i już wiem, że muszę wracać do Centralnego Archiwum Wojskowego w Rembertowie. Leopold był kawalerzystą, może tam dowiem się o nim więcej. I może tym razem nie odleczę na widok starych dokumentów.

Leopold Jan urodził się w 1891 roku. Wychowywał go ojciec (ten z grobowca Cyrusów). Matka, Józefina Reszke, słynna śpiewaczka, sopran z La Scali, zmarła przy porodzie. Jego życiorys był typowy dla bogatej burżuazji z pretensjami do arystokracji. Leopold chodził do gimnazjum w Warszawie, za udział w szkolnym strajku w 1905 roku został relegowany. Edukację ukończył w Petersburgu,

pod czujnym okiem bocznej linii rodziny. Po wybuchu I wojny światowej wstąpił do Lejb-Gwardyjskiego Grodzieńskiego Pułku Huzarów. To słynna rosyjska jednostka, znana z krwawych potyczek z Francuzami w okresie wojen napoleońskich. Młody baron Kronenberg najwyraźniej wziął sobie tradycje pułku do serca. Na froncie wykazał się wyjątkową odwagą, był ranny. Odznaczony Krzyżem Świętego Jerzego został awansowany na porucznika i odesłany na tyły. W 1915 roku był już w Anglii. Jako wysłannik Międzynarodowego Komitetu Czerwonego Krzyża odwiedzał obozy jenieckie i zachęcał do wstępowania do carskiej armii. Mimo to czuł się polskim patriotą. Po przewrocie bolszewickim w Rosji wystąpił ze służby. Jako prosty robotnik zatrudnił się w odlewni w Coventry, gdzie pracował fizycznie, a podobno nawet głodował. Z tego okresu był szczególnie dumny. Głodowanie było dla Kronenbergów taką egzotyką jak dla kogoś innego polowanie na kangury.

Gdy mocarstwa światowe uznały niepodległość Polski, wrócił do kraju i od razu wstąpił do 15. Pułku Ułanów. „Bardzo wielki patriota, stale i bez przerwy, nawet w bardzo uciążliwych warunkach tak moralnych, jak i fizycznych pracuję nad ideą Wolnej Polski. W Anglii werbuje żołnierzy do polskiej armii we Francji, używając nie tylko swych stosunków i znajomości, lecz potem w czasie bolszewizmu, wkładając ostatnie z trudem zapracowane jako robotnik pieniądze w ideę formowania polskiej armii”, napisał nieznany z nazwiska autor złożonego w 1937 roku wniosku o odznaczenie Kronenberga Orderem Odrodzenia Polski<sup>[4]</sup>.

Wniosek został odrzucony. Komisja uznała, że z patriotyzmem Kronenberga coś było nie tak. Do Londynu pojechał przecież jako oficer rosyjski, a potem, mimo że agitował, sam do Wojska Polskiego nie wstąpił. A przecież w 1917 roku miał już 27 lat! To

---

4 Wniosek o odznaczenie Leopolda Kronenberga Orderem Odrodzenia Polski z dn. 15 III 1937 r., Centralne Archiwum Wojskowe.

ostatnie podkreślono. Chodziło jednak o jego żydowskie korzenie. Kronenbergom od czasów Wielkiego Leopolda ciągle wypomina-  
no, że ich polonizacja to bluff. Rodzina starała się ze wszystkich sił  
udowodnić swoje przywiązanie do polskości. To Kronenbergowie  
sfinansowali budowę warszawskiej filharmonii i pomnika Adama  
Mickiewicza na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie. To oni,  
otwierając banki i towarzystwa finansowe, wspomagali polską  
gospodarkę, drukowali polskie gazety, sponsorowali polskie ini-  
cjatywy polityczne. Zawsze znalazł się jednak ktoś, kto powoływał  
się na ich „trefne” pochodzenie. W 1934 roku przypomniał to  
choćby jeden z głównych ideologów narodowego antysemityzmu  
Stanisław Didier. W książce o roli neofitów w polskiej historii  
pierwszego Kronenberga uznał za największego łajdaka, a cały  
ród za głównych wrogów Polaków. Również incydent z kabare-  
tem w Esplanadzie trudno uznać za przypadek. W 1938 roku, do-  
kładnie naprzeciwko wyjścia z kamienicy Kronenbergów, grana  
była z powodzeniem szopka polityczna *Jedziemy na Madagaskar*.  
Głównymi postaciami w tym antysemitycznym pośmiewisku byli  
Książę Rozdziawiół i Dora Szmoncesówna. Chyba nikt z sąsiadów  
rodziny nie miał trudności z rozszyfrowaniem, z kogo tak na-  
prawdę śmiała się Warszawa.

Ojciec Wandy prowadził dom kosmopolityczny, co z pewnością  
nie pomogło przekonać osób wątpiących w jego patriotyczne  
usposobienie. Swoją żonę, z pochodzenia Włoszkę, Leopold spo-  
tkał w Petersburgu. Pani Wanda de Montalto-Rowton była już  
wdową. Jej pierwszy mąż, Anglik, pracował w Petersburgu jako  
inżynier, obracał się w arystokratycznych kręgach. Para miała  
dwóch synów, Mikołaja i Aleksandra. Włoszka z angielskim pasz-  
portem i Polak z żydowskimi korzeniami zakochali się w sobie,  
wzięli ślub i po zakończeniu I wojny światowej zamieszkali w  
Warszawie. Tu chłopcy kontynuowali naukę, nigdy jednak nie  
przyjęli polskiego obywatelstwa. Wanda urodziła się w 1922 roku,  
trzy lata później na świat przyszedł jej brat Wojciech.

1 września 1939 roku zawałił się świat, który z uporem i determinacją budowały kolejne pokolenia Kronenbergów. Na początku kampanii wrześniowej Leopold Jan rwał się do działania, ale na walkę na froncie był za stary. Na służbę przyjął go prezydent Warszawy Stefan Starzyński, mianując prawą ręką swojego przedstawiciela na Pragę, komisarza Bronisława Chajęckiego. „Przydzielam Panu rtm. rez. [Jana] Kronenberga, który zorganizuje do Pańskiej dyspozycji oddział umundurowany i uzbrojony”, napisał w jego nominacji<sup>5</sup>].

Jego urząd, czyli Komisariat Praski, mieścił się w budynkach gospodarczych Szpitala Przemienienia Pańskiego. Sztab Kronenberga działał w trudnych warunkach, próbując utrzymać się na powierzonym mu terenie.

„Lotnicy niemieccy obrali sobie za cel wielki kompleks budynków Szpitala – mimo czerwonych krzyży wymalowanych na dachach oraz ułożonych na podwórkach (...) Makabryczny był widok rannego, który mając amputowane obie nogi wyczołgał się na rękach, z trudem ciągnąc po ziemi swój bezsilny kadłub”, pisał major w stanie spoczynku Zdzisław Żórawski<sup>6</sup>].

Dantejskie sceny rozgrywały się w całej Warszawie. Współpracownik Leopolda Jana, Waclaw Lipiński, wówczas szef propagandy w Dowództwie Obrony Warszawy, opisał to, co działo się nieopodal pałacu Kronenbergów.

„Na Świętokrzyskiej zastałem piekło – relacjonował wypadki z dnia 13 września. – Dwupiętrowa oficyna żydowskiej kamienicy leżała w szarym gruzie, nieomal od wysokości I piętra. W rogu podwórka ocalały dwa konie, które siedząc na zadach, przywalone gruzem i wozem żałośnie rżały. Wielkie oczy zwierząt pełne były przerażenia. Na ulicy zasypanej szkłem krzyk straszliwy. W bramie kilka kobiet, pokrwawionych i czarnych od pyłu i gruzu

---

5 Mirosław Wawrzyński, *Człowiek, obywatel, patriota – Bolesław Chajęcki (1902–1953)*, „Niepodległość i Pamięć” 2007, 1.14, nr 1 (25), s. 96.

6 Zdzisław Żórawski, *Dziennik obrońcy Warszawy. Wrzesień 1939*, red. T. Szarota, Warszawa 2011, s. 62.



krzyczało wniebogłosy (...) W drzwiach sklepu stał żołnierz, tak samo z twarzą szarą, szarą jak cały mundur i trząśł się. Stał tak bez ruchu, bez słowa”[7].

Dzień 25 września był dla miasta dniem najcięższej próby. Na centrum spadły setki bomb. Miasto atakowało kilkaset samolotów. Kilkadziesiąt metrów od pałacu Kronenbergów pożar ogarnął wielki skład fortepianów w kilkupiętrowym salonie „Hermann i Grossman”. Płonące instrumenty wypadały na ulicę przez zburzony narożnik. „W tej samotności, w pożarze, bez ludzi te fortepiany zjadane przez ogień musiały same grać, wydawać z siebie dźwięki, ale jakie, co to była za muzyka”[8], pisała po wojnie Monika Żeromska.

Na recital w ogniu Wacław Lipiński nie zdążył. Ale widok ulicy wywarł na nim piorunujące wrażenie. „Aż mnie zatkało. Cała ulica jak wzrok sięga zasłana migotliwymi, jaskrawo się żarzącymi, jak zimne ognie na choince, zapalającymi bombami. Leżą na chodnikach pod ścianami i palą się niesamowitym, jaskrawo białym płomieniem. Ulica pusta, nikt tego nie gasi, żywej duszy wokoło napisał potem w dzienniku.

Bomby spadły także na rodowy pałac Kronenbergów. Pociski podziurawiły stropy, ogień rozprzestrzenił się błyskawicznie. Straził wszystko: bezcenną bibliotekę, dzieła sztuki. Niewiele udało się uratować. Do dziś w prywatnych rękach przetrwał barokowy fotel. Nie dlatego, że był szczególnie piękny czy cenny. To na nim służba posadziła raną w nogę baronową i wyniosła z ognia[9].

---

7 Wacław Lipiński, *Dziennik. Wrześniowa obrona Warszawy 1939 roku*, Warszawa 1989.

8 Monika Żeromska, *Moja ulica Mazowiecka*, „Rocznik Warszawski” 1995, t. 25, s. 206.

9 Tadeusz S. Jaroszewski, *Dzieje pałacu Kronenberga*, Warszawa 1972, s. 63–65.

Pierwsze miesiące okupacji to dla rodziny szok. Rodzice Wandy przenoszą się z Warszawy do majątku w Wieńcu na Kujawach. Ale tu odwiedza ich Gestapo. Majątek przejmuje niemiecki zarządca. Leopold Jan zostaje aresztowany, pani Wanda znajduje gościnę w sąsiednim Brzeziu, w pałacu szwagierki, a następnie przenosi się do wyremontowanego mieszkania w Warszawie. Jej mąż wychodzi po miesiącu z więzienia, na początku 1940 roku zostaje ponownie zatrzymany. Tym razem Niemcy pytają o pochodzenie. Obarczony żydowskim dziadkiem przechrzczonym na ewangelicyzm, Leopold Jan traci wszystkie pieniądze zdeponowane na koncie. Ostatecznie opuszcza więzienie z aryjskimi papierami, ale do końca okupacji żyje w cieniu niekorzystnych interpretacji ustaw norymberskich. Zalicza kolejne miesiące odsiadki. Bywa wzywany na Gestapo. Czy do SS-Hauptsturmführera Paula Wernera na Szucha? Możliwe. Esesman odpowiadał przecież za odcinek żydowski. Nie udało mi się ustalić, czy cokolwiek z gigantycznej fortuny Kronenbergów trafiło do jego głębokiej kieszeni. Skrupulatna na ogół sekretarka nie zapamiętała barona jako interesanta. Jeśli chodzi o nazwiska Polaków, pamięć ją zawodziła. Dokładnie zapamiętała tylko niejakiego Koszarskiego. Niezwykłym zbiegiem okoliczności ten człowiek zaraz wypłynie w naszej historii.

A gdzie w tym wszystkim Wanda? W chwili wybuchu II wojny światowej nie ma jej. Zniknęła.

## Rozdział 3

# Być jak Smosarska!

Jest koniec października 1930 roku. Ośmioletnia blondyneczka stoi na środku pokoju i z przejęcia zakrywa dłonią usta. Nie wierzy własnym uszom. Papa zabiera całą rodzinę do kina! I nie będzie to kino Wanda, gdzie dziewczynka chodzi z angielską nianią na dziecięce rewie. Będzie to kino z prawdziwego zdarzenia. Wandzia pójdzie do kina dla dorosłych zobaczyć prawdziwy melodramat.

Sprawa filmu, który tak poważnie wpłynie na losy Wandy Kronenberg, zaczyna się rok wcześniej. Do Leopolda Jana zgłasza się dwóch producentów z wytwórni filmowej Kineton-Sfinks. Chcą nakręcić film patriotyczny. U pana barona jest wszystko, co potrzebne. Pałac w Wieńcu – jak malowanie. Służba – wyborni statyści. No i konie, słynna stadnina Kronenbergów. Baron, z początku sceptyczny, gdy tylko słyszy o zapotrzebowaniu na folbluty, wyraża zgodę. Skoro jego ukochane wierzchowce będzie można zobaczyć w każdym polskim kinie, nie zamierza oponować. Rok później ma w ręku bilety. Film nazywa się *Na Sybir!*, a warszawskie bulwarówki trąbią o nim bez umiaru. „Gazeta Codzienna” w dużym ogłoszeniu, które skierowane było do „wszystkich, bez wyjątku”, nazywa film Henryka Szaro „monumentalnym polskim dźwiękowcem” oraz „symfonią miłości i poświęcenia”. To ostatnie określenie, powtarzane szeptem przez służbę domową, bardzo niepokoi panią Rowton-Kronenberg. Dtugo tłumaczy mężowi, że córka jest za mata na takie widowisko, ale kłamka zapadła.

„Symfonia miłości”. Te słowa również nie umknęły uwadze Wandzi. W filmie grają absolutne gwiazdy: Jadwiga Smosarska i Adam Brodzisz. Polski show-biznes nie miał wówczas większych. Smosarska była żyjącą legendą! Niejednemu arystokracie zawróciła w głowie, wygrała kilka plebiscytów na najlepszą aktorkę. Recenzenci rozpyłwali się nad jej kunsztem. „Pani Smosarska czaruje nie wymuszonym wdziękiem dziewczęcości. Pyłem codzienności paryskiej nie przyprószona, a tern samym od automatyzmu myślowego i życiowego daleka”, pisano po filmie *Premier*.

Aktorka umie do siebie przekonać nawet największych złośliwców. Nie jest to łatwe – gra głównie w melodramatach skazujących ją na rolę wiecznej dziewczyny, nieszczęsnej heroiny. „Była naturalna i ładna”, podsumował jej rolę w *Poławiaczu cieni* Antoni Słonimski. Był to prawdziwy komplement, bo pan Antoni słynął z ciętego języka. Film *Trędowata*, w którym Smosarska zagrała główną rolę w 1926 roku, zabił jednym zdaniem: „Nowa trędowata produkcja pana Hertza nie jest krokiem postawionym naprzód, ale wielkim biegiem sztafetowym w tył”.

Kronenberg, który nie widział wcześniej filmu, jest przed premierą nieco spięty. Kiedy rok temu oprowadzał ekipę zdjęciową po Wieńcu, wyszło na jaw coś absolutnie strasznego, coś dla niego zwłaszcza, wielkiego miłośnika koni, niewyobrażalnego. Okazało się bowiem, że pani Jadwiga... nie, tego Leopold postanowił nie zdradzić nawet żonie. To byłaby zbyt duża niedyskrecja!

Kronenbergowie zjawiają się w kinie Apollo przy ulicy Marszałkowskiej punktualnie o godzinie 18, honorowe miejsca już na nich czekają. Wszyscy widzowie i dziennikarze wypatrują nerwowo jednej osoby: Smosarskiej. Zaraz się pojawi! Zaraz błysną flesze! Dla małej Wandzi to musi być zaczarowany świat. Dla udającego obojętność barona Kronenberga również. W ciągu kilku dni produkcji zamienił z panią Jadwigą tylko kilka zdań, ale był nią absolutnie oczarowany. Dziś, przy pełnej sali, czuje dumę. Jest poniekąd ojcem tego sukcesu.

Wreszcie słyhać przy wejściu podniesione głosy. Szmer z foyer przechodzi w głośną falę wiwatów, która wlewa się na salę kinową. Wkracza Smosarska. Zsuwa długie futro z gołych ramion, spod gęstych rzęs omiata wzrokiem salę i płynie do swojej łoży. Wandzia jest wniebowzięta, tata pęcznieje z dumy. Tylko mamę to wszystko wydaje się mało obchodzić. Siedzi nieruchomo w fotelu i patrzy na zamieszanie z chłodną uprzejmością. Gasną światła, w sali robi się ci-

cho. Po króciutkiej jednoaktówce zaczyna się seans. Na ekranie pojawia się autor patriotycznych książek Waław Sieroszewski. Staruszek z uroczo przekrzywną muszką wzniosłym tonem wygłasza wstęp: „Obywatele! Ujrzycie za chwilę epizod z 1905 roku. W Polsce wybuchła wówczas rewolucja. Wzorem trzydziestego i sześćdziesiąt trzeciego roku naród znowu spróbował stargać okowy niewoli...”, Ostatnie słowo niknie zagłuszone tonami patriotycznej pieśni.

Pierwsze sceny filmu nie pozostawiają wątpliwości. To epicki fresk patriotyczny, gatunek eksploatowany wówczas do znudzenia. Zawsze w sosie romansowym, przeważnie z edukacyjnym naddatkiem. Nie wszyscy lubią takie kino. Następnego dnia recenzent „Gazety Codziennej” napisze: „(...) wielokrotnie na tem miejscu pisaliśmy, że wartaloby już raz na zawsze zaprzestać częstowania nas Syberją, katogą, żandarmami, policmajstrami”.

Ale publika jest zachwycona.

Bohaterem filmu jest groźny i odważny polski rewolucjonista o pseudonimie „Sęp”. Poznajemy go w ciemnym, zadymionym wnętrzu – to pracownia chemiczna wytwórcy bomb. Bojowiec bierze udział w losowaniu i wypada na niego. Musi przeprowadzić zamach na znieawidzonego carskiego satrapę. Przenosimy się na Kujawy. W sielskiej atmosferze wiejskiej posiadłości nudzi się Rena, uroczą córką właściciela majątku Józefa Czarskiego. Dziewczyna kocha swojego tatusia. Rzuca mu się na szyję, przerywając mu lekturę gazety. A w niej dramatyczne wieści: „Wczoraj dokonano w Warszawie zamachu na generał-gubernatora. Z dotychczasowych dochodzeń wynika, że zamach był dziełem nieuchwytnego »Sępa«”.

– Ten „Sęp” to bohater! – mówi Rena do brata, a ten ją zapewnia: – I ja taki będę!

W tym momencie Leopold pochyla się nad córką.

– Poznajesz? – pyta. – To Wieniec, nasz dom!

Ale Wandzia go nie słucha. Chłonie wypadki na ekranie z szeroko rozdzieloną buzią. Bo oto „Sęp”, w roli korepetytora brata, pojawia się w majątku. Chce się tu ukryć przed rosyjską policją. W Warszawie już trwają aresztowania. „Sęp” i Rena szybko wpadają sobie w oko.

– Żałuję, że to nie ja jestem pańską uczennicą – mówi dziewczyna.

– Pani musi mieć złote serduszko, skoro ludzie tak panią kochają – odpowiada konspirator, a jego kresowy zaśpiew miło brzęczy w uszach zachwyconej widowni. Publiczność już wie, że niebawem eksploduje nie tyle kolejna bomba, ile wielkie uczucie!

W Warszawie pułkownik carskiej ochrony dostaje depezę z samego Petersburga. Centrala żąda głowy „Sępa” i od tego uzależnia awans pułkownika.

Tymczasem w majątku Idylla: młodzi jeżdżą konno po okolicy, między nimi iskry od miłosnego napięcia. Niestety „Sęp” musi wracać do Warszawy, gdzie bierze udział w kolejnej dramatycznej strzelaninie. Jest ranny. Wiedzona instynktem Rena opuszcza dom i przyjeżdża do Warszawy. Akurat do jej mieszkania trafia uciekinier.

– Ryszardzie, tyś ranny. O Boże! – krzyczy, a żandarmi już walą do drzwi. Napięcie sięga zenitu, kiedy Ryszard wypala:

– Jestem „Sęp”!

Naiwniak! Przecież Rena to wie.

– Nie odchodź, nie puszczę cię! – łka żałośnie.

„Sęp” wpada w łapy oprawców, kolejne sceny wywołują na widowni spazmy rozpaczy. Jest bity i torturowany. Jednak prawdziwa wojna nerwów czeka teraz Renę. Policja postanawia opleść ją mackami prowokacji. Nie ma dowodu na to, że „Sęp” to Ryszard. Chcą to wyciągnąć od dziewczyny.

Lektor informuje, że Renę poddano wyrafinowanym torturom – nie pozwolono jej zasnąć przez całe dwie doby. Akcja cwałuje dalej. Ostatecznie „Sęp” nie zostaje zdemaskowany, ale w gronie innych bojowników o wolność ma trafić na Sybir. Na widowni cisza. Oto carski oprawca rozdziela rodziny: ojca zabiera dzieciom, syna owdowiałej matce, dzierlatce narzeczonego w kajdanach. Przecież znamy to z Grottgera! Kibitka wywozi „Sępa” na wschód.

Druga część filmu dzieje się na Syberii, Akcja przyspiesza z minuty na minutę. Rena nie jest już drobną i filigranową panienką. Pojawia się w miejscu zesłania i przejmuje inicjatywę. Obozowym strażnikom przekazuje paczkę z alkoholem. Więźniom zaś dostarcza greps skierowany do „Sępa”: „Uciekaj dziś w nocy, wszystko przygotowane!” Po zmroku, gdy alkohol na dobre morzy siepaczy, Ryszard wymyka się z obozu i ucieka przez ośnieżone knieje. W środku tajgi czeka go stęskniona Rena. Wreszcie wpadają sobie w ramiona. Teraz to ona jest bohaterką filmu, to ona przykuwa uwagę. Personifikuje ponad stuletni opór przeciwko zaborcy. W wielkim futrze, jak królowa śniegu, walczy i zwycięża. Przewodzi ucieczce. Znowu strzelanina, sceny niezwykle efektowne. Pogoń jest tuż-tuż. „Sęp” wręcza Renie rewolwer, a ta wali jak kowboj do pędzących Kozaków. W końcu para rzuca pod kopyta koni żandarmów bombę, ta wybucha i po wszystkim. Rena i „Sęp” są uratowani, ojczyzna musi jeszcze trochę

poczekać. W ostatniej scenie z małymi dziećmi bawi się dziedzic staruszek, wypisz wymaluj poczciwy pan Leopold.

– Pamiętajcie, smyki, że dzięki takim zuchom jak wasz ojciec mamy teraz Polskę wolną i niepodległą mówi. Kurtyna.

Wandzia jest nieprzytomna z emocji. Ma rozpalone policzki, ale w sali panuje taki rozgardiasz i entuzjazm, że rodzice nie zwracają na nią uwagi. Przez całą drogę powrotną dziewczynka milczy z zaciętymi ustami. Sama na tylnej kanapie wielkiego mercedesa, odgrywa w wyobraźni sceny pogoni. Godzinę później jest już w swoim łóżku. Pałac Kronenbergów śpi. Służba pogasiła światła, w wielkim kominku dopala się ogień. Wandzia podnosi głowę znad poduszki, nasłuchuje. Jest cicho. Odchyła kołdrę i podchodzi do okna. Opiera łokcie o parapet, patrzy na pusty o tej porze plac Piłsudskiego. W środkowej części wielkiej kolumnady pali się wieczny ogień. Przy Grobie Nieznanego Żołnierza stoją wartownicy. W niektórych oknach siedziby Sztabu Generalnego Wojska Polskiego również palą się światła. Nad raportami i listami, meldunkami i sprawozdaniami ślęczą analitycy li Oddziału, oficerowie polskiego wywiadu. Czy przeczuwają, że nad Polską gromadzą się ciemne chmury? Czy z tysięcy stron meldunków da się wyczytać nadchodzącą przyszłość? Skąd! To przecież dopiero 1930 rok. Wprawdzie trwa kryzys, ale w polityce panuje spokój. Piłsudski żyje i nad wszystkim panuje, Stalin robi czystki u siebie, a Hitler dopiero marzy o przejęciu władzy. Życ, kochać, nie umierać!

Wandzia już wie, co chce w życiu robić. Chce być jak Rena! Chce być bohaterką! Chce spiskować i walczyć, chce gonić i uciekać. Chce rzucać bomby, aby wyzwalać i wygrywać. Ale nie sama. Chce to robić ze swoim ukochanym, wzorem polskiego patrioty: szlachcicem, katolikiem, bojownikiem. Co z tego, że trwa pokój, a Polska jest niepodległa. Przecież taka nuda nie będzie trwać wiecznie. W końcu wraca do łóżka, w sąsiednich kamienicach gasną światła. Do snu szykuje się także jej ojciec. Jaką to tajemnicę produkcji ukrył przed rodziną?

Gdyby wtedy to się wydało, byłby skandal, ale dziś? Możemy się tylko pośmiać. Smosarska nie umiała jeździć konno. Cwałującą po lasach Renę zagrał filigranowy pan Stefan, masztalerz z pałacowej stadniny.

## Rozdział 4

# Jako żona „Grota”

Notatki pana Lecha okazują się bezcenne. Dzięki nim trafiam na archiwalne perły, meldunki rodzącego się podziemnego wywiadu. Informacje o Kronenbergach są rozrzucone w różnych miejscach, ale jest ich sporo. Agenci Armii Krajowej, podobnie jak Niemcy, od początku okupacji interesowali się rodziną. Jednak pod ich lupę nie trafia Leopold Jan, ale właśnie Wanda, i to już w 1940 roku. Jakie znaczenie ma dla Armii Krajowej osiemnastoletnia wówczas córka ziemianina? Żeby to zrozumieć, musimy się cofnąć o rok.

Przed wybuchem II wojny światowej Wanda przeżywa osobiste trzęsienie ziemi. Siedemnastolatka poznaje Witolda Jasińkowskiego. Niestety, wielu scen w tej romantycznej historii tylko się domyślam. Miłość, która tuż przed apokalipsą zrodziła się pomiędzy młodym dziennikarzem i dziewczyną z dobrego domu, znam tylko z tajnych raportów AK. Między młodymi nie tyle zaiskrzyło, ile eksplodowało, jakby Wanda uznała, że ten właśnie mężczyzna, obdarzony odwagą i tupetem, wybawi ją od monotonii dotychczasowego życia.

Gwałtowna miłość ponad klasowymi podziałami nie wydarzyła



się w rodzinie Kronenbergów po raz pierwszy. Skandal dotyczący ukochanej przez Wandę ciotki Józefiny, właścicielki majątki w Brzeziu, opisał ze swadą warszawski gawędziarz Jan Kruszewski. Znał wypadki z pierwszej ręki<sup>[10]</sup>.

Jerzy Kowalewski, dla arystokratycznych kręgów *nobody*, był niezbyt zamożnym właścicielem małej drukarni. Ale miał inne zalety: urodę, dowcip, elokwencję. Do tego fantastycznie grał w tenisa, w klubie na Agrykoli wygrał wielkiego szlema. Poznał Józefinę, która za atmosferą kortów wprost przepadała. Jako jedna z pierwszych Polek wybudowała w swoich dobrach korty i uczyła wiejską dziatwę grać. Jednym z jej ulubionych partnerów został syn stajennego, potem podobno mistrz Polski.

To, że siostra Leopolda Jana wpadnie w oko Jerzemu, było kwestią czasu. Młodzi sporo ze sobą grali, wkrótce zostali partnerami. I w singlu, i w deblu.

Fascynacja okazała się odwzajemniona. Niestety, jak pisał Kruszewski, arystokraci uznawali jedynie związki typu „równy z równą – hetman Zamoyski z panną Batorówną”. Ojciec dziewczyny pokazał championowi drzwi. Ten przełknął zniewagę, nie tracąc wiary w ostateczne zwycięstwo. Utrata seta nie musi przecież oznaczać przegranej partii. Tenista postanowił zatem zagrać ostro i pannę porwać!

Nie uczynił tego jednak osobiście, lecz rękami wynajętego pomocnika. Został nim... instruktor jazdy na wrotkach. Baronówna zgodnie z uknutym przez ukochanego planem udała się na Dworzec Wiedeński i wsiadła z podstawionym uwodzicielem do pociągu. W tym samym czasie Adonis z Agrykoli pokonał opór odźwiernych barona i wtargnął do jego gabinetu.

– Zobacz, dumny baronie, do czego doprowadziłeś! – krzyknął od progu. – Mnie, skromnemu młodzieńcowi, odmówiłeś ręki córki, a teraz masz nagrodę: uciekła z pajacem na wrotkach!

---

10 Jan Kruszewski, *Przed pół wiekiem w stolicy. Gawędy*, Warszawa 1971, s. 186–189.

Zaproponował, aby razem ruszyli w pogoń, bo tak się szczęśliwie złożyło, że on wie, dokąd młoda para zmierza. Baronowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Udał się z dobrze poinformowanym sportowcem w drogę. A w pociągu, jak wiadomo, czas płynie wolno. Wzburzenie barona, kojący głos drukarza. Nerwy potentata, spokój stratega kortu. „Kowalewski stał się bliskim sercu zmaltretowanego ojca”, podsumowuje Kruszewski. Dogonili kochanków. Porywacz zadowolił się odszkodowaniem, pozostała trójka wróciła do Warszawy. Ślub baronówny z tenisistą odbył się w Petersburgu, ale małżeństwo wkrótce się rozpadło, prawdopodobnie za sprawą lekkiego podejścia Kowalewskiego do posagu Józefiny. Ale to już zupełnie inna historia.

Wróćmy do Wandy i Witolda. Ojciec dziewczyny niechętnie patrzy na ten związek, ale ona nie zamierza podporządkować się życzeniom patriarchy. Zaczyna się wojna. Wanda z ukochanym postanawiają opuścić Warszawę.

Rozstanie z rodziną we wrześniu 1939 roku ma gwałtowny przebieg. Na miasto spadają bomby. Są łyzy Wandy i szluchy matki. Podniesiony głos ojca, piskliwy tenor brata. Ale miłość nie wybiera. Młodzi ewakuują się do Lwowa. Tam stają na ślubnym kobiercu. Odtąd Wanda w dokumentach będzie figurować jako Kronenberg-Grot. Jest to o tyle dziwne, że pan młody nosi inne nazwisko. „Grot” to jego pseudonim. Oddajmy głos informatorom Podziemia, którzy zebrali strzępy informacji, fragmenty wiadomości, plotki, różne, czasem sprzeczne dane, a potem skrupulatnie utkali z nich wersję wydarzeń figurującą w kartotece kontrwywiadu Komendy Głównej AK jako „afery Lidy”.

Oto pożółkły papier zatytułowany „Raport według relacji »Jastrzębca«”. Znalazłem go w Archiwum Akt Nowych dzięki wskazówkom pana Lecha. Z kontekstu wynika, że informator AK „Jastrzębiec” znalazł dom Kronenbergów jeszcze przed wojną. Raport jest długi, będziemy do niego wracać wielokrotnie. Na razie inte-

resuje nas tylko kilka zdań. Opisana przez „Jastrzębca” Wanda „to młoda kobieta w typie, który Rosjanie charakteryzują nazwą *razwiaznaja barysznia* (tupet duży połączony z temperamentem) i której dominującą cechą charakteru jest samowola i ryzykancstwo. Te cechy charakteru spowodowały, że w czasie wojny wbrew woli i perswazjom rodziców wyszła za mąż; o mężu pani Wandy cicho całkiem w domu Kronenbergów”<sup>[11]</sup>.

Więcej szczegółów zdradza dokument z listopada 1947 roku. Anonimowy kombatant, konfident UB, donosi, że Wanda pod koniec 1939 lub na początku 1940 roku „poznaje Jasiłkowskiego, ps. Grot, podającego się za oficera WP, z którym wyjeżdża do [Lwowa] i tam bierze ślub. Wkrótce potem wraca sama do Warszawy i występuje pod panińskim nazwiskiem jako panna”<sup>[12]</sup>.

Kolejne informacje pochodzą z materiałów dotyczących inwigilacji rosyjskiej emigracji w Warszawie w 1944 roku. Autor pisze, że na terenie Warszawy działa kobieta „podająca się za Polkę, mężatkę, z domu baronównę (!) Kronenberg, której mąż, członek jakiejś narodowej organizacji, został mniej więcej przed 1,5 rokiem aresztowany we Lwowie i osadzony w Oświęcimiu pod nazwiskiem (czy pseudonimem) »Grot«”<sup>[13]</sup>.

Wreszcie docieramy do sedna. W dokumencie z marca 1944 roku sporządzonym przez Stanisława Siekierskiego, pseudonim „Stahl”, z Referatu 997 (jednostki kontrwywiadu zajmującej się rozpracowywaniem niemieckich władz bezpieczeństwa, kierowanej przez słynnego asa wywiadu Kazimierza Leskiego, „Bradla”), jest mowa o tym, że „Grot” ma przyjaciela, współpracownika. To

---

11 Raport według relacji „Jastrzębca” z dn. 30 V1944 r., Archiwum Akt Nowych [dalej: AAN] 203-III-128, karta 8.

12 Anonimowy dokument dotyczący Wandy Kronenberg w tezcze sprawy Jana Zarańskiego, Instytut Pamięci Narodowej, Biuro Udostępniania Dokumentów [dalej: IPN BU] 0259/101/1, karty 32–34.

13 Anonimowy raport na temat środowisk rosyjskich w Warszawie z dn. 1.04.1944 r. (994/B), tezcza Borysa Smysłowskiego, IPN BU 0/1222/3114, karta 22.

Borys Orda<sup>[14]</sup>. „Grot” i Orda prowadzili jakieś ciemne interesy. „Posiadali dużo pieniędzy, mieli broń, korzystali z aut niemieckich. Aresztowani przez Gestapo, po kilku [godzinach? dniach?] zostali zwolnieni. Na terenie wywiadu polskiego podlegali jakiemuś Koziarskiemu”, pisze „Stahl”.

A zatem mamy trzech muszkieterów podających się za polskie podziemie. „Grot”, Orda i Koziarski. Spróbujmy uporządkować wiadomości i odpowiedzieć na najważniejsze pytanie: co w tym gronie robi Wanda? Wywiad AK sugeruje, że dziewczyna uciekła z „Grottem” do Lwowa niekoniecznie z miłości. Młodzi wzięli ślub, ale równie dobrze mogło to być zagranie taktyczne. Wybrańcem baronówny okazał się dziennikarz, który był także oficerem Wojska Polskiego. Dlaczego podczas kampanii wrześniowej nie walczył na froncie? „Stahl” i inni sugerują, że był oficerem wywiadu. W grę wchodzi tylko Dwójka, czyli II Oddział Sztabu Generalnego WP. To przedwojenny wywiad wojskowy, który po klęsce wrześniowej kontynuował pracę, tyle tylko, że poszczególni agenci musieli podjąć decyzję: czy nadal pracują dla Polski reprezentowanej przez generała Sikorskiego, czy działają na własną rękę. Niektórzy zgodzili się na służbę w Podziemiu, inni zaoferowali usługi Niemcom. Jasiłkowski i inni eks-pracownicy wywiadu, Borys Orda i nieznany z imienia Koziarski, stworzyli własną grupę. Po pewnym czasie wynieśli się ze Lwowa. Przekroczyli granicę niemiecko-radziecką i przybyli do nowo utworzonego Generalnego Gubernatorstwa, gdzie wiodli kolorowe życie, opisane powyżej przez „Stahla”.

Muszę dowiedzieć się więcej. Trafiam na wojenne wspomnienia Ferdynanda Goetla. To przed wojną znana postać, duchowy ojciec Obozu Zjednoczenia Narodowego, prezes Związku Zawodowego Literatów Polskich. Za zgodą AK wziął udział w organizowanym przez Niemców wyjeździe do Katynia w 1943 roku, gdzie oglądał

---

14 „Stahl”, Kronenberg Wanda vel Brzeska, Wera, Lida, IPN BU 0423/4638 s. 13–17.

zwłoki zamordowanych oficerów polskich. Na początku okupacji namawiał środowiska twórcze do rejestrowania się w niemieckich urzędach pracy. Miało to ułatwić pisarzom życie, ale po wojnie naraziło Goetla na szykany i zarzut kolaboracji. Goetel miał dziennikarski instynkt. Na początku okupacji ukuł prostą zasadę: „Pokaż mi swoją knajpę, a powiem ci, kim jesteś” W 1939 roku okazało się, że wielu Polaków z różnych sfer i różnych zawodów nie może się zajmować tym, czym zajmowali się do tej pory. Jak na wyścigi zaczęto otwierać knajpy, jadalnie, bary i restauracje. Restauracje ekskluzywne, dla Polaków i *nur für Deutsche*.

Życie towarzyskie rozkwita. Mimo godziny policyjnej, licznych ograniczeń, powolnej degradacji morale ludzie spotykają się i gadają, mają potrzebę stadnego życia. „Knajpologia” to wciąż niedoceniana przez historyków gałąź wiedzy o okupacji. Tymczasem siedemdziesiąt lat temu nawet początkującemu konspiratorowi wystarczyła nazwa lokalu, by określić, z jakiego kręgu towarzyskiego wywodzą się goście, czy miejsce jest trefne, czy względnie bezpieczne.

Ferdynand Goetel nie był tu wyjątkiem. O kawiarni Rio Rita na Krakowskim Przedmieściu pisał, że jest to knajpa *Für die Wehrmacht erlaubt*. Niezbyt mu się podobała. Swoje wątpliwości przedłożył koledze po piórze, Adolfowi Nowaczyńskiemu.

„– Widzisz! – tłumaczy mi Adolf Nowaczyński. – Tacy są poznaniacy. Realisci! Jak trzeba, zakaszą rękawy i biorą się do roboty.

Realizm »Rio Rity« nie przekonywał mnie. Szynek ten, zrobiony z amerykańska, zanadto się kłócił z Warszawą. Goście, którzy w nim bywali, również mało byli podobni do warszawskiej publiczności. Garnitury mieli nietutejsze, gęby zamiejscowe. Pewnego dnia gospodarz Antoni zapoznaje mnie z jakimś Niemcem o wyglądzie dżentelmena z reklamy Burberry's, a potem oznajmia, że jest to attaché wojskowy przy Czang Kai-szeku. Pytam już wręcz:

– Mój Antoni, o ile zdołałem zauważyć, w knajpie twej zbierają się wszystkie międzynarodowe szpicle nasłane na Warszawę.

– Czy wszystkie, nie wiem – śmieje się. – Ale widać ich tu coraz więcej.

– Zastanawiałeś się, co z tego może wyniknąć?

– Chyba niewiele, bo ja sam do tego ręki nie przykładam. Zlatują się tu sami. Jest to szpiegowska czarna giełda. Jak każda z czarnych giełd, chroniona przez policję, która też się tu pragnie czegoś dowiedzieć. Zawadiacka teoria nie była pozbawiona sensu. Ale »Rio Rita« nie miała pozostać jedynie awanturą bulwarowego szpiegostwa. Gospodarz jej, wraz z bratem Janem, oficerem polskim, zbiegłym z niewoli niemieckiej, prowadzili niezależnie od Rio Rity arcygardłową działalność redagując w jednej z komórek Armii Krajowej odezwy, biuletyny i pisemka przeznaczone dla żołnierzy niemieckich”<sup>[15]</sup>.

Tymczasem kontrwywiad AK twierdzi, że właścicielami Rio Rity są kuzyni „Grotą”! A zatem to między innymi jego „zamiejscową gębę” widywał tu Goetel. Odnajduję powojenne zeznanie kelnerki z Rio Rity, Katarzyny Piwnickiej, „Ketty” informatorki AK, po wojnie oskarżonej przez UB o współpracę z Gestapo<sup>[16]</sup>. Na pytanie śledczego, kogo dokładnie obsługiwała w kawiarni, „Ketta” odpowiedziała: „Borysa Ordę poznałam w 1940 roku w kawiarni Rio Rita, w towarzystwie Koziarskiego Jerzego, przydomkiem »Dżers«, którzy według opowiadań należeli do jakiejś organizacji konspiracyjnej, ale co robili, nie wiem. Obaj byli aresztowani w 1941 roku i zesłani do Oświęcimia. Do końca okupacji miałam wiadomość, że obaj nie żyją”. Ta ostatnia informacja okazała się nieprawdziwa. Orda, który miał zginąć w Auschwitz, 20 listopada 1948 roku objawił się Piwnickiej w całkiem dobrej formie i w dość egzotycznym miejscu, bo w Szczecinie. Po wojnie trafiło tam wielu byłych AK-owców, całkiem słusznie zakładających, że uda

---

15 Ferdynand Goetel, *Czas wojny*, Gdańsk 2000, s. 27–28.

16 Zeznanie własne Katarzyny Piwnickiej z dn. 17 stycznia 1949 r., IPN BU 01251/138/24, s. 273; Protokół przesłuchania podejrzanej Katarzyny Piwnickiej z dn. 12 lutego 1949 r., IPN BU 01251/138/24, s. 282, 290, 294.

im się w ten sposób zejść z oczu władzy ludowej. Orda powiedział zdumionej kelnerce, że rzeczywiście był w obozie, ale go przeżył. Nie udało się to jednak „Dżersowi”. W takim razie co się stało z „Grottem”? Być może Orda i to też ujawniłby dziewczynie, ale niestety potwornie się upił. Gdy się zegnali, poprosił, by do niego napisała. Nie zostawił adresu. Podwinął za to rękaw i pokazał numer obozowy wytatuowany na przedramieniu. Takiego post restante używał. W 1948 roku ta informacja śledczych nie zaciekała. Mnie — przeciwnie. Idę tym tropem. W internetowej bazie danych Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau w Oświęcimiu sprawdzam, czy taki numer istnieje. Okazuje się, że tak. Numer 18655 miał Jerzy Wichrowski, który do obozu trafił 24 lipca 1941 roku. A zatem „Orda” to pseudonim. Znając prawdziwe nazwisko, mogę poszukać informacji o współpracowniku „Grota” w Instytucie Pamięci Narodowej.

I znowu grzęznę w papierach na długie miesiące. W IPN-ie każdateczka otwiera następne. Szukając jednego nazwiska, znajdujesz dziesięć nowych, wszystkie powiązane. Nie inaczej było z Jerzym Wichrowskim. Intuicja nie zawiodła ani mnie, ani Goetla. Janusz Wichrowski, pseudonim „Orda”, okazał się agentem podwójnym<sup>[17]</sup>. Pracował dla polskiej organizacji podziemnej, a potem zatrudnił się na jej prośbę w Gestapo. Albo odwrotnie: zatrudnił się w Gestapo, aby infiltrować polskie podziemie. Zależy, jak na to spojrzymy: wersja opowiedziana śledczym przez samego Orde jest, delikatnie mówiąc, niespójna.

Wichrowski został współpracownikiem Gestapo w sierpniu 1940 roku w Krakowie. W siedzibie Gestapo przy ul. Pomorskiej 2 jako Borys Orda spotkał się z rezydentem niemieckiego wywiadu i wyrecytował wyuczoną „legendę”. Oświadczył, że jest uciekinierem zza Buga, pochodzi z rodziny tatarskiej i nie jest nastawiony wrogo do Niemców. Wręcz przeciwnie, uważa, że polityka Nie-

---

17 Protokół przesłuchania podejrzanego z dn. 21.04.1950 r., Akta śledcze w sprawie przeciwko Januszowi Wichrowskiemu, IPN BU GK 617/152, s. 2–5.

miec jest „europejska”. Jako Tatar zawsze służył aktualnie panującym. Niestety, Sowiетom służyć się nie da, bo ci nie szanują prawa własności. Orda stracił cały swój majątek i chce go odzyskać. W związku z tym pragnie podjąć współpracę z Niemcami, licząc na to, że granice Rzeszy niedługo zostaną przesunięte, a jego majątek objęty niemieckim prawodawstwem. „Opinia publiczna jest za rychłym wybuchem wojny niemiecko-radzieckiej”, mówi zgodnie z instrukcją.

Gestapo łapie przynętę. Przyjmuje zobowiązanie do współpracy i od razu zleca zadanie. Orda ma zdobyć informacje o polskich sabotażystach, a potem zgłosić się telefonicznie na Szucha i poprosić o połączenie z numerem 202. Tam będą dalsze instrukcje. Ale Orda nie zgłasza się na Gestapo, bryluje za to na mieście w towarzystwie „Grot”. Imprezy są huczne, a on niezbyt ostrożny. Po jednej z popijaw trafia na Gestapo, ale już nie jako informator, tylko zwykły więzień. Trzy miesiące na Pawiaku wystarczają, żeby go złamać. Z więzienia wychodzi jako inny człowiek i na prawdę zaczyna się starać. Na tyle skutecznie, że po pewnym czasie w jego lokalu zjawiają się „nieznani sprawcy”. Kim są panowie o smutnych minach i w przydługich płaszczach? To likwidatorzy wysłani prawdopodobnie przez polskie podziemie. „Otrzymałem łącznie 12 strzałów w plecy i leżałem trzy tygodnie w szpitalu św. Rocha”, zeznawał Orda na UB. Dwanaście strzałów i przeżył? Wydaje się to mało prawdopodobne. Prawdą jest jednak to, że ze szpitala trafia do Auschwitz. Nie wiem do końca, w jakim charakterze: jako więzień czy informator Gestapo? Po roku dołącza do niego Jerzy Koziarski, „Dżers”. Czy to jest właśnie ów Koszarski, którego zapamiętała sekretarka na Szucha? Jeśli tak, to ktoś starał się u Wernera o jego uwolnienie. Ciekawe kto?

W ręce Gestapo trafia również „Grot”. Tyle tylko, że z nim, a zwłaszcza z jego młodą żoną, niemieckie służby wiążą inne plany.



## Rozdział 5

# Śledztwo porucznika Kaskiewicza

– I jeszcze to!

Sfatygowana teczka spada z hukiem na krawędź biurka. Pułkownik Fejgin lubi nadawać sprawom bieg w sposób teatralny. Z przepelnionej popielniczki unosi się szara zamieć. Biała koszula porucznika Kaskiewicza gwałtownie ciemnieje.

Jest jesień 1951 roku. Porucznik Jerzy Kaskiewicz zajmuje skromny gabinet na górnym poziomie Pawilonu X w mokotowskim więzieniu I tępi reakcję, tak jak szef każe. Jest wyróżniającym się pracownikiem Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, ale takich nalotów Fejgina nie cierpi.

Energicznym ruchem strzepuje popiół. Jeszcze słyhać kroki na korytarzu, potem głośnie pożegnanie. Znowu trzask drzwi, jakiś śmiech. A potem: tup, tup, tup. Stukot chodaków.

– Znowu tego z eneszetu? Też ma chuj zdrowie! – mruczy do siebie Kaskiewicz.

Unosi palcem brzeg teczki, końcówki tasiemki zwisają jak bezwładne ręce.

– Job twoju mać – Kaskiewicz mówi już całkiem głośno. Nie boi się. Pułkownik Fejgin i tak nie usłyszy. Pognał wsadzać reakcję za kraty. Zabrał ze sobą Mickiewicza.

– Co go opętało z *Alpuharą*? – zastanawia się. Fejgin recytuje to już od miesiąca, katuje wszystkich narodowym wieszczem.

Porucznik przekręca ebonitowy włącznik lampki. Robi się jasno. Przed nim szara teczka.

– Mała – dochodzi do wniosku. – Może zdążyć.

Ta sama teczka, którą Fejgin z impetem rzucił na biurko Kaskiewiczza, leży teraz przede mną. Nikt nawet nie zmienił okładek. Pochyliam się nad nią w ogromnej czytelni warszawskiego IPN-u. Dziennikarze właśnie wyszli, ostatni asystent telewizji wynosi statyw z reflektorem. Ekipa kręciła materiał o archiwum Kiszczaka. Jeszcze dziś pokażą go w wiadomościach. Spieszą się.

Ja nie. Teczka nie jest gruba, zaledwie kilkanaście dokumentów, po kilka stron każdy. Jakies wypisy, regesty, skróty. Pisane piórem i ołówkiem, niewyraźnie, do tego poźółkłe maszynopisy. Kiedyś tych dokumentów było znacznie więcej. Niektóre zostały celowo zniszczone. Inne zaginęły, zatopione w portach cudzych szuflad, przywalone stertami papierów. Może wylądowały na śmietniku innych historii. Kolejne, odbywając dalekie podróże z rąk do rąk, z biurka na biurko, wślizgnęły się do niewłaściwych przegródek i zniknęły na wieki.

Teczkę znalazłem przypadkiem. Czekając na inną, z nudów wpiisałem do IPN-owskiej wyszukiwarki imię i nazwisko Wandy. Do głowy mi nie przyszło, że służby po wojnie mogły się nią zajmować. A tu niespodzianka. Oprócz kontrwywiadu Armii Krajowej interesowała się nią także bezpieka. Co ciekawe, AK i UB miały dostęp do innych dokumentów. Rozbieżności okazały się zajmujące. Dla mnie najciekawsze było jednak co innego. Tropem Wandy nie szedłem już sam. Wiele lat temu jej losy śledził as grupy specjalnej, porucznik wymieniany w jednym rządzie z Adamem Humerem, Anatolem Fejginem czy Józefem Różańskim, zaufany towarzysz. Jerzy Kaskiewicz.

Kaskiewicz podnosi słuchawkę i mówi spokojnie:

– Proszę ją przyprowadzić!

Porucznik Jerzy Kaskiewicz, choć jest podwładnym oberchama, nie jest prostakiem. Nie to co taki na przykład Humer. Ten potrafi obsztorcować tak, że nawet twardziele z innych departamentów zapominają języka w gębie. Kaskie-

wicz jest inny.

Owszem, także lubi przyjebać, ale tylko wtedy, gdy trzeba. Na przykład gdy oskarżony próbuje go kiwać. Gdy kluczy i patrzy w ścianę, szukając ratunku. Wtedy Kaskiewicz bije po mordzie, nie ma innego wyjścia. Ból wzmaga koncentrację, przywraca rozsądek. Tego uczyli go radzieccy towarzysze. Ale sadzanie na odwróconym stołku, przytrzaskiwanie palców szufladą, penetrowanie ołówkiem ucha, „kręcenie wora”... To nie są środki, po które się sięga codziennie.

– Sprawa Wandy Kronenberg...

Wreszcie odchyła szare skrzydło. Zanim przyprowadzą osadzoną z piwnicy, przerzuci kilka kart. Jest i zdjęcie.

– Eeeee – krzywi się. – Nie w moim typie. Złachana jakaś.

Takie zmęczone twarze widuje codziennie w drodze do pracy. Krótkie blond włosy, zmarszczki. Strach w oczach, ale jednocześnie coś chytrego czai się w spojrzeniu.

– Jak one wszystkie, gestapowskie kurwy.

Porucznik bierze głęboki wdech. Podwija rękawy, nie chce dodatkowo zabrudzić mankietów. Odchyła się na krześle. Jak to pułkownik nucił?

„Już w gruzach leżą Maurów posady,  
Naród ich dźwiga żelaza,  
Bronią się jeszcze twierdze Grenady,  
Ale w Grenadzie zaraza...”.

Wzdycha. Zeppelin kurzu dryfują w ciemną dal gabinetu.

## Rozdział 6

# Bo we mnie jest seks

„Kontakt z Sipo i SD Lwów nawiązałam przez Oberscharführera Ott, mojego byłego warszawskiego szefa. Spotkałam go na ulicy; zaproponował mi pracę. Ponieważ z jego indagacji godzinnej nie mogłam się zorientować, czy oprócz Koziarskiego jeszcze ktoś inny w W-wie wpadł i czy są jakieś poszlaki na mnie, postanowiłam propozycję jego przyjąć...”<sup>[18]</sup>.

Tak zaczyna się pierwszy szpiegowski raport Wandy. Napisała ich ponad dwadzieścia. Wszystkie trafiły do jej teczki założonej przez kontrwywiad Armii Krajowej. Na obwolucie napisano „Afera Lidy”. Raporty ze Lwowa zachowały się tylko w części. Co ciekawe, nie ma ich w teczce, którą wertował zniechęcony porucznik Kaskiewicz. Gdyby miał do nich dostęp, śledztwo potoczyłoby się zupełnie inaczej. Ale nie uprzedzajmy faktów.

Na razie wiadomo, że od końca 1939 roku Wanda wraz z mężem i jego dwoma kompanami tworzy malowniczą bandę. Nie działają jednak długo. Szajka zostaje rozbita przez niemiecki wywiad. Jest to o tyle dziwne, że grupa działała prawdopodobnie właśnie na

---

18 AAN, Armia Krajowa, 1326, sygn. 203-III-125, karta 24.

zlecenie Niemców. „Orda” i „Dzers” meldują się w pasiakach na apelu w Auschwitz, Witold Jasilkowski, „Grot”, łąduje w areszcie, a Wanda zaczyna pracować dla lwowskiego SiPo. Dla ułatwienia: Gestapo. Spotkanie z Oberscharführerem Ottem odbywa się 13 grudnia 1941 roku. Dwa miesiące później Wanda pracuje już dla komisarza Wydziału ds. NKWD, na odcinku rozpracowywania wywiadu sowieckiego. Dlaczego polska arystokratka, córka bogacza o żydowskich korzeniach, w ogóle podjęła się pracy dla Niemców? W grę mógł wchodzić szantaż. Ojciec Wandy jest trefny ze względu na pochodzenie. Do 1941 roku siedział trzy razy w więzieniu. Trefna jest także matka: Angielka, obywatelka kraju, który jest z Niemcami w stanie wojny. Rodzice Wandy żyją w ciągłym zagrożeniu. Warszawski pałac spłonął we wrześniu, dobra w Wieńcu przejmuje niemiecki zarządca. Mieszkają w Warszawie, zastanawiając się, kiedy i za nimi zamkną się bramy getta. Aristokraci, niegdyś państwo na włościach, teraz tropiona zwierzyna. Może Wanda chciała ich ratować? Może dostała propozycję nie do odrzucenia? Albo ona idzie na współpracę, albo oni za mur. Pozostaje także kwestia aresztowanego „Grot”. Może to w jego sprawie Wanda miała nadzieję coś zdziałać?

Dla kogo pisze swój pierwszy meldunek? Ujawnijmy to wreszcie. Wanda podejmuje współpracę z wywiadem polskiego podziemia. Staje się agentką podwójną. Podwójnie być może działali także „Grot” z kolegami, lecz Niemcy przejrzeni ich nieudolną grę i grupę rozbili. Wanda dopiero się rozkręca. Pierwsze sprawozdanie o pracy we Lwowie nie jest podpisane, kolejne meldunki już tak. Wanda Kronenberg przyjmuje pseudonim: przez kilka najbliższych lat będzie współpracowała z AK jako „Lida”.

W pierwszym meldunku Wanda informuje polskie służby, że Oberscharführer Ott z SiPo nieustannie miesza jej szyki. „Gdy tylko usłyszał, że mam nowego szefa, zaraz leciał go ostrzegać, że trzeba uważać, bo ja siedzę na dwóch stołkach. Często się ze mną widywał i przepytywał mnie co do Ordy, indagował mego męża,

którego też podejrzewał, i zawsze powtarzał, że gdyby tylko miał dowody na potwierdzenie swojej teorii o mnie, to bym dawno już siedziała...”.

Wanda od początku wie, że żyje na beczce prochu, że jest podejrzana. To mało komfortowa sytuacja dla agentki, która i tak ma sporo zmartwień. Oberscharführer Ott nie tylko ją przejrzał, ale też gada o tym na prawo i lewo! Jednak jego działania przynoszą mizerne skutki. Oskarżając Kronenberg o zdradę, nic nie wskórał. Dlaczego? Cóż, jak wspominałem, Gestapo było w formalnym wymiarze zwykłą korporacją, której pracownicy lubowali się w korytarzowych wojnach. Robili sobie na złość, a swoich szefów mieli za głupków. Mało sympatyczny Ott słabo sobie radził na tym froncie. „Skutek był taki, że część Sipo i SD twierdziła, że jestem agentką NKWD, drudzy agentką Intelligence Service, a jeszcze inni – że siedzę w wolnościowej organizacji polskiej. Ponieważ wszystko oparte było tylko na podejrzaniach, których Ott nie mógł udowodnić, odbijało się to tylko trochę na stopniu zaufania, a masę dodawało popularności za to. (Ciągłe byliśmy zapraszani na libacje i przyjęcia w prywatnych mieszkaniach, na obiady do kantyny w budynku Sipo itp.)”.

To wprost niepojęte! Wanda, zamiast trafić do aresztu, staje się gwiazdą. Nie tylko pracuje, ale także zaczyna się cieszyć popularnością i imprezowym wzięciem. A to wszystko w samym środku niemieckich służb specjalnych!

W końcu udaje jej się pierwszego szefa zwyczajnie wykiwać. Czeka, aż ten pojedzie na urlop, i zmienia miejsce pracy. Ot tak, jakby poszła do kadrowej z SS i poprosiła o biurko w innym pokoju. Zostaje przeniesiona do SD – Służby Bezpieczeństwa Reichsführera SS. Z referatu rozpracowującego NKWD przechodzi na odcinek „Ukraińców”. Ott jednak nie odpuszcza. Ścigają dalej, pisze donosy, informuje centralę, że we Lwowie szerzy się dywersja, że przeciwnik bezkarnie harcuje, a szefostwo toleruje taki stan rzeczy. „Tak tej wojny nie wygramy!”, grzmi. W końcu zaczyna to odnosić skutek.

Sytuacja staje się poważna, kiedy w ręce Gestapo trafia w końcu „Grot”. Ott przesłuchuje wtedy Wandę jako żonę członka bandy, wypytuje o Koziarskiego i Orde, ale nadal jest bezsilny. Niczego nie potrafi jej udowodnić. Albo jest kompletnym kretynem, albo ona ma dar przekonywania. A może i jedno, i drugie. „Nastawienie do mnie nadzwyczaj się zmieniło, wyczuwałam, że trzeba się wynieść czem prędzej. Jeden z bardziej życzliwych mi podoficerów SD dał mi lekko do zrozumienia, że o ile mi wolność miła, to lepiej będzie, jeśli się czem prędzej wyniosę”, raportowała Wanda dla AK. Mogłoby się wydawać, że jej krótka kariera właśnie dobiega końca, ale na horyzoncie pojawia się kolejny niemiecki oficer. To tajemniczy doktor Schmidt. I tu dopiero wydarzenia nabierają tempa. Na arenę wkracza Abwehra, profesjonalny wywiad wojskowy.

Oficerowi wywiadu AK, któremu o tym wszystkim „Lida” meldowała w Warszawie, powinna się zapalić w tym momencie czerwona lampka. Dziewiętnastoletnia awanturka albo najzwyczajniej w świecie kłamie (co jednak byłoby ryzykowne), albo posiada coś, czego pozazdrościć jej mogą najwybitniejsi agenci. To dar wychodzenia z tarapatów i rozniecania silnych namiętności. Kontrwywiad powinien zapamiętać, że „Lida” znakomicie sprawdza się w roli przynęty. W męskim świecie służb seksapil to potężny oręż i Wanda to wie. Swobodnie porusza się w towarzystwie arystokracji, ale równie naturalnie pije z gwinta ze zwykłymi awanturnikami. Mężczyźni to lubią, zwłaszcza ci zatrudnieni w służbach specjalnych.

Doktor Schmidt nie pomaga Wandzie w uwolnieniu męża. Może nie potrafi, a może nie chce. Może uznaje, że rola „Grot” w całej tej historii już się skończyła. W takim razie my też się tu z Witoldem pożegnamy. Bez względu na to, czy był asem, czy zwykłym nieudacznikiem, „Grot” ginie w pomroce dziejów. Jeżeli chodzi o Wandę, doktor Schmidt staje na wysokości zadania i pomaga jej w najtrudniejszym momencie. Zdradza, że szykowana przeciwko

niej sprawa ociera się już o Berlin, a jednocześnie, co zaskakująco, roztacza wizje awansu. „O ile naprawdę okażę się zdolną do pracy politycznej”, jak nieskromnie zastrzega w raporcie sama zainteresowana. Ponadto wybawiciel uznaje Lwów za zbyt prowincjonalny dla tak wielkiego talentu. „To nie jest placówka na zrobienie kariery”, mówi jej w zaufaniu.

Początkowo proponuje wyjazd do Afryki. Wanda odmawia, podejrzewając, że będzie to praca przeciwko Anglikom. Słoneczna Italia także nie przypada jej do gustu. Wybiera Warszawę i 28 maja 1942 roku na stałe wraca do stolicy. Od razu, jak zapewniała później polskie podziemie, zaczyna szukać kontaktu z AK. Kończy się szalony „okres lwowski”, zaczyna się „okres warszawski”. Dziwnym zbiegiem okoliczności w Warszawie pojawia się również doktor Schmidt. On także skończył misję we Lwowie.

\* \* \*

Gdy czytam te rewelacje po raz pierwszy, jestem zszokowany. Jaka Afryka, jakie Włochy? Przecież ta siksa ma dopiero dziewiętnaście lat, trefne nazwisko, podejrzewają ją o współpracę z polską konspiracją! Tatuś w więzieniu, mąż również siedzi, jego koledzy stają do apelu w Auschwitz. Tymczasem ona z gracją wychodzi z opresji, doskonale sobie radząc i manipulując, kim trzeba.

Skoro o manipulacjach mowa, pora przedstawić dokładniej nowego opiekuna Kronenberżanki. Doktor Schmidt naprawdę nazywa się Paul Firckers<sup>[19]</sup>. Jest Łotyszem, starszym od Wandy o siedem lat. Urodził się w 1915 roku w Petersburgu, przez lata mieszkał w Kanadzie. W 1940 roku ożenił się z Niemką, Lidią Schmidt. Czy to właśnie jej Wanda zawdzięcza swój konspiracyjny pseudonim? Jeśli tak, byłoby to nieco perwersyjne. Gdy w 1940 roku Armia Czerwona zajmuje Łotwę, państwo Firckersowie wyjeżdżają do Niemiec. Paul zaczyna pracować dla RSHA, czyli

---

19 Tamże, karta 26.



Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy. Zostaje zatrudniony w Waldlager Oswitz, obozie pracy w Osobowicach we Wrocławiu. Ze względu na znajomość rosyjskiego dostaje odpowiedzialne zadanie werbowania kolaborantów spośród radzieckich jeńców. Małżeństwo zaczyna się psuć. Piękna Lidia opuszcza Wrocław, dużo podróżuje. Rumunia, Bułgaria, Francja, Włochy – jeździ wszędzie tam, gdzie stanął już but niemieckiego żołnierza. Ostatecznie znajomy zatrudnia ją w poselstwie szwajcarskim w Budapeszcie. W 1941 roku Firckers przyjmuje naukowo brzmiący pseudonim „doktor Schmidt” i wraz z kolegą ze szkolnej ławy, SS-Untersturmführerem Inserem, także zatrudnionym w Osobowicach, wyjeżdża do Lwowa. W stolicy Galicji panowie nadal werbują do pracy dla Rzeszy utalentowanych rosyjskojęzycznych szpiegów. Piszą sążniste raporty, a przy okazji dobrze się bawią. W końcu poznają lokalną gwiazdę: Wandę Kronenberg.

Zanim jednak Wanda zaskarbi sobie ich wdzięczność, musi pokazać, na co ją stać. Jak wyglądało to „wkupne”? Nie wiadomo, ale wśród dokumentów, które po wojnie analizował Urząd Bezpieczeństwa, znajduję pewien trop. Wiąże się z nim Romuald Burbo, kolejna ciemna postać w tej układance. To członek Podziemia niskiego szczebla, ale i konfident Gestapo. Zadenuncjował kilka osób, zginęły. Dokument, który podpisał, nazywa się „Meldunek w sprawie Wandy Kronenberg”. Burbo napisał w nim zdanie, które wywołuje dreszcze: „We Lwowie Wanda styka się z rotmistrem W.P. Deżakowskim, również agentem »gestapo«. Od tego czasu trwa między nimi wymiana informacji. We Lwowie „gestapo» nie poznaje się na zdolnościach Wandy. Z uwagi na jej żydowskie pochodzenie ma zatargi z szefem lwowskiego »gestapo«. Tu przychodzi jej na pomoc Deżakowski. Zaznajamiają z Szulcem (nazwisko kryptonim) z RSHA. Ten zabiera ją ze Lwowa i przenosi do Warszawy, gdzie Wanda zaczyna prowadzić »robotę na całego«”<sup>[20]</sup>.

---

20 Romuald Burbo, Meldunek. Sprawa Wandy Kronenberg, IPN BU 0423/4638,teczka Wandy Kronenberg, s. 23.

Nie udało mi się ustalić, skąd agent UB czerpał informacje. Nas powinien zainteresować zwrot „robota na całego” oraz nazwisko Deżakowski.

Jeśli informator miał rację, to znaczy, że Wanda weszła do ścisłego kręgu niemieckich służb. Stała się rozgrywającą w pierwszej lidze niemieckich szpiegów. Deżakowski odegrał bowiem istotną rolę w wydarzeniach, które mogły odwrócić losy Polski Podziemnej. Mogły ją zniszczyć.

## Rozdział 7

# Misja pułkownika Albrechta

„Typ ormiański, brunet o ciemnej cerze, wzrost średni, nos haczykowaty, uszy odstające, wargi mięsiste, kuleje, podpira się laską. Przed wojną znany birbant, złoty młodzieniec, bawidamek. Żonaty – separowany”<sup>[21]</sup>.

Łatwo sobie wyobrazić, że człowiek o takim wyglądzie jest do cna zepsuty. Brzydki na ciele, brzydki na duszy. I rzeczywiście, Przemysław Deżakowski dokładnie taki był. Wcielone zło.

Bohater mojej poprzedniej książki, Lucjan Wiśniewski, „Sęp” który poszedł do niego „w imieniu Rzeczypospolitej...”, nie pamięta odstających uszu ani mięsistych warg. Pamięta za to, że poszli w dziesięciu, dwie sekcje.

Koncesjonowani egzekutorzy państwa podziemnego. Mieli wykonać wyrok. Taka praca. Siedzieliśmy z Emilem Maratem, współautorem książki, w mikroskopijnej kuchni „Sępa” na warszawskich Bielanach. Urodzony w 1925 roku likwidator zastanawiał się długo, sięgając pamięcią do wydarzeń sprzed siedemdziesięciu lat.

---

21 Sprawa Deżakowskiego, AAN, Armia Krajowa, 1326, sygn. 203-IX-3, karta 14.

– On był „niedostrzelony” – powiedział w końcu.

Tak w żargonie likwidatorów mówiło się o kimś, kto już raz był celem. Po raz pierwszy strzelał do Deżakowskiego Roman Nie-wiarowicz, „Łada”, likwidator z innej ekipy. Wywołał delikwenta z mieszkania i wypalił mu przepisowo w głowę, ale go nie zabił. Kula uszkodziła język i struny głosowe, minęła kręgi szyjne i wy-leciała przez kark. Zdrajca trafił do szpitala, potem przekonał znajomych, że polują na niego Niemcy. Przyjaciele ukryli go pod Warszawą<sup>[22]</sup>.

Dopiero wiosną 1944 roku polskie służby ponownie trafiły na jego ślad. Ktoś doniósł, że dziwny facet z blizną na karku ukrywa się w Chyliczkach. Trzeba przyznać, że zamelinował się dobrze. Był cierpliwy i konsekwentny. W jego wypadku wymuszona bez-czynność nie była łatwa, wcześniej wszędzie go było pełno. Egze-kutorzy ruszyli do niego 5 maja 1944 roku. Zanim otoczyli jego dom, dowódca postanowił zorientować się w sytuacji.

– Nasz szef Tadeusz Towarnicki, „Naprawa”, chciał sprawdzić, jak jest. Wziął ze sobą „Gila”. A „Gil” był raptus, to pan wie. Ja z resztą chłopaków czekałem nieopodal. Gdy wrócili, okazało się, że już po akcji. Wykonali.

Taki był finał jednej z największych afer Polski Podziemnej. Afery, w którą wmanewrował Wandę konfident Gestapo, a po wojnie UB. Aby zatem sprawdzić, jak było w rzeczywistości, czy rzeczywiście miała z tym coś wspólnego, musimy na chwilę stracić ją z oczu. Czy finał tej sprawy będzie dla Wandy przełomowy? Czy wpłynie na jej karierę?

Pułkownik Janusz Albrecht, „Wojciech”, jest drugą osobą w Podziemiu. W Komendzie Głównej ZWZ pełni funkcję szefa sztabu ge-

---

22 Bartłomiej Szyprowski, Sprawa karna przed Wojskowym Sądem Specjalnym Komendy Głównej ZWZ przeciwko rtm. Przemysławowi Deżakowskiemu, sygn. akt. K I 1/42, s. 14, <https://pk.gov.pl/wp-content/uploads/2016/06/b995c7b26fbd41bb9d5e5db35cfa007b.pdf> (dostęp: 29 XI 2016).

nerała Stefana Roweckiego, „Grotą”. „Gdyby mu się coś przydarzyło, ja jako pierwszy pełniłbym funkcję komendanta organizacji” wyznał gestapowcom<sup>[23]</sup>.

5 lipca 1941 roku nie ma zajęć służbowych. Jest sobota. Albrecht idzie do przyjaciela na warszawską Ochotę. Oprócz gospodarzy zastaje w mieszkaniu Roweckiego. Spotkanie przedłuża się. W końcu generał „Grot” wychodzi, on zostaje na noc. Do domu wraca rano. Zamyślony, nie rozgląda się na boki. Unika kontaktu wzrokowego z przechodniami. „W tramwaju jestem bezradny – mawiał – nie umiem wyliczyć czasu, by się nie spóźnić, ani przyjść na spotkanie zbyt wcześnie. Poza tym wydany jestem na spojrzenia ludzi, których przecież nie znam i nie wiem, czy są mi przyjaźni. A tak, idąc bocznymi ulicami, mam kontrolę własnego bezpieczeństwa. To śmieszne, nigdy nie sądziłem – żartował – że człowiek może mieć nagle oczy i z tyłu” wspominała po latach jego łączniczka Halina Zakrzewska, pseudonim „Herminia”<sup>[24]</sup>.

Dlaczego tego dnia nie ma ochrony? Po wyjściu z ulicy Filtrowej skręca w aleję Niepodległości. Na Koszykowej tuż obok niego zatrzymują się dwie ciężarówki. Żandarmi wysypują się na jezdnię. Chwyta go dwóch tajniaków, zatrząskują mu na rękach kajdanki. Po chwili „Wojciech” jedzie w kierunku Kielc.

Następnego dnia „Herminia” wchodzi do ekskluzywnego halu wieżowca Prudential. Na pierwszym piętrze, w gabinecie dentystrycznym, Podziemie ma zakonspirowany punkt. Spotyka się tu z szefami II Oddziału. Czeka ją kilka minut, ale znany z punktualności „Wojciech” nie przychodzi. Pułkownik nie pojawia się też na kolejnym spotkaniu w innym tajnym lokalu. „Teraz już byłam przestraszona”, relacjonowała łączniczka. Jako pierwsza domyśliła się, co się stało. Wpadka.

Wieczorem „Herminia” z koleżanką czyszczą prywatne mieszkanie pułkownika. „Zaraz wpadnie Gestapo, wygarnie nas

---

23 Lucjan Dobroszycki, *Sprawa płk. dypl. Janusza Albrechta w świetle źródeł niemieckich*, „Wojskowy Przegląd Historyczny” 1960, s. 300.

24 Andrzej Kunert, Halina Zakrzewska, *Dramat pułkownika Janusza Albrechta*, „Dzieje Najnowsze” 1982, nr 1–4, s. 234n.

wszystkie”, myśli. Wie, że jej wpadka to teraz kwestia czasu, mało kto wytrzyma tortury.

„Janka usadowiła się na parapecie okna i obserwowała podwórko o jednym wyjściu na most Poniatowskiego. Ubezpieczała nas od zewnątrz organizacyjna obstawa. Jeden z chłopaków naszej ochrony stał w bramie domu. Na sygnał, że nadjeżdża Gestapo, miałyśmy uciekać na wyższe piętra, przedostać się na dach, próbując tym sposobem ucieczki, lub połknąć cyjanek, który chronił skuteczniej przed aresztowaniem. Liczyłyśmy raczej na cyjanek niż naszą umiejętność chodzenia po dachach”, wspominała.

Tymczasem Gestapo nie nadjeżdża. Liderzy Podziemia są w szoku. Zastępca „Grot”, który wie o Podziemiu absolutnie wszystko, zapadł się pod ziemię, a mimo to nie ma żadnych strat. Lokale są bezpieczne, ludzie pracują, nie zauważono aktywności Gestapo. Nie ma wysp i wpadek. Życie toczy się dalej.

Dopiero kolejne dni przynoszą wyjaśnienie. Do mieszkania pułkownika puka dwóch drabów mówiących po polsku. Pokazują gospodyni klucze pułkownika, grzecznie informując, że Albrecht został zatrzymany w sprawie kradzieży w sklepiku, w którym pracował. Wszystko się wyjaśni, na razie zabierają jego swetry.

Wizyta stawia wszystkich w Podziemiu na baczność. „Herminia”, jako najbliższa łączniczka, zostaje zawieszona w pracy, nie wolno jej się z nikim kontaktować. Opróżnione zostają lokale, oficerowie zmieniają pseudonimy i adresy. Szefem sztabu zostaje generał Tadeusz Pełczyński, „Grzegorz”. „Grot” opuszcza w trybie alarmowym Warszawę. I nadal cisza. Kontrwywiad dwoi się i troi, aby zdobyć jakieś informacje. Na próżno. „Herminia” jest załamana. Po dwóch nerwowych tygodniach ma dosyć. Niech się dzieje, co chce. Wraca do swojego mieszkania. Kontrwywiad przydziela jej specjalną ochronę.

Pewnego dnia łączniczka zastaje w domu informację, że ktoś za-

prasza ją na obiad. Zostawił nawet adres lokalu, ale się nie przedstawił. Oczywiście nie idzie. Razem z Bernardem Zakrzewskim, „Oskarem”, przyszłym mężem, zastanawiają się nad ostatnimi wypadkami. Gdy Bernard wychodzi, rozlega się dzwonek do drzwi. „Herminia” która spodziewa się jeszcze jednej wizyty znajomego, otwiera. W drzwiach stoi Albrecht. Towarzyszy mu wzruszony inżynier Józef Matuszewicz, gospodarz mieszkania, z którego pułkownik wyszedł na ostatni spacer.

„Wszelki duch – powiedziałam, cofając się o krok – z jakiego piekła pan wraca? – Właśnie z piekła, z Kielc, z Gestapo – odpowiedział »Wojciech«. Wciągnęłam obu panów do przedpokoju. Uściskaliśmy się. – I wprost do mnie? – spytałam, – Nie, nie wprost do pani. Parę godzin chodziliśmy po Polu Mokotowskim. Sprawdziliśmy – obserwacji nie było. Potem przyszliśmy tutaj”.

Łączniczka wprowadza gości do pokoju, podaje kawę. Stara się zebrać myśli. Wie, że do mieszkania zaraz wpadnie Gestapo. Ale pułkownik uspokaja ją. „Nie będzie żadnego Gestapo. Zostałem zwolniony dziś rano. Mam przyrzeczenie, że nie będę śledzony. Przyjechałem wprost z Kielc pociągami. Nikt za mną nie jechał”. Do tego twierdzi stanowczo, że nie będzie się ukrywać. Żąda, aby Podziemie poinformowało jego żonę, że jeszcze dziś chce wrócić do domu. Prosi też o pilne spotkanie z generałem Roweckim.

„– Wierzy pan gestapo? – »Herminia« nie może uwierzyć w to, co widzi i słyszy.

– Wierzę, obiecano mi. Przekona się pani!”

Następnego dnia łączniczka budzi Podziemie z letargu. Roznosi informacje, odbiera komunikaty, biega z meldunkami. W końcu umawia się z „Wojciechem” na Polu Mokotowskim. Czeka na szefa w towarzystwie uzbrojonych chłopaków. Wybierają takie miejsce, aby zobaczyć go już z daleka. Jego i gestapowców, którzy z pewnością podążają za pułkownikiem. Są gotowi na strzelaninę. Na widok zbliżającego się Albrechta wszyscy przetykają ślinę. W ich kierunku idzie cień człowieka: zgarbiony, mizerny, jakby zmięty. Już nie dumny i odważny dowódca, tylko ludzki łań. A

przecież pułkownik Janusz Albrecht był jednym z największych twardzieli w Związku Walki Zbrojnej!

Pierwszą ucieczkę z niewoli zaliczył już w 1917 roku. Jako legionista nie dał się internować w obozie w Szczypiornie. Od 1918 roku służył jako ułan w 1. Pułku Szwoleżerów. O jego szarżach krążyły legendy. W czasie wojny polsko-bolszewickiej został ciężko ranny. W dwudziestoleciu był instruktorem w szkole kawalerii w Grudziądzu, potem oficerem do zadań specjalnych. Gdy wybuchła wojna, pojechał na front, jak przystało na kawalerzystę. Walczył ze swoim pułkiem w składzie Mazowieckiej Brygady Kawalerii. Dostał się do niewoli, ale znowu uciekł, tym razem z obozu w Jarosławiu. Wrócił do Warszawy, a 15 października 1939 roku przysięgę wojskową odbierał już od niego sam generał Rowecki. Na początku 1940 roku panowie zostali najbliższymi współpracownikami. Albrecht nie załamał się nawet wtedy, gdy Gestapo torturowało jego syna, aby uzyskać informacje o ojcu. Był bezsilny, ale nie przerwał pracy. Coraz częściej widział łąpsów na trasie swoich wędrówek. Domyślał się, że jest śledzony, ale za każdym razem urywał się obławie.

Teraz nadchodzi od strony Noakowskiego. Nie widać już śladu ożywienia z poprzedniego dnia. Łączniczka zauważa, że nie stawia całych stóp na ziemi, tylko drobi niezdarnie na palcach. Ma odbite pięty – domyśla się. „Wojciech” cierpi, choć nie daje tego po sobie poznać. Widzą to jednak wszyscy: jest wrakiem. W ciągu kolejnych kilku dni, gdy Podziemie upewnia się, że pułkownik rzeczywiście nie jest śledzony, „Herminia” i inni oficerowie przystępują do szczegółowych rozmów. To, co opowiada pułkownik, jest wstrząsające. „Przez dwa tygodnie miałem bardzo ciężkie śledztwo. Przywiązywano mnie za nogi i ręce do ławy. Leżałem na brzuchu. Bito systematycznie po plecach od pięt do głowy. Spływałem krwią. Na noc stawiano ławę, opierając o ścianę tak, bym zwisał głową w dół. Krew napływała do głowy, oczy zapuchały, traciłem przytomność. Co noc wisiałem głową w dół, a w



dzień przesłuchiowano mnie i bito. Plecy, nogi i pięty stały się jedną krwawą, później ropiejącą raną. Koszula tworzyła na ranie ostrą, dokuczliwą skorupę. To był okres śledztwa, kiedy chodziło im o dojścia do organizacji. Nie, tych nie wydałem. Nie mieliście chyba w tym czasie, ani potem żadnych wysp, kłopotów ani z ludźmi, ani z lokalami? – Nie – odpowiedziałam”.

Kilkadziesiąt lat po wojnie historyk Lucjan Dobroszycki odnalazł niemiecki protokół przesłuchania pułkownika. Dokument był gotowy 10 lipca 1941 roku, o godzinie 20.20. Katowanie Albrechta trwało zatem pięć dni. Niemcy bardzo szybko dowiedzieli się od niego, jaką funkcję pełni w Podziemiu. O innych osobach podał jednak zaledwie kilka szczegółów. Zachował się heroicznie. Kluczył i kłamał. Ostatnie zdanie protokołu brzmiało: „Teraz powiedziałem całą prawdę o rozbudowie i istnieniu nielegalnych organizacji i nic więcej powiedzieć nie mogę”<sup>[25]</sup>.

Jednak najważniejsze nastąpiło potem. Kilka dni po torturach zaczęły się rozmowy polityczne. Czy gestapowcy prowadzili je z człowiekiem już złamanym? Tego nigdy się nie dowiemy. Tortury musiały wpłynąć na psychikę wojskowego, ale czy zniszczyły jego morale? Dyskusja na ten temat toczyła się jeszcze przez wiele lat. Bezskutecznie próbując zamknąć temat, generał Rowecki zdecydował o przyznaniu pułkownikowi najwyższego wojskowego odznaczenia, Złotego Krzyża Wojennego Orderu *Virtuti Militari*. Inni pozostali przy swoim zdaniu.

Pułkownik Albrecht zawarł z Gestapo tajne porozumienie. W języku agentury oznacza to, że został zwerbowany, by przeprowadzić, rzekomo w interesie obu stron, dość skomplikowaną operację. Opowiedział o tym szczerze po powrocie z Kielc. Ci AK-owcy, z którymi rozmawiał, składali potem pisemne raporty.

Gdy Albrecht mógł już chodzić o własnych siłach, Niemcy za-

---

25 Lucjan Dobroszycki, *Sprawa płk. dypl. Janusza Albrechta...*, dz. cyt., s. 308.

częli go traktować wręcz kurtuazyjnie. Oddali obrączkę, dostarczyli świeże ubrania. Opowiedzieli mu to, co sami wiedzieli o Podziemiu, prosząc o uzupełnienie braków. „Byłem przerażony dokładnym rozpracowaniem Podziemia, brakowało jedynie dojść”, relacjonował. Miał czas, aby wszystko przemyśleć. Zaczął od kampanii wrześniowej, potem wkroczenia Sowietów, koncepcji dwóch wrogów. Powoli w jego głowie rodził się plan, pomysł dogadania się z Niemcami. „Wymanewrowania”, jak mówił, sprawy polskiej z rąk obu sąsiadów, przerywania akcji sabotażowych, pozornego rozkonspirowania i ujawnienia części ZWZ, przy zachowaniu większej części walczącego Podziemia w głębszym ukryciu. „Moglibyśmy wiele zyskać – uzasadniał to »Wojciech« – ustałyby prześladowania ludności polskiej na okupowanych terenach, aresztowania członków Podziemia, nastąpiłaby likwidacja obozów zagłady, wreszcie scalenie naszego kraju”. Co na to „Herminia” i przede wszystkim pozostali liderzy Podziemia?

„Byłam wstrząśnięta – zawieszenie broni? Porozumienie z tak bardzo w tym czasie zniechęconym wrogiem? Przyrzeczenia niemieckie! To wszystko przerastało moją wyobraźnię, nie mieściło się w ówczesnych nastrojach polskich. Zaczęłam gwałtownie oponować.

– Nie umie pani myśleć politycznie. Historia się toczy, sytuacje się zmieniają szybciej niż nasze uczucia. Zresztą nie rozszyfruje się wobec Niemców całe podziemie. Oni traktują nasze osiągnięcia w kraju bardzo poważnie. Możemy wytargować ulgi dla ludności, zachować życie wielu Polaków, nawiązać w tym czasie perspektywiczne porozumienie z Czechami, Węgrami, układać przyszłą mapę Europy i diabli wiedzą co jeszcze”<sup>[26]</sup>.

Wojskowy zobowiązał się zdobyć aprobatę generała Roweckiego. W nowym polsko-niemieckim otwarciu Związek Walki Zbrojnej

---

26 Andrzej Kunert, Halina Zakrzewska, *Dramat pułkownika Janusza Albrechta...*, dz. cyt., s. 240.

miał pozostać nadal pod dowództwem „Grota”, ale polscy liderzy mieliby tańczyć tak, jak zagrają im Niemcy. Powinni także przejąć pozostałe organizacje wojskowe „tak, by można było w każdym momencie liczyć na ukierunkowanie ich działań”. Poza tym ZWZ miał rozszerzyć wpływy polityczne, objąć nimi Stronnictwo Ludowe i socjalistów. Pułkownik zaznaczył w rozmowach z Niemcami, że Obóz Narodowo-Radykalny i Falanga z pewnością nie podporządkują się Roweckiemu.

Pytanie, czy Albrecht rzeczywiście wierzył w powodzenie swojej misji, czy do końca grał, pozostaje otwarte. Przecież strony ustaliły, że polski wywiad miałby wydać w ręce niemieckiej policji wszystkich niepokornych. Gestapo będzie umiało sobie z nimi poradzić. Poza tym trzeba będzie dokonać inwentaryzacji posiadanej broni, utrzymać nielegalny charakter struktur i zrobić to na tyle czujnie, by Londyn i rząd Sikorskiego o niczym się nie dowiedzieli. W przeciwnym razie Sikorski powoła nowe Podziemie i całą operację szlag trafi. W raporcie Gestapo zanotowano również, że pułkownik Albrecht drogą dedukcji doszedł do wniosku, że Niemcy muszą wygrać tę wojnę, „dlatego dotychczasowy kierunek polityczny podziemnych organizacji jest bez znaczenia dla przyszłości Polski”<sup>[27]</sup>. Strony ustaliły ponadto, że „Wojciech” wróci z odpowiedzią od Roweckiego 12 września 1941 roku. Spotkanie wyznaczono w Falenicy.

Szef Armii Krajowej, poinformowany o planach Albrechta, kategorycznie odmawia wchodzenia w porozumienie z okupantem. Proponuje koledze ucieczkę, ZWZ jest w stanie wysłać go do Lwowa, Krakowa, Wilna, gdzie tylko chce, na jakikolwiek odcinek. Pułkownik równie kategorycznie odmawia. Oświadcza, że nie złamie danego Niemcom słowa. „Jedynie śmierć może usprawiedliwić niedotrzymanie słowa honoru. I to jest honorowe wyjście”,

---

27 Jan Pietrzykowski, *Tajemnice archiwum gestapo. Przyczynki do historii niemieckiej okupacji w Polsce*, Katowice 1989, s. 18–19.

mówi.

Podziemie ma zatem twardy orzech do zgryzienia. Rowecki dyskutuje z najbliższymi współpracownikami, pułkownik zaś w oczekiwaniu na rezultat rozmów godzinami gra w swoim mieszkaniu na pianinie. Przede wszystkim jednak w ZWZ rusza śledztwo w sprawie jego wsypy. Ktoś przecież pomógł Albrechta namierzyć. I tutaj właśnie pojawia się cień Wandy.

To, co ujawnia w tej sprawie „Wojciech”, jest szokujące. Dlaczego po zatrzymaniu został wywieziony do Kielc, a nie na Pawiak? Wyjaśnia, że Niemcy chcieli mu uniemożliwić kontakt z organizacją. Przesłuchujący śmiali się, że grypsy z Pawiaka kursują „równie dokładnie i dobrze jak przedwojenna Poczta Polska”. Powiedzieli również, że wcale nie chodziło o niego. Tak naprawdę chcieli dorwać „Grota”. Spóźnili się jednak pod wskazany adres. Z mieszkania wyszedł tylko „Wojciech”. Miejsce pobytu generała zdradził jego znajomy za jedyne pięćdziesiąt złotych. Gestapowcy wymienili go z nazwiska. Pułkownik nie chce ujawnić personaliów zdrajcy. Twierdzi, że to polski oficer i „niech Bóg go osądzi”. Niemcy mieli mu powiedzieć, że zdrajca jest już im zbędny, bo na „firmę” mają inne kontakty. Jakże? Przede wszystkim są to osoby bliskie Roweckiemu. Padają słowa: „przez panienki z V-ki” i „panienki stojące blisko Roweckiego”. Łączniczki, maszynistki, służące?

To, czego Albrecht nie wyjawia ZWZ, mówi żonie. Pani Maria bez wahania przekazuje nazwisko zdrajcy – Przemysława Deżakowskiego – dalej. W grudniu 1941 roku rusza przeciwko niemu oficjalne śledztwo. Wyrok podziemnego sądu jest łatwy do przewidzenia. Rotmistrz Deżakowski zostaje skazany na śmierć 4 marca 1942 roku. Dwa dni później generał Rowecki zatwierdza tę decyzję zamasztyłem podpisem.

Dokumenty ze sprawy Deżakowskiego szczęśliwie ocalały, zgro-

madzone są w Archiwum Akt Nowych<sup>[28]</sup>. Kontrwywiad ustalił, że Deżakowski to syn urzędnika cyrkułu rosyjskiego, z pochodzenia prawdopodobnie Rosjanin. Przed wojną służył w elitarnym 1. Pułku Szwoleżerów im. Józefa Piłsudskiego jako oficer. Jak wszyscy ułani dużo pił, bawił się, do tego był dowcipny, wesoły, lubiany przez kolegów. Żył ponad stan, w ciągłym finansowym niedoborze, także za sprawą rozbuchanych potrzeb drugiej żony, Hanny Jaroszewskiej, córki praczki i francuskiego oficera. Doszło do tego, że sprzeniewierzył kasę oficerskiego kasyna. Ponieważ szwoleżerowie to ludzie honoru, znaleźli wyjście z sytuacji. Przenieśli Deżakowskiego do innego pułku, a straty pokryli z własnej kieszeni. W nowym miejscu Deżakowski się nie uspokoił. Czy to z braku środków, czy dla hecy, sprzedał siodło kolegi z pułku, a potem także jego konia. Dowódca chciał go oddać pod sąd, ale z pomocą ponownie przyszli przyjaciele. Dług został uregulowany, a pułkownik Bolesław Wieniawa-Długoszowski, ułan nad ułanami, który zresztą lubił utracjusza, przeniósł go do 1. Pułku Szwoleżerów. Jego przełożonym został właśnie pułkownik Janusz Albrecht. W śledztwie kontrwywiadu ujawniono, że Deżakowski miał zartarg z pułkownikiem, ten zaś przedstawił go do raportu dywizyjnego. Przeszłość wojenna szwoleżera jest określona w raporcie agenta Podziemia jako „mętna”. Deżakowski wyjechał ze szwadronem na front, ale nie walczył. Odnalazł się w Lublinie. Gdy trafili tam członkowie jego jednostki, zwiął do Lwowa. I tu zaczyna się dość tajemniczy okres. W marcu 1940 roku Deżakowski został aresztowany przez NKWD przy nielegalnej próbie przekroczenia granicy ze strefą niemiecką. Sowietci wypuścili go po dwóch tygodniach. Dla wszystkich znających realia był to czytelny znak, że oficer został zwerbowany. Według kontrwywiadu miał działać na terenie okupacji niemieckiej. Nie uskarżał się już na brak gotówki, bez problemów oddawał się temu, co lubił najbardziej, czyli bywaniu i picciu. W Warszawie upodobał sobie Ad-

---

28            AAN, Armia Krajowa, 1326, sygn. 203-IX-3, s. 3–20.  
Z tego zbioru pochodzą dokumenty, na które powołuję się  
w tej części tekstu.

rię, brylował w Boccacio. Jednak kolejny dokument w jego teczce zaprzecza temu, co powyżej. Według tej informacji spłukany Deżakowski w styczniu 1940 roku pojawił się w majątku Karola Wikenhagena, który pomagał mu wcześniej w finansowych tarapatach. W położonej niedaleko Kielc Sobótce szybko zaczęła się nudzić. Wyjeżdżał na wódkę do pobliskiego Sandomierza i Opatowa. W kwietniu wrócił do Warszawy, ale we wrześniu ponownie pojawił się u przyjaciela, tym razem z żoną. W Sobótce pani Hanna znalazła sobie nową miłość. Deżakowski szalał, ciągle robił jej awantury i dalej jeździł po knajpach. Problem w tym, że nie pił już sam. Poznał niemieckich oficerów z Kielc, a także całe dowództwo tamtejszego Gestapo. Nietrudno zgadnąć, że były szwoleżer przy kieliszku opowiedział niejedno o swoich znajomościach i wojskowych układach. To nie koniec ciemnych sprawek Deżakowskiego. Na oczach gospodyni ukradł z biurka Wikenhagena kilkaset złotych. Gdy w sąsiednim majątku zaginęła sygneta i brylantowa brosza wartości piętnastu tysięcy złotych, bagaże małżeństwa zostały przeszukane. Znalaziono w nich sygneta, broszki nie udało się zlokalizować. Deżakowscy byli spaleni.

Kontrwywiad po zebraniu kompromitujących szczegółów wydał werdykt. Deżakowski to zdemoralizowany oficer, człowiek bez honoru, pijak. A każdy pijak to złodziej. A skoro złodziej, to i zdrajca. Ta część ustaleń, trzeba przyznać, jest najbardziej kontrowersyjna. Dużo tu domysłów, podejrzeń, wręcz pomówień. Bernard Zakrzewski, „Oskar”, z kontrwywiadu ZWZ nie miał złudzeń: „Właściwie obojętnym jest, jak sprawa rozwinęła się dalej i czy po straceniu wśród miejscowego ziemiaństwa opinii człowieka honorowego poszedł celowo na współpracę z kieleckim agentem”, napisał, skazując rotmistrza na śmierć. Być może ułan sprzedał się za obietnicę finansowych korzyści, być może za obietnicę pozostawienia go w spokoju. To już „Oskara” nie interesowało. „Sylwetka pana D. oraz jego morale dają nam pełną możliwość uznania, że p. D. mógł być tym, który wskazał

»Wojciecha«, podsumował<sup>[29]</sup>.

To domniemanie posłużyło prokuratorowi do stworzenia aktu oskarżenia.

Szpetny ułan miał sprzedać pułkownika Gestapo za pięćdziesiąt tysięcy złotych. Ostatecznie i jego Gestapo wystawiło do wiatru. Dostał pięćdziesiąt złotych i podobno „raz w mordę”.

19 września 1941 roku szef polskiego podziemia generał Stefan Rowecki, raportuje do Londynu: „Przez aresztowanego oficera Komendy Głównej ZWZ szef gestapo zaproponował mi zawarcie cichego układu: ZWZ zaprzestanie dywersji, sabotażu i propagandy, a Niemcy w zamian zawieszają prześladowania ZWZ, czyli spokój za spokój. Propozycję tę odrzuciłem ze względów zasadniczych. Ze stanowiska walki bezwzględnej i bezkompromisowej zejść nam nie wolno i nie zejdziemy (...)”.

Jak wyglądał dalszy ciąg sprawy, wiemy z relacji Haliny Zakrzewskiej<sup>[30]</sup>. 5 września 1941 roku „Herminia” dostaje wreszcie informację, że „Grot” zamierza się spotkać z Albrechtem. Następnego dnia pułkownik w silnej obstawie rusza z placu Starynkiewicza. Towarzyszy mu jego łączniczka. Na Marszałkowskiej wsiadają do tramwaju jadącego w kierunku placu Zbawiciela. Kluczą, myślą tropy. Na placu Narutowicza czeka na parę łączniczka „Grota”, Basia.

„– Widzisz, Basiu – zażartowała »Herminia« – jakiego powierzam ci »Wojciecha«. Zdrowego, ślicznego, takiego mi zwróć!

– Otrzymasz swojego szefa z powrotem, naturalnie”.

Pułkownik dociera na ulicę Świętokrzyską 23. W zakonspirowanym lokalu ma czekać na niego generał Rowecki, ale zamiast niego Albrecht widzi kapitana Ryszarda Jamontta-Krzywickiego,

---

29 Tamże, s. 11-12.

30 Relacja Haliny Grudzińskiej-Zakrzewskiej bez daty (sporządzona zapewne w grudniu 1941 roku), w: Andrzej Kunert, Halina Zakrzewska, *Dramat pułkownika Janusza Albrechta...*, dz. cyt., s. 247.

„Szymona” człowieka do zadań specjalnych, ochroniarza komendantów głównych AK. Ten nie mówi wiele, wskazuje na stół. Na stole leży list i czysta kartka. Obok wieczne pióro, szklanka wody. Pułkownik czyta: „Kochany Januszu! Poszedłeś za daleko. Myślę, że znajdziesz właściwe rozwiązanie. Ściskam cię, Stefan” Pułkownik ciężko opada na krzesło. Bierze do ręki pióro, w liście do rodziny wspomina o swoim błędzie. Zdejmuje obrączkę, kładzie ją na stole. Patrzy na „Szymona”. Ten podnosi szklankę wody i podaje ją pułkownikowi. Albrecht wypija zawartość. Paraliż mięśni szyi następuje momentalnie. Drugi łyk wylewa mu się z ust na dłoń kapitana, który chwyta targane konwulsjami ciało i czeka na koniec. Następnie delikatnie opuszcza krzesło z trupem na podłogę. Gdy jest pewien, że druga osoba w państwie podziemnym nie żyje, zatrząskuje za sobą drzwi, zbiega po schodach i znika w tłumie.

Porozumienia z Gestapo nie będzie.



## Rozdział 8

# Perskie dywany, judaszowe srebrniki

Czy Wanda Kronenberg rzeczywiście współpracowała z Deżakowskim? Czuję się, jakbym dostał obuchem w łeb. To była ta cena wolności, którą musiała zapłacić? Straszne... Analizuję wszystko, jadąc do Włocławka. Mój informator z Fundacji Kronenberga (działa przy jednym z banków, zajmuje się wspieraniem inicjatyw kulturalnych) powiedział, że mieszka tam starsza pani, która znała Wandę i zgadza się na rozmowę. Jadąc Autostradą Wolności, myślę o poplątanych polskich drogach. To, że córka kawalerzysty mogła znać Deżakowskiego, wydaje się niestety prawdopodobne. Dom jej ojca był dla takich „chłopców malowanych” otwarty. Na rautach w Wieńcu bawiła się cała wojskowa śmietanka II Rzeczypospolitej. Wanda mogła spotkać go także we Lwowie. Ale czy na pewno Romuald Burbo po wojnie mówił na UB prawdę?

Dojeżdżam do Włocławka po dwóch godzinach. Kiedyś było to miasto Kronenbergów. Młyn, kamienice, siedziby banków, sklepów, urzędów, uzdrowisko koło Wieńca. To wszystko ich inwestycje. Od razu przypomina mi się anegdota o Leopoldzie Julianie Kronenbergu, dziadku Wandy. Pod koniec życia baron był niedołączny. W każdą niedzielę kazał lokajowi wozić się na wózku do

miasteczka. Barona nie interesowały spotkania z ziemiaństwem czy lokalnymi elitami, ale spacerować po nędznych zaułkach. Gdy spotykał polskiego żebraka, dawał mu złotówkę. Gdy jednak spotkał Żyda, lokaj wypłacał pięć złotych. Miasto huczało od plotek. Jak to tak? Przecież i ten w łachmanach, i ten podszyty wiatrem. W końcu ktoś zdobył się na odwagę i zapytał barona:

– Dlaczego jednemu tyle, a drugiemu więcej?

– Bo goj to przeje, a Żyd włoży w interes – mówił stary baron i wybuchał śmiechem.

Pukam do drzwi w gierkowskim bloku, po chwili jestem w salonie Marianny Sokołowicz. Energiczna pani sadza mnie przy stole i zasypuje opowieściami z pobliskiego Wieńca. Jej mama zajmowała się tam najmłodszym pokoleniem przedwojennych dziedziców. Mała Marianka bawiła się z ich córką.

– Ojciec wołał na nią Wandulka – mówi. Pochylamy się nad zdjęciem, na którym jej mama tuli do siebie malutką wychowankę. – To była córeczka tatusia. Rozpieszczana, co chciała, to robiła. Biegała po całym majątku, wszędzie zaglądała. Wolno jej było dosłownie wszystko. Bratu nie, on był już wychowywany inaczej, na dziedzica - może nie surowiej, ale poważniej. Gdy miał 14 lat, już był dystyngowany. Jaśnie wielmożny panicz. Wojciech Leopold. Zawsze wyprostowany, biła od niego taka powaga następcy.

Jaki charakter miała mała Wanda? Pani Marianna szuka odpowiednich słów. Widać, że chce być precyzyjna.

– Strasznie była kapryśna... Potrafiła być...

– Wredna? – próbuję zgadnąć.

– Nie, raczej właśnie rozpieszczona. Gdy się kłóciła, nie podnosiła głosu, nie wrzeszczała. Zamykała się w pokoju i koniec. Gdy się na coś uparła, to umarł w butach. Musiała to dostać, inaczej ciche dni. Poldek miał wybryki, ale innego rodzaju. Kiedyś w święta wielkanocne ustawił się z sikawką za bramą i oblewał ludzi idących do kościoła. Dyngus im zrobił. Wrzask był niesamowity, wiejskie baby piszczwały, śmiechu trochę było. Do dziś to we

wsi pamiętają.

– No a Wanda?

– No właśnie, Wanda była... no nie miała tej serdeczności brata.

Słyszę anegdoty pani Marianny, ale czuję, że odtruwam. Niby rozmawiam, coś zapisuję w notesie, ale myślami jestem już gdzie indziej. To nieładnie, wiem, ale nic na to nie mogę poradzić. Ciągle myślę o tym, że Wanda mogła mieć coś wspólnego z próbą aresztowania dowódcy armii podziemnej.

W Warszawie moje śledztwo przyspiesza. Odnajduję kolejnego świadka, który ma dowody potwierdzające winę Wandy. To Cezary Ketling-Szemley, postać niezwykle kontrowersyjna. W czasie okupacji działał w Podziemiu, był w AK, jednak w pewnym momencie wystąpił z tej formacji. Został oskarżony o donoszenie na Gestapo, stanął przed plutonem egzekucyjnym. Nie zginął, ale został ciężko ranny. W tej sprawie ważne jest jednak to, że Szemley bardzo dobrze znał się z Romualdem Burbą. Współpracowali w okresie okupacji. Szemley napisał po wojnie rzecz zdumiewającą. W 1957 roku, polemizując z byłymi AK-owcami, wyznał, że Deżakowski był tylko kozłem ofiarnym AK. Został zastrzelony w majestacie prawa, ale tak naprawdę było to morderstwo. „Czytałem akta Wojskowego Sądu Specjalnego – wartość tych materiałów kompromitująca, śledztwo prowadzono w myśl zasady *qui prodest* [właściwie powinno być: *is fecit, cui prodest* – ten uczynił, komu przyniosło to korzyść – M.W.], luki nie do wypełnienia, w sumie pospolity mord”<sup>[31]</sup>.

Szemley napisał także, że Deżakowski został celowo wmanewrowany w mord, za którym tak naprawdę stali liderzy AK. To oni, obawiając się, aby prawdziwy cel misji pułkownika Albrechta nie wyszedł na jaw, zlikwidowali go jako świadka. Ketling argumentuje następująco: w czasie okupacji istniały środowiska za-

---

31 Cezary Ketling-Szemley, *Sądy w czasie okupacji*, „Nowa Kultura” 1957, nr 46, s. 5.

jadle zwalczające politykę generała Sikorskiego. Kręgom tym nie podobało się porozumienie Londynu z Rosją. Opozycyjni wojskowi byli zdania, że polityka ustępstw wobec Rosji jest złem i trzeba czynić wszystko, aby Sowieci wyszli z wojny jak najbardziej osłabieni. W związku z tym na Bliskim Wschodzie przygotowywano zamach na generała Sikorskiego. Wszystko po to, aby przestawić AK na tor walki z Sowietami. I właśnie na tym polegała misja Albrechta. Ten, w myśl teorii Ketlinga, nie tylko nie zdradził, ale rozmawiając z Niemcami, realizował polecenie generała Roweckiego. Ponieważ jednak nie potrafił trzymać języka za zębami, co groziło aferą i kompromitacją Komendy Głównej, zapadła decyzja o jego likwidacji. A także Deżakowskiego, świadka całej operacji.

Badacze II wojny światowej już dawno rozprawili się z tą argumentacją<sup>[32]</sup>. Ja sam nie zamierzam wchodzić z Ketlingiem w polemikę. W powojennej publicystyce Szemleya znalazło się jednak coś, co umknęło uwadze naukowców. To informacja pozornie nie na temat, można nawet powiedzieć, że absurdalna. Jako dowód, że Deżakowski został bezprawnie zamordowany, Ketling przywołuje bowiem sprawę... dywanu<sup>[33]</sup>. Twierdzi, że rotmistrz sprzedał w jednym z antykwariatów przy ulicy Mazowieckiej drogocenny dywan, za co otrzymał pokwitowanie na pięćdziesiąt tysięcy złotych. Dowiadywałem się u specjalistów: gdyby rzeczywiście dostał w antykwariacie tyle pieniędzy, dywan ten musiałby pochodzić z sypialni samego szacha Persji. Pięćdziesiąt tysięcy złotych to w 1941 roku mała fortuna. Deżakowski, argumentował Ketling, znał przed wojną Albrechta. Był w jego najbliższym otoczeniu i gdy ten wpadł, szukano dowodu zdrady. I taki się znalazł. Był to kwit za dywan na astronomiczną sumę pięćdziesięciu tysięcy złotych. Kontrwywiad uznał, że to są właśnie „judaszowe srebrniki”. Ale Szemley napisał coś jeszcze. Podał, że pracownik antykwariatu, który wydał pokwitowanie, był nie tylko byłym podkomend-

---

32 Roman Niewiarowicz, *Na marginesie artykułów „Oskara”, „Stolica”* 1957, nr 52; *Pułkownik Jan Rzepecki prostuje*, „Stolica” 1958, nr 15.

33 *Cezary Ketling-Szemley pisze*, „Stolica” 1958, nr 13.

nym Deżakowskiego sprzed wojny, ale i członkiem ochrony osobistej Ludwiga Fischera, gubernatora dystryktu warszawskiego. Nie wiem, czy to prawdziwa informacja, faktem jest jednak, że w antykwariacie przy Mazowieckiej 7 pracowała razem z nim... Wanda.

Przybytek sztuki generałowej Leśniewskiej był przykrywką dla znacznie ważniejszej działalności niż handel dziełami sztuki. Stanowił centrum niemieckiego wywiadu, punkt kontaktowy, siedzibę Abwehry. Tu Wanda spotyka się ze swoimi przełożonymi, tu konferuje z doktorem Schmidtem, a potem z kolejnymi oficerami. Tu odbywają się spotkania na wysokim szczeblu, o czym Wanda lojalnie informuje AK. Jest sumienną pracownicą, a zarazem wtyką. Czy zatem w donosie Burby i rojeniach Ketlinga-Szemleja było coś na rzeczy?

– Była wielką złością. – Jak przez mgłę słyszę głos pani Mariany. – To było lato 1937 roku, Wanda miała wtedy piętnaście lat. Na wakacje do Wiednia zjechała rodzina z Anglii, a także śmietanka towarzyska z Warszawy. Na trybunach rodzinnego hipodromu pito szampana, dymiły cygara, towarzystwo bawiło się wyśmianiemie.

– Tata wziął mamę i najstarszą siostrę, Helenkę, potem opowiadali. Wanda skakała przez przeszkody. W pewnym momencie jej piękny koń, zamiast się odbić i przeskoczyć rów z wodą, stanął jak wryty. Wanda wyleciała z siodła przez łeb i wpadła do sadzawki. Na trybunach zapadła martwa cisza. I wtedy pokazała swój charakter. Wygramoliła się cała mokra i podeszła do konia. Złapała za uzdę. I zaczęła go kopać! Ze złości! Na oczach wszystkich. Koń rżał, wierzgał, ale ona mocno trzymała go za uzdę i kopała, ile sił w nogach. Za taką siurpryzę musiała go ukarać! Wszyscy patrzyli na tę scenę jak sparaliżowani.

## Rozdział 9

# Warszawskie Champs Élysées

Indianie Achuar najpierw wybierali ofiarę. Musiał to być wojownik godny, przecież chodziło o jego duszę. Potem zabijali go tak, by nie uszkodzić głowy. Następnie głowę odcinali. Szaman oczyszczał czerep i razem z włosami zanurzał w garnku. Gotowanie trwało długo. Wywar mógł się kojarzyć z gęstą zupą, trafiały do niego korzenie różnych roślin. Gdy czarownik stwierdzał, że głowa jest wystarczająco miękka, zdejmował z niej skórę. Skruszenie czaszki ułatwiało proces. Potem należało zaszyć otwory: usta, oczodoły, nos. Do takiego worka szaman wsypywał ostre kamyczki. Najmniejszy błąd mógł zniweczyć rezultat operacji. Potem zaczynały tańce i przebłagalne śpiewy do bogów. Słowa szamana były również kierowane do właściciela głowy. Ceremonia trwała całą noc. Nad ranem kamyczki można było wysypać i zastąpić piaskiem. I znowu do garnka. Tym razem obróbkę przeprowadzano w wyciągu z *quebracho* i *palo blanco*. Chodziło o zawartą w nich taninę niezbędną do garbowania skóry. Zaczynał się proces kurczenia. Chodziło o to, by głowa zmarłego była miniaturką, a jego dusza zamieniła się w duszka. Ostatecznie *tsantsa* osiągała rozmiar dużego jabłka. Dopiero teraz przychodziła kolej na szamana artystę. Musiał tak wymodelować twarz, by przywrócić rysy właściciela, a nawet je uwydatnić, obudzić go do życia po śmierci. Na-

pychał głowę włóknami roślin i liśćmi zawierającymi konserwanty. Zminiaturyzowany czerep twardniał, po kilkunastu godzinach był gotowy. Bogowie przebłagani, właściciel twarzy udobruchany. Moc zmarłego gotowa do użycia.

Taki proces zmniejszania głów widział znany podróżnik Tony Hallik na pograniczu Peru i Ekwadoru, ale działało się to po wojnie. Przed wojną na uczestnictwo w rytuale stać było nielicznych. W jaki sposób dwie *tsantsa* trafiły do kolekcji Tyszkiewiczów? Tego nie wiemy. W 1942 roku były ozdobą antykwariatu Miniatura przy ulicy Mazowieckiej 13. Co dnia dwie ludzkie główki oglądały setki klientów. Wzbudzały powszechne zainteresowanie, ludzie przychodzili specjalnie, aby na nie popatrzeć. Codziennie w drodze do pracy musiała je także widzieć Wanda, zatrudniona przy Mazowieckiej 7, w Salonie Sztuki generałowej Leśniewskiej. Co wtedy myślała? Musiała czuć się na tej ulicy nieco dziwnie. Zniknął jej dom, wspaniały pałac Kronenbergów przy niedalekiej Królewskiej, w niebo sterczały jego wypalone ruiny. Zniknęli starzy właściciele słynnych antykwariatów. Albo poszli do getta, albo się ukrywali. Ona zaś przebywała w Warszawie na specjalnych prawach, ni to Aryjka, ni to Żydówka, polska patriotka i jednocześnie zdrajczyni. Agentka i wtyka. *Two-faces*.

Dziś pewnie nikt nie zawiesiłby ludzkich głów w witrynie. W 1942 roku Zofia Potocka, właścicielka antykwariatu, nie miała problemu z taką formą promocji. Ten, komu nie podobały się głowy, mógł się skupić na fenomenalnej kolekcji motyli. A jeśli nie interesowały go motyle, to może *Tancerki* Edgara Degasa? Wystawił je na sprzedaż słynny antykwariusz Jakub Kleinmann, przebywający obecnie w ukryciu. Jego głowa była tysiąckrotnie cenniejsza od tych należących do zminiaturyzowanych Indian ze względu na ogromną wiedzę o przedwojennych, żydowskich kolekcjach. Szmalcownicy doskonale to wiedzieli. Degas za drogi? To może rysunki Eduarda Maneta albo *Widok z placu Vintimille*

na *Montmartre* Claude'a Moneta. A może któreś z dzieł Podkowińskiego albo Gierymskiego? Dzieła tych mistrzów „chodziły” po kilkadziesiąt tysięcy. Za obrazy Matejki, Chełmońskiego, Brandta czy Michałowskiego galerie żądały do trzystu tysięcy złotych! Początek lat czterdziestych to złote czasy dla stołecznego handlu dziełami sztuki, chociaż nad etyczną stroną tego procederu można się zastanawiać<sup>[34]</sup>. Ulica Mazowiecka była znana już przed wojną. „Tam zbiegały się jakby wszystkie nitki, tam spotykało się znajomych, robiło ważne zakupy, odwiedzało wystawy. Mazowiecką właściwie się nie chodziło, tam się spacerowało, bo każdy sklep, każda wystawa, wszystko było jakby odrobinę lepsze niż gdzie indziej, elegantsze, piękniejsze”, pisała Monika Żeromska<sup>[35]</sup>. Gdy bramy getta zamykają się na dobre, Mazowiecka staje się najbardziej ekskluzywną ulicą w Generalnej Guberni, Polami Elizejskimi stołecznej okupacji. Tu się spaceruje, tu się przychodzi jak do najlepszego muzeum, świątyni sztuki. Galerie, antykwariaty, salony z biżuterią lub z drogimi książkami wyrastają na Mazowieckiej jak grzyby po deszczu. Pomiędzy nimi – eleganckie restauracje. Polska arystokracja i inteligencja przejmują od żydowskich kolekcjonerów handel dziełami sztuki. Umożliwia to generalny gubernator Hans Frank, wydając w grudniu 1939 roku rozporządzenie o konfiskacie prywatnych zbiorów Żydów, którym od tej pory nie wolno opuszczać getta. Czy nowi antykwariusze znali się na obrocie sztuką? Złośliwi twierdzą, że nie. Ale jakie to miało znaczenie? Ważne, że handel ruszył, a nowi sprzedawcy mieli za co przeżyć.

Przy Mazowieckiej 2 antykwariat Krynolina otwierają panie Bogórska i Chomętowska. To właśnie u nich kilkumiesięczną praktykę odbywa Zofia Potocka, zanim w swojej galerii wywiesi główki Indian. Na Mazowieckiej 13 mieści się restauracja Fregata. Gości obsługują tu panie z arystokracji. „Im wspanialsze nazwisko, tym

---

34 Zofia Potocka, *Antykwariat „Miniatura Wspomnienia*, „Rocznik Muzeum Narodowego w Warszawie”, t. 11, 1967, s. 209–210.

35 Monika Żeromska, *Moja ulica Mazowiecka*, dz. cyt., s. 201.



rachunki były bezczelniej zawyżane”, pisała złośliwie Żeromska. Kierowniczką sali jest tu przez pewien czas żona generała Andersa. Tuż obok antykwariat specjalizujący się w malarstwie polskim otwiera Stanisław Kolendo. „Siemiradzki szedł u Stasia najlepiej”, twierdziła Żeromska. Pod numerem 4 działa galeria Jakuba Chomętowskiego, męża pani Chomętowskiej spod dwójki. Obok bar Za Kotarą, znana knajpa agentów. To tu dochodzi do głośnego zamachu na właściciela, przedwojennego filmowca Józefa Staszauera. Co ciekawe, herbowi sąsiedzi zostali o zamachu uprzedzeni i zawczasu zamknęli swoje lokale. Przecież szkoda precjozów<sup>[36]</sup>!

Pod numerem szóstym Maurycy Potocki z Jabłonny otwiera wykwintny klub i ekskluzywną restaurację. Dania, jeżeli wierzyć Monice Żeromskiej, smakują niedościgle. Może dlatego lokal lubią niemieccy oficerowie. Potockiemu udaje się czasem coś od nich wytargować. Podobno dzięki niemu wyszedł z Auschwitz Stefan Jaracz. Może dlatego Potocki nie podzielił losu Staszauera.

Pod numerem ósmym mieści się salon Czesława Garlińskiego z malarstwem polskim oraz kolejny antykwariat książkowy. Adres Mazowiecka 12 znają wszyscy. To słynna Ziemiańska. Działa nadal, ale szarm i szyk wyparowały. Powstał tu kabaret, ale skeczy nie piszą ani Tuwim, ani Słonimski. Program pod tytułem *Myjmy nogi* jest adresowany do całkiem innej publiczności. Na przeciwko antykwariat nastawiony na sprzedaż biżuterii prowadzi Stanisław Mycielski.

Podobno elegancka tabliczka „Graf von Mycielsky” nie wszystkim przypadł do gustu. Omawiając świat sprzedawców sztuki, trudno pominąć adres Mazowiecka 16. Przed wojną mieścił się tu znany antykwariat żydowskiego handlarza antyków Abe Gutnajera. To od jego nazwiska Słonimski ukuł termin „abegutnajeryzm”, synonim konserwatywnych upodobań czy wręcz braku gustu. W kolekcji Gutnajera i synów były srebra Fabergé, jedna z najwspanialszych w Europie kolekcji starożytnej biżuterii, obrazy Bacciarellego, płótna holenderskie. Salon zostaje za-

mknięty, prywatne zbiory Gutnajera rozprowadza „aryjski” znajomy, przekazując pieniądze do getta. Oczywiście, do rąk dawnego antykwariusza trafia tylko ich część.

Na Mazowieckiej działa jeszcze jeden antykwariat. Przyćmiewa wszystko dookoła. Jest największy i zdecydowanie najlepiej zaopatrzony. To Salon Sztuki generałowej i ministrowej Zofii Leśniewskiej pod numerem siódmym, miejsce pracy Wandy. Zajmuje cały parter w Domu Lilpopa. Przed wojną w tym miejscu mieścił się antykwariat Natana Sakiela. Antykwariusz ocalał. Nie trafił do getta, bo wystarał się o paszport jednego z państw Ameryki Łacińskiej. Interes musiał jednak oddać „w dobre ręce”. Po przeobrażeniach wewnątrz zamienia się w bajeczny szeszel. W wielkich oknach zachwycają kolekcje biżuterii, stara broń najwyższej klasy, perskie dywany i delikatna porcelana. „Wejście tam było prawdziwym rajem dla oczu po tej przeobrzymiej masie brzydoty, nieładu, szarości i rozbicia wszelkiego porządku, która nas otaczała na co dzień”, zachwyca się Żeromska<sup>[37]</sup>. A jednak jest coś, co nie pozwala salonu Leśniewskiej stawiać w rzędzie z pozostałymi.

Leśniewska prowadzi na terenie getta oficjalny skup obrazów, mebli, dywanów i innych dzieł sztuki. „Wypłacamy pełną cenę wartości natychmiast gotówką”, informuje w anonsie w listopadowym wydaniu „Gazety Żydowskiej” z 1941 roku. Jak to robiła? Przepisy były przecież jednoznaczne. Wszystkie dzieła sztuki w getcie należały już do III Rzeszy. Jeśli Leśniewska otrzymała urzędową zgodę na handel, musiała kogoś ordynarnie skorumpować. I mieć bardzo silne plecy. Czy jej antykwariat znajdował się pod specjalną opieką Niemców? To raczej pewne. W 2014 roku Leśniewską i Salon Sztuki opisała badaczka wojennych losów dzieł sztuki Nawojka Cieślińska-Lobkowicz<sup>[38]</sup>. Potwierdziła, że genera-

---

37 Tamże, s. 207–208.

38 Nawojka Cieślińska-Lobkowicz, *Habent sua fata libelli. Okupacyjny*

łowa rozwijała swój interes z niespotykanym powodzeniem. Ale nie sama, na sztuce przecież się nie znała. Salon prowadził Marcin Weinstein z zasymilowanej od dziesięcioleci żydowskiej rodziny, przed wojną właściciel sklepu na Świętokrzyskiej. To on był prawdziwym mózgiem przedsięwzięcia. W dodatku mimo trefnego nazwiska pracował legalnie. Na początku okupacji sądownie udowodnił, że jest Aryjczykiem. Przekonał polską woźną ze swojego dawnego sklepu, by zeznała przed sądem, że jest jego naturalną matką. Dzięki temu udało mu się udowodnić karkołomną tezę, że rodzice, ortodoksyjni Żydzi, tylko go adoptowali, ale jego krew, a zwłaszcza grdyka (podobno na niej skupili uwagę sądowi biegli) są „absolutnie nordyckie”. To wystarczyło. Dostał papiery „prawdziwego” Polaka. Mógł się poruszać po Warszawie bez opaski. Salonem Sztuki kierował aż do 1944 roku.

A zatem sytuacja nie była tak jednoznaczna. Poza tym Leśniewska korzystała... z parasola ochronnego AK. „Mogła ona bezspornie z racji towarzyskich należeć do kręgu Zofii Kossak-Szczuckiej, w którym zrodził się załączek »Żegoty«, pisze badaczka. Leśniewskiej nigdy nie dotknęła towarzyska infamia, pomimo jej handlu z gettem, pomimo niemieckiej opieki. W Narodowym Archiwum Cyfrowym odnajduję jedyną jej fotografię. Pochodzi sprzed wojny. Przedstawia poświęcenie warszawskiego urzędu. Na ścianie portrety prezydenta Mościckiego i marszałka Piłsudskiego. Znużenie aż bije z twarzy gości. Pani generałowa też się nudzi. To jedyna kobieta wśród zaproszonych VIP-ów. Jest szczupła i bardzo elegancka. Pisarz Antoni Marianowicz miał okazję ją spotkać. „Była to wdowa po jakimś leśniku czy rolniku, który urzędował jako wiceminister nieważnego resortu w którymś z nieważnych rządów – efemeryd lat dwudziestych, rzecz jest do sprawdzenia, ale po co”, napisał, a ja postanawiam się zastosować do tej rady<sup>[39]</sup>. Leśniewska będzie dla mnie generałową i tyle. Daruję so-

---

*rynek sztuki w Warszawie a własność żydowska*, „Zagłada Żydów” 2014, nr 10 (1), s. 185–208.

39 Antoni Marianowicz, *Życie surowo wzbронione*, Warszawa 1995, s.

bie złośliwości. Antoni Marianowicz miał prawo do tego przekąsu. Na początku lat czterdziestych spotkał się z Leśniewską w specyficznej sytuacji. Musiał jej sprzedać swoją willę w Konstancinie, a pani generałowa zdecydowała się ją kupić za jedną trzecią ceny. Dlaczego tak mało? A dlaczego Hitler nie lubił Żydów? „Ot, jedna z pań, które na okupacji nie zrobiła złego interesu”, skwitował transakcję Marianowicz. Dama dysponowała dużą gotówką. Ponieważ obrót niearyjskim majątkiem był zakazany, kupowała willę i domy tylko za część ich wartości. Zabezpieczała się przy tym mnóstwem anty- i postdatowanych umów, aby po wojnie wszystko było w najlepszym porządku. System działał. Generałowa cieszyła się nieruchomościami i dobrym imieniem jeszcze długie lata po okupacji. „Proceder pani ministrowej, choć raczej paskudny, nie miał bandyckiego charakteru. Była to, można rzec, hiena w rękawiczkach”, wspominał pisarz.

Marianowicz po ponad półwieczu wspominał Leśniewską raczej wspaniałomyślnie. Pomagał sobie także innym opisem, pióra Maryli Komar, która znalazła się w podobnej sytuacji. Ona także wspominała Leśniewską jako „w swój sposób uczciwą kupcową”. Jej kontrahenci nie musieli się przynajmniej obawiać szantażu czy denuncjacji<sup>[40]</sup>. Potwierdza to jeszcze jedna relacja. Pochodzi od Heleny Korzeniewskiej, która w okresie okupacji ukrywała w swoim mieszkaniu uciekinierów z getta<sup>[41]</sup>. Dla Korzeniewskiej Leśniewska była jak anioł: „piękna kobieta, o wysokiej inteligencji, pełna z głębi serca płynącej miłości bliźniego”. Według relacji Korzeniewskiej sklep na Mazowieckiej był przykrywką. Tak naprawdę stanowił zakonspirowany ośrodek pomocy dla uciekinierów z drugiej strony muru. Tych wskazywała Leśniewskiej żona Marcina Weinsteina. Proceder trwał co najmniej dwa lata. Pod-

---

314.

40 Tenże, Polska, Żydzi i cykliści. *Dziennik roku przestępnego*, Warszawa 1999» s. 45.

41 Helena Korzeniewska, Zeznanie złożone dn. 23.07.1963 r., Archiwum Yad Vashem 03/2518.

stęp i kamuflaż nie zdałyby się na nic, gdyby nie doskonałe stosunki właścicielki z wysoko postawionymi Niemcami. Ci tuczyli się wprawdzie na żydowskich dziełach sztuki i łapówkach, ale przymykali oko na dywersyfikację zysków firmy.

A zatem pani generałowa potrafiła wykorzystać Niemców, by czynić dobro. Czy pracująca u niej Wanda Kronenberg miała w tym swój udział? W raportach dla AK nic o tym nie pisze, a o samym Weinsteinie wyraża się raczej złośliwie. Jakby nie wierzyła, że można skutecznie robić Niemców w konia. Jak widać, nie wszystko u Leśniewskiej było jednoznaczne: czyste i moralne albo wredne i złe. Mieszkańcy getta, korzystając z jej pomocy, mieli szansę przeżyć. Podziemie zaś dzięki raportom „Lidy” rozgryzło w końcu nie tyle firmę Leśniewskiej, ile ukrytą pod spodem komórkę Abwehry.

## Rozdział 10

# Agentka Lida melduje

Dupogodziny. Brzmi okropnie, ale bardzo lubię ten termin. Jest adekwatny i celny, przynajmniej jeśli chodzi o moje śledztwo i miejsce, gdzie te godziny spędzam. Spędzam? Nie, tak bym tego nie nazwał. Wszyscy bywalcy Archiwum Akt Nowych stale narażają zdrowie, wykonując tu pracę w warunkach podwyższonego ryzyka. Nie chodzi o to, że w archiwum jest zawsze tłum, że zanim zdobędzie się biurko do czytania, trzeba stoczyć pojedynkę. Nie chodzi też o to, że można stracić palce w metalowych boksach na ubrania czy przy zatraskiwaniu dziwnie skonstruowanych bramek na schodach. Archiwum ma system bezpieczeństwa porównywalny do tego z więzienia we Wronkach. Jednak największym wyzwaniem jest studiowanie samych dokumentów. Sprzęt do czytania akt powinien natychmiast trafić na złom. A może na ulicy Hankiewicza swoją filię powinno otworzyć Muzeum Techniki? Gapiąc się w niedoświetlone ekrany, straciłem po dwie dioptrie w każdym oku. Dlaczego, do cholery, czytanie raportów AK musi być tak samo niebezpieczne jak za okupacji?

Mikrofilmy. Kolejne zabawne określenie, kojarzące się ze szpiegowskim thrillerem. Tymczasem to zwykłe taśmy filmowe z odbitkami dokumentów. Są stare, kruche i łamliwe, niemiłosiernie

porysowane. Już dawno powinny być wymienione na nowe albo zdigitalizowane. Z drugiej strony: po co? Dlaczego w ogóle się pieklę? Kolejny frajer, dla którego wyciągną taśmy z czeluści tego betonowego bunkra, pojawi się pewnie za sto lat i pobyt w czytelni zaliczy już do survivalu w skansenie, czegoś w rodzaju wakacji z dreszczykiem.

Siedzę w szarym kącie czytelni i wpatruję się w ekran. Trę oczy, masuję kark i wyginam kręgosłup. Staram się nie myśleć o sobie, przenoszę się w czasie. Czy to, co widzę, to odbitki z oryginałów? Jeśli tak, to mam szczęście. Rękopisy czy maszynopisy informatorów AK były zazwyczaj niszczone, zostawały odpisy. Kopista streszczał oryginały, wyciągał samo „mięso”, by ci, którzy je potem czytali, nie marnowali czasu na didaskalia. Tymczasem meldunki Wandy są zachowane w całości, od pierwszej do ostatniej litery. Jakby ktoś zakochał się w ich treści, rozsmakował w fabule. Czego tu nie ma! Rzeczy ważne sąsiadują z banałami, informacje kluczowe z plotkami, bez najmniejszej próby selekcji. Czytanie tego i analizowanie musiało zajmować całe tygodnie. A ile ona musiała nad tym ślęczeć? Ile godzin to pisała?

„Dotyczy Salonu Sztuki przy ul. Mazowieckiej 7”, czytam kolejny nagłówek w jej raporcie. Kryje się za nim długa historia, zrodzona z tygodni inwigilacji. To ewidentnie robota zlecona, realizacja zadania dla AK. Niektóre jej aspekty już znamy, jednak oprócz informacji o Leśniewskiej pojawia się mnóstwo nowych. Agentka przedstawia je tak, jakby nie miała z tym miejscem wiele wspólnego, jakby jedynie przekazywała zdobytą wiedzę. Tymczasem Salon Sztuki, a raczej bliźniacza firma Vinetta, to miejsce jej pracy. Wanda trafiła tam w 1942 roku. Została zatrudniona przez znajomego ze Lwowa, który na terenie warszawskiego getta prowadził różne interesy i uważał się za cichego opiekuna interesu Leśniewskiej. Wanda zdradziła to w jednym z raportów:

„Przed moim wyjazdem t.j. 12-sierpnia br. pytał mnie Bisanz,

czy mam posadę. Gdy mu odpowiedziałam, że jeszcze nie, powiedział mi, że umieści mnie w Salonie Sztuki, ale z tym, że to on będzie mi płacił. Podpadło mi to trochę jako dość dziwny rodzaj warunków pracy. Zapytałam, czy Leśniewska nie będzie miała nic przeciwko temu. Na to Bisanz oświadczył, że Leśniewska robi wszystko, co on chce, i że on ma dużo więcej do powiedzenia w Salonie Sztuki aniżeli ona (Ministrowa się serdecznie z tego uśmieła)”.

Co konkretnie miała tu robić? AK długo nie mogła ustalić, a ona sama nie spieszyła się z wyjaśnieniami. W każdym razie polski kontrwywiad umieścił jej nazwisko w spisie agentów Gestapo działających na terenie getta. Mogło to oznaczać, że Wanda została zatrudniona, by pod przykrywką handlu dziełami sztuki prowadzić działalność wywiadowczą.

„Częste wizyty Niemców a specjalnie gestapowców, którym Bisanz pokazywał Salon Sztuki podczas swych pobytów w Warszawie, samochody policyjne przed sklepem i w podwórzu, nie poprawiło Leśniewskiej opinii i na mieście mówi się, że ta firma jest filią Gestapo. Drugą czerwoną chorągiewką dla oka publicznego jest dyrektor Martin Weinstein, żyd. Sama nie mogę się zorientować, jak ta sprawa właściwie wygląda. Trochę niezrozumiałym jest fakt, że Weinstein jeszcze żyje, a co więcej, pracuje w aryjskiej firmie i mieszka w mieście”.

Ostatnie zdanie jest zdumiewające. Pisze je osoba, której również zagląda się w metrykę. Zamiast współczuć Weinsteinowi, ewidentnie go wystawia. Informacje brzmią jak zarzuty.

„O sobie Weinstein mówi, co następuje: przed wojną był dyrektorem Pomocy Naukowej (sklep Urania należał do tego towarzystwa) i dwa razy do roku jeździł do Niemiec celem zakupywania towaru. Przez policję polską był uważany za niemieckiego szpiega. Po wojnie objął posadę dyrektora u p. Leśniewskiej (nie mogę



się dowiedzieć, odkąd datuje się znajomość Leśniewskiej z Weinsteinem). Po utworzeniu żydowskiej dzielnicy zamieszkał w Ghetcie, posiadał jednak stałą przepustkę (ciekawym jest, jakim sposobem i przez kogo ją dostał). Leśniewska miała masę nieprzyjemności z jego powodu, była nawet kilka razy wzywana na Gestapo (donosy o zatrudnieniu żyda, żydowskim kapitale itd.). Weinstein był aresztowany pod zarzutem fałszywych papierów, ale po kilku dniach zwolniono go na skutek interwencji p. Leśniewskiej. Od transportu uratowało go tyle, że był potrzebny Schmidtowi przy tworzeniu »Warschauer Handelgbetrieb« jako twórca GGH i człowiek stojący w kontakcie z czołowymi osobistościami w handlu i przemyśle żydowskiego. Schmidt wyrobił mu potrzebne papiery w Gestapo, które do dziś dnia chronią i utrzymują przy życiu...”.

Dalsza część raportu jest nieczytelna. Zachowało się ostatnie, oskarżycielskie zdanie: „Leśniewska jest (albo też udaje) gorącą patriotką, i wg jej własnych słów nie chce mieć nic z Niemcami wspólnego, ani też nic od nich nie chce brać”<sup>[42]</sup>.

Kolejny dokument dotyczy firmy Vinetta. Kontrwywiad Armii Krajowej wie, że to przykrywka niemieckiej agencji wywiadowczej. Jednak Wanda nie wspomina o tym ani słowem. Nie wspomina także, że sama jest w niej zatrudniona, i to wcale nie w roli sprzedawczyni obrazów. Pracuje tam jako szpieg Abwehry! Raport powstał na podstawie rozmowy z Bisanzem. To dość tajemnicza postać. Biznesmen, ale i agent Abwehry. Ze słów samej Wandy wynika, że to typowy cwaniak, który doskonale odnalazł się w wojennej rzeczywistości. Robił interesy na styku armii i wywiadu. Ważne jest jednak również to, czego o nim nie napisała. Ten informacyjny deficyt był na tyle znaczący, że Bisanzem zainteresował się w końcu polski kontrwywiad. Można zatem powiedzieć, że kryjąc „przełożonego”, Wanda wydała na niego wyrok.

Dokument jest długi, doskonale pokazuje, jak dokładne informacje umiała zdobyć i jak sprytnie potrafiła mijać się z prawdą.

---

42 AAN, Armia Krajowa, 1326, 203-III-125, karta 37.

„W marcu rb. Eugeniusz Bisanz (Reichsdeutscher) zwrócił się do p. Blumenberga i Germana, jego znajomych, zajmujących wysokie stanowisko w Wiruschaftamcie we Lwowie, celem uzyskania tymczasowej koncesji (eine verlaufige Genehmigung) na przedsiębiorstwo handlowe.

Blumenberg i German wyrobili mu ją na okres trzech miesięcy tj. do czerwca br. z warunkiem, że o ile firma rozwinie się pomyślnie, to przystąpią do spółki.

Bisanz poprowadził sprytną politykę wydatków, tak że przez pierwsze dwa miesiące buchalteria wykazywała deficyt.

Blumenberg i German zniechęcili się do Vinetty i zrezygnowali z wkładu swych kapitałów do tak nieprocentującego się przedsiębiorstwa.

W maju br. German został powołany do wojska, a Blumenberg przestał się interesować Vinettą. Bisanz zaczął wtedy myśleć o założeniu filii warszawskiej. W tym czasie poznał dyrektora Promtorgu we Lwowie Karla Heinza Müllera (Reichsdeutscher i członek SS). Ponieważ ten ostatni myślał o opuszczeniu swej posiadłości celem zupełnego uniezależnienia się i samodzielności, Bisanz zaproponował mu objęcie filii warszawskiej. Müller zgodził się i w maju br. przyjechał do Warszawy, gdzie Bisanz w międzyczasie stworzył filię, która opierała się na firmie GGH (Galanterie Grosshandel) znajdującej się w Ghetcie, obejmowała ona ok. 40 fabryk i warsztatów żydowskich. Z początku szło wszystko najlepiej i Bisanz zbijał grubą gotówkę, pewnego razu Müller posłany w sprawach handlowych do Lwowa naopowiadał o Bisanzu w filii lwowskiej, że jest niewypłacalny, że nie ma koncesji, że handel z Ghettem jest nielegalny, że Bisanz siedzi po uszy w długach itd. (...)

W lipcu br. przyjechał dr Schmidt do Warszawy z zamiarem stworzenia Warschauer Handelsbetrieb, firmy pracującej dla SD i Wehrmachtu i obejmującej wszystkie warsztaty i fabryki żydowskie. Vinetta miał mieć udział i dyrektorem Warschauer Handelsbetrieb miał być Muller, przy czym firma powyższa miała być na jego nazwisko.

Tymczasem wyszło, że przy likwidacji Ghetta Muller sprzedał na własną rękę firmie [brak tekstu] warsztaty żydowskie należące do Vinetty [brak tekstu, z kontekstu wynika, że wynikła straszna awantura]. Bisanz został zatrzymany, personel rozwiązano, a policja zainteresowała się różnymi machlojkami, jego długami, podobno kilkaset tysięcy, osobą p. Müllera itd. Naturalnie o tych rzeczach Bisanz mi nie mówił.

Bisanz wrócił szczęśliwie z Berlina, a Müller ukrywa się gdzieś z żoną (mieszkał w Konstancinie) i ma zamiar wyjechać w tych dniach do Rzeszy. Bisanz jest nadal pomimo wszystkiego dobrej myśli i wierzy, że uda mu się postawić Vinettę z powrotem na nogi. Wybiera się w tych dniach do Berlina celem ponownego przedstawienia sprawy tamtejszym władzom.

Zastrzegam, że słowom Bisanza wierzyć nie można. Np. w Berlinie naopowiadał dr. Schmidtowi, że posiada w Warszawie cudowny »Salon Sztuki«, co nie zgadza się z prawdą, bo nie jest nawet, jak się okazuje, cichym współnikiem. Trochę mu było głupio, jak się Schmidt o tym dowiedział.

Dla porównania załączam historię Vinetty na podstawie rozmowy z ministrową Leśniewską i dyr. Weinsteinem.

Na wiosnę 1941 r. wpadł Weinsteinowi (dyrektorowi Salonu Sztuki) do głowy pomysł stworzenia firmy galanteryjnej, która opierałaby się na towarach dostarczanych z Ghetta. Do spółki przystąpili: dyr. Stefan Szol, ministrowa Leśniewska i niejaki sędzia Kiras vel Kirias. Weinstein twierdzi, że (nie) wkładał swych pieniędzy w to przedsięwzięcie i podjął się tylko zorganizowania wszystkiego. Dzięki swym szerokim znajomościom w Ghetcie i – jak się wyraził - jednemu bardzo bogatemu żydowi, który został głównym finansistą GGH (w Salonie Sztuki poznałam w drugiej połowie czerwca jednego żyda – Brunera, który przychodził tam konferować ze Schmidtem. Weinstein tytułował go dyrektorem. Niewykluczone, że to on) udało mu się stworzyć firmę GGH.

Lokal Leśniewskiej przy ul. Mazowieckiej 7 m. 10 miał służyć za biuro firmie Szol i Ska.

Z otrzymaniem koncesji były jednak duże trudności. W tym okresie nawinął się Bisanz, Weinstein postanowił wykorzystać go do pertraktacji z władzami w sprawie koncesji na GGH i Szol i Ska. Bisanz pojechał w marcu do Lwowa, gdzie miał znajomych w Wirtschaftamcie, lecz wrócił z tym, że odmówiono koncesji Szolowi, a natychmiast udzielono jej mu.

Oświadczył, że wobec powyższego on stworzy własną firmę bez wspólników, tj. Vinettę, przy czym GGH będzie źródłem dostawy. Jakie były warunki i umowa między Vinettą a GGH, Weinstein nie mówił.

Bisanz wrócił do Lwowa, otworzył centralę przy ul. Zielonej 20, podpisał kontrakty m.in. z Promtorgiem, Deutsche Reichsbankiem i Werhmachtem. Dyrektorem we Lwowie został Robert Rupp, a w filii warszawskiej Muller. Dalszy ciąg dotyczy polityki Mullera i przyczyn krachu (mniej więcej podobnych) zgadza się ze słowami Bisanza.

Obecnie Leśniewska wyrzuciła towary Vinetty ze swej piwnicy i żąda kategorycznie zwolnienia lokalu na 1-szym piętrze m. 10, jak i również zdjęcia szyldów, jako że:

1. firmę uważa za zlikwidowaną,
2. liczy się z możliwością aresztowania Bisanza i przejęcia sprawy przez policję,
3. zdaje sobie sprawę, że Vinetta jej szkodzi (opinia publiczna).

Bisanz odmówił, twierdząc, że firma istnieje i że będzie ją nadal prowadził”<sup>[43]</sup>.

To zdumiewające, jak Wanda potrafiła odwracać uwagę. Skupiła się na finansowych machlojkach, ale nie podkreśliła, że za wieloma niemieckimi decyzjami politycznymi stała motywacja ekonomiczna. Dla łatwej wojennej kasy esesmani byli w stanie zapomnieć o antysemityzmie. Poza tym w ogóle nie wspominała, czym tak naprawdę miała się w firmie zajmować. Przecież nie buchal-

---

43 AAN, Armia Krajowa, 1326, 203-111-125, karty 33–35.

terią!

Niestety nie wiem, jaka była reakcja AK na ten meldunek. Czy centrala kontrwywiadu była zadowolona? Czy zaczęła się w końcu uskarżać na marną jakość raportów?

Meldunek numer 3 dotyczy jej pracodawcy. Wanda pisze, że doktor Schmidt przyjechał z Berlina, aby doprowadzić do zjednoczenia wszystkich warsztatów żydowskich działających w getcie w jedną firmę pracującą dla SD i Wehrmachtu. Ponownie fakty przeplatają się tu z plotkami. Czy dałoby się z tego wyciągnąć ziarno prawdy?

„Opowiadał, że w ciągu miesiąca sierpnia było 8 zamachów na Führera, wszystkie były dziełem Niemców. Z partii usunięto ostatnio 16 wysokich dygnitarzy. Sam myśli o tym, aby w przyszłym miesiącu przenieść się do wywiadu wojskowego (Heeres Nachrichtendienst), bo go mundur zaczyna »parzyć«, tzn. mundur Gestapo, a w wojsku będzie bezpieczniej, tern bardziej tam gdzie on chce być – we Francji. Powiedział, że mam się tym nie martwić, bo Sturmbahnführer Kleinert jest ze mnie zadowolony i opinia moja w RSHA jest dobra. O ile tylko będę dawać dobre materiały, to Kleinert zrobi dla mnie wszystko, co będę chciała, a poza tym »reichsdeutschostwo« jest bardzo dużym atutem (...).

W poniedziałek widziałam Schmidta w biurze Salonu Sztuki o godz. 19.30. Był bardzo zły. Opowiedział, że wyjeżdża do Berlina pociągiem nocnym, że ma dosyć całego Ghetta, nic nie mógł załatwić. Tutejsze SD robi trudności na każdym kroku; po prostu nie chcą mieć świadka na to, jak tu kradną itd. Kazał mi wszystkim mówić, że wróci w środę, ale mnie oświadczył, że będzie za dwa, trzy tygodnie...”<sup>[44]</sup>. Raport numer 6 jest pełen plotek. Zastanawiam się, czy to, co pisała, już jest manipulacją czy dopiero zapowiedzią większej dezinformacji. Ewidentne bzdury sąsiadują tu z interesującym materiałem. Jak się w tym wszystkim połapać? Se-

---

44 AAN, Armia Krajowa, 1326, 203-III-125, karta 27.

lekcję materiału Wanda zostawia centrali.

„Dr Schmidt przyjechał z Berlina 20-go września. Rozmawiałam z nim od godz. 16 do 19 w hotelu Bristol, pokój 418, i wieczorem o godz. 21 w Adrii. Schmidt jest w nastroju pesymistycznym, na co wpłynęły wiadomości otrzymane przez RSHA o przebiegu konferencji Willkiego z rządem tureckim w Ankarze przed mniej więcej półtora tygodniem. Źródło informacyjne w Szwajcarii donosi co następuje: Anglia posiada obecnie 60 000 samolotów, miesięczna produkcja wynosi 8000. Jeżeli chodzi o tonaż, to miesięcznie wypuszcza się 800 000 br. reg. ton. Plany Anglii i Ameryki na przyszłość wyglądają następująco: postanowiono pozwolić Niemcom zwyciężyć Rosję Sowiecką, bo komunizm jest jednak pewnym niebezpieczeństwem dla Anglii i Ameryki. W tym celu zaczyna się wstrzymywać dostawy do Rosji. Porażka Rosji i jej rozłam jest przewidywany za 5 lub najwyżej 6 miesięcy, a koniec wojny za 9 do 10 miesięcy. Z chwilą porażki Sowieców, a z nią związane go osłabienia Niemców, przystąpi się do likwidacji Trzeciej Rzeszy. Na wszystkich zajętych terenach zostaną wysadzone silne oddziały wojskowe i policyjne angielsko-amerykańsko-polskie itd., które staną na czele ruchu rewolucyjno-wolnościowego. Pozostaną one we wszystkich krajach Europy aż do przywrócenia ładu i porządku. Aby móc zapłacić za swój dług wojenny Ameryce, ściągnie Anglia od Europy pewnego rodzaju haracz.

Dr Schmidt uważa, że bezwzględnie (bez uwagi na obecne stanowisko Anglii i Ameryki) trzeba nadal prowadzić wytężoną pracę przeciwko komunistom, i on nosi się z zamiarem przeniesienia się na teren Szwecji (dopiero po przeprowadzeniu planu wysadzenia sabotażystów w Anglii) z dwóch powodów:

1. w Sztokholmie znajduje się duża centrala bolszewików. Schmidt ma w Szwecji dużo znajomych z przedwojennych czasów, tzn. Amerykanów, a poza tym nie ma najmniejszego zamiaru znaleźć się na terenie Rzeszy lub Gen. Gub. w chwili rozpoczęcia likwidacji Niemców przez Anglię i Amerykę.

2. Odnoszę wrażenie, że dr Schmidt zaczyna już myśleć o zabezpieczeniu się na przyszłość, to jest – wejściu w kontakt z Anglikami lub Amerykanami i zaczęciu pracy dla nich przy wykorzystaniu swego wysokiego i poważnego stanowiska...”<sup>[45]</sup>.

#### Raport Nr 7:

„Dn. 16-go września zawezwał mnie telefonicznie Bisanz do biura firmy Vinetta i zakomunikował mi, co następuje: rozmawiał z pracownikiem Astu (czyli kontrwywiadu wojskowego) niejakim Neumannem, który go pytał o mnie, twierdząc, że jestem podejrzana o szpiegostwo na rzecz bolszewików i mam być w związku z powyższym aresztowana. Bisanz proszony o wydanie opinii o mnie, oświadczył, że pracuję dla SD i że jest przekonany, że zarzut ten jest nieaktualnym i że gwarantuje, że jestem w porządku. Powiedziałam, że proszę, aby powiedział o tym dr. Schmidtowi, gdy ten tylko przyjedzie. Osobiście nie wzięłam tego poważnie, jako że już kilka razy Bisanz twierdził, że tylko dzięki jego poręczeniu za mnie uratował mnie przed więzieniem (...)

Dr Schmidt przyjechał 20-go. Opowiedziałam mu o środowym incydencie i prosiłam go o zajęcie się tą sprawą. Okazuje się, że tenże Neumann był u Bisanza w Vinetcie celem dowiedzenia się o przyjazd dr. Schmidta, któremu polecił natychmiast powiedzieć, aby się z nim zobaczył. Przy okazji pytał się również o mnie. Równocześnie był też Neumann na Szucha, prosząc o zawiadomienie dr. Schmidta, jak tylko przyjedzie, aby się z Neumannem w ważnej sprawie zobaczył.

We wtorek, tj. 22-go bm. o godz. 14, był dr Schmidt u Neumanna. Ten powiedział, że został powiadomiony o tym, że niejaka panna K. jest szpiegiem pracującym dla bolszewików i miał zamiar sprawę tę przekazać Gestapo z nakazem aresztowania mnie i wyjaśnienia sprawy. Dowiedziawszy się od Bisanza, że dr Schmidt przyjeżdża w tych dniach, postanowił wstrzymać się z

---

45 AAN, Armia Krajowa, 1326, 203-III-125, karta 40.

tą sprawą...<sup>[46]</sup>.

15-go grudnia pojechał dr Schmidt do Mińska i ma wrócić w tych dniach, choć niewykluczonym jest, że jego nieobecność może potrwać również i tydzień. Cel podróży jest zupełnie prywatny, mianowicie chodzi o wydobycie ukrytej u kogoś w Mińsku 8 kg platyny i spieniężenia jej. Przed swym wyjazdem dał mi dr Schmidt na przechowanie swoją RSHA teczkę wraz z wszystkimi meldunkami, począwszy od sprawy warszawskiej, oraz paroma innymi ciekawymi Berichtami. Nie jest to pierwszy wyczyn w tym rodzaju, gdyż już nie raz przeglądałam sobie u niego teczkę, kilka razy również miałam czasami więcej aniżeli dobę jego »ratausweis« SD i SS Uniform- Ausweis, ale niestety nigdy z kontaktem na czas nie mogłam trafić. Ciekawe zaufanie, jakim mnie obdarza. O notatkach porobionych na podstawie tejże teczki pisać będę dalej.

Przebieg konferencji z Astem w Breslau jest pomyślny. Wyjazd mój do Turcji jest już rzeczą zatwierdzoną nie tylko przez Graftera (przełożony Roedera i Leiter spraw na terenie Turcji), ale i przez centralę HND w Berlinie.

RSHA ma zamiar całe to przedsięwzięcie przeprowadzić na spółkę z HND. Jest różnica poglądów tylko na temat sposobów przetrucenia mnie na teren Turcji. RSHA chce nadać mej eskapadzie pozór ucieczki (rewizja w domu itp.), samochodem dowieźć mnie do granicy bułgarsko-tureckiej, po czym [mam] nielegalnie przejść granicę jako uciekiniarka i nawiązać w Turcji podane mi z góry kontakty. HND natomiast twierdzi, że przy przejściu granicy mogę wpaść w ręce granicznej policji tureckiej, co za tern idzie – być internowaną aż do wyjaśnienia sprawy, co może również dobrze dłużej potrwać i byłoby niepotrzebną stratą czasu, chcą oni przetrzucić mnie za pomocą łodzi podwodnej, przy czym upozorowanie ucieczki pozostaje nadal. Zaraz po nowym roku mam być w Berlinie celem zaprzysiężenia, konferencji z Streskombachem i HND i po tym jechać (...). Loechelt i Inser przyjechali załatwić



ostatecznie sprawę warsztatów żydowskich w Ghetcie. Pertrakcje były już na ukończeniu i miano przystąpić już do puszczenia w ruch całego aparatu. Niestety, po raz drugi wszedł w paradę sam Reichsführer SS Himmler, który był w Warszawie 9-go stycznia. Loechelt i dr Schmidt spotkali się z nim w jednym z urzędowych budynków w Ghetcie. Himmler zarządził ostateczną likwidację żydów w warszawskim Ghetcie i oświadczył, że nie może pozostać ani jeden z nich przy życiu. Himmler nie odmówił sobie przyjemności przejażdżki po Ghetcie, a nawet zwiedzenia zamieszkałych jeszcze domów żydowskich. Hptstrmfhr Schmidt wyjechał z powrotem do Berlina 8-go wieczorem, Loechelt 9-go, a Inser do Breslau 11-go rano<sup>[47]</sup>.

Z Stuba Roederem niestety nie widziałam się, bo w środę w nocy musiał w ważnej sprawie wyjechać. Odpisy mojej pracy poszły do Abteilung Türkei (Stuba Graefe), Abteilung Nordamerika u. England (Stuba Paefken), Abteilung Schweiz (Hstuf. Aehrens) i Abteilung Südamerika (Stuba Schueddekopf). Z wyżej wymienionymi panami, jak również z zastępcą Roedera – Stuba. Kurek i Hstuf. Hengelhaupt omówiona została praca na terenie Turcji, jak również i sprawa paszportów, która została już ukończona, a mianowicie: Weinstein posiada w Ghetcie swoich znajomych żydów, z których jeden jest serdecznym przyjacielem konsula paragwajskiego w Bern. Żyd ten zgodził się napisać list do tego konsula z prośbą o wystawienie kilku paszportów, pod warunkiem że i on i jego kilku znajomych, również ja, je otrzymają. Stało na tym, że w sumie ma ich być 15:8 Żydów, Weinstein, Leśniewska (którym chodzi jedynie o to, by w chwili przewrotu i porażki Niemców być poddanymi paragwajskimi i w ten sposób zabezpieczyć się przed ewentualnymi przykrościami, które mogłyby ich spotkać) i 5 dla RSHA – na nazwiska: Fircker (dr Schmidt), Inser, Wimmer, Wanda Reszke (ja) i Aehrens (z ramienia Abteilung Schweiz). Naturalnie żydzi pokrywają wszelkie z tym związane koszty i w tym celu zdeponowali u Weinstein'a zł 650 000. Konsul paragwajski żąda za wystawienie 15 paszportów 3000 dolarów w

---

47 AAN, Armia Krajowa, 1326, 203-III-125, karta 58.

banknotach. RSHA z całej imprezy nie chce dla siebie nic, więc dr Schmidt otrzymał polecenie zakupu tychże dolarów za pieniądze żydowskie. Naturalnie w Berlinie nie wiedzą, ile żydzi na ten cel przeznaczyci, więc pozostała różnicę między zdeponowanymi 650 000 a sumą wydaną na pokrycie kosztów zakupu dolarów (prawdopodobnie będzie około 300 000 do 200 000) dzielą Weinstein i dr Schmidt między sobą. RSHA ma swojego agenta Szwajcara, który może bez przeszkód przekraczać granicę szwajcarską, człowiek ten wyjechał już 18-go do Bern, zabierając ze sobą list do konsula paragwajskiego i fotografie paszportowe. Powrót jego spodziewany jest w pierwszej połowie marca. Na wielkiej wspólnej konferencji zdecydowano, że ja mogę już jechać w drugiej połowie marca (...)"<sup>[48]</sup>.

Te ostatnie meldunki brzmią naprawdę sensacyjnie. Opisują bowiem mechanizm, który wprowadziło kilka ambasad w Europie, w tym polska placówka w Bernie. Miał na celu ratowanie Żydów. Wanda opisuje zaledwie odprysk sprawy, w dodatku zupełnie inaczej, aniżeli widzą to dziś historycy. Próbuje przekonywać, że za operacją tą stały niemieckie służby, a przynajmniej niektórzy ich funkcjonariusze. Sugeruje, że bez udziału niemieckich pracowników takie ratownicze akcje byłyby niemożliwe. Czy sprawa ta była jakoś powiązana z innym skandalem, znanym dziś pod nazwą „Hotel Polski”? Trudno rozstrzygnąć. Trudno także rozstrzygnąć, które informacje podane przez Wandę są prawdziwe, a które zupełnie bałamutne.

---

48 AAN, Armia Krajowa, 1326, 203-III-125, karta 65.

## Rozdział 11

# Robota rusza „na całego”

Jest jesień, na dworze zimno, plucha. Wracam rowerem od przyjaciół. Zaciskam zęby i pedałuję, aby się rozgrzać i zatrzeć własny wstyd. Uświadomiłem sobie, że gęba mi się nie zamykała. Gadałem, gdy jedliśmy, gadałem, gdy piliśmy, a potem gadałem na zajęciach w podgrupach. Chyba trochę przesadziłem. Zanudziłem wszystkich moją bohaterką. W takim amoku człowiek nie widzi, że stoi już sam i gada do ściany od mniej więcej godziny. Czyjaś liściowa ręka dolewała mi tylko wina do kieliszka. Ktoś poklepał mnie po plecach. A ja gadałem... Wanda w mojej opowieści była dobra. Ratowała Żydów. Sama z żydowskim garbem przełamywała barierę strachu. Do tego markowała współpracę z wrogiem, dla niepoznaki pracując w Gestapo.

Kolejny dzień, znów zimno i ponuro. I znów wracam z imprezy, zawzięcie pedałując. Znów poczucie wstydu, nawet więcej: zażenowania. Tym razem Wanda była w moim monologu zła. Bo wzięła udział w próbie aresztowania „Grotą”, przejęcia przez Gestapo Komendy Głównej, ewidentnie chciała zaszkodzić AK. To konfidentka, przebiegła zdrajczyni. Wiedziałem, że szarżuję, idę na skrót, ale moja opowieść szła wartko, żadnych wątpliwości.

W niedzielę interweniuje żona. Odciąga mnie na chwilę i grozi, że jeśli natychmiast nie przestanę terroryzować wszystkich tą babą, wraca sama do domu.

– Wanda ma szlaban! Weto! Koniec! Poznałam ją, bardzo mi jej żal i tak dalej... ale dosyć tego. Życie jest...

– Tak wiem... gdzie indziej.

– Właśnie!

To komu mam to opowiadać?! Przecież akurat znalazłem naprawdę sensacyjne dokumenty. Wanda nie jest podwójną agentką. Świadczy usługi dla trzech pracodawców: AK, Gestapo i Abwehry. Ale to nie koniec: w informacji złożonej po wojnie UB Romuald Burbo wyraźnie napisał, że zanim Wanda przeszła we Lwowie do Gestapo, pracowała dla NKWD.

Czy to w ogóle możliwe? Na pierwszy rzut oka taka informacja to humbug. Ludzki mózg nie jest w stanie stworzyć na bieżąco trzech różnych a spójnych wariantów życia, o czterech nie wspominając. Było pewnie inaczej. Najpierw pracowała dla Sowieców, potem dla Niemców, potem dopiero dla Niemców i Polaków. W 1939 roku we Lwowie taka burżujka jak ona powinna trafić do kibitki podążającej w stronę Moskwy. Tymczasem Burbo wyraźnie napisał, że NKWD złożyło panience propozycję nie do odrzucenia. Wanda podjęła współpracę i wykonała dla Sowieców zlecenie. Jakie konkretnie? Tego nie udało mi się ustalić.

Faktem jest, że gdy w czerwcu 1941 roku Lwów przechodzi pod kontrolę Niemców, dziewczyna jest fenomenalnie zorientowana w środowisku komunistycznym, tak jakby tkwiła w nim od miesięcy. Także jej „antykomunistyczne” raporty dla AK są piekielnie dokładne<sup>[49]</sup>. Najstarszy pochodzi ze stycznia 1942 roku. Mówi o Reichu i Pinkasie, dwóch komunistach żydowskiego pochodzenia. Wanda zarzuca im, że są konfidentami NKWD. Kolejni zdrajcy, na których trzeba uważać, to Kazimierz Schwarzwald, drobny handlarz, niejaki Sohn, podobno konfident NKWD, oraz

---

49 AAN, Armia Krajowa, 1326, sygn. 203-III-125, karty 7-14.

Bernard Schumann, cukiernik, ojciec trzech synów. Temu ostatniemu poświęca nieco więcej uwagi. Schumann okazuje się jej osobistym wrogiem. Za sowieckiej okupacji pisał artykuły do „Czerwonego Sztandaru”, w których oskarżał ją o burżuazyjne pochodzenie. Być może chciał ją wydać w ręce sowieckiej milicji. Nie zdążył – teraz ona bierze odwet.

W kolejnym meldunku Wanda dostarcza Warszawie spis pracowników milicji i NKWD we wsi Łopata w powiecie Radziechów. Skąd o nich wiedziała? Dlaczego panienska z dobrego domu zna komunistów z jakiejś Łopaty? Kolejny meldunek dotyczy braci Boruchów, Ukraińców. Za czasów bolszewickich starszy brat należał do milicji sowieckiej, obecnie służy w policji ukraińskiej. Jego siostra pracuje w NKWD. W dzień rozbrojenia wojsk polskich we Lwowie, 22 września 1939 roku, mieli zabrać z podwórza przy ulicy Kochanowskiego kilkaset pistoletów. Część z nich potem sprzedali. Ukradli także granaty, które teraz leżą na strychu. Broń i aparaty radiowe oddali na przechowanie towarzyszom. „Warto by przeszukać nie tylko ich mieszkanie, ale również i całą kamienicę”, sugeruje Wanda.

Tych informacji także nie mogła zdobyć sama, podobnie jak wielu pozostałych. Ot, choćby tej dotyczącej Anny Busenko. Po wkroczeniu bolszewików Busenko przyjechała z mężem z Rosji Sowieckiej. Zamieszkali przy ulicy Kochanowskiego. On został naczelnikiem komisariatu milicji i trudnił się wywózką Polaków w głąb Rosji. „Z wybuchem wojny rosyjsko-niemieckiej paliła z mężem różne papiery u siebie w mieszkaniu. Jak twierdzą, były to akta związane z jego pracą. Potem uciekł z cofającymi się wojskami bolszewickimi. Busenko jest obecnie Ukrainką, do 10-go lutego br. pracowała w radiostacji i była speakerką ukraińską. Z mężem swoim nadal ma kontakt i otrzymuje od niego nawet listy (raz na miesiąc)”. Więcej informacji o nim może udzielić niejaki Wasyl Monczuk, Ukraińiec, lat około 25 lat, garbaty o rudawych włosach i dużym nosie, pisze Wanda. I kończy następującym zdaniem:

„Ponieważ nowych meldunków nie posiada jeszcze Schutzpolizei, nie wiem, gdzie on obecnie mieszka”.

Ten dopisek wszystko wyjaśnia. Informacje pochodzą z archiwum niemieckiej policji. Wanda myszkuje po szufladach, ma dostęp do kartoteki. Konkretnie: okrada Otta, oficera, na którym chętnie by się zemściła. Informacje są dokładne. Ta dotycząca dyrektora lwowskiej rzeźni to wręcz gotowy wyrok. „Po wkroczeniu Niemców przyjął żydów na pracowników bez zgody Arbeitsamtu, w celu uchronienia ich przed robotami, wydaje im fałszywe zaświadczenia jako dyżurującym na terenie rzeźni. W nocy z 23-go na 24-go marca br. pozwolił kilkudziesięciu żydom schronić się w rzeźni przed wywózką”, pisze. I tu pojawia się kolejne pytanie: czy informacje są aktualne? Niemcy już dawno powinni wyciągnąć konsekwencje wobec winnego takich postępków. Czyżby zatem „Lida” sprzedawała Polakom towar przeterminowany?

Ostatnie meldunki to gotowe listy proskrypcyjne. Zawierają gotowe charakterystyki „komunistów na terenie Lwowa”. Są krótkie, ale treściwe: Szal Józef, Żyd, za bolszewików sprawował funkcję naczelnika..., Berr Zenon, Żyd, uchodźca z Jarosławia..., Beckman, Żyd, pracował w masarni... Nazwisko za nazwiskiem, w samym tylko meldunku numer 9 dwadzieścia pięć osób. Wyraźnie podkreśla, czy ktoś jest Żydem, czy nie. Tak jakby od siebie chciała oddalić rasowe wątpliwości. Bez względu na to, czy Wanda pisała te donosy sama, czy wykorzystywała cudzą pracę, była bardzo skuteczna i cenna jako agentka. Taka denuncjacja mogła kosztować życie. I to nie z rąk niemieckiej policji, bo ta już dokumenty „przetrawiła”, ale ze strony kontrwywiadu polskiego. Ten przestanie się wkrótce patyczkować z osobami, które naruszają zasady. Jeśli ktoś zdradził, trafia pod lufy likwidatorów. Ale znowu wybiegam w przyszłość...

Meldunki ustają w kwietniu 1942 roku. Czy dlatego, że grunt za-

czyna palić się jej pod nogami, czy może dlatego, że nowi przyjaciele zabierają ją ze Lwowa? Dziś już tego nie rozstrzygniemy. Po przeprowadzce Wanda robi karierę w Warszawie. Przejmuje ją polski wywiad. Kontrwywiad tymczasem nie jest tym zachwycony. Stanisław Siekierski, „Stahl”, informuje swoją centralę, że współpraca Wandy z Gestapo może być dla AK groźna. „Doprowadzi do tego, że wreszcie zostanie zmuszona do rozpracowania organizacji polskich”, ostrzega<sup>[50]</sup>.

Znowu przecieram oczy ze zdumienia. Wyraźnie widać, że polskie i niemieckie służby zupełnie inaczej na nią patrzą. Polacy są zdania, że „Lida” to „średniak”. Jest atrakcyjna i dobrze umocowana towarzysko, ale rozgrywana przez Niemców. Pojawia się nawet informacja, że doktor Schmidt, pełen wątpliwości co do prawdziwego oblicza Wandy, postanowił poddać ją próbie. Zostawił jej swoją służbową teczkę. Teczka miała agentkę skusić i ostatecznie złamać. Wanda - relacjonuje polski agent – w końcu otworzyła teczkę, zrobiła zdjęcia i przekazała je komu trzeba. Gdy kontrwywiad zrobił odfitki, okazało się, że „Lida” sfotografowała swoje własne stare meldunki i jakieś kompletne bzdury. W meldunku z 16 listopada 1942 roku „Lida” wyraźnie pisze, że w prowokacji Schmidta było coś dziwnego. Ona sama czuła, że to podstęp, dlatego nie dała się złapać.

Dzieje się rzecz dziwna: polski kontrwywiad poprzestaje na „przejrzeniu” jej gry. Być może opiera się na innych materiałach, które nie ocalały, ale fakt pozostaje faktem. Polacy kompletnie jej nie doceniają. Jest za młoda, niedoświadczona, ciągle rozedrgana – sugerują meldunki. W jej kartotece odnajduję ważne zdanie: „»Lida« wielokrotnie podkreślała, że praca dla Gestapo chroni jej rodziców i rodzinę przed konsekwencjami żydowskiego pochodzenia”<sup>[51]</sup>.

Kontrwywiad dochodzi do wniosku, że wszystko, o czym in-

---

50 „Stahl”, dz. cyt.

51 Teczka Wandy Kronenberg, IPN BU 0423/4638, karta 11.

formuje dziewczyna, to dane wymuszone, niegodne poważnego traktowania. Wanda chce tylko ratować swoich, więc nie cofnie się przed żadnym kłamstwem. Pytanie, komu służy naprawdę. Wobec kogo jest bardziej lojalna: wobec Niemców czy wobec swoich? Na razie nikt się nie zorientował, że przede wszystkim jest lojalna wobec siebie. Działając na dwie strony, myśli o sobie. I to stanowi klucz do zrozumienia jej dalszych działań.

Po powrocie ze Lwowa Wanda zaczyna pracować na Szucha, czyli w Gestapo. Jej nowym szefem zostaje SS-Hauptsturmführer Wolfgang Birkner. Nie przerywa jednak pracy dla doktora Schmidta reprezentującego Abwehrę, chociaż, jak wiadomo, te dwie służby za sobą nie przepadają. Pierwsze zlecenie przychodzi z Abwehry. Wanda ma wejść w środowisko rosyjskiej emigracji w Warszawie i sprawdzić Borysa Smysłowskiego. To bardzo ciekawa postać. Playboy, hulaka i szpieg, obdarzony wybitną inteligencją, do tego stopnia tajemniczy i kontrowersyjny, że filmowcy w latach dziewięćdziesiątych uznali go za doskonały materiał na bohatera wojennej epopei. W filmie *Wiatr ze wschodu* wcielił się w niego diaboliczny Malcolm McDowell.

Smysłowski jest z pochodzenia Rosjaninem. W Warszawie osiada na stałe dopiero w 1935 roku. Nie kryje fascynacji faszyzmem, ale w kampanii wrześniowej walczy po stronie polskiej. Kilka tygodni po klęsce wraca do stolicy, ale każe się już tytułować jako Borys von Reganau i oficjalnie rozpoczyna pracę w niemieckim wywiadzie. Specjalizuje się w kierunku antyradzieckim i antykomunistycznym. Prawdziwą karierę robi w momencie wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej w czerwcu 1941 roku. W ciągu dwóch lat organizuje sprawnie działającą maszynę werbowania radzieckich jeńców do niemieckich jednostek. Jest ojcem założycielem Rosyjskiej Armii Narodowej (ROA). Na przyjęciach u Smysłowskiego bywają nie tylko Niemcy. Odwiedzają go również Polacy. Wykorzystując swoje znajomości, Smysłowski próbuje namówić Komendę Główną AK do rozmów. Nie są to twarde naciski, raczej



próba zbliżenia stanowisk. Chodzi o to samo, o co w prowokacji z Albrechtem. Po co Niemcy mają walczyć z Polakami? Lepiej współpracować. Wróg jest tylko jeden: Rosja Radziecka. „Istotą tej polityki jest współpraca z Niemcami do chwili załamania się reżimu komunistycznego w Rosji, następnie powstanie antyniemieckie, odbudowa demokratycznej Rosji i współpraca z demokracjami Zachodu, z tym że ekspansja nowej Rosji odwróci się od Europy i skieruje na Azję. W razie niepowodzenia u rządu polskiego Smysłowski rozważał poszukiwanie kontaktów wśród oficerów gen. Andersa, którzy uważają Sowiety za głównego wroga i byliby skłonni pójść na koncepcję org. białogwardyjskiej”, czytamy w AK-owskim meldunku<sup>[52]</sup>.

Uprzedzając fakty, należy zaznaczyć, że perswazje Smysłowskiego nie odniosły skutku. Szefostwo polskiego podziemia mu nie zaufało. Za fiaskiem mogła stać Wanda Kronenberg oficjalnie rozpracowująca Smysłowskiego na polecenie Abwehry. Jednak i tym razem trudno powiedzieć, po czyjej stronie baronówna stała naprawdę. W raporcie dla AK przyznała jedynie, że ma wątpliwości, czy w takiej rozgrywce w ogóle brać udział. Smysłowski był wówczas ważną figurą, wpadka mogła ją sporo kosztować.

Misja Wandy polega na zbliżeniu się do ochrony Smysłowskiego. Chodzi o wyciągnięcie kompromitujących go ploteczek – Niemcy na wszystkich lubią mieć haki. To akurat nie jest trudne. Wanda bryluje na tych samych salonach co on. Zna arystokratów, białorusyjskich bogaczy. Szybko znajduje słabe ogniwo w postaci kuzy-  
na dawnego znajomego. „Ten ostatni jest dość głupi i łatwo mi będzie potrzebne informacje o Smysłowskim wyciągnąć”, twierdzi. Smysłowski orientuje się, że ktoś wokół niego węszy. Na przełomie 1942 i 1943 roku on i Kronenberg są już wrogami. Nie udało mi się ustalić, jakie konkretnie informacje zdobyła. O jego najbliższym współpracowniku, niejakim Bondorowskim, nazbierała

---

52 AAN, Armia Krajowa, 1326, sygn. 203-III-125, karta 23.

same ploty: „(...) jego obecna żona z domu Szamotulska, primo voto – Lipińska, poza tym przez pewien czas – prawdopodobnie żona niejakiego Rusieckiego, pracowała przed wojną w »Dwójce« i podobno miała pod sobą odcinek granicy wołyńskiej. Jej pierwszy mąż był kapitanem, też podobno współpracownik 2-go oddziału. Bondorowski odbił Lipińską Rusieckiemu, który teraz z całego serca go nienawidzi, jak również i Smysłowskiego”<sup>[53]</sup>.

W raportach musiały być jednak sprawy grubsze, na tyle groźne, że Smysłowski przestaje się patyczkować. Informuje swoich przyjaciół z Gestapo, że ich gwiazda to niezłe ziółko. W lutym 1943 roku w ręce SS-Hauptsturmführera Wolfganga Birknera trafia kilkustronicowy donos. Wanda zostaje w nim opisana jako prowodyrka akcji szpiegowskiej na dużą skalę. Autor zdradza, że duma Gestapo to agentka Intelligence Service, która „dzięki naiwności Gestapo i SD” owinęła sobie niemieckie służby wokół palca. Co gorsza, dotarła już do centrali niemieckich służb w Berlinie, a to oznacza, że infiltruje kręgi wysokiej niemieckiej generalicji. Ma własną, niezależną siatkę uzbrojonych ludzi, której centrala mieści się przy warszawskiej ulicy Przeskok. Padły mocne słowa, że nie wiadomo, dla kogo jeszcze pracuje. To już nie są żarty! Donos jest groźny również z innego powodu. Sugeruje, że procent semickiej krwi u Kronenberg jest większy, niż dopuszczają to niemieckie przepisy, oraz że Wanda prowadzi się niemoralnie, łamiąc ustawę o czystości ras. Taka mieszanka zarzutów wystarcza, by baronównę natychmiast aresztować.

Birkner nie zamierza sprawy odpuścić. Uznaje, że tym razem miarka się przebrała<sup>[54]</sup>.

---

53 Meldunek „Lidy”, dotyczy sprawy Szelechów-Smysłowski z dn. 20 X 1942, AAN 203- III-125, karta 25.

54 Meldunek „Lidy” nr 20 z dn. 5 II 1943 r., AAN 203-III-125, karta 63.

## Rozdział 12

# Śledztwo porucznika Kaskiewicza. Część 2

Z zamyślenia wrywa porucznika Kaskiewicza dyskretne pukanie do drzwi.

– No w końcu – wzdycha. – Wejść!

W drzwiach stoi strażnik, przed nim skulona kobieca postać. Funkcjonariusz popycha ją do środka. W jej sylwetce, napięciu mięśni, skupionej twarzy widać kilkutygodniową odsiadkę. Mruży oczy, krzywi twarz w grymasie. To pewnie od dymu. W gabinecie jest sino, porucznik zdążył już wypalić kilka piekielnie mocnych bielomorów. Strażnik popycha kobietę w kierunku zydła naprzeciwko biurka, sadza jak kukłę. Kobieta oddycha nierówno, płytko. Kaskiewicz wie, co to oznacza. Strach. Zaraz zaczną bić czy może jednak później? Bykowcem czy pięścią? Trzeba dobrze ocenić ten moment. Właściwie zinterpretować. Kaskiewicz dopiero uczy się tej sztuki, ale przecież ostatnio poczynił spore postępy. Czeka cierpliwie, aż ich oczy się spotkają. Kobieta łypie spode łba, szuka śladów poprzedniej masakry. Wtedy promień światła trafia ją w twarz. Jakby oberwała naprawdę! Prawie spada z krzesła. Prostuje się, lecz światło żarówki już się w nią wżarło. Kobieta próbuje z nim walczyć, przesunąć się w cień, ale strażnik kładzie jej ciężką dłoń na ramieniu.

– No, no... już spokojnie.

Tak wyobrażam sobie tę scenę. Notatka operacyjna, którą znalazłem w teczce Kronenberżanki, jest sfatygowana. Zwykły dokument z szeregiem podpisów: wykonał Zdziebłowski, zatwierdził

Gadaj, kierownik Sekcji II Wydziału. Do tego gryzmoły, kolejne podpisy, znane nazwiska. Wśród nich Różański i Humer. Gwiazdy X Departamentu. Co oni w tej sprawie robią?!<sup>[55]</sup>

– Nazwisko? – zaczniemy zatem standardowo, tak jak zaczynali ubecy, gestapowcy, wcześniej policjanci Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, a jeszcze wcześniej stójkowi z cyrkułu. Tak po prostu zaczyna się każde przesłuchanie.

– Kronenberg.

– Imię?

– Wanda.

Kaskiewicz podnosi zmęczony wzrok na kobietę. Przywalić od razu czy za chwilę? Jak tak dalej pójdzie, to rzeczywiście posiedzą do rana.

– Prawdziwe! Nie okupacyjne!

– Ale jak Boga kocham, panie oficerze...

O, tego Kaskiewicz się nie spodziewa). Kobieta prostuje zgarbione plecy i podnosi głos. O pół tonu, ćwierć, ale... ciut za głośno. Jeszcze nie jest gotowa.

– Rodzona?

– Z matki Zofii. Z domu Michalskiej.

– Ojciec?

– Michał Nurzyński<sup>[56]</sup>.

Gdy wybrzmiewa ostatnie słowo, Kaskiewicz wbija wzrok w kobietę i powoli przesuwając go po jej twarzy. Wielu chojraków przesłuchał, wiele cwanych gap. Wie, jak kłamią, ślizgają się, udają, że kompletnie nic nie rozumieją. Ale w tej rzeczywiście jest coś niepokojącego.

Wygląda zdecydowanie za staro. Kaskiewicz dałby jej pięćdziesiąt lat. Wanda powinna mieć teraz...

– Rok urodzenia?

– 1903.

– Stan cywilny?

– Wdowa.

Kaskiewicz sięga po kolejnego papierosa. Zapala, zaciąga się dymem. Patrzy na strażnika. Ten ma głowę w cieniu. Uśmiecha się pod wąsem czy tylko

55 Dokumenty dot. Wandy Kronenberg, z d. Nurzyńskiej, Sprawa operacyjna dot. Wandy Kronenberg, IPN BU 0423/4638, karty 27-36.

56 Tamże.

się Kaskiewiczowi wydaje?

A może jemu też należałoby przywalić w ten głupi chłopski ryj? Kogo on mi tu, kurwa, przyprowadził?

– No to jak było? – wrywa się Kaskiewiczowi. Od razu żałuje, że zadał to pytanie. Jest już jednak za późno. Kobieta, jak na komendę, bierze głęboki wdech i wystrzeliwuje serią zdań. Wylatują z niej jak karabinowe pociski. Niektóre mają nawet sens, ale ten gubi się po chwili, by zawiązać się zupełnie gdzie indziej.

– To piwo, panie oficerze, to nie ja. To kierownik. Mówiłam, żeby zama-  
wiać w spółdzielni, a nie od tego złodzieja Cholewy. A skąd on ich miał? Te bu-  
telki? A ja nie wiem! Ukradł, ukradł! Pewnie, że tak. Ale do mojego sklepu przy-  
wiózł już z pieczątką kierownika. Ja, panie oficerze, nie wiedziała, no bo jak...  
bo tego Cholewę to namówiła Pietrasińska, stara kurwa...

Kaskiewicz podrywa się z krzesła. Kobieta momentalnie milknie, chowa głowę w ramionach. Za kradzież piwa beknie później, ale to, że dostanie zaraz na od-  
lew, ma jak amen w pacierzu. Dyszy skulona, wzrok spuściła i czeka. Kaskie-  
wicz zastyga. Wygląda jak pies przed atakiem. W wyciągniętej do przodu dłoni  
trzyma coś niewidzialnego. Może to sens, który mu umyka. Próbuje zebrać my-  
śli. Poprawia krawat, bierze głęboki wdech. I po chwili już wie. To te matoly z  
pierwszego departamentu. Kretyn Głowacki! Kto mu, kurwa, dał majora!?

– Kronenberg! O Gestapo tu chodzi, a nie o te wasze szczyzny! O Gestapo!  
Do jasnej cholery! Tu mam w papierach, że znacie niejakiego Deżakowskiego!  
Mówi wam to coś!? Że ten ptaszek, co to nam już kilka razy wyfrunął, zachodzi  
do was, jakby nic się nie stało. Zachodzi, podje i znika. Może nawet źłopie to  
wasze kradzione jasne pełne, co?!

Kaskiewicz widzi, że strzał był celny. Kobieta absolutnie się tego nie spodzie-  
wała. Znowu mruży oczy, przekrzywia głowę i gapi się na niego tym swoim  
wzrokiem cwanej sklepowej, której zabrakło bilonu do wydania reszty.

– Deżako... co? Nie znam go, panie, jak mi Bóg świadkiem! Jak mi jasna  
panienka miła!

Kaskiewicz patrzy w papiery. Deżakowski. Józef, syn Piotra i Teresy. Żo-  
naty, pochodzenie robotnicze, zawód wyuczony stolarz. W okresie okupacji  
zajmował się pracą dorywczą jako stolarz właśnie. Do 1939 roku do żadnej  
partii nie należał, do rządu sanacyjnego ustosunkowany był biernie. W okresie

okupacji w życiu politycznym udziału nie brał, o okupancie wyrażał się wrogo. Udziału w powstaniu nie brał. Obecnie obywatel Deżakowski jest bezpartyjny, politycznie i społecznie się nie udziela. „Czy ob. Deżakowski utrzymywał lub utrzymuje kontakty z ob. Kronenberg Wandą nie ustalono, ponieważ osobom udzielającym informacji nie jest znaną”, kończy się meldunek.

Kaskiewicz wzdycha. Stary agent Gestapo, a taki głupi! Ukrywać się pod swoim nazwiskiem! Mieszka sobie taki na Podskarbińskiej i uważa, że wślizgnie się w nową rzeczywistość z gracją hebla. Kronenberg ukryta się za maską sklepowej, a Deżakowski, jej kompan w zbrodniczym duecie, to teraz obywatel stolarz. Przykładowy obywatel. Jedno go teraz interesuje: jak ta Kronenberg, smarokula, gówniara zaledwie, która niejednemu agentowi w głowie przewróciła, zmieniła się tak szybko w starą lampucere? Jak zgubiła te prawie dwadzieścia lat różnicy?

– Może zapalicie? – pyta w końcu. – Sowieckie wprawdzie. Tych waszych gestapowskich Juno nie posiadam, ale może rozjaśnił wam umysł, co? No... bierzcie...

Podsuwa paczkę. Kobieta patrzy tępo na papierosy, na twarz porucznika, jeszcze raz na paczkę i wyciąga powoli rękę. Porucznik tylko na to czeka. Łapie kobietę za wyciągniętą dłoń, odwraca wierzchem do góry i kieruje do światła.

– To jest rączka baronessy? – krzyczy. – To jest ręka burżujki?

Dłoń sklepowej jest twarda i chropowata. Pod palcami zgrubienia, opuszki popękane, brud za połamanymi paznokciami.

– Co to, kurwa, jest?! – krzyczy Kaskiewicz i podrywa się z krzesła. – Co tu się, kurwa, dzieje!? Zabierać mi ją w pizdu!

I już do siebie: ja im, kurwa, dam Kronenberg! Banda idiotów, aresztować gestapowskiej suki nie potrafią! Dość na dziś! W takich warunkach to on, wilczur z Koszykowej, brytan z Miedzeszyna, postrach Mokotowa, pracować nie będzie. Pierdoli to.

## Rozdział 13

# Czerwony ołówek SS-Standartenführera

Jest luty 1943 roku i nad głową Wandy zbierają się ciemne chmury. Z lektury jej raportu dla AK wyraźnie wynika, że tym razem boi się nie na żarty. Ale jeszcze bardziej przerażony wydaje się jej patron, doktor Schmidt. „Twierdzi, że może być dla mnie fatalnym, jeśli faktycznie Birkner wyśle o tym raport do Berlina”, pisze Wanda<sup>[57]</sup>. Doktor obiecuje, że będzie w jej sprawie interweniował na Szucha. Spróbuje tak pokierować rozmowami, aby zarzuty wobec Wandy wyglądały na prywatne porachunki młodych wilczków wywiadu, na konflikt na tle ambicjonalnym, a nie poważną sprawę. Twierdzi jednak, że zbyt nachalnie naciskać nie może. Przyznaje wprost: na Smysłowskiego jest za słaby!

Tymczasem on już przekonał Birknera do rozprawy z Wandą. Osobne donosy przygotowali na nią także inni agenci, Nipanicz i Turkin. Jest źle, jedyna szansa na uniknięcie kłopotów, to wyjazd – sugeruje Schmidt. Można wykorzystać paszporty paragwajskie, przecież dopiero co je wyrobili. Pojedziemy razem, mówi wprost. Ale Wanda odmawia. W raporcie z 25 lutego wyraźnie widać, że dzieje się z nią coś dziwnego. Jakby strach pobudził ją do działania, jakby z zabawy własnym losem zaczęła czerpać perwersyjną przyjemność. Zamiast skupić się na sobie, znajduje tematy zastęp-

---

57 Meldunek „Lidy” nr 19 z dn. 5 II 1943 r., AAN 203-III-125, karta 63.

cze: informuje AK o ostrym starciu Führera z Himmlerem. „Przy czym Führer występował z ramienia Wehrmachtu (do czego go nakłonił Keitel) i przedłożył mu wszystkie zarzuty i urazy, które wojsko żywi do SS. Podobno w niektórych rzeczach musiał Himmler ustąpić i zastosować się do życzeń Wehrmachtu”, pisze. Dodaje, że ani Abwehra, ani Gestapo nie mogą wpaść na trop sieci wywiadu japońskiego, a przecież bardzo im na tym zależy. „Podanie choćby jednego agenta wywiadu japońskiego zrobiłoby duży szum i dobry numer tanim kosztem”<sup>[58]</sup>.

Czy to są raporty osoby, na której karku coraz mocniej zaciska się pętla podejrzeń?

Tymczasem w siedzibie Gestapo przy alei Szucha dochodzi do spotkania na najwyższym szczeblu. Obecny jest szef Gestapo w Warszawie SS-Standartenführer Ludwik Hahn, jego podwładny SS-Haupt- sturmführer Wolfgang Birkner, przełożony Wandy, oraz SS-Obersturmbannführer doktor Ernest Kah, szef wydziału III, czyli SD. Panowie, analizując informacje Smysłowskiego i Bondorowskiego, dochodzą do wniosku, że sprawa Wandy to gotowy skandal zagrażający bezpieczeństwu Rzeszy! Nie powinni dłużej zwlekać, muszą o tym raportować do Berlina. Najpierw siadają jednak przy stole w gabinecie doktora Hahna. Wanda poznała treść ich rozmowy dzięki doktorowi Schmidtowi, o wszystkim poinformowała sumiennie AK.

Przenieśmy się zatem do gabinetu szefa Gestapo na drugim piętrze kompleksu przy ulicy Szucha, w którym dzisiaj mieści się Ministerstwo Edukacji Narodowej. Hahn, na którego poluje Podziemie, właściwie mieszka w tym budynku. Panowie rozsiadają się wygodnie wokół stolika. Ich zamięłowanie do dobrego alkoholu jest znane. Niech zatem brzęczy szkło, dymią cygara. Raport Smysłowskiego krąży z rąk do rąk. Zagaja Hahn, chce poznać zdanie Birknera. Ten jest wzburzony albo takiego udaje. Wanda pracuje u niego w wydziale, to fakt. Do tej pory pracowała dobrze, on nie

---

58 Meldunek „Lidy” nr 20 z dn. 25 II 1943 r., AAN 203-III-125, karta 65.



ma żadnych dowodów przeciwko „Edith Müller”, niczego jej nie udowodniono. Jeśli jednak rzeczywiście jest agentką, to on ponosi całkowitą odpowiedzialność za skandal. Żeby wyjść z twarzą, domaga się, aby natychmiast wyrzucić podejrzaną z pracy i wszcząć śledztwo. W końcu jej matka jest Angielką, a jej przyrodni brat właśnie szykuje się do inwazji na Francję. To wystarczy, aby mieć się na baczności. Zarzuty Smysłowskiego wydają się sensowne!

Edith Müller – to nazwisko pada po raz pierwszy. Tymczasem Wanda posługuje się nim już od kilku miesięcy. Ma wyrobione nowe dokumenty i odtąd w większości niemieckich raportów występuje właśnie jako Frau Müller, Niemka. To dość zaskakujący obrót sprawy. Czyżby udało jej się przekonać odpowiednie służby, że jej przodkowie nie mieli nic wspólnego z Żydami? Jeśli tak, to dokonała prawdziwego cudu.

Teraz zarzuty analizuje doktor Kah, kierownik Wydziału SD i zastępca komendanta SiPo na dystrykt warszawski<sup>[59]</sup>. Wcale nie jest przekonany, że rodzinne koneksje to wystarczający dowód zdrady.

– Gdyby policzyć wszystkich oskarżonych o współpracę z Intelligence Service w naszych szeregach, to mielibyśmy samych kretów - próbuje dowcipkować. – Któryś z nas trzech powinien być szpiegiem Churchilla! Poza tym gdyby Edith naprawdę szkodziła, nie siedzielibyśmy tu w komplecie. – Usiłuje trzymać fason. Jeszcze nie wie, że niedługo jeden z uczestników tej narady cudem ujdzie z życiem z zamachu. W styczniu 1944 roku po akcji cichociemnych pod Wawrem auto Hahna będzie dziurawe jak rzeszoto. Co na to Birkner?

– Żądam jej aresztowania, teraz, natychmiast – upiera się. Twierdzi, że wcześniej czy później znajdzie wystarczające dowody jej wykroczeń i wtedy wolałby mieć już Wandę pod kluczem. Zapada cisza. Hahn podchodzi do okna. W rękę trzyma swój słyn-

---

59 Meldunek „Lidy” nr 21 z dn. 1 III 1943 AAN 203-III-125, karta 67.

ny czerwony ołówek. Jest jak królewskie berło albo jak różdżka, którą może dokonywać strasznych rzeczy: wysyłać całe kontyngenty Polaków na Pawiak, setki osób od razu na śmierć. Niewykluczone, że to jego czerwony podpis pojawi się za trzy miesiące pod rozkazem wysłania tysiąca Żydów z Hotelu Polskiego do Treblinki, gdzie wszyscy zginą w komorach gazowych. Tylko on jeden, Kommandeur der Sicherheitspolizei, ma prawo posługiwania się tym kolorem. Jeśli zrobi użytek z czerwieni, los Wandy będzie przesądzony. Jeśli nie, może się narazić w Berlinie. Funkcjonariusze przy stole śledzą go uważnie. Napięcie wisi w powietrzu. Birkner jest zdenerwowany, to jasne. To pod nim ktoś kopie dołek okazałych rozmiarów. Ale doktor Kah? Dlaczego on tak bardzo się niepokoi, wycierając spocone dłonie o spodnie?

– To skaza na honorze całego Gestapo! – nie wytrzymuje Birkner. Jego okrzyk robi wrażenie dobrze przeciwiczonego. Na twarzy doktora Kaha pojawia się lekki uśmiech.

– No, no, kolego – mówi SS-Obersturmbannführer pojednawczym tonem. – Nic się jeszcze nie stało. Nie dajmy się ponosić emocjom.

Jego słabość do pięknych Polek jest powszechnie znana. Hahn odwraca się energicznie i wraca do stolika.

– Słusznie – mówi – nie będziemy szarżować. Nie teraz. Czekaemy. Skoro nie mamy pewności, nie należy jej zdejmować. Frau Müller bardzo nam się przydaje, pamiętajmy o tym. I jeszcze nie skończyła... swojej roboty.

Birkner zaciska szczęki. Narada jest skończona<sup>[60]</sup>.

Doktor Schmidt, relacjonując Wandzie wypadki w gabinecie Hahna, nie krył emocji. Wiedział przecież, że od dużych kłopotów dzieliło ją niewiele i być może nadal nie jest bezpieczna. Jeśli grunt pod nogami Wandy zacznie się palić, pomyśli o przeniesieniu jej do Wrocławia, do tamtejszej centrali wywiadu wojskowego. Być może da się ją tam ukryć, aż sprawa przycichnie. Oczywiście

---

60 Meldunek „Lidy” nr 21 z dn. 1 III 1943 r., AAN 203-III-125, karta 67.

ście, wszystko *lege artis*. Odpowiednie raporty z jej dokonaniem, jeśli zajdzie taka potrzeba, pojawią się na biurku właściwych osób. Jeśli Birkner nie odpuści, cała nadzieja w szefie Wehrmachtu w Berlinie, admirałe Wilhelmie Canarisie.

Nazwisko Canarisa tylko jeden, jedyny raz pojawia się w raportach Wandy, właśnie w tym miejscu. Czy doktor Schmidt i Kronenberg rzeczywiście myśleli o ucieczce pod skrzydła szefa Abwehry, osoby wówczas przepotężnej, której obawiał się sam Führer? Wydaje się to mało prawdopodobne. Wanda chyba nieco koloryzowała.

W każdym razie Wanda uznaje, że Smysłowski posunął się za daleko. Postanawia działać, wyprzedzić spodziewane uderzenie. Wie, że musi uważać, nie może popełnić błędu. „Lida” po raz pierwszy sugeruje Podziemiu, że należy zlikwidować zagrożenie, czyli Smysłowskiego. Nie wie jednak, że Smysłowski ma swoje wtyki w AK. Otrzymuje informację, że Wanda chce się go pozbyć, i postanawia zaatakować pierwszy. Jego ludzie namierzają baronównę w marcu 1944 roku. Opis niezapowiedzianej wizyty łapsów pochodzi z anonimowej notatki w IPN-owskiej teczce Wandy i jest tak malowniczy, że zacytuję jego dłuższy fragment.

„Mniej więcej przed dwoma tygodniami do lokalu wiadomej spółdzielni rosyjskiej przyszło trzech cywilnych osobników, którzy legitymowali się jako agenci »gestapo« i oświadczyli, że muszą zlustrować lokal spółdzielni. Na lustrację lokalu ruszyli, trzymając prawe ręce w kieszeniach palt. W tym samym czasie, w kuchni, znajdowała się ww. Kronenberg-Grot w towarzystwie kilku ze swojej »gwardii«. Gdy podający się za agentów »gestapo« wkroczyli do kuchni – towarzysze owej pani momentalnie włożyli ręce do kieszeni marynarek, co widząc, przybysze wycofali się bez słowa. Według słów Kronenberg-Grot niezwłocznie po wizycie agentów »gestapo« dzwoniła w al. Szucha z zapytaniem – czy byli delegowani jacyś agenci na lustrację lokalu i otrzymała odpowiedź, że

nic o tym nie jest wiadome. Szelechów i pani Kronenberg-Grotwnioskują, że to byli bojówkarze PPR, którzy chcieli wykonać zamach na panią Kronenberg, widząc jednak kilku z jej ludzi i ich zdecydowane zachowanie się – wycofali się nie podejmując nierównej walki”<sup>[61]</sup>.

Dwa miesiące później na ulicy Belwederskiej rozstawia się piętnastu żołnierzy Kedywu. Jest rano, godzina dziesiąta. Za chwilę na dworcu kolejki podmiejskiej ma się pojawić Borys Smysłowski, czyli pułkownik von Regenau. Wybiera się pod Warszawę, do siedziby swego sztabu. To będzie jego ostatnia podróż – tak zdecydował polski kontrwywiad. Fałszywy przyjaciel Polaków musi zginąć. Ale coś idzie nie tak. Zamiast pułkownika na dworcu pojawia się szpicel. Niemiecki system bezpieczeństwa działa bez zarzutu. Ochroniarz Smysłowskiego nie jest naiwniakiem i w lot rozpoznaje zagrożenie. Dzwoni po posiłki. Akcja zostaje odwołana, ludzie dzielą się na trzy grupy. W jednej z nich z miejsca niedoszęłego zamachu oddała się podporucznik Zdzisław Zajdler, „Żbik”. Na ulicy Olszewskiej drogę zajeżdżają mu dwa auta pełne żandarmów. Rozpoczyna się chaotyczna strzelanina. Grzmią steny i thompsony, w stronę Niemców lecą granaty. W zamieszaniu nikt nie zwraca uwagi na strażnika, który stoi obok magazynu na skrzyżowaniu z Puławską. Ten zdejmując z ramienia karabin i długo mierzy. Strzela. Trafia „Żbika”, raniąc go śmiertelnie. To jedyna ofiara zamachu na pułkownika. I czytelny sygnał od Wandy: „Uważaj, von Regenau! Będę się bronić!”

---

61 Anonimowy raport w sprawie Wandy Kronenberg, IPN BU 01222/3114, karty 20–22.

## Rozdział 14

# Warszawskie sprawy Frau Müller

Niemiecki korespondent narodowosocjalistycznego tygodnika „Schlesische Sonntagspost” pod koniec 1941 roku pisał z zachwytu. Kobiety w okupowanej Polsce są bez wyjątku piękne i eleganckie. Ich szpilki stukają o asfalt już od przedpołudnia. „Po ustach widać, że w torebkach noszą szminkę, brwi przycięte i zręcznie podkreślone”. Paznokcie błyszczą różowo lub ciemnoczerwono. Lakier zapewne jeszcze z przedwojennych zapasów. Niemal wszystkie świetnie ubrane, zdecydowanie lepiej niż towarzyszący im mężczyźni. Jedyne mankament to pończochy: „Jeśli się dokładnie przyjrzeć, to dostrzec można, że w niektórych miejscach są pocerowane, a często wręcz zastępuje je brązowa farbka na nogach”<sup>[62]</sup>.

Wandę stać na lakier, tusz i wszystkie damskie akcesoria, zapewne nie ma też problemu z pończochami. Robi doskonałe wrażenie na mężczyznach. Jest pewna siebie. Własnych kompetencji szpiega – również. Tymczasem czytając jej raporty, można odnieść wrażenie, że nie każdy z nich to „dobra robota”. Niekiedy za potokiem pozornie treściwych słów kryje się niewiele. W raporcie nu-

---

62 Maren Roger, *Wojenne związki. Polki i Niemcy podczas okupacji*, przeł. Dominik Tomasz, Warszawa 2016, s. 84.

mer 20 opisuje na przykład kolejną podróż do Berlina.

„Nastroje w Berlinie bardzo pesymistyczne; mowa Goebbelsa zrobiła bardzo złe wrażenie; jest duże rozgoryczenie z powodu zamknięcia sklepów, co jest uważane za oznakę bliskiego zakończenia wojny. Ludność cywilna nie wierzy w zwycięstwo Niemiec, jest zrezygnowana i pragnie jak najszybszego zawarcia pokoju. Wśród wojskowych, a specjalnie tych, którzy wrócili z frontu, nastroje dobre i wiara w wiosenną ofensywę. Na podstawie rozmów z wojskowymi przygotowania do ofensywy są kolosalne. Poza nowymi już wypróbowanymi działami artyleryjskimi, pociskami ze sprężonym powietrzem (udoskonalone modele amerykańskie), karabinami maszynowymi o 4000 strzałach na minutę, nowymi modelami tanków broni pancernej, przygotowane są nowe modele gazów. Najlepszy z nich wszystkich łączy w sobie wszystkie działania zabójcze gazów (jest żrąco-parząco-dusząco-paraliżujący) przy zetknięciu się z powietrzem skrapla się, przybierając kolor bładoniebieski”.

I to jest jej cały szpiegowski urobek z podróży do stolicy III Rzeszy?!

Po pierwsze, niezwykle trudno zweryfikować informacje, zresztą ta o gazach bojowych to chyba zwykłe kłamstwo. Wiemy dzisiaj, że Niemcy do końca wojny prowadzili eksperymenty z tym rodzajem broni, ale Hitler nigdy nie zamierzał jej użyć. Znał ich morderczą siłę i wiedział, że to broń obosieczna. Czy zatem Wanda mogła usłyszeć poważną wymianę zdań na temat możliwości zastosowania gazów, czy raczej to jej „zdobycz” z działań kawiarnianych?

W innym raporcie Lida popisuje się wiedzą z własnego podwórka. Informuje AK o przybyciu do kraju marszałka Rydza-Śmigłego. Jej zdaniem Niemcy już o nim wiedzą i czekają na skutki come backu w wielkim stylu: „Dużo szumu narobiła w ostatnich dniach pogłoska o rzekomym pobycie w Gen. Gub. Rydza-Śmigłego. Gestapo tutejsze stara się sprawdzić wiarygodność tej plotki. Również i dr Schmidt rozmawiał ze mną na ten temat i prosił, abym

się postarała dowiedzieć coś konkretnego na ten temat. Sprawa ma się przedstawiać następująco: Rydz-Śmigły złamał swe słowo dane władzom rumuńskim i uciekł do Gen. Gub., gdzie chciał odegrać większą rolę w nieoficjalnym życiu politycznym polskim. Sikorski był jednak wybitnie przeciwny temu. Na skutek starej rany, która mu się otworzyła, był bardzo poważnie chory; organizacje polskie wykorzystały ten fakt i puściły celowo pogłoskę, że on umarł i został pochowany pod innym nazwiskiem. W rzeczywistości ma się on jednak nadal tu znajdować i zajmować wyższe stanowisko w niepodległościowym ruchu polskim po dojściu do porozumienia z Sikorskim, który tę jego działalność zaakceptował”, pisze Wanda. I znowu pudło. Rydz-Śmigły przedostał się do Polski, ale ostatecznie nic nie osiągnął. Zmarł na skutek odnowienia starej rany albo, jak chcą łowcy sensacji, otruty przez Podziemie.

Kolejny raport jest trochę ciekawszy. Dotyczy znanej akcji akowskich likwidatorów w kawiarni Europejska. Lida raportuje: „Oficjalna wersja zakomunikowana dr. Schmidtowi brzmi następująco: jednego ze złapanych desantowców udało się namówić do pracy dla gestapo. Został on z powrotem zwolniony i umówiono spotkanie w Europejskiej, na które udał się Ustuf. Boehme i jakiś Hauptscharführer, obydwój w cywilu. Siedzieli niedaleko kasy, przy której stali w pewnym momencie dwaj mężczyźni, z których jeden płacił za telefon. Niestety zamiast pieniędzy wyciągnęli pistolety: Ustuf. Boehme został zabity na miejscu, Hauptscharführer zmarł o 10-tej wieczorem u elżbietanek. Podenerwowanie po tym zajściu było na Szucha duże. Polecono w miarę możliwości unikać spotkań w lokalach i zastosować większe środki bezpieczeństwa. Dr Schmidt opowiadał mi, że na dzisiejsze spotkanie przyszedł Stoffel (nowy współpracownik Birknera) do jednej z kawiarni, gdzie go oczekiwano, mocno podenerwowany i nie przestawał lustrować otaczających go gości”.

Tak właśnie było. 30 lipca 1943 roku koncesjonowani likwidato-

rzy państwa podziemnego rzeczywiście zastrzelili dwóch Niemców z Krakowa. Ale ta egzekucja sprawiła warszawskiemu Gestapo sporo satysfakcji, o czym Wanda już nie pisze. Krakowscy koledzy zignorowali ich, nawiązali kontakt z Komendą Główną AK ponad ich głowami, chcąc pokazać, jak powinna wyglądać prawdziwa robota. Wtrącanie się w cudze kompetencje nie wyszło im na dobre. Megalomania udziela się również Wandzie. W miarę upływu czasu jej meldunki dla AK to coraz mniej skrywane emanacje własnego ego.

„Przyśle mi z Berlina do pomocy niejakiego Mazurina”, wyznaje w raporcie pod koniec 1942 roku. Ten „ktoś” w Berlinie to przełożony jej bezpośredniego szefa. Zapewne jakiś pięćdziesięcioletni pułkownik wywiadu, wysokiej szarży członek partii narodowo- socjalistycznej. A ona? Ma dopiero dwadzieścia lat i stara się jedynie przeżyć! Ileż w tym zdaniu buty i arogancji. Przyśle „jej, do pomocy”... Widać, że od marca 1943 roku Wanda odzyskuje panowanie nad sytuacją i raportuje AK w taki sposób, jakby osobiście prowadziła niemieckie hufce do boju. Twierdzi, że jej *Bericht* o zagrożeniu komunistycznym w Polsce zrobił w stolicy Niemiec tak duże wrażenie, że to ona kierować będzie operacją, którą enigmatycznie nazywa „sprawą warszawską”. Od jej powodzenia ma zależeć duży awans Wandy w agenturalnej strukturze. Wszystko to brzmi jak bajka, w którą jednak chce się wierzyć.

1 listopada 1942 roku odbywa się na Szucha pierwsza konferencja na temat nowego zagrożenia. Wytyczne przychodzą z Berlina: wszystkie ręce na pokład. I na froncie wschodnim, i w Warszawie. Sowietów trzeba bić wszędzie, wszystkimi dostępnymi środkami. Abwehra, Gestapo, Hahn, Kah, Smysłowski, Szelechow, Bondorowski i Kronenberg mają stanąć na głowie, aby wyczyścić zaplecze frontu. Sowiecka agentura w Warszawie powinna zostać raz na zawsze zniszczona, ukryty wróg wyeliminowany. Uderzenie ma być bolesne, straty nie do odrobienia.

Mazurin, przysłany do pomocy Wandzie z centrali, jest postacią nietuzinkową. Zdumiewają jego szpiegowskie umiejętności,



zdumiewa sposób, w jaki przenika do komunistów, zdumiewa w końcu to, że spotyka się w Warszawie nawet z liderami AK. Tylko po to, żeby znaleźć sposób na pokonanie „czerwonych”. Istny Bond, który w Wandzie znajduje godną partnerkę.

W tym czasie Wanda stoi już na czele własnej grupy. Jej drużyna wprawdzie dokonała niewiele, ale szacunek budzi wypracowany przez baronównę model zarządzania. To ewenement, do tej pory nie spotkałem się z taką aberracją.

Wanda rozkochuje w sobie podkomendnych, po czym szczuje ich na siebie. Manipulacja sprawdza się wyśmienicie. W Wołominie tworzy prawdziwy dwór, na którym stanowisko majordomusa jest rotacyjne. Rywalizują o nie najbliżsi współpracownicy<sup>[63]</sup>. W 1943 roku najbliższą ucha i ręki Wandy jest Sergiusz Karol Wołoszyn, rocznik 1919, Rosjanin z Orła. Agenci AK widują go często w spelunach agentów Gestapo. Zatrzymany przez SiPo, po trzech godzinach jest już na wolności. Funkcjonariusze odprowadzają go nawet do domu.

AK-owcom udaje się obejrzeć jego papiery: „Wołoszyn posiada legitymację gestapowską ze stopniem Leutnanta, fotografia ostemplowana kwadratową pieczęcią z hakenkreutzem, u góry pieczętka złoty orzeł dwugłowy rosyjski. W legitymacji w tytule napis Russische Komitet”. Do grupy należą też bracia Jerzy i Aleksander Kochanowicze. Przystojni dwudziestolatkowie, „dość eleganccy”, twierdził informator. Co to właściwie w Wołominie oznacza, trudno dociec.

Kochanowiczom współpraca z Wandą ewidentnie imponuje. „Z własnych ich wypowiedzi wynika, że pracują w wywiadzie sowiecko-angielskim”. Taką narrację musiała im sprzedać ona. Sami pewnie by na to nie wpadli. Na początku 1943 roku bracia dostają nowe wytyczne. Mają się wkręcić do AK oraz NSZ, zainteresować personaliami i składami broni. Operacja udaje się. AK-o-

---

63 Raport „Ojców-Winda. Poufne” z dn. 25.10.1944 r., Sprawa Lidy, AAN 203/III/105, karta 89.

wiec o pseudonimie „Ł” za dwa tysiące złotych dostarcza listę oficerów i dowódców „firmy”. Na szczęście jedynie z terenu Wołomina. Bracia, kontynuując nie bez nuty zazdrości agent kontrwywiadu, wiedzą, jak zaimponować kobiecie. „Jednym z wypróbowanych sposobów zdobywania przez nich wiadomości jest utrzymywanie kontaktów z młodymi dziewczynami, urządzenie zabaw i hulanek i zdobywanie wiadomości po pijanemu. Młodzi i przystojni, posiadający pieniądze, mają do tego doskonałe warunki”, wyjaśnia. Inny informator już taki delikatny nie jest: „Wołoszyn wyciągał z nich wiadomości, biorąc je na miłość, lub po prostu upijał na libacjach”. Aby nie być gołosłownym, informatorzy dostarczają przełożonym fotografie braci i Wołoszyna.

Tu musimy się na chwilę zatrzymać. Zdobywanie informacji w ten sposób to ABC pracy wywiadowczej. Z kolei zarządzanie przystojnymi agentami w taki sposób, by ci rywalizowali o względy szefowej, to już wyższa szkoła jazdy. Wanda doszła tu do niebywalej wprawy. Wołoszyn zakochał się w niej bez pamięci. Zapominając o swoich „komsomolskich” korzeniach, poczuł się go-dzien salonów. Ale potem jej uczucia (co do których szczerości mam pewne wątpliwości) przeszły na jednego z braci Kochanowiczów. Wołoszyn szalał z zazdrości. Aby odzyskać względy Wandy, zaczął ją szantażować. I tu łzawy melodramat się skończył. Kronenberg szybko dała mu do zrozumienia, że bez jej protekcji skończy z dziurą w głowie. Podała nawet datę wykonania wyroku.

Jak widać, wołomińska *femme fatale* naprawdę dzieliła i rządziła. Manipulowała i kontrolowała. Posługiwała się Gestapo, NSZ-em i AK. Przyniosło to rezultaty. Kilka miesięcy po aferze z zazdrosnym zastępcą w Wołominie panował już porządek.

Wróćmy do „sprawy warszawskiej”. „Lida” ujawniła wreszcie, o co chodzi. Mazurin odkrył plany antyniemieckiego powstania. Miała to być wielka akcja na terenie całego kraju, prowadzona

pod przywództwem... komunistów, których liderów agent już namierzył. Teraz wystarczyło przekonać warszawskie Gestapo do zadania im ostatecznego ciosu. Ten jednak, ku zdumieniu wszystkich, nie nadchodził. Tak jakby Berlinowi się odwidziało, jakby ktoś uznał jednak, że poplecznicy Sowietów aż tacy groźni nie są. Może Hitler miał migrenę i zapomniał o podpisaniu stosownego dokumentu? Długo próbowałem zweryfikować to, co Wanda napisała w raporcie. Szukałem śladów komunistycznego powstania w dostępnej literaturze historycznej. Nic nie znalazłem. Komuniści nie mieli ani sił, ani środków, by je zorganizować. Gdy jesienią 1942 roku Gestapo przeprowadziło liczne aresztowania w ich warszawskich i krakowskich szeregach, wyglądali na sparaliżowanych. Wydaje się, że tylko jedna informacja Wandy odnosiła się do rzeczywistości: ta, że nawiązała z Mazurinem silne porozumienie. Na miesiąc stali się Bonnie i Clyde'em okupowanej Warszawy.

## Rozdział 15

# „Jednym strzałem położył go trupem...”

Piętnasty raport „Lidy” jest zdecydowanie najlepszy, co nie oznacza wcale, że najważniejszy. Wanda wspięła się tu na literackie wyżyny. Znakomicie stopniuje napięcie, pozwala sobie na dłuższy. Opisuje historię tak, jakby patrzyła na nią z boku, chociaż tkwiła w jej centrum. Wyciąganie prawdy z tego opisu musiało być dla kontrwywiadu świetnym ćwiczeniem warsztatowym. Samo zdarzenie jest prawdziwe, ale tło i kontekst niekoniecznie. Cholera, a może pisał jej to jakiś dziennikarz?

„(...) Mazurin napisał Bericht o szykującym się powstaniu komunistycznym. Donosi, że Gen. Gub. zostało podzielone na centra, przy czym on został mianowany szefem centra Biała Podlaska. Pieniądze, broń i oficerów na kierownicze stanowiska daje Moskwa, a masę partyzanci i PPR. Dalej pisze Mazurin, że rozruchy te odbędą się za wiedzą i zgodą władz polskich w Londynie, z którymi na ten temat Moskwa konferowała. Mazurin nic jednak nie pisze o tym, że polskie organizacje wolnościowe będą w tym brały udział. Obawiam się jednak, że dr Schmidt dopisze to od siebie. Dalej twierdzi Mazurin, że można zapobiec wybuchowi rozruchów i podaje 6 punktów, które według niego wprowadzone w życie, zniszczą próbę jakiegokolwiek powstania w zarodku, a

mianowicie:

- 1) zabronić ludności cywilnej jeździć pociągami,
- 2) ściągnąć z powrotem do miasta wszystkich tych, którzy wyjechali na prowincję po 1-szym grudnia br.,
- 3) polepszyć aprowizację na prowincji i w mieście,
- 4) dać Polakom większą swobodę i załagodzić stosunki polityczne,
- 5) nasłać większą ilość swoich ludzi do oddziałów partyzantycznych i PPR-u,
- 6) stworzyć w każdym centrze dobrze zakonspirowaną silną grupę bojową SD, która byłaby ciągle w ostrym pogotowiu, gotowa do zbrojnego wystąpienia przy najłżejszych oznakach rozruchów.

Mazurin wyjeżdża 4-go do Białej Podlaskiej, gdzie spotka się znowu z Mieronowem i Piotrowczem, po czym poda dokładnie, na jakie centra jest podzielona Gen. Gub. i kto na ich czele stoi.

Dr Schmidt rozmawiał z dr. Kaah [Kahem] i Kommandeurem Hahnem, którzy już również wiedzą o tym, że komuniści szykują powstanie, i poprosili dr. Schmidta o pomoc i współpracę, gdyż obawiają się, że sami nie dadzą rady z powodu braku ludzi. Prosił również, aby przywieźć ludzi z Berlina, przy czym gotowi są również i ze swej strony udzielić dr. Schmidtowi wszelkich potrzebnych mu pełnomocnictw i [dać] wolną rękę we wszystkich przedsięwzięciach (...).

Szelechow przeżył nowy blamaż. Mianowicie jego pupilki, którzy wyjechali z Pawiaka do Oswitz w wielkiej tajemnicy, nie potrafili nic mądrzejszego zrobić, jak napisać z Oswitz do swoich znajomych w Warszawie i pozostałych kolegów w Ausbildungsschule. Ponieważ mieli zapowiedziane przez dr. Schmidta, że nie wolno im pisać, a poza tym wszelkie wysłane listy muszą przechodzić przez cenzurę w Oswitz, zastanawiam się tylko, czy nie zrobili tego celowo. W każdym razie dr Schmidt był wściekły na Szelechowa, który znowu włosy wrywał sobie z głowy, przeklinając Bondarowskiego (co prawda nie wiem, co ma Bondarowski

z tym wspólnego), i napisał do Oswitz służbowy list, żądając wstawienia tych czterech do paki na dwa tygodnie, a komendanta obozu na miesiąc karnego aresztu – zasadniczo komendantem obozu jest Kleiner.

W związku z zapotrzebowaniem ludzi przez Mazurina – żąda on dwóch mężczyzn i jedną kobietę na swoich pomocników – postanowiłam skontaktować Turkina z dr. Schmidtem, jako że ten mu ich prędzej dostarczy aniżeli ja. Spotkanie odbyło się 28-go grudnia w mieszkaniu Martina Weinsteina przy ul. Mazowieckiej 7 m. 11, przy którym z innych powodów obecna być nie mogłam (...).

Aleksander Nikołajew pracujący na Przeskoku (z paczki z Aus- bildungsschule) wpadł 4-go stycznia na ciekawą rzecz: na Okęciu w zakładach lotniczych pracuje niejaki inż. Zielonko, członek wojskowego wywiadu bolszewickiego przysłany specjalnie z Moskwy. Nikołajew ma możliwość poznać osobiście Zielonko, jak i również dowiedzenia się o jego kontaktach. Znana jest już mu osoba łącznika między Zielonką a Białymstokiem. Dokładne informacje będą w tym tygodniu.

Sprawa Ghetta została już ostatecznie załatwiona. Pozostałe warsztaty obejmie wydział RSHA (Wirtschaft). Część produktów będzie szła na zapotrzebowanie RSHA (obozów dla jeńców itd.), a część będzie sprzedawana w wolnym handlu, przy czym zajmować się tym będzie wolno również i pozostałym w Ghetcie żydom. Dochód z tego będzie szedł na opłacenie kosztów produkcji i do kasy wydziału V-go RSHA, Sprawą będzie się zajmował Hptstrmfhr. Löchelt.

26-go grudnia 1942 dzwonił do mnie dr Schmidt, abym się natychmiast w ważnej sprawie zjawiała w hotelu Bristol. Na miejscu zastałam Mazurina. Okazało się, że Czemurow, przez którego Mazurin nawiązywał swe kontakty, wpadł na ślad, że Mazurin jest związany z jakimś Schmidtem zamieszkałym w Bristolu, i zaczął się tym za bardzo interesować. Ponieważ 28-go przyjeżdżał łącznik Mieronowa do W-wy na spotkanie z tutejszą ekspozyturą, a m.in. na rozmowę z Mazurinem, ten ostatni oświadczył, że było-

by mu nadzwyczaj nie na rękę, gdyby mu Czemurow złożył meldunek o swoich podejrzeniach i wobec tego postanowił zlikwidować Czemurowa i jego żonę, która jest również jedną z bardziej czynnych komunistek. Do tego twierdził, że jest mu potrzebna pomoc moja, gdyż nawet jeżeli będzie kilka razy musiał pójść do Czemurowa i nie zastanie go, to straż, która go nie zna, najwyżej powie Czemurowi, że był jakiś pan z panią do niego, a ten ostatni pomyśli, że to ktoś z życzeniami po prostu i w ten sposób uniknie się niepotrzebnej ciekawości stróża do interesanta i podejrzeń.

Dr Schmidt oponował trochę i w końcu zapytał mnie, czy chcę pójść. Ponieważ uważałam, że takie rzeczy bądź co bądź ludzi zbliżają (a na dobrych stosunkach z Mazurinem zależy mi), a poza tym może mi się kiedyś fakt bycia świadkiem przy tym przydać (zdawałam sobie z tego doskonale sprawę, że to ostatnie moje rozumowanie zawiera w sobie również i duży minus, bo i równie dobrze może to być kiedyś Mazurinowi również przeszkodą, że byłam przy tym jedynym świadkiem, a o skrupuły miłości bliźniego go nie posądzam, to postanowiłam zaryzykować), zgodziłam się.

Polowaliśmy na Czemurowa bezskutecznie w sobotę wieczorem i całą niedzielę. Dopiero w poniedziałek rano sprawdziliśmy telefonicznie, że jest on w domu. Plan Mazurina był następujący: ranić ciężko Czemurowa, sterroryzować żonę, wydostać od nich potrzebne wiadomości i papiery, a potem ich zlikwidować.

Dr Schmidt udzielił mi na ten zbożny cel swego własnego pistoletu, jako że Mazurin swego nie posiadał. Dr Schmidt czekał pod umówionym numerem telefonu, dokąd mieliśmy zadzwonić natychmiast po przeprowadzeniu operacji. W domu (Płocka 42 m. 11) zastaliśmy tylko Czemurowa, który nie ucieszył się zbytnio na widok Mazurina. Podczas gdy zabawiałam Czemurowa inteligentną rozmową w pokoju, przez co odwracałam jego uwagę od Mazurina, ten ostatni zarepetował w kuchni pistolet i jednym strzałem w prawą skroń położył Czemurowa trupem na miej-

scu. To było dla mnie dużym zdziwieniem, gdyż rzekomo chciał go tylko ranić.

Bardziej jeszcze zdziwiłam się, gdy kazał mi zbadać, czy na pewno Czemurow nie żyje, i czekał na moją odpowiedź z palcem na cynglu – gotów jeszcze poprawić. Zaryglowawszy drzwi, gdyż około 11.30 przychodziła służąca sprzątać i miała klucz do drzwi, zadzwoniłam do dr. Schmidta, który czekał w Salonie Stuki. Ponieważ mieliśmy jeszcze przeprowadzić rewizję, a lada chwila miała przyjść służąca, postanowiliśmy nie wychodzić z mieszkania, aby nie dano znać żonie Czemurowa o wypadku i nie dać jej możliwości ucieczki, i czekać na przybycie Gestapo. Drugi raz zdziwiłam się, gdy Mazurin poprzestał tylko na powierzchniowej rewizji osobistej Czemurowa, którą musiałam za niego wykonać. W pokoju nie szukał niczego specjalnie wbrew swym twierdzeniom, że Czemurow jest w posiadaniu kompromitujących go papierów. Poprzestał tylko na jego notesie i kalendarzu z notatkami. O 13.30 zobaczyliśmy na podwórzu dr. Schmidta z dwoma cywilami i upewniwszy się, że służba zrezygnowała z dobijania się do mieszkania, co trwało prawie 1,5 godz., z pomocą stróża, wyszliśmy niepostrzeżeni przez nikogo, a nawet przez Gestapo, które było z dr. Schmidtem w oficynie po przeciwnej stronie. Zresztą dr Schmidt życzył sobie, aby oni nas nie widzieli, a specjalnie mnie.

Gestapo wylało drzwi, zabrało większą sumę pieniędzy, narobili nieporządku w mieszkaniu i wyszli, zamykając drzwi na klucz. Służąca posiadała tylko klucz od uszkodzonego zamku yale. Pół godziny później czekający specjalnie w tym celu na rogu ulicy agent zaarrestował żonę Czemurowa zdążającą do domu na paniczne telefony służącej, że nie może się do domu dostać. Sprawa zabójstwa Czemurowa została przekazana policji kryminalnej jako mord rabunkowy. Żona Czemurowa była przesłuchiwana pierwszy raz we wtorek 29-go i do niczego się nie przyznała. Wobec tego odbyła się we środę 30-go o godz. 12-tej na Przeskoku konfrontacja Mazurina z Czemurową, przy czym asystowałam jako tłumaczka i pisałam później protokół. Czemurowa



przyznała się prawie do wszystkiego (metody przesłuchiwania Mazurina są naprawdę na wysokim poziomie fachowym). W każdym razie zeznania jej posłużyły w większej mierze jako sprawdzian dotychczasowych raportów Mazurina i prawdziwości jego poczynań. Z ciekawszych adresów podała: Michałowski Jan, Krochmalna 23; bliski współpracownik Czemodurowa: Frost – Młynarska 25; Augustowski – Alberta 6 albo 8; Zadroga – Fabryczna 10.

Mazurin żądał jej natychmiastowego rozstrzelania, ale dr Schmidt nie zgodził się. Siedzi ona obecnie nadal w separacie na Pawiaku. Osobiście odnoszę z tej całej historii wrażenie, że Mazurin z zupełnie innych powodów zlikwidował Czemodurowa i był bardzo niezadowolony, że żona jego nadal pozostaje przy życiu..”<sup>[64]</sup>.

„Wczoraj, tj. 8-go wieczorem, dzwonił do mnie »Pan Władek« i z polecenia Mazurina wyznaczył mi spotkanie na 9-go o godz. 8.30 rano, róg Grzybowskiej i Dobrej. Obecny był tylko Mazurin, który wyjeżdża dziś z nim do Grodna na spotkanie z rezydentem i szefem sztabu mieszanych partyzantek polsko-rosyjskich. Chodziło o mój rewolwer, który jest mu potrzebny. Naturalnie mu go dałam, niechętnie, ale przez wzgląd na nasze dobre stosunki. Łączy nas obecnie rodzaj przyjaźni dwóch ludzi pracujących w tym samym fachu i znajdujących się w analogicznym położeniu. Z Mazurinem widuję się wbrew instrukcjom i woli dr. Schmidta. Nabiera on do mnie coraz więcej zaufania i traktuje mnie jako młodą osobę, która „zaputała” się i nie ma wyjścia z sytuacji i zmuszona jest pracować dla SD. Mazurin zawsze to podkreśla, że odnosi się do mnie z uznaniem za to, że nie pracuję przeciwko Polakom i Anglikom, oraz że niechętnie bardzo daję materiały gestapowskie (nazwiska i adresy) przeciwko komunistom.

Przy zapalaniu papierosa wyjął papierośnicę, którą się zainteresowałam, zauważywszy monogram »W.B.«. Mazurin nie spostrzegł tego i na moje pytanie, komu ją skradł, odparł, że należy

64 Raport nr 13 z dn. 6.01.1943, AAN, Armia Krajowa, 1326, 203-III-125, karty 55–56.

ona do »Pana Władka«. Przy żegnaniu się powiedział, że gdybym podczas jego nieobecności znalazła się w przykryj sytuacji, tzn. gdyby mnie komuniści przyparli do muru, to mam się powołać na niejakiego pana »Żelazniak« i oświadczyć, że jestem jego współpracownicą, oraz że ten pan (pseudonim Mazurina) udzieli wszelkich informacji na mój temat.

Mazurin zastrzegł, że mówi mi o tym w ścisłym zaufaniu, że Gestapo ani dr Schmidt o tym nie wie, ale on mnie wierzy i uważa to za swój obowiązek pozwolić mi dożyć końca wojny, jako że jest dużo osób, które mnie źle życzą (nic nowego). Mazurin nosi się z zamiarem przedstawienia mnie Mieronowowi podczas jego następnej bytności w W-wie, przez co będę zupełnie zabezpieczona od strony wywiadu bolszewickiego i PPR-u.

Ze względu na to, że broń swą otrzymam dopiero w końcu przyszłego tygodnia, a w tym czasie będę prawdopodobnie miała spotkanie z dwoma innymi współpracownikami Mazurina (niejaki Stefański i Jaszka), na które nie chciałabym pójść bez rewolwera, proszę o pożyczenie mi jednego na ten przeciąg czasu. Najlepiej kaliber 7.65 albo z braku innego jakaś »piątka« (6.35)”<sup>[65]</sup>.

Tak kończą się jej krwawe harce, przynajmniej te, do których przyznała się AK. W archiwum kontrwywiadu znajduje się potwierdzenie zbrodni, jakby kolejna komórka, może kontrolna, sprawdziła, czy „Lida” nie wysłała wszystkiego z palca. Co zastanawiające, do raportu był także dołączony dokument, który Wanda napisała 20 marca 1943 roku, czyli po wypadkach na Płockiej i po „sądzie”, jaki się nad nią odbył w gabinecie doktora Hahna. To odpis raportu, który agentka przekazała Gestapo. Jest napisany po niemiecku, dotyczy „pana Władka”, kolegi Mazurina, prawdopodobnie komunisty dość wysokiego szczebla. Wanda podpisuje się pod tymi informacjami jako agentka „Jegoroff”, zdradzając swoje kolejne wywiadowcze wcielenie. Odpis wysłała Birknerowi.

---

65 Raport z dn. 9.04.1943 r., AAN, 1326, Armia Krajowa, 203-III-125, karta 70.

To oznacza, że znowu lojalnie współpracuje albo stara się sprawić takie wrażenie, chcąc odpokutować przypisywane jej winy.

## Rozdział 16

# Gwiazda Alei Ujazdowskich

Kim był Mikołaj Czebotarew? Łajdakiem i szubrawcem, praktycznie nikim. W tym miejscu równie dobrze mogę podać inne nazwisko. Zacznę jednak od niego, bo na jego przykładzie można najlepiej pokazać, jak działał – albo raczej jak nie działał – kontrwywiad w okupowanej Warszawie.

W 1940 roku Czebotarew zwrócił na siebie uwagę polskich służb i przez kolejne trzy lata absorbował, jak to się mówi w branży, znaczne „siły i środki”.

„Szczęki szerokie, oczy przymrużone, mimika pijaka”. Albo: „Łysy szatyn, nazywa się »krwawy Dzierżyński«”. Kolejna informacja: „Wysoki, szczupły, elegancki narkoman. O sobie mówi, że jest ukraińskim Wieniawą”. Tę charakterystykę napisała „Wera”. To nowy pseudonim Wandy Kroneneberg.

Jako „Wera” jeszcze tu nie występowała. Do tej pory znamy ją jako Edith Müller lub Wandę Jegoroff. W dokumentach niemieckich używa także nazwiska panińskiego babci – Reszke. Jako Wanda Reszke starała się o paszport boliwijski. Dla AK z kolei działa jako „Lida” i „Brzeska”. Agentką „Werą” stała się pod koniec 1942 roku.

„Wera” i kilku innych agentów skrupulatnie wypełnili ankietę personalną Czebotarewa w archiwum AK. Daty, nazwiska, lokalizacje. Cechy, nałogi, słabości. Podejrzenia. „4011 wrz./129 komunikuje, że Czebotarew jest mordercą wielu ludzi. Przed wojną był dwa lata w Berezie. Obecnie wysypuje Polaków. 417 kw. 37/Stok komunikuje, że Czebotarew jest w 100% oddany Niemcom. Podobno były wypadki pomocy Polakom, jednak później ich szantażował”. Z wytężonej pracy informatorów wynikło niewiele. Czebotarew narobił szumu i zniknął. A jednak wywiadowcy nadal robili wszystko, aby zaspokoić ciekawość centrali. Gdy dziś przegląda się te dokumenty, śmiało można powiedzieć, że AK-owskie służby były nienasycone.

Okupowana Warszawa to mrowisko takich „czebotarewów”. Aby ich wszystkich „obrobić” potrzebna jest armia wywiadowców. I taka armia istnieje. Czasami drąży własne korytarze w poszukiwaniu nowin, innym razem idzie po cudzych śladach. Każdego dnia agenci piszą setki meldunków, mniej lub bardziej szczegółowych, następnie zanoszą je swoim rezydentom. Trwa wojna, wszystko jest tajne, to niebezpieczna praca.

Jednym z trybików w przepływie informacji jest w 1942 roku Romuald Burbo, którego już znamy. Po wojnie zdradził ubekom szczegóły pracy szeregowego agenta. Zeznał, że samo zbieranie meldunków zajmowało mu kilka godzin dziennie. W poniedziałki, środy i piątki przez trzy godziny odbierał je w kawiarni Bodega, we wtorki, czwartki i soboty w kawiarni Albatros na Mazowieckiej. Nie zawsze znał ludzi, którzy je przynosili, ale zapamiętał procedurę. I tak któregoś dnia miał zwrócić uwagę na mężczyznę, który zamawiał gin. W odpowiedzi Burbo zamówił angielską gorzką. Następnie gość wziął gazetę i na głos skomentował: „Generał Paulus broni się nadal”. Burbo miał na to odzew i w ten sposób nawiązywał kontakt – jak w wojennym thrillerze klasy B. Następnie panowie szli w ustronne miejsce i dokonywali transakcji. Burbo miał taryfikator oparty na objętości i znaczeniu meldunku. Wypłacał od tysiąca do dziesięciu tysięcy złotych. Przyj-

rzyjmy się ówczesnym zarobkom. Niewykwalifikowana robotnica w fabryce zarabiała cztery złote dziennie, kopacz rowów kanalizacyjnych osiem złotych. Wykwalifikowany robotnik od ośmiu do dwudziestu pięciu złotych. Elektromonter zarabiał prawie pięćdziesiąt. Pensja urzędnika to maksymalnie trzysta złotych. Z kolei godzina pracy prostytutki to dwadzieścia złotych. Są więc agenci, którzy potrafią rozbić bank jednym tylko donosem! Gestapowiec Alfred Romanowicz Otto zeznał po wojnie, że niektórym agentom Niemcy płacili nawet po dwa tysiące dolarów! Nic, tylko szpiegować<sup>[66]</sup>. Burbo segregował papiery, sporządzał raport i raz na tydzień oddawał wszystko przełożonemu o pseudonimie „Ptaszników”. Ten go rozliczał i podawał hasło na kolejny tydzień. Jak w fabryce, chociaż i tu zdarzały się awarie. Pewnego razu Burbo zastał na melinie szefa, zawalonego wręcz materiałami. Przełożony poprosił go o pomoc. To wtedy okazało się, że punktów odbioru materiałów jest aż sześć<sup>[67]</sup>.

Jaki był dalszy los kwitów? Ktoś je redagował, synchronizował z innymi, a na koniec wrzucał do teczek figurantów. Teczki puchły, archiwa pęczniały. Z czasem zbiory robiły się tak wielkie, że trzeba było robić z dokumentów rejestry, odpisy, syntezę. Były tego dziesiątki kilogramów, czy, jak się dziś mówi, dziesiątki metrów bieżących archiwaliów.

Wróćmy na chwilę do Czebotarewa. Ukraiński pułkownik, który przed wojną mieszkał w Warszawie, od 1940 roku był współpracownikiem Abwehry. Donosił na swoich dawnych kolegów. Stał kasą na prawo i lewo, łajdaczył się, granatowy policjant wyprowadził go kiedyś z teatru. „Nadskakuje artystce Inie Benicie, co być może robi na rozkaz z góry, na co wskazywałoby zdanie Leitgeberta wypowiedziane do Benity: »teraz zabierzemy się za

66 Protokół przesłuchania Romualda Burbo z dn. 2 IX 1949, IPN 0192/472, t. 5.

67 Teczka sprawy „Otto Romanowicz Alfred i inni”, IPN BU 0204/721, karta 20.

artystów, bo za bardzo sobie brykają», pisze o nim Izabela Horodecka, „Teresa”, charyzmatyczna wywiadowczyni oddziału 993/W. Za kilka miesięcy karty się przetasują i to o Wandzie „Teresa” zacznie zbierać informacje. Na razie są koleżankami z pracy, chociaż nie znają się osobiście. Być może Izabela Horodecka „prywatnie” kojarzy Wandę, bo w 1943 roku w szeregach AK jest już o niej głośno, ale się do tego nie przyznaje. Nie wie także, że obie rozpracowują Czebotarewa.

Z chwilą wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej akcje „czebotarewów” podskoczyły. W rozgrywkę o ich względy włączył się wywiad sowiecki. Pojawienie się kolejnego gracza musiało zachwiać rynkiem informacji. Rok 1943 to prawdziwa rewolucja cen! Nie ma się czemu dziwić: skoro był popyt, rosła i podaż. Warszawa awansowała do pierwszej ligi, stając się miastem szpiegów! To zupełnie niedoceniany przez historyków fakt. Już w 1942 roku krzyżujące się interesy wywiadów i służb doprowadzają do kuriozalnych sytuacji. Ot, chociażby akcja w barze Za Kotarą, jedna z najbardziej znanych likwidacji konfidenta przez polski kontrwywiad. Zlecenie na Józefa Staszauera, przewerbowanego przez Niemców członka Podziemia, złożono w październiku 1943 roku. Wyrok miał być wykonany w jego knajpie przy Mazowieckiej. Po prostu proste zadanie: wejść do środka, sterroryzować gości, wylegitymować i zastrzelić tylko jednego. Gdy jednak likwidatorzy wyciągnęli broń, po pistolety sięgnęli też goście. Okazało się, że większość była tu służbowo, tylko Staszauer próbował się bronić gołymi rękami. Skończyło się jatką. Zginęło piętnaście osób, wśród nich kilku agentów i donosicieli rozmaitych niemieckich służb, a także kelnerka, informatorka AK. Kolejny polski agent, Wacław Zagórski, „Lech”, wyszedł z knajpy na kilka minut przed strzelaniną. Nie był wtajemniczony w akcję, ale wyczuł, że atmosfera wewnątrz gęstnieje.

Gdy sobie uświadomimy, że w Warszawie były tysiące agentów, konfidentów, wtyk i szpiegów, przestaje dziwić tak wielka liczba

łapanek. Do dziś pokutuje przekonanie, że była to jedynie forma siania terroru. Tymczasem Niemcy uznali, że takie zarzucanie sieci na polskie służby było po prostu skuteczne, a na pewno skuteczniejsze od misternej gry operacyjnej. Potrafił to również wykorzystać polski kontrwywiad. Rotmistrz Pilecki dał się aresztować w łapance na Żoliborzu. Rezultatem jego kontrolowanej wpadki był raport z Auschwitz, meldunek o bezcennej wartości. Warszawa jest miastem ważnym, stolicą podziemnego państwa, centrum konspiracji. Tu pracuje Komenda Główna AK i kilkadziesiąt innych organizacji podziemnych, Delegatura i podległe jej resorty. Aby skutecznie im przeciwdziałać, Niemcy organizują tu centrale swoich wywiadów i filie resortów siłowych. Warszawa ma także znaczenie strategiczne. Jest najdalej wysuniętym na wschód ośrodkiem niemieckiego dowodzenia w wojnie z Sowietami. W piwnicach Muzeum Narodowego Wehrmacht buduje gigantyczne centrum monitoringu frontu wschodniego, podświetlaną mapę, na której kolorowe światła wskazują na bieżąco pozycje wojska. „Ta wielka instalacja o grubych kablach zasilających funkcjonowała zapewne bez zarzutu, gdyż w zajętej piętze drugim działały niemieckie »Mädel« w mundurach, które siedziały przy aparatach radiowych bez przerwy przez 24 godziny w ilości przeciętnie od 80-100 osób i dostarczały przyjęte z frontu informacje na dół do mapy świetlnej linii frontowych”, opisywał system Stanisław Gebethner, pracownik muzeum. Tajnego centrum nie udaje się Niemcom ukryć. W końcu pada ofiarą szpiegów, tyle że... komunistycznych. Wywiad informuje kogo trzeba, i w lipcu 1944 roku w urządzenie trafia jedna, jedyna zrzucona na muzeum lotnicza bomba. Wpada przez dach, przebijając sufit w gabinecie dyrektora Lorenza<sup>[68]</sup>.

\* \* \*

---

68 Stanisław Gebethner, *Wspomnienia z okupacji*, „Rocznik Muzeum Narodowego w Warszawie” 1967, t. 11, s. 237, 244.



Warszawa jest też wytworna. To pierwszy na zachód od frontu radzieckiego ośrodek o standardach europejskich. Tu żołnierze i oficerowie przyjeżdżają odpocząć po miesiącach ciężkich zmagani i zwyczajnie się rozerwać. Tylko na ulicy Chmielnej działa kilkanaście burdeli nastawionych na obsługę niemieckich garnizonów. A skoro są żołnierze, są i informacje: o sytuacji na froncie, o morale wojska, o nowym uzbrojeniu. Kampania na wschodzie jest kluczowa dla przebiegu całej wojny, a nie każdy umie trzymać język za zębami. Oprócz Rosjan i Niemców w Warszawie mieszkają jednak przede wszystkim Polacy. Rozgadani, rozpolitykowani i zwykli plotkarze. Patrioci, obojętni, zdrajcy. Nikt nigdy nie policzył świadomych i nieświadomych źródeł informacji, podobnie jak nie policzono wszystkich ośrodków zbierających wiadomości. To szara strefa okupacji. Polska konspiracja nigdy nie była monolitem. Dziś mówiąc „podziemie”, myślimy „AK” Chcielibyśmy, by ruch oporu był jeden, wyraźnie podzielony na AK i komunistów. Ale w konspiracji działało mnóstwo partii i partyjek, których interesy tylko czasami były zbieżne. Największe potrafiły się dogadać, inne trzymały dystans albo otwarcie ze sobą walczyły. Do tego istniało kilka ośrodków władzy, zarówno w Londynie, jak i w Warszawie. Każdy z nich uprawiał swoją politykę, zwalczając konkurencję. Jan Nowak-Jeziorański po wylądowaniu w Polsce był nie tyle zaskoczony tym rozdrobnieniem, ile wręcz zbulwersowany jego skalą. Bałagan był tak destrukcyjny, że na misję do kraju zdecydował się Józef Retinger, szara eminencja polskiego podziemia, znajomy premiera Churchilla. Chaos i zamęt – tak podsumował kilkumiesięczną misję w Polsce. Jego zdaniem Anglicy nie byli w stanie zrozumieć struktury krajowych i emigracyjnych władz i z niezadowoleniem patrzyli na panujący w nich bałagan. Okupacja to okres brutalnej wojny domowej, rozgrywek o władzę. Wszystkie jej ofiary wrzucono po wojnie do jednego worka, a o zbrodnie oskarżono Niemców. To ogromne nadużycie. Nikt nie pokusił się o policzenie, ilu bohaterów Podziemia wydali rodacy. W IPN-ie odnajduję niezwykle istotne doniesienie agenta o pseudonimie „Borowski”, byłego członka Podziemia, zapewne AK-owca. Pocho-

dzi z 1950 roku, zostało dołączone do akt procesowych liderów wywiadu Delegatury.

„Borowski” był nie tylko spostrzegawczy, ale także złośliwy. W niezwykle celny sposób wypunktował absurdy roboty organizacyjnej.

„Nieszczęściem ruchu konspiracyjnego owego okresu było to, że najmniejsza nawet grupa czy grupka organizowała natychmiast własną »siatkę wywiadowczą«, co obok roboty wojskowej miało być sposobem »zatrudniania« członków i wywołania w nich wrażenia aktywności. W ten sposób doszło w nich do przerostu akcji wywiadowczej, znajdującego niejednokrotnie wyraz w takich faktach, jak poddawanie inwigilacji osób z jednej grupy politycznej, czy wojskowej – jako »podejrzanych« – przez inną grupę, co robiło wiele niepotrzebnego zamieszania, gdyż osoby poddane inwigilacji nigdy nie były pewne, czy nie znajdują się pod obserwacją Gestapo. To prowadziło do zmiany miejsc zamieszkania, wyłączenia się z »roboty«, uznawania za »spalone« lokali organizacyjnych itp.

Na tle tak powstałego przerostu akcji informacyjno-wywiadowczej dochodziło do nadprodukcji informacji mało ważnych, gdyż ludzie, którzy je zbierali, w większości przypadków nie posiadali innych kwalifikacji, jak »chęć szczerą« wraz z poświadczeniem o doniosłości ich misji.

Wobec jednak znacznej podaży materiału informacyjnego, który tonął zresztą zazwyczaj w archiwach partykularnych, drobnych organizacji konspiracyjnych, bądź spływał z wodą w klozetach podstraszonych z tej czy innej okazji kierowników tej akcji, powstały warunki dla wytworzenia się »giełdy informacji«, na której »zorientowany« i »fachowy« – często przedwojenny element dwójkarski zaczął robić interesy. Cenniejsze, ważniejsze informacje były sprzedawane i kupowane z wydatnym zyskiem dla fachowców, z wykorzystaniem zaś tych, którzy znaleźli miejsce w pracy wywiadowczej dzięki prostej chęci brania udziału w jakiegokolwiek robocie konspiracyjnej czy chęci płynącej z bezintere-

sownej postawy patriotycznej”<sup>[69]</sup>.

„Borowski” zwraca uwagę na istotną prawidłowość. Informacje stają się towarem, na którym można zarobić. A więc niektóre raporty powstają tylko i wyłącznie z myślą o zysku. Z wiarygodnością nie mają wiele wspólnego.

„Bałagan konspiracyjny roboty wywiadowczej, nie dający się zresztą ani zlikwidować, ani ująć w jakieś racjonalne wiązania struktury, właśnie ze względu na warunki konspiracji, sprzyjał zresztą wydatnie przenikaniu informacji z jednych ośrodków do innych, przez co wiadomości, zebrane w jakimś określonym celu stawały się towarem, którego ostatni użytek nie dawał się nawet przewidzieć – pisał »Borowski«. – Specyficzne dla mroków konspiracji – osobiste, przyjacielskie, towarzyskie, miłosne czy rodzinne powiązania między- organizacyjne – stanowiły również ważny, a nieuchwytny współczynnik przenikania informacji. W tych warunkach indywidualna robota jakiegoś cynicznego przedwojennego dwójkarza mogła spowodować nieoczekiwane następstwa”<sup>[70]</sup>.

„Borowski” sugeruje, że rodzinne czy kumoterskie biznesy prowadziły do degeneracji i wypaczenia sensu wywiadu. Zatrudniało się przyjaciół i całe rodziny, żeby dać zarobić swoim. Działalność szpiegowska stała się sposobem na życie, nie służąc celom wojskowym czy politycznym. To spostrzeżenie pasuje do przypadku Wandy Kronenberg, która na szpiegowskiej giełdzie w roku 1943 była już dużym graczem. Niestety, powieliała błędy systemu. Ale ją można jeszcze zrozumieć. Stawką gry było życie: własne, rodziców, brata. Jej pracodawcy z Gestapo i Abwehry nie kryli, że kruche bezpieczeństwo Kronenbergów jest związane z przydatnością zdobywanych przez Wandę informacji. Wanda pracowała więc jak stachanowiec w kopalni. Pisała „berichty”, ra-

---

69 Doniesienie agenturalne. Źródło „Borowski” z dn. 21.10.1950, IPN BU 01251/138/16, s. 88.

70 Tamże.

porty, meldunki. Bzdety, plotki i zwykły szmelc, opakowany w dużą liczbę nazwisk, kryptonimów, stopni wojskowych. Właśnie w ten sposób warto czytać to, co pisze. Meldunków do centrali Gestapo w Berlinie nie znamy. Ale wiemy, co dostarczała AK. W tych dokumentach wyraźnie widać, że przez jakiś czas próbowała walczyć o męża, ale tę batalię przegrała. Potem walczyła o siebie. Udowadniała swoją przydatność, pokazywała, że ma rozbudowane kontakty i zawsze może się przydać. Między wersami daje się wyczuć strach. Po „sprawie warszawskiej” miał nastąpić upragniony wyjazd do Turcji, wymarzona ucieczka, która nie doszła do skutku. Dlaczego? To oczywiste, że Wanda była rozgrywana. Nie była podmiotem, ale przedmiotem gry. W tle cały czas był szantaż, groźba ujawnienia, że tak naprawdę działa na rzecz przeciwnika i że jej pochodzenie wciąż naraża ją na niebezpieczeństwo.

System kija i marchewki znakomicie się sprawdza. Jest do tego stopnia motywujący, że odnajduję Wandę w jeszcze jednym wywiadzie. To właśnie dla niego Wanda staje się „Wera”. Do tej pory pracowała dla SD, SiPo, RSHA, czyli Gestapo, i dla Abwehry, dla AK, być może wcześniej dla NKWD. Teraz pora na „Referat III F”, zwany również „P-3”. To również komórka Abwehry, tyle tylko, że skupiona na innym odcinku aniżeli koledzy z ul. Mazowieckiej. Jej siedziba mieściła się w Alejach Ujazdowskich 20. To prawdopodobnie z tym ośrodkiem był związany Romuald Burbo. Jak ujawnili badacze tematu Jacek Wilamowski i Włodzimierz Kopczuk, rezydentem P-3 był także poszukiwany po wojnie przez polskie służby Franz Grablowski, dla którego pracowała Wanda<sup>[71]</sup>.

Grablowski to typowy wojenny cwaniak. Urodzony w 1913 roku, od 1920 roku mieszka w Polsce, w 1937 zostaje aresztowany razem z matką za pracę na rzecz niemieckiego wywiadu. Od strycz-

---

71 Jacek Wilamowski, Włodzimierz Kopczuk, *Tajemnicze wyspy. Polsko-niemiecka wojna na tajnym froncie*, Warszawa 1990, s. 130.

ka ratuje go wkroczenie Niemców. Z wdzięczności zaczyna pracować dla Abwehry i okazuje się, że ma do tego smykałkę. Tworzy szeroką sieć agentów w Warszawie. Jego placówka zostaje doceniona przez centralę w Berlinie. Grablowski awansuje i dostaje pracę w P-3. Firma jest nastawiona głównie na pracę przeciwko ZSRR. Werbuje agenturę i przerzucają na teren Rosji, ale także „obrabia” polskie organizacje niepodległościowe. Przedziwnym zbiegiem okoliczności Grablowski używa pseudonimu... „Grot”, a Wanda staje się jego najcenniejszą agentką dostarczającą dane na temat rodzimych komunistów. Są to dokładnie te same dokumenty, które dawała wcześniej Gestapo.

Ale Wanda pracuje nie tylko dla Grablowskiego, przeciwko niemu także melduje o wszystkim AK<sup>[72]</sup>. Pisze, że szef posiada mieszkanie na Szucha, w którym spotyka się nie tylko ze swoimi agentami, lecz też z kochankami. W końcu Podziemie organizuje na niego zamach. Rezydent Abwehry uchodzi z życiem i wyciąga odpowiednie wnioski. Zaczyna unikać ostentacyjnego obnoszenia się z wrogością wobec Polaków. Tak samo pokory uczy się Czebotarew. W maju 1943 roku pod wskazany przez „Werę” adres udaje się kilku panów w płaszczach. Wyciągają spluwy i na oczach Czebotarewa zabijają jego gościa, jakiegoś Niemca. Po tej lekcji pułkownik kolaboruje już ze zdecydowanie mniejszym przekonaniem.

---

72 Notatka dot. sieci agenturalnej Grablowskiego Franciszka w okresie okupacji na terenie Warszawy, IPN BU 001043/1367/D, mikrofilm.

## Rozdział 17

### W służbie AS-a

Kriminalkomissar SS-Hauptsturmführer Alfred Spielker to agent z prawdziwego zdarzenia. Pracuje w strukturach niemieckiego wywiadu, ale działa niezależnie i samodzielnie. Jest tak tajemniczy, że odmawia pozowania do grupowego zdjęcia z kolegami z pracy. Poza tym ma same atuty. Po trzydziestce, przystojny: wysoki blondyn o pociągłej twarzy, dobrze zbudowany, rysy nordyckie w stu procentach. Jest fenomenalnie wysportowany, jako jeden z nielicznych wśród esesmanów na Szucha ma odznakę sportową NSDAP. Piekielnie inteligentny, robi błyskawiczną karierę. Służy w Katowicach, potem w Krakowie. W Warszawie melduje się na stałe na przełomie 1942 i 1943 roku.

To już drugi tytan niemieckiego wywiadu, któremu najpierw żona przyprawia rogi, a potem w jego orbicie pojawia się polska agentka. Jakby czuła, że to dla niej szansa, okazja do działania, manipulowania zranionym prosto w serce samcem. Zaczyna się dla niej nowy, niebezpieczny okres. Jej nowy szef to absolutny geniusz zła. Nie, to brzmi za bardzo komiksowo. Raczej perfekcyjna maszyna, którą napędza ambicja, gra dla samej gry, no i złość. Właśnie za sprawą żony. Ona jedna nie dostrzegła w nim ideału. Hilma Spielker była Finką. Budziła powszechny zachwyt. Wyso-

ka, zgrabna, mistrzyni jeździectwa. Alfred poznał ją podczas olimpiady w Berlinie w 1936 roku. Niestety, rozdzieliła ich wojna. Zaczęły się kłopoty. W 1942 roku Hilma postanowiła złożyć mężowi wizytę w Krakowie. Ponieważ akurat tego dnia był w delegacji, poprosił przyjaciela o dyskretną opiekę. Współpracownicy Spielkera z Gestapo zwiertzyli okazję, zorganizowali imprezę. Kumpel stracił Hilnę z oczu. Gdy ją odnalazł, właśnie wybierała się do mieszkania męża. Ale nie sama. Z doktorem Schmidtem. Tym doktorem?! Nie! To tylko zbieżność nazwisk<sup>[73]</sup>. Gdy Spielker wrócił w nocy do domu, zastał parę w łóżku. Cóż, działo się w Krakowie! Być może to wydarzenie spowodowało, że Spielker obsesyjnie pogrążył się w pracy, szukając nowych wyzwań. Pewnego dnia w korytarzu na Szucha wpadł na Wandę. Szybko zapadła decyzja, że Wanda powinna się przenieść z Referatu IV N do niego.

\* \* \*

Spielker błyskawicznie zaczyna budować w Warszawie swoją pozycję superbohatera. Ściąga z Krakowa najzdolniejszych agentów, działa niestandardowo: łączy, zamiast dzielić. Staje na czele powołanej przez siebie komendy do spraw szczególnych, Sonderkommando IV AS, która ma za zadanie rozpracowywać ruch oporu w Polsce – cały, a nie jego poszczególne części. To metodologiczna nowość. Spielker każe sobie raportować o wszystkim: o organizacjach podziemnych, liderach, akcjach i zagrożeniach, nawet o błahych z pozoru wzmiankach w podziemnej prasie<sup>[74]</sup>.

---

73 Protokół przesłuchania gestapowca Schilke Gustawa z dn. 25.05.1954 r., IPN BU 0236/183, t. 47,teczka Alfreda Spielkera, karty 19-20.

74 Notatka dot. Sonderkommando IV AS przy Sicherheitspolizei w Warszawie kierowanego przez SS Hauptsturmführera Alfreda Spielkera z dn. 30 V 1974. Sprawa obiektowa kryptonim „Warta” dot. rozpracowania operacyjnego byłych funkcjonariuszy Sonderkommando IV AS w Warszawie, IPN BU 0236/183, t. 47, karty 118-128.

Dzięki temu w porę dostrzega okazję do działania. Długo po wojnie podpułkownik Stanisław Krawczyk z polskiego MSW rozłożył sukces Spielkera na czynniki pierwsze. Uznał, że warszawskie Gestapo nie tylko bardzo dużo wiedziało o Podziemiu, ale wręcz kreowało jego politykę. Warto przyjrzeć się tej tezie, choć wiem, że brzmi jak tania sensacja.

Wizytówką Spielkera do dziś jest „Prowokacja Nadwywiadu”, operacja tak doskonała, że powinno się ją omawiać w akademiach służb specjalnych. Swoje opracowanie dotyczące metod pracy niemieckiego wywiadu Bernard Zakrzewski, szef kontrwywiadu AK, zaczął właśnie od niej. Nazwał ją z uznaniem „prowokacją w formie czystej”<sup>[75]</sup>. Wszystko zaczyna się jeszcze w 1940 roku. Agenci Gestapo werbują do pracy niejakiego Józefa Hammera, używającego również nazwiska Baczewski. Działają szablonowo. Szantażują go żydowskim pochodzeniem, a ten szybko udowadnia swoją przydatność. Wystawia kilku członków Stronnictwa Narodowego, rok później kilku działaczy ZWZ i Delegatury. Nie zamierza jednak na tym poprzestać. Uzyskuje od Niemców koncesję na handel. Kupuje po hurtowych cenach warzywa po aryjskiej stronie i sprzedaje je z gigantycznym zyskiem w getcie. Podobno zarabia krocie. Nie szasta jednak zdobytym kapitałem, inwestuje go w kupno informacji. Poznaje ludzi z coraz głębszej konspiracji. Dochodzi do tego, że pracuje dla niego dwustu informatorów. Wsyp w Podziemiu nie ma w tym okresie dużo, nikt się więc nie domyśla, że Hammer-Baczewski może być groźny. A ten znacznie wyprzedza pozostałych konfidentów i trafia na czoło listy Birknera, szefa Wandy. W tym czasie w Podziemiu następują duże zmiany. KG ZWZ rozpoczyna rozmowy z przedstawicielami różnych stronnictw politycznych, aby scentralizować system łączności z Londynem i stworzyć sprawny kanał wymiany informacji.

---

75 Bernard Zakrzewski, *Metody postępowania niemieckich organów bezpieczeństwa i wywiadu w dotarciu do polskich ośrodków zorganizowanych*, maszynopis, archiwum Bernarda i Haliny Zakrzewskich, AAN, s. 21.



Hammer dowiaduje się o tym i wpada na bezczelny pomysł podłączenia się pod ten strumień. I tu na scenę wkracza Spielker. Z niemieckiego nasłuchu polskich radiostacji wie, że do Polski zostanie wkrótce zrzucony kurier z odpowiednim pełnomocnictwem generała Sikorskiego. Prawdziwy kurier zostaje złapany i zabity, na jego miejsce wystarczy podstawić własnego. Casting wygrywa Hammer- Baczewski. Jest bezwzględny, ma maniery wodza i spore rozeznanie. Doskonale wykorzystuje fakt, że konspiracja składa się z wielu grup i koterii, między ośrodkami panuje nieufność, targają nimi spory kompetencyjne. Szybko przekonuje część Podziemia, że oto pojawił się w Warszawie on, wysłannik samego Sikorskiego, i wymaga posłuszeństwa oraz dyskrecji. Przecież ma być organem kontrolnym.

Konspiratorzy jakby tylko na to czekali. W ręce Hammera zaczynają trafiać dziesiątki, potem setki meldunków. Jest ich tyle, że Hammer zatrudnia pomocników. To oczywiście funkcjonariusze z Szucha, świetnie mówiący po polsku. Otto Schulz staje się kapitanem Zasławskim, Gustaw Schulz majorem Zawadzkim. Raportują bezpośrednio Spielkerowi, który organizuje na ich potrzeby konieczne środki. Łącznie na zakup informacji Nadwywiad przeznacza trzysta tysięcy złotych. Jednak sukces prowokacji polega na tym, że zdecydowana większość informatorów pracuje za darmo. Spełniają przecież patriotyczny obowiązek! „Nadwywiad rządu londyńskiego” to kontroler całego Podziemia, który ma uzdrowić chorą sytuację. Zdaniem Bernarda Zakrzewskiego aż 95 procent członków grupy działało w głębokim przekonaniu, że mają zaszczyt pracować dla najbardziej zakonspirowanej polskiej jednostki. Niemcy, werbując współpracowników, ostrzegają ich, że fakt współpracy należy trzymać w głębokiej tajemnicy, nawet przed przełożonymi z ramienia ZWZ czy partii politycznych. To nobilituje, pozwala poczuć się wybrańcem. Prosta i perfidna sztuczka. System działa długo, zdecydowanie za długo – aż do 30 sierpnia 1942 roku. Dopiero wtedy kontrwywiad likwiduje Hammera i rozpoczyna żmudną operację rozbijania kolejnych struk-

tur organizacji. Najtrudniejszą sprawą jest przekonanie Bogu ducha winnych „zdrajców” do zrozumienia „winy” i przejścia z powrotem na stronę polską. Ilu agentów niemieckich pracowało ostatecznie w strukturach Nadwywiadu? Władysław Pantera-Boczoń, jeden z podwójnych agentów, zeznając po wojnie stwierdził, że poznał 258 nazwisk i pseudonimów. Wśród nich byli pracownicy Komendy Głównej ZWZ, wywiadu i kontrwywiadu. Dzięki ich pracy Spielker znał dokładnie skład dowództwa, począwszy od generała Grota-Roweckiego i szefów sztabów, poprzez poszczególne oddziały, całą Delegaturę i jej departamenty oraz liderów większych organizacji podziemnych przed konsolidacją w AK. „Jednym słowem cały teren był opanowany, obsadzony przez Gestapo. W tomach pracy, jakie dostałem do przejrzenia, stwierdziłem, że nie ma rzeczy, której Gestapo nie wie. Podziemie było całkowicie kontrolowane i niejako sterowane przez panów z al. Szucha bądź też z Krakowa”, zeznał Boczoń. Przesadzał, ale miał wiele racji<sup>[76]</sup>.

Tymczasem Spielker dopiero się rozkręcał. Z czasem uzyskał dostęp do grypsów pisanych przez aresztowanych z Pawiaka, czytał zapisy podsłuchu telefonicznego zorganizowanego przez ZWZ przy ulicy Tamka 45. Umieszcawiał agentów blisko najważniejszych ludzi AK. Jego pracownicą była na przykład gospodyni lokalu komendy głównej przy ulicy Zielnej w Warszawie. Spielker wiedział tyle o delegacie Jankowskim, że mógł go aresztować w każdej chwili. A jednak tego nie zrobił: wolał kontrolować, nie niszczyć, po ostateczne środki sięgać tylko wtedy, gdy zawiodą inne metody.

\* \* \*

Stoję na brukowanym skrzyżowaniu Długiej i Bohaterów Getta,

---

76 Zeznania Władysława Pantery Boczoncia w aktach sprawy Myślińskiego i innych, IPN BU 01251/138/32, s. 83.

dawnych Nalewek. Po lewej stronie mam budynek Arsenалу, po prawej pustkę. Kiedyś wznosił się tu Pasaż Simonsa, jeden z najbardziej eleganckich domów handlowych starej Warszawy. To, co zaraz napiszę, jest straszną herezją, ale nie wymyśliłem tego sam. Bernard Zakrzewski, szef kontrwywiadu KG AK, nigdy nie ogłosił publicznie wyników swojego prywatnego dochodzenia. Zbierał relacje, dokumenty, materiały po to, by w końcu schować je do teczki, która po jego śmierci trafiła do archiwum. Bał się? Nie był do końca pewien? Wydaje się raczej, że nie chciał niszczyć narodowego mitu.

Patrzę na budynek Arsenалу. W *Kamieniach na szaniec* Aleksander Kamiński opisuje wydarzenia, które się tu rozegrały, w następujący sposób:

„– Precz stąd – krzyczy Zośka. – Odejdź, jeśli ci życie miłe!

Ogłupiały policjant wyciąga jednak pistolet i podnosi go w kierunku Zośki. Zośka naciska spust, policjant, chwytając się za bok, pada na jezdnię i leżąc, oddaje kilka strzałów...”

I dalej:

„Alek otwiera tył więźniarki. Oniemiali w pierwszej chwili więźniowie rzucają się teraz gwałtownie ku wyjściu, gniotąc leżącego na noszach, na pół przytomnego młodego człowieka. Dopiero gdy cała grupa dwudziestu pięciu cudem wyzwolonych więźniów wywaliała się z wozu, ukazuje się wypełzający na czworakach przez ławki Rudy.

– Jest! Jest! – wrzeszczy ucieszony głos. – Jest Rudy!”<sup>[77]</sup>.

To jeden z najbardziej przejmujących fragmentów książki. Scena odbicia z rąk okupanta podporucznika Jana Bytnara 26 marca 1943 roku znajduje się w kanonie narodowych legend. Oprócz Rudego Szare Szeregi uwolniły wtedy dwadzieścia osób, połowę z nich stanowiły kobiety. Wśród pasażerów furgonetki znajdował się także Ryszard Walter, pseudonim „Doktor”.

---

77 Aleksander Kamiński, *Kamienie na szaniec*, Warszawa 1999» s. 168–169.

To bardzo dwuznaczna postać. „Doktor” jest inżynierem radio-techniką, oddaje Podziemiu kolosalne usługi. Niestety, zostaje aresztowany 6 czerwca 1942 roku i... tu zaczyna się jego zagadkowa transformacja. Zdaniem szefa kontrwywiadu AK mógł zostać przez Niemców złamany. W okresie aresztowania występuje bowiem z propozycją, że w zakładzie mechanicznym na Pawiaku skonstruuje aparat nadawczy. W grypsach prosi Podziemie o przekazanie mu niezbędnych do tego elementów. Chce nadawać z więzienia prosto do Londynu! Jak pisał Zakrzewski, niecodzienna propozycja od razu wzbudziła podejrzenia. Z daleka czuć było niemiecką prowokację<sup>[78]</sup>. Wątpliwości były o tyle zasadne, że Walter zaraz po uwolnieniu z furgonetki, mimo izolacji pod Warszawą, usiłował nawiązać kontakt z Niemcami. Co to oznaczało? Wniosek nasuwa się sam: albo wydostał się na wolność przypadkiem, albo cała akcja pod Arsenalem była niemiecką ustawką. Gestapo, wiedząc o planowanej próbie odbicia „Rudego”, umieściło „Doktora” wśród eskortowanych i pozwoliło grupom szturmowym uwolnić aresztowanych. W ten sposób udało się „zalegalizować” jego powrót do Podziemia.

Taką hipotezę potwierdza tajny współpracownik SB o pseudonimie „Czwartek”, konsultant historyczny resortu w latach siedemdziesiątych. „Czwartek” napisał, że Gestapo nie poprzestało na jednej próbie „zorganizowania” odbicia więźniów, że takie akcje były co najmniej dwie.

„Odbicie” dawało Niemcom podwójną korzyść. Uratowany mógł nadal działać w swoim zakonspirowanym środowisku, mógł też pojawić się w nowym, z punktu widzenia Gestapo ważniejszym.

Jeśli akcja pod Arsenalem była ustawką, to trzeba przyznać, że niemiecka perfidia osiągnęła w niej szczyt. W momencie odbicia „Rudy” nie miał już żadnych szans na przeżycie. Niemcy nie tylko pozbyli się trupa, ale jeszcze ulokowali w Podziemiu „kreta”.

---

78 Bernard Zakrzewski, *Metody postępowania...*, dz. cyt., s. 102–103.

„Czwartek” twierdził, że Gestapo, organizując „odbicie”, gotowe było poświęcić nawet życie niemieckich policjantów osłaniających furgonetkę, byle tylko „zalegalizować” informatora<sup>[79]</sup>. Do dziś niewyjaśniona pozostaje także kwestia odwołania pierwszej próby odbicia „Rudego”. Akcja miała się początkowo odbyć w tym samym miejscu, 25 marca 1943 roku. Tego dnia furgonetka przejechała pod samym nosem „Zośki”, ale ten mógł na nią tylko bezsilnie popatrzeć. Szare Szeregi nie uzyskały na czas zgody na działanie od władz warszawskiego Kedywu. Ta pojawiła się dopiero po kilku dniach, stąd kolosalne opóźnienie, przez niektórych uznawane potem za pośrednią przyczynę śmierci Bytnara. Te informacje są szokujące. Ale czy „ustawienie” słynnej akcji, jeśli ta hipoteza w ogóle ma rację bytu, niszczy legendę Szarych Szeregów? Absolutnie nie, każe jednak nieco inaczej patrzeć na możliwości Gestapo. Trop tej konkretnej prowokacji prowadzi właśnie do kapitana Spielkera. To właśnie on – według „Czwartka” – wprowadził do niemieckich działań organizowanie tego typu „ustawek”.

Trop prowadzi jeszcze w innym kierunku, do „szarej strefy” warszawskiej okupacji – środowiska masonów. Ryszard Walter był wolno- mularzem, działał w loży Memfis Mizrahim. W warunkach okupacji znaczyło to tyle, że spotykał się na herbatkach z braćmi i rozmawiał. Warszawscy masoni na wielką, światową politykę nie mieli żadnego wpływu, ale środowisko to było mocno infiltrowane przez Niemców, między innymi przez znanego nam już Borysa Smysłowskiego.

Smysłowski udzielał się nie tylko w Memfis Mizrahim, działał również w warszawskiej loży Piramida Północy, a także, jak chce część jego biografów, przewodniczył kapitule Pelikan pod Jutrzenką Wschodzącą i pełnił funkcję wielkiego egipskiego konserwatora obrządków Wielkiej Mistycznej Świątyni na Polskę<sup>[80]</sup>. Człowieka z zewnątrz takie egzotyczne nazwy mogą śmieszyć.

79 TW ps. „Czwartek”, Informacja z 10 XII1973 r., IPN BU 0236/183/47.

80 Nie jest wykluczone, że Bernard Zakrzewski pomylił tu Ryszarda z jego bratem Romanem Walterem, „Waltari”.

Tymczasem niemiecki wywiad traktował spotkania na gruncie masońskim z absolutną powagą jako jedną z metod dotarcia do Podziemia. Jak pisał Zakrzewski, na wspólny z Polakami udział w masonerii powoływał się zastępca warszawskiego Gestapo, doktor Kah. Wiedział od Smysłowskiego, że przed wojną do wolnomularstwa należało wielu polskich polityków, wojskowych, liderów opinii publicznej. Masonem był minister Józef Beck, a także Hipolit Gliwic, przedwojenny senator, polski przedstawiciel w Lidze Narodów, w czasie okupacji współpracownik Delegatury Rządu na Kraj. Zadenuncjowany na Szucha, został aresztowany, a ponieważ bał się, że nie wytrzyma tortur, połknął truciznę. Tymczasem rozmowa z Gestapo, jak pisał Zakrzewski, była miła i kulturalna. Polityk został wypuszczony i... zmarł. Trucizna zadziałała z opóźnieniem.

Doktor Kah sugerował dyskretnie, że chce się z masonami spotykać. Choćby u jakiejś starszej hrabiny na podwieczorku, zupełnie niezobowiązująco. Czytelne sygnały do Polaków wysyłał również Borys Smysłowski. Czy to on stał za uwolnieniem Waltera? Nie ma na to przekonujących dowodów. Wiadomo jednak, że spotykał się w Warszawie z liderami Gestapo i brał udział w opracowaniu „niekonwencjonalnych” metod dotarcia do polskiego podziemia. Czy masońską ścieżką podążał również kapitan Spielker? W dokumentach polskiego kontrwywiadu nie znalazłem potwierdzenia takiej tezy, a jednak *modus operandi* w obu przypadkach jest podobny. Próba ulokowania w szeregach Podziemia „Doktora” i „Prowokacja Nadwywiadu” są do siebie podobne, wzięte z tego samego podręcznika służb specjalnych.

A gdzie w tym wszystkim baronówna Kronenberg? Tłumacz Spielkera, przesłuchiwany w latach siedemdziesiątych, zeznał, że jego szef bardzo szybko docenił jej umiejętności. Wśród agentek cenił szczególnie dwie: baronową von Hohenstein lub Hohenberg (PRL-owskiemu wywiadowi nie udało się jej zidentyfikować) i

właśnie Wandę. Wykorzystał ją do kilku operacji<sup>[81]</sup>.

Pierwsza polegała na zbliżeniu politycznym z obozem narodowców, a także wyłuskaniu polityków starej sanacji, odsuniętych od władzy w okresie wojny przez kierownictwo AK. Chodziło o polsko-niemiecką walkę z komunistami. Bernard Zakrzewski w nieopublikowanym do dziś opracowaniu na temat prób przeniknięcia niemieckich służb do struktury AK napisał, że Spielker z uporem maniaka tłumaczył swoim na Szucha: jeśli Niemcy chcą mieć wreszcie spokój w Warszawie, muszą się z niektórymi Polakami dogadać. Zakrzewski zwrócił też uwagę na wypowiedź jednego z pracowników radomskiego Gestapo: „Londyn miał AK, Moskwa miała AL, a myśmy też chcieli mieć swoją organizację i dlatego szukaliśmy kontaktu z NSZ”<sup>[82]</sup>.

Wanda, która pierwsza się w tym wszystkim zorientowała, informuje AK o nowej strategii. W raporcie numer 19 pisze, że z Berlina nadeszły instrukcje: „Należy podwoić siłę i ostrość akcji antykomunistycznej, a zostawić nacjonalistów polskich w spokoju, jako że ci ostatni zajmują stanowisko bierne wobec Niemców, tzn. nie występują czynnie, po drugie: faktycznie istnieje silny rozłam między wolnościowymi organizacjami a komuną (...) istnieje silny antagonizm i zwalczanie się nawzajem – niestety w zbyt małym zakresie. Po trzecie: korzystnym byłoby i należy do tego dążyć, aby zdobyć nacjonalistów polskich nawet do nieoficjalnego zwalczania komunistów, a więc współpracy z Niemcami na tej platformie”.

Druga operacja, w której Wanda bierze udział, jest z punktu

---

81 Notatka w sprawie Mauthego Ericha i jego zeznań na temat jego przynależności do Gestapo w latach 1940–1945 z dn. 23 VII 1974. Sprawa obiektowa kryptonim „Warta” dot. rozpracowania operacyjnego byłych funkcjonariuszy Sonderkommando IV AS w Warszawie, IPN BU 0236/183 t. 47, karta 140.

82 Bernard Zakrzewski, *Kontrwywiad ZWZ-AK w walce z organami represyjnymi okupanta*, marzec 1973 r., Archiwum Bernarda i Haliny Zakrzewskich, AAN, sygn. 69, s. 10.

widzenia Spielkera ważniejsza. Szef Edith Müller musi bowiem stoczyć prawdziwy pojedynek o własną skórę. Wielkie działa wytacza przeciwko niemu najbliższy sojusznik – doktor Kah. Wanda, jak to ma w zwyczaju, pomagając obu, pomaga sobie. Znowu wychodzi z opresji bez szwanku, mimo że tym razem walczy z całą koalicją niemiecko-polską. Po raz pierwszy bowiem macierzysta firma, czyli polski kontrwywiad, wystawia ją do wiatru.



## Rozdział 18

# Ryzykowna partia herbaciarza

Raporty Wandy dla AK urywają się nagle w kwietniu 1943 roku. W grudniu współpraca z Podziemiem zostaje wznowiona. Odnajduję kolejny raport, w nim świeże dane, szczegóły, nazwiska. Co się działo przez osiem głuchych miesięcy? Wanda nigdy tego nie ujawniła, ale polski kontrwywiad zdobył na ten temat informacje. Kronenberg wzięła udział w śmiertelnie niebezpiecznej rozgrywce, w której pierwsze skrzypce grali trzej panowie: dwaj wysocy funkcjonariusze niemieckiego wywiadu z alei Szucha i przedsiębiorca z branży spożywczej, przemili handlarz herbatą.

Dwóch pierwszych już znamy. SS-Sturmbannführer doktor Ernst Kah to szef Służby Bezpieczeństwa, czyli Wydziału III na Szucha. To on, razem z doktorem Hahnem i Birknerem, zastanawiał się pod koniec 1942 roku, czy wyeliminować Wandę z gry. Kah tonował wtedy nastroje, ewidentnie jej bronił. Mimo to Wanda w swoich raportach do AK nie sprawia wrażenia wdzięcznej. Sugeruje, że komendant SD na Warszawę bacznie jej się przygląda. Zaprasza ją do siebie, zasypuje dociekliwymi pytaniami. Chce wiedzieć, na czym polega jej konflikt ze Smysłowskim, co konkretnie robi dla SiPo i SD. Gdy pan doktor (Kah lubi podkreślać swój tytuł naukowy, jest doktorem filozofii) zaczyna drażnić bardziej stanow-

czo, Wanda zręcznie się wywija, zasłaniając tajemnicą służbową. To robi na nim duże wrażenie. Okazuje się, że esesman filozof lubi twardych graczy.

11 grudnia 1942 roku niejaki Lochelt, pracownik Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy, wchodzi bez zapowiedzi do gabinetu doktora Kaha i zastaje go „przy dość niepochlebnym zajęciu a mianowicie: przeglądaniu złożonych u siebie w szufladzie biurka brylantów. Wpłynęło to źle na humor dr. Kaaha i naturalnie wyrażał się źle o wszystkich, nie omijając nawet i mnie”, podsumowuje wydarzenie Wanda w raporcie dla AK. Brylanty? W służbowym biurku na Szucha? Cóż, każdy ma swoje słabostki, ale przeglądanie w pracy kosztowności niejasnego pochodzenia może ściągnąć na głowę Kaha kłopoty. Wanda donosi również, że doktor nie jest wcale tak ideowo czysty, jak wygląda. Miewa spore wątpliwości co do przyszłości III Rzeszy. Podobno powiedział doktorowi Schmidtowi w zaufaniu, że „czarno patrzy na przyszłość i możliwość zwycięstwa na Wschodzie”. Trzeba przyznać, że to dość niekonwencjonalne wyznanie jak na oficera wywiadu tak wysokiego szczebla. Ale to, co Wanda pisze potem, ociera się już o zupełną fantazję. Zdaniem Kronenberg doktor Kah miał być świadkiem, jak Himmler podczas warszawskiej wizyty w drugiej połowie 1942 roku wściekał się, że Żydzi „jeszcze tu są”, a getto nadal istnieje. Żądał, aby je natychmiast zlikwidować, ostatnie transporty do Treblinki wysłać natychmiast. Po jego wyjeździe do Berlina konkurencyjne służby wywiadowcze miały się na siebie wręcz rzucić. „Szef Wehrkreiskommando w GG w porozumieniu z centralą w Berlinie zapowiedział, że o ile Gestapo rozpocznie jakiegokolwiek kroki w kierunku likwidacji Ghetta, to wojsko obstawi je i gotowe jest bronić Ghetta w całym słowa znaczeniu, gdyż warsztaty żydowskie wykonują zamówienia od Wehrmachtu, a pozostali jeszcze przy życiu żydzi stanowią dla nich cenny materiał robotniczy”, pisze Kronenberg<sup>[83]</sup>. Niemiecka wojna domowa

---

83 Raport „Lidy” nr 19 z dn. 5 II 1943 r., AAN, 203-III-125, karta 63.

o życie ostatnich polskich Żydów? To dość smakowity kąsek dla autorów książek science-fiction.

„Lida” więcej o doktorze Kahu nie pisze. Nie musi. Działać zaczyna sam doktor. Ryzykując karierą i życiem, zwraca się do Armii Krajowej po pomoc. Dlaczego jej potrzebuje? Sieci zarzuca na niego demoniczny kapitan Spielker, kolega z trzeciego piętra na Szucha.

Nie na darmo wydział Spielkera nazywa się AS. Kapitan szybko orientuje się, że doktora Kaha można kupić i że esesman szczególnie estymą darzy brylanty. Być może wspomniany Lochelt ma długi język, może Spielker trafia na trop inaczej. W każdym razie ustala, że klejnoty dostarczała Kahowi... Wanda.

Brylanty mogą pochodzić z dwóch źródeł. Pierwsze to polska arystokracja. Wiadomo było, że Kah pozwala się zapraszać do majątku rodziny Potockich w podwarszawskiej Jabłonnie i dużo czasu spędza tam na brydżu i polowaniach. Rezultatem zażyłości są wzajemne przysługi. Ktoś wychodzi na wolność, ktoś zatrzymuje zagrożony konfiskatą majątek, kolejny brylant trafia do kolekcji doktora. Nic tak nie zbliża jak miłe gesty! Wanda pochodząca ze znakomitej rodziny mogła pośredniczyć w tych kontaktach. Kronenbergowie byli skoligaceni z Zamoyskimi, Potoccy przed wojną gościli w Wieńcu. Szlachetne kamienie mogą pochodzić także od bogatych Żydów ukrywających się jeszcze w getcie lub po aryjskiej stronie. Za gwarancję życia płacą klejnotami, złotem lub dolarami. Niewykluczone, że do kwietnia 1943 roku transakcje te odbywały się za pośrednictwem Salonu Sztuki. Ale jest i trzecia możliwość. Ktoś ofiarował Kahowi kosztowności za przysługi o charakterze politycznym. Czy zatem ten arcyważny gest-powiecieć był kretem? Jeśli tak, to czym? Spielker postanawia to wykryć, nie tracąc czasu na dyskretne podchody.

Informuje Kaha, że gra jest skończona i powinien szykować kożuszek na front wschodni. Co robi Kah? Tu się zaczyna fascynująca operacja, której kulisy zdradzili po wojnie dwaj pracownicy polskiego kontrwywiadu: słynny Kazimierz Leski, „Bradł”, oraz

zupełnie nieznany Adam Steinborn, dyrektor Krajowej Hurtowni Herbaty Szumilin. I to jest właśnie trzeci bohater tej historii. Jego zapomniany dziś tekst jest niezwykle ważny dla tej opowieści i pokazuje Wandę w bardzo ciekawym świetle.

Steinborn zaczyna znajomość z doktorem Kahem już w 1939 roku, tuż po kampanii wrześniowej. Scena jest isticie filmowa: „Wszedł wysoki, elegancki wojskowy. Jego wygląd skojarzył mi się ze wspomnieniem z dzieciennych wakacji w Jelitkowie koło Oliwy, gdzie widywaliśmy regiment kawalerii niemieckich huzarów (Totenkopfhusaren z Wrzeszcza): taki sam krój munduru i emblemat trupiej główki na czapce. Pomyślałem naiwnie, że ten Niemiec jest oficerem niemieckiej kawalerii. On tymczasem wyjaśnił nam, że jest wydelegowany z ramienia władz niemieckich Warszawy do Izby Przemysłowo- Handlowej dla zorientowania się w sytuacji gospodarczej miasta, jest bowiem odpowiedzialny za uruchomienie wszystkich, nie funkcjonujących przecież po oblężeniu, urządzeń użyteczności publicznej (wodociągi, gaz, elektryczność itp.). Rozmowa była raczej spokojna, grzeczna, bez cech niemieckiej brutalności”, pisze Steinborn<sup>[84]</sup>.

Adam Steinborn pochodzi z polskiej, patriotycznej rodziny. Wychowywany na początku wieku w należącem wtedy do Prus Toruniu, doskonale zna Niemców: ich język, obyczaje, cechy narodowe. W dzieciństwie narażony na ataki i przykrości z ich strony, uczy się szybko, że najlepszą obroną są opór i nieustępliwość. „W przypadku odważnego i ostrego postawienia się przez Polaka – Niemiec nie atakuje”, wspomina. Ponieważ jest oficerem rezerwy, po kampanii wrześniowej grozi mu internowanie w oflagu. Ale jest także dyrektorem firmy niezbędnej dla aprowizacji mieszkańców miasta. Kah zaprasza go na Szucha, by omówić problem. Niedługo potem do Steinborna zgłasza się polski kontrwywiad.

---

84 Adam Steinborn, *Wspomnienia z lat 1939–1945*, „Rocznik Warszawski” 1987, t. 19, s. 151–187.

Bernard Zakrzewski uznaje, że dyrektor, ze swoją flegmą, poczuciem humoru i odwagą, ma wrodzony talent do... szpiegostwa. Steinborn zostaje tajnym polskim agentem z absolutnym zakazem angażowania się w zabawy z bronią. Utrzymywanie kontaktu z Kahem jest jego jedynym zadaniem.

Herbaciarz i esesman przypadają sobie do gustu. Doktor Kah pochodzi z dobrej, mieszczańskiej rodziny. Zna się na muzyce, sztukach pięknych, jest inteligentny i skrzętnie ukrywa wrogi stosunek do Polaków. Pan dyrektor za każdym razem wręcza mu paczkę herbaty, czasem prosi o interwencję. Podobno to Steinbornowi warszawiacy zawdzięczają zdjęcie tabliczek *Nur für Deutsche* z wejścia do parku Ujazdowskiego, ogrodu botanicznego i parku Skaryszewskiego. Steinbornowi udaje się przekonać Niemca, że takie zakazy budzą agresję mieszkańców stolicy. Z czasem dyrektor staje się dla gestapowca przewodnikiem po nastrojach społecznych. Tłumaczy mu, dlaczego likwidacja Igo Syma, aktora kolaboranta, musiała nastąpić i dlaczego rozstrzelanie w odwecie polskich obywateli jest pogwałceniem norm moralnych. Niemiec przyjmuje argumentację Polaka, inna sprawa, czy bierze ją pod uwagę przy wydawaniu rozkazów. Łapanki i egzekucje trwają nadal. Jednak i tak zażyłość obu panów przynosi kontrwywiadowi wymierne korzyści. Kah bezwiednie zdradza szczegóły dotyczące pracy Gestapo, a dzięki częstym odwiedzinom na Szucha Steinborn może się zorientować w rozkładzie i funkcjonowaniu osławionego gmachu. Tak zdobyte informacje przydają się Podziemiu w planowaniu zamachu na Franza Kutscherę. Herbaciarz miał podobno zapamiętać, jakim autem jeździ szef warszawskiej policji. Sprawy komplikują się, kiedy do Warszawy przyjeżdża Alfred Spielker i zabiera się za porządki. Zauważa, że centrala Gestapo jest jak sito, przez które informacje wyciekają na zewnątrz. Krzywo patrzy też na jawne kontakty Kaha z polską arystokracją. Postrawia zburzyć ten układ i wtedy, z całkiem praktycznych powodów, pojawia się kwestia brylantów. Resztę już znamy.

Po rozmowie z kapitanem doktor Kah dzwoni do Steinborna i prosi go o szybki przyjazd na Szucha. Wręcza zaskoczonemu Polakowi klucze do swojego mieszkania w niemieckiej dzielnicy i prosi o przysługę. Steinborn ma wejść do środka i zabrać z biurka kopertę z dokumentami, zanim znajdzie ją Spielker. Szef AS-a właśnie szykuje rewizję w mieszkaniu kolegi.

\* \* \*

Oddajmy głos Kazimierzowi Leskiemu<sup>[85]</sup>. „Bradł” pisze, że prośba doktora Kaha była dla AK zdumiewająca. Kah musiał wiedzieć, że Podziemie zajrzy do teczki i wejdzie w posiadanie tajemnic, od których będzie zależeć jego los. W dodatku Kah wciąga herbaciara prosto w paszczę lwa. Najdrobniejsze potknięcie może wyeliminować z gry cennego agenta. Zapada jednak decyzja, że gra jest warta świeczki. Steinborn z duszą na ramieniu idzie do domu esesmana, wynosi teczkę i oddaje jej zawartość do sfotografowania. W środku znajdują się meldunki Wandy. Kah daje Podziemiu do zrozumienia, że ratując siebie, uratował także ją. Polacy są jednak zaskoczeni. Agentka nic o tej współpracy nie wspominała. Wręcz przeciwnie, dystansowała się od Kaha w swoich raportach. Komu służy jej współpraca z doktorem? Okazuje się, że działa w imieniu tajemnicznej arystokratki z Wiednia!

„(...) oprócz korespondencji z wiedeńską hrabiną były tam meldunki Wandy Kronenberg dla Doktora i kopie jej meldunków dla naszego wywiadu. Mieliśmy więc dowody jej podwójnej gry. Chociaż materiały Kronenberg były fantazją, niebezpieczeństwo polegało na tym, że strona polska mogła nie wiedzieć o miejscach spalonych »informacjami« Kronenberg i moglibyśmy z nich przez przypadek korzystać. W kopercie były również materiały – te przede wszystkim ukrywał Doktor przed swym rywalem Spielkerem – mówiące o korzyściach materialnych, jakie za pośrednic-

---

85 Kazimierz Leski, *Życie niewłaściwie urozmaicone. Wspomnienia oficera wywiadu i kontrwywiadu AK*, t.1, Gdańsk 2009, s. 182–188.

twem Kronenberg otrzymał rzekomo Doktor od hrabiny w Wiedniu. Nie udało się nigdy ustalić, jaki charakter miały te »wyplaty«” wspomina Steinborn. Leski zaś twierdzi, że materiały Kronenberg nie były dokładne. Mówiły o rzekomych zgrupowaniach partyzanckich, miejscach przechowywania broni. Polski kontrwywiad sprawdza te informacje – okazują się fałszywe.

Ludzie Spielkera rewidujący mieszkanie oczywiście niczego nie znajdują. Ten się tym nie przejmuje i oznajmia Kahowi, że tak naprawdę w całej sprawie nie chodzi o niego, tylko o... Edith Müller. Dziewczyna jest wtyką AK, a Kah, bezkrytycznie korzystając z jej pracy, wprowadza berlińską centralę w błąd. To zarzut dużego formatu: oznacza, że albo pan doktor ma nonszalancki stosunek do obowiązków i bezkrytycznie łyka bujdy podwójnej agentki, narażając na szwank dobre imię niemieckiego wywiadu, albo celowo działa na rzecz wroga! To grozi oskarżeniem o zdradę, degradacją i śmiercią.

Tymczasem Leski zaczyna się zastanawiać, o co w tym wszystkim chodzi i jaką rolę odgrywa Wanda, która z pewnością kiwa wszystkich uczestników tej gry. Kim jest „wiedeńska hrabina”? Polski kontrwywiad utyka w martwym punkcie i decyduje, że pomocną dłoń wyciągnie nie do Wandy, a do... esesmana.

Steinborn gra z Kahem w otwarte karty. Ujawnia, że jest pracownikiem polskiego wywiadu i może mu zaproponować układ. Kah stanie się polską wtyką na Szucha, a Polacy oczyszczą go z zarzutów. Sprokurują kwity dowodzące, że to on, Kah, rozgryzł Wandę i jej ciemne szpiegowskie machinacje. Złapał ją na gorącym uczynku, udowodnił pracę dla wroga przy całkowitej bezczynności jej przełożonego, Spielkera. W ten sposób odsunie zagrożenie od siebie i ściągnie kłopoty na głowę rywala. Esesman zgadza się bez wahania. Trudno, Wanda musi zostać kozłem ofiarnym. Albo ona, albo ja. Czy tak pomyślał Kah, skazując ją na pewną śmierć?

To wszystko rzeczywiście brzmi nieprawdopodobnie. Jeden z najważniejszych Niemców w Warszawie za pomocą AK chce zniszczyć konkurenta z Gestapo. Ofiarą rozgrywki ma być inna gwiazda Gestapo i Abwehry, zaledwie 22-letnia Wanda Kronenberg. Kah jest zdeterminowany. Oddaje Steinbornowi do dyspozycji własny samochód z kierowcą, ponieważ komórka produkująca materiały mieści się za miastem. Do tego dorzuca pistolet, a nawet dwa granaty! „Uprzedziwszy żonę, że pozostanę w Firmie po godzinie policyjnej, wyszedłem o umówionej godzinie przed dom. Zajechał samochód Doktora. Szoferowi wskazałem drogę przez most Poniatowskiego, co go zaniepokoiło, bo »po drugiej stronie jest bardzo niebezpiecznie«. Jechał szybko, na przygaszonych światłach, a w momencie spotkania na mieście patrolu niemieckiego dodał gazu, tłumacząc, że »nikomu w tej Warszawie nie można wierzyć. Polacy przebierają się w mundury niemieckie i napadają na Boga ducha winnych Niemców, i to właśnie w nocy«. (...) Dojechaliśmy do Anina i zgodnie z wcześniejszym ustaleniem zatrzymaliśmy się na zakręcie szosy, przed torami kolejowymi; podszedł uzbrojony łącznik, któremu poleciłem zostać przy wozie; zdenerwowany szofer prosił, żebym przekazał koledze, by go czasem nie zastrzelił, i żebym prędko wrócił.

Poszedłem do mieszkania »Szana« (był to kolega Grzybowski; zginął w powstaniu na Alei na Skarpie) i tam otrzymałem sprokurowane materiały stanowiące »dokumentację« faktów, że raporty Kronenberg były nieprawdziwe, że próbowała ona pracować »na dwa fronty« i że Doktor prawdopodobnie świadom był jej mitomanii. Umożliwiło to Doktorowi przedstawienie całej sprawy jako prowokacji” [86], pisze Steinborn.

Wanda nie mogła się już wyplątać. To były oczywiste dowody zdrady.

Spielker dostaje na biurko sprokurowany materiał. Otwiera teczkę i widzi dokumenty udowadniające, że kretem nie jest dok-



tor Kah, ale jego podwładna, Wanda Kronenberg. Wiele bym dał, aby zobaczyć wtedy jego minę. Czy zaśmiał się pod nosem i kiwnął głową ze zrozumieniem? A może przeciwnie, walnął pięścią w stół i kazał natychmiast sprowadzić Wandę w kajdankach? To, co dzieje się dalej, wymyka się racjonalnej ocenie. Spielker raportuje do Berlina, a stamtąd spływa Salomonowe rozstrzygnięcie. Doktor Kah dostaje „awans” na komendanta Sicherheitsdienstu całego okręgu wrocławskiego. Musi opuścić Warszawę. Spielker zostaje i może napawać się zwycięstwem. W dodatku ma w ręku dziewczynę i herbaciarza. Pewnego wiosennego dnia 1944 roku dzwoni do Steinborna. Brutalnie informuje go, że to koniec, zaprasza na Szucha. Pokój 354 A, i niech się nie zgubi.

Trudno sobie wyobrazić, co czuje przedsiębiorca. Może zniknąć, wyjechać, może prosić kontrwywiad o obstawę, ale co by to dało? Steinborn ubiera się więc elegancko, jak zawsze, i idzie na Szucha. Tym razem nie bierze paczuszki z herbatą. Gestapowiec lustruje go wzrokiem, czeka, aż Steinborn zdejmie płaszcz i odwiesi kapelusz, wskazuje mu krzesło i w końcu oznajmia, że... włos mu z głowy nie spadnie. Owszem, on mógłby go wysłać na Pawiak na tortury albo rozstrzelać, ale nie robi tego. Nie jest mściwy. Daruje mu życie, taki ma gest. W zamian za to Steinborn może poinformować swoich przełożonych w AK, że w Warszawie jest tylko jeden mistrz tajnych rozgrywek.

Steinborn został spalony, ale przeżył. W ramach podziękowania za dzielną służbę dostał od Podziemia absurdalną propozycję. Po zwycięstwie Polski miał zostać prezydentem... Królewca. Kazimierz Leski, opisując tę operację w swojej książce, uznał ją za sukces. „Uzyskaliśmy ogromną ilość materiałów informacyjnych z zakresu organizacji SiPo, metod pracy i sposobów myślenia funkcjonariuszy niemieckich na dość wysokim szczeblu”, stwierdził. W kosza własne wrzucił „myślenie, trochę herbaty, którą dawała firma Szumilin, no i niemało emocji”. Tak naprawdę Spielker był jedynym zwycięzcą tej partii. Spalił kontakt AK i po-

zbył się rywala.

A co z Wandą? Wszystko wskazywało na to, że to koniec. Tymczasem było inaczej. Spielker już szykował ją do nowego zdania. Znowu jej się udało. Przeżyła i... grała dalej.

## Rozdział 19

# Sercowe sprawy referenta

Wyglądam przez okno z trzynastego piętra Pałacu Kultury i Nauki. Ulica Moniuszki. Przed wojną, na rogu z Marszałkowską, pysznił się tu gmach Towarzystwa Riunione Adriatica di Sicurtà. W środku mieściła się słynna Adria, ekskluzywny lokal z obrotową sceną, przedsiębiorstwo gastronomiczno-rozrywkowe. Wanda bywała tam wielokrotnie. Wiem sporo o jej sprawach służbowych, ale życie towarzyskie i uczuciowe pozostaje tajemnicą. Czy rzeczywiście była narzeczoną gestapowca Wenera? Gdyby dać wiarę informatorom AK i policzyć wszystkich jej kochanków, zebrałby się cały pluton. Jak donosili agenci, Wanda przebywała w towarzystwie mężczyzn od rana do wieczora. Za dnia stale towarzyszył jej Rosjanin Włodzimierz Szelechow, za to do domu odwoził ją jakiś elegancki niemiecki oficer. A co z Polakami? Nie spotykała się w tym czasie z żadnym rodakiem?

W Pałacu Kultury i Nauki mieści się Archiwum Historyczne Warszawy. To tutaj spadkobiercy rodziny Kronenbergów zdeponowali pamiątki po ciotce Józefinie Kowalewskiej. Szukałem tych dokumentów przez pół roku. Byłem pewien, że znajdę w nich rodzinne niedyskrecje, narzekania starej ciotki, głos zatroskanego ojca. A tu nic. Ani słowa o Wandzie i jej sercowych kłopotach, jakby ba-

ronessa nie należała już do rodziny.

Na początku kwietnia 1943 roku Wanda w raporcie dla AK przyznała się do słabości. Poinformowała centralę, że flirtuje z pewnym Amerykaninem w Warszawie. Był to George Scott, słynny czarnoskóry muzyk. Przed wojną był człowiekiem instytucją. To on importował do Polski amerykański jazz. Grał w swingującej orkiestrze Artura Golda, potem prowadził własny zespół, a w Adrii był gwiazdą. Jego popisy podziwiali dosłownie wszyscy: premierzy, ministrowie, cała towarzyska śmietanka. Scott nie tylko komponował i grał, ale też muzycznie edukował Polaków. Po wybuchu wojny został w Warszawie i grał dalej, nie tylko w Adrii. W kawiarni Kameleon na rogu Mokotowskiej i placu Zbawiciela prowadził jazzowe poranki dla bardziej wyrobionej publiczności. Jak wspominał Andrzej Łapicki, „każdej niedzieli w »Kameleonie« zbierała się młodzież, ta od wyroków i innych podziemnych akcji. Jak Niemcy pozwalali na te kawiarniane występy, do dziś nie wiem. Orkiestra grała znakomicie, Scott dyrygował po amerykańsku..”<sup>[87]</sup>.

Scott grywał także U Aktorek, w restauracji przy Mazowieckiej. Tu również publiczność była specyficzna. Przedwojenna inteligencja, patrioci, członkowie Podziemia. Czy właśnie tam spotkał Wandę? Pierwszy kontakt na pewno miał charakter prywatny. Kolejne już nie. W meldunku do AK Wanda ujawniła, że Scott przez sześć miesięcy grał w niemieckim klubie Savoy. Chyba poznał tam ustosunkowanego Niemca, bo zdążył uregulować swój status obcokrajowca jeszcze przed wybuchem wojny amerykańsko-niemieckiej w 1941 roku. „W ten sposób uratował się od internowania. Swój stary paszport amerykański nadal posiada. Scott czuje się w 100 proc. Amerykaninem. Jest to b. sprytny i życiowo inteligentny człowiek”, napisała i przeszła do rzeczy. Zdradziła, że dostała na niego zlecenie z Gestapo. Właśnie zaciska się

---

87 Andrzej Łapicki, *Hände hoch!...* „Rzeczpospolita” online, [www.rp.pl/artykul/718261-Felieton-Andrzeja-Lapickiego.html?template=restricted](http://www.rp.pl/artykul/718261-Felieton-Andrzeja-Lapickiego.html?template=restricted) (dostęp: 17 X 2017).

wokół niego pętla.

„Zarówno dr. Kaah [Kah], jak i Hstuf. Birkner oświadczyli dr. Schmidtowi, że George Scott jest podejrzewany o pracę na rzecz Anglo-Amerykanów, lecz konkretnych dowodów przeciwko niemu nie posiadają. Ponieważ znam Scotta osobiście, polecił mi dr Schmidt nim się zainteresować i spróbować go rozgryźć ze względu na interesujące ewentualnie kontakty i możliwości”, napisała. I dalej: „Opowiadaliśmy sobie dowcipy, popijając likier dostarczony przez dr. Schmidta, zdaniem którego pomaga to przy ciąganiu za język. Dr. Schmidtowi zameldowałam, że chwilowo żadnych konkretnych rzeczy nie zdołałam jeszcze ustalić, ale że sprawa się rozwija pomyślnie”.

Wanda prosi Podziemie, aby objęło jazzmana ochroną. Pisze to jednak tak, aby nie dać po sobie poznać, że coś ich łączy. To tylko profesjonalna podpowiedź w ramach agenturalnej przysługi: „Jeżeli jednak jest on politycznie zaangażowany dla Anglo-Amerykanów, należałoby go ostrzec, że miejscowe Gestapo ma na niego oko”<sup>[88]</sup>. Scott przeżył okupację, potem powstanie. Jak rozwinęła się ich znajomość – nie wiadomo. Amerykanin nie był jednak jedyną sympatią Wandy. W końcu znalazłem to, czego szukałem. To dramatyczna historia związku z pewnym młodym Polakiem. Czy to była miłość? Nie wiem. Znamy wersję tylko jednej strony. Wynika z niej, że on zakochał się naprawdę... A może nie? Może się tylko zadurzył i w jej piwnych oczach ujrzał siebie jako rekina Podziemia, giganta konspiracji, mistrza politycznych intryg? W każdym razie ewidentnie się zapomniał, wyłączył system ostrzegania: *Pull-up! Pull-up!* W rezultacie Wanda owinęła go sobie wokół palca, a on za porywy serca zapłacił wysoką cenę.

\* \* \*

---

88 Raport „Lidy” nr 23 z 8 IV1943 r., AAN, 1326, Armia Krajowa, 203-III-107, karta 69.

Jan Zarański trafił w ręce śledczych w 1946 roku. Funkcjonariusze odkryli, że znał się z agentką Gestapo i zrobili mu sprawę z paragrafu o współpracy z hitlerowcami. W rzeczywistości chodziło o skompromitowanie jego brata, Józefa, pracującego ze Stanisławem Mikołajczykiem. To ładnie wyglądało w gazetach: brat sekretarza Mikołajczyka agentem Gestapo. Przesłuchiwali go kilka miesięcy. Zgromadzone materiały są bardzo obszerne, ale w wielu miejscach sprzeczne. Zarański w śledztwie kluczył, kłamali także przyjaciele, zeznający potem w jego procesie. Bronisław Zieliński mimo tortur łąał tak bezczelnie, że można tylko pochylić czoło przed jego odwagą. Być może uratował Zarańskiemu życie. Gra w tym śledztwie toczyła się o najwyższą stawkę. Kilka nieostrożnych deklaracji mogło kosztować „czapę” i, nie uprzedzając faktów, mogę napisać, że Jan okazał się nieostrożny. Sporo ubekom naopowiadał, za dużo i za szczerze. Wielokrotnie przekroczył bezpieczną granicę. Niestety, jak słusznie zauważył Kazimierz Leski, również zeznający w jego procesie, Jan nie był zawodowym agentem. Miał prawo popełniać błędy. Szkoda, że ich nie uniknął.

Otwieram teczkę jego sprawy w IPN-ie. Krótka charakterystyka Zarańskiego znajduje się w „Dossier na przestępców przeciwko Państwu” z 1946 roku<sup>89</sup>. Bezpieka oceniała, że ma same zalety: chytry, inteligentny, podejrzliwy, bardzo ostrożny i powściągliwy w rozmowie. Jest też jedna słabość. W rubryce „zainteresowania” odręczny wpis ubeka: „kobiety”. Jan Zarański, pracownik Delegatury, był po prostu kochliwy. Niestety, fatalnie wybrał, choć wiele wskazuje na to, że to ona dokonała wyboru. W tym jednym, jedynym przypadku nie chcę myśleć, że zrobiła to na rozkaz. Ale odziewanie fałszu od prawdy jest ponad moje siły.

W 1943 roku Zarański miał 25 lat. Przed wojną marzył o pracy w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Chciał być jak starszy brat

---

89 Arkusz informacyjny, „dossier” na przestępców przeciwko Polsce Jana Zarańskiego, IPN BU 0259/101/5, s. 10–11.

Józef, który zrobił prawdziwą karierę – najpierw jako sekretarz ambasady polskiej w Londynie, potem w Wiedniu. Po wrześniu 1939 roku przeniósł się do Budapesztu, gdzie do 1941 roku jako konsul generalny zajmował się przerzucaniem polskich oficerów na Zachód. Przez jego biurko przewinęły się setki fałszywych dokumentów, do Francji dotarły dzięki nim bataliony przyszych lotników, pancerniaków czy cichociemnych. W 1944 roku Józef Zarański został kierownikiem sekretariatu premiera Mikołajczyka i pojechał wraz z nim na rozmowy ze Stalinem do Moskwy.

Jego młodszy brat zaczyna konspirować dość późno. Do AK wciągają go pod koniec 1942 lub na początku 1943 roku przyjaciele. Dostaje mało atrakcyjny pseudonim „Zaza”. Na co dzień pracuje jako referent w sekcji spraw zagranicznych Delegatury, w wydziale politycznym, na odcinku niemieckim. Píše raporty i ekspertyzy, między innymi na temat terenów włączonych do Rzeszy. Jego bezpośrednim szefem jest profesor Emil Kipa, tuż po wojnie zastępca naczelnika wydziału w MSZ-ecie, miejscu wymarzonej pracy Zarańskiego. To pod jego okiem młody konspirator napisze w podziemiu pracę na temat *eingegliederte Ostgebiete*, czyli wschodnich terenów przyłączonych do Rzeszy. Maszynopis po wojnie stanie się podstawą doktoratu, ale Jan Zarański nie zrobi wymarzonej kariery w dyplomacji, trafi do więzienia. Tyle jeśli chodzi o pracę i Ojczyznę. Pora na sprawy sercowe. Tu sytuacja naprawdę jest skomplikowana. Od 1941 roku Jan kocha się w Leonii Malinowskiej, zwanej przez przyjaciół Lulu. Ona zabawowa i rezolutna, on raczej spokojny i stale zagłębiony w książkach, tworzą barwną parę. W 1942 roku spędzają wspólnie wakacje, tuż po nich następują zaręczyny. Rodziny młodych są zachwycone. Nic nie zapowiada nadciągającej burzy.

Pierwsze spotkanie Wandy Kronenberg z Janem ma miejsce w 1940 roku. Nie wiem, która to była pora roku, ale wyobrażam sobie, że lato. Jaka szkoda, że tej sceny nie uwiecznił uliczny fotograf! Przecież uwijali się tacy po Nowym Świecie. W archiwach pełno jest zrobionych przez nich zdjęć. Zawadiaccy młodzianie w

bryczesach i oficerkach po tacie, przytulone do siebie dziewczęta zalotnie zerkające w obiektyw... Zarański idzie ramię w ramię z przyjacielem, Otolskim. Nowy Świat po wrześniowych bombardowaniach nie jest jeszcze wyremontowany, ale przedwojenny sznyt i szarm znowu królują pośród uprzątniętego gruzu. Pano wie już z oddali dostrzegają zgrabną sylwetkę blondynki. Otolski kłania się, samotna panienska znika za ich plecami. Zarański pyta przyjaciela, kim jest atrakcyjna nieznajoma. Ten odpowiada, że to przecież Wanda Kronenberg, bliska koleżanka Lulu. Kolejny raz Zarański słyszy o Wandzie dwa lata później. Jego sąsiad udziela lekcji niemieckiego bardzo zdolnej kobiecie. Okazuje się, że chodzi właśnie o Wandę. Jan uświadamia sobie, jak zabawnie się mijają. Bywają u tych samych osób, na przykład u Brzezickiej czy państwa Wielowiejskich. Lulu także opowiada o niej w samych superlatywach i dodaje szeptem, że podobno Kronenberg jest wybitną działaczką konspiracyjną. Ich spotkanie to tylko kwestia czasu.

W październiku 1943 roku agentka wkracza w życie analityka z gracją ciężkiej kawalerii, w dodatku u boku jego narzeczonej. Dziewczyny przychodzą z wizytą na Mokotowską, gdzie Jan mieszka z matką. Malinowska chce przedstawić Wandę przyszłej teściowej. Następuje jednak mały zgrzyt. Lulu prezentuje Wandę jako Werę Brzeską. Dlaczego używa pseudonimu? I dlaczego Jan nie reaguje? Młodzi idą do siebie. Ale wkrótce Malinowska zostawia narzeczonego z przyjaciółką i wraca do pani Zarańskiej, żeby wymienić najnowsze plotki. Wanda i Jan od razu przechodzą do polityki. Dziewczyna jest świetnie zorientowana w wydarzeniach. Streszcza sytuację na froncie, opowiada o stosunku do Sowietów i Niemców w Komendzie Głównej AK i w Delegaturze Rządu na Kraj. Jan chłonie każde słowo. Jako analityk docenia maestrię opisu, „dystynkcję w rozumowaniu”. Wanda mówi, że szala w tej wojnie przechyla się już na stronę ZSRR. Niemcy są w odwrocie, sporo zależeć teraz będzie od Polaków. Czy będą sprzyjać Sowietom i walczyć z Niemcami, czy może będą wierni zasadzie dwóch



wrogów? A może dojdą do wniosku, że Niemców nie warto już bić i za wroga uznają tylko Stalina, krwawego tyrana, który wyrznął w pień polskich oficerów, wziętych do niewoli w 1939 roku, ojców wielu młodych warszawiaków. Mówi to tak sugestywnie, jakby wiedziała, że ojciec najbliższego przyjaciela Jana zginął właśnie w Katyniu. Wanda przyznaje, że jest agentką podwójną. Pracuje dla AK i dla Gestapo. Jej współpraca z Niemcami ma nastawienie antykomunistyczne. Usiłuje przekonać rozmówcę, że Polska powinna przestawić celownik: czas na walkę z bolszewikami. To jest teraz główny przeciwnik.

Tu pojawia się pytanie: czy Wanda musi Zarańskiego przekonywać? Może jej antysowieckie argumenty trafiają na podatny grunt? Z protokołów przesłuchań wyłania się skomplikowany obraz. Na samym początku odsiadki w komunistycznym więzieniu Jan ujawnia, że jest działaczem PSL-u, ale w czasie okupacji należał do Stronnictwa Narodowego, bliższego mu światopoglądowo. Czy był członkiem tej części Narodowych Sił Zbrojnych, która przyłączyła się do AK? Nie wiem. Zdaniem ubeków bliżej mu było do prawicowego odłamu AK niż do centrum. Uważał Niemców za wroga numer jeden, ale nie odpuszczał Sowietom.

Wanda przechodzi do konkretów. Wspomina o projekcie cichego dozbrajania przez Niemców młodych AK-owców o antysowieckim nastawieniu. Może nawet ponad głowami dowódców, a niech tam, wbrew wojskowej dyscyplinie. Broń zawsze się przyda, a Niemcy mają jej sporo. Zarański nie jest tym oburzony. Agentka sonduje głębiej: jaka część oddziałów na to pójdzie? Może on mógłby się tym zainteresować? Zarański tłumaczy, że to raczej wykluczone, choćby ze względu na antyniemieckie nastawienie zdecydowanej większości AK-owskiej młodzieży. „Walka bratobójcza nie znalazłaby w tych sferach zwolenników”, mówi. I teraz dzieje się rzecz najciekawsza. Kronenberg wyjmuje z torebki pistolet. To Walther, kaliber 7,65 milimetra.

Zaczyna się nim nonszalancko bawić. Oświadcza, że pragnie pewnych przysług. Zarański nie rozumie, ona wyjaśnia, że chodzi

o spotkania i sondowanie jego środowiska. A także bycie z nią w pewnych sytuacjach. „W jakich?”, dopytuje się zdumiony Zarański. „Wszystko w swoim czasie”, odpowiada Wanda i zaczyna gospodarza zwyczajnie szantażować. Brak zgody – tłumaczy – może spowodować komplikacje u piętnastu osób z jego najbliższego otoczenia. Wylicza: matka, brat, ciotka, przyjaciel Kępiński, drugi przyjaciel Otolski, znajoma i późniejsza narzeczona Alina Karpowiczówna, jakaś inna znajoma, Kowalska. Niemcy wiedzą, co te osoby robią, gdzie mieszkają.

– A Lulu? – wyrywa się przerażonemu Janowi.

– Nie, jej akurat nic nie grozi.

– Co to znaczy, na Boga!?

– Jakiś ty naiwny – mruczy dziewczyna. – To jasne. Przecież tego spotkania i tej rozmowy by nie było, gdyby nie ona. Lulu jest ze mną!

– Nie, „Lulu” jest ze mną! – krzyczy zdruzgotany Jan.

Czy Zarański jest mokry i blady jak ściana, czy z trudem przełyka ślinę? Czy może podejrzewa, że to tylko gra? Tak czy inaczej, daje się zwerbować. Ze strachu, z przekonania? Tego nie wiem i trudno to dziś rozstrzygnąć, tym bardziej że podczas jednego z ostatnich przesłuchań w bezpiece Zarański odwołuje to zeznanie. Twierdzi, że wszystko wymyślił. Kronenberg nie zwerbowała go, używając pistoletu. Nie groziła odebraniem życia i zdrowia jego bliskim. Skłoniła go do współpracy mocną i sugestywną argumentacją. „Przekonała mnie do ideowości swojej pracy, zapewniając, że w ostatecznym rachunku przyniesie to Polsce korzyści”, zeznaje.

Spotkanie dobiega końca. Gdy Wanda wychodzi, okazuje się, że pani Zarańska doskonale wie, z kim miała do czynienia. Przecież Kronenbergowie to znana rodzina, o Wandzie huczy całe miasto. Ale cicho sza, niech będzie, że to Wera Brzeska. Się wie, konspiracja. Kolejne spotkanie Jana z Wandą kilkanaście dni później nie

tylko nie rozwiewa tajemniczej aury, ale jeszcze ją zagęszcza. Cała trójka znowu widzi się na Mokotowskiej. Wanda mówi, że za kilka dni ma się odbyć przyjęcie u ich wspólnej znajomej, Krystyny Brzezickiej. Na tym spotkaniu kontrwywiad AK chce ją sprawdzić: pod jakimś pretekstem przejrzeć jej dokumenty, znaleźć gestapowską legitymację, którą, mówiąc na marginesie, rzeczywiście posiada, i potwierdzić fakt współpracy. A potem zamierzają zlikwidować. Narzeczeni słuchają tego w oszołomieniu. Wanda zdaje się wiedzieć dosłownie wszystko!

Nie myli się. Kontrwywiad rzeczywiście ma już o niej wyrobione zdanie i zamierza przedsięwziąć kroki ostateczne. Skąd to wiadomo? Od niejakiego Sosnowskiego, kolegi Zarańskiego z celi. To nie jest jego prawdziwe nazwisko. Po uważnym przeczytaniu dokumentów i zestawieniu ich z różnymi protokołami przesłuchań udaje mi się w końcu ustalić, że chodzi o Edwarda Kowalewskiego, używającego również nazwiska Edmund Konieczny lub Piotr Szymkiewicz. Zarańskiemu opowiadał, że pracował dla wywiadu polskiego podziemia. Dziś już wiadomo, że był wtyką Gestapo w AK. Prawdziwa kanalia bez skrupułów. Tak zresztą nazwie cykl reportaży o nim Jerzy Bronisławski, autor powojennych kryminałów, służbowo również esbek. Agent „Sosnowski” wyznał, że o przygotowywanym zamachu na Kronenberg dowiedział się od majora Czesława Czajkowskiego, „Szeremety”, który od kwietnia 1942 roku pełnił funkcję szefa Wydziału II Obszaru Warszawa AK, czyli w strukturach wywiadu był na samej górze. Od wiosny 1943 roku przekazywał także informacje wywiadowi Gwardii Ludowej, czemu ta zawdzięczała sukcesy w zwalczaniu agentów Gestapo rozpracowujących Polską Partię Robotniczą.

Wszyscy dobrali się jak w korcu maku. „Sosnowski” jako AKowiec obsługiwał Gestapo, a potem UB, „Szeremeta” pracował w AK, ale donosił AL, Wera Brzeska pracowała i dla AK, i dla Gestapo, choć tak naprawdę chciała kontaktu do Narodowych Sił Zbrojnych. Biedny „Zaza”!

„Wiem, że Kronenberg była agentką i mordowała sama lub z innymi gestapowcami działaczy lewicowych w swoim mieszkaniu. Zwabiła ich tam. Zwłoki zamordowanych były wywożone samochodem ciężarowym w nocy”, oświadczył w więzieniu „Sosnowski”. Tak, właśnie to powiedział. Czytam te sensacje z niedowierzaniem. Wanda potrafiła zabijać, to prawda. Pierwszego „delikwenta” zaliczyła z Mazurinem. Ale czy byli inni? Zwabiła do mieszkania i mordowała osobiście?! Panienska z dobrego domu, córka milionera? Brzmi to aż nazbyt sensacyjnie. A może Kowalewski koloryzował? W każdym razie ujawnił, że wywiad AK chciał zastosować wobec niej identyczny fortel. Zwabić do czyjegoś mieszkania, uzyskać dowody na jej współpracę z Gestapo i rozwalić. Kto miał wystawić Wandę? Jej nowy przyjaciel Jan Zarański. Co jeszcze wyznał ubekom „Sosnowski”? No właśnie, rzecz w tym wszystkim najciekawszą: Wanda i Jan zostali w końcu parą. Czy Zarański kochał Wandę? Jego przyjaciel Władysław Bartoszewski był po wojnie wobec obojga bardzo dyskretny. W swoich wspomnieniach napisał tylko, że znali się na płaszczyźnie... damsko-męskiej<sup>90</sup>].

Sprawy nabierają tempa. Niestety, znowu jest kilka wersji wydarzeń.

Według jednej z nich Zarański robi kolosalny błąd i idzie z paniami na to przyjęcie. A przecież Aleksander Kamiński, autor *Kamieni na szaniec*, ostrzegał w podziemnej prasie wielokrotnie: „Ani jednego zbyt technicznego kontaktu! Żadnego życia towarzyskiego!” Wiedział, że brawura i alkohol to w warunkach konspiracji śmiertelne niebezpieczeństwo. Imprezy w okupowanej Warszawie to temat na osobną książkę. Życie towarzyskie podczas okupacji po prostu kwitnie. Mówią o tym wszystkie wojenne relacje. To swoisty fenomen, którego historycy unikają jak ognia. No bo jak to: wódka i ojczyzna? Tymczasem o bimbrze lejącym się stru-

---

90 Władysław Bartoszewski, Michał Komar, *Mimo wszystko*, Warszawa 2013, s. 343.

mieniami i powrotach do domu slalomem pisała w pamiętnikach Zofia Nałkowska, a Andrzej Wachowiak uzasadniał: „Bez tych spotkań towarzyskich byliśmy na najlepszej drodze do zupełnego zdziczenia”. Imprezowano więc do rana. Wymuszała to przecież godzina policyjna. Dozorca zamykał bramę, a obłączeni przez wojenną rzeczywistość goście zamieniali się w zwarty kolektyw: jedli – pewnie mało i nędznie, pili – dużo i przeważnie bimbber, grali w brydża – czasami na pieniądze, no i gadali. Gadali, gadali i jeszcze raz gadali. Jak pisał Stanisław Dygat w *Salonie warszawskim 1944* właśnie ci, którzy w konspiracji nie uczestniczyli, w nocy odzyskiwali patriotyczną werwę. Wtedy dopiero szturmowali okopy, jednoczyli się we wspólnej walce, prezentowali nieugięty opór. Z wzrokiem zamglonym od bimbbru lgnęli do dziewczyn, by choć na chwilę zapomnieć o strachu.

Właśnie taką potańcówką miała być impreza u Krystyny Brzezickiej 27 listopada 1943 roku. Oprócz gospodyni, Wandy, Lulu i Zarańskiego mieli tam również być ich znajomi: Bronisław Zieliński, po wojnie podróżnik i przyjaciel Ernesta Hemingwaya, oraz Andrzej Żółtowski, kolega Jana z konspiracji. Czy wiedzieli, jaki jest prawdziwy cel tej prywatki, że chodzi o Wandę?

Plan jest taki: trzeba zdobyć dowody na kolaborację Wandy, a po imprezie odprowadzić dziewczynę do rikszy – przecież pijana nie pójdzie sama do domu. W tej rikszy zostanie zabita. Dwoma strzałami w głowę. Likwidatorzy już się kręcą, już węższą zapach śmierci. Jan o tym wszystkim wie. Postanawia ją uratować. Jego zeznania są jednoznaczne, choć znowu mamy ich dwa warianty.

W pierwszej wersji twierdzi, że odebrał od niej pistolet i schował do własnej kieszeni. Ukrył także jej gestapowską legitymację na nazwisko Edith Müller.

Podczas innego przesłuchania mówi, że w ogóle na to przyjęcie nie poszedł. Spotkał się z Wandą przed kamienicą na Piusa XI numer 7 i odebrał od niej paczkę z dokumentami. Potem Wanda poszła na imprezę z Lulu, tańczyła do rana i świetnie się bawiła, patrząc na rozczarowane miny łapsów z kontrwywiadu. Finał imprezy był łatwy do przewidzenia.

Po potańcówce u Brzezickich Lulu zniknęła z życia referenta. Zarański przyznał wprawdzie śledczym, że już po zaręczynach ujawniły się między nimi pewne różnice. Próbował ratować związek, poszedł nawet z narzeczoną do zaprzyjaźnionego księdza. Po dwugodzinnym spotkaniu z samą tylko Lulu duchowny wyszedł do czekającego Jana i wyraźnie poruszony tym, co od niej usłyszał, powiedział, że bierze na siebie pełną odpowiedzialność i zrywa zaręczyny w trybie natychmiastowym. Muszę przyznać, że jestem tym zdumiony, pewnie tak samo jak wtedy Zarański. Takie rozwiązywanie narzeczeństwa szokuje nawet po siedemdziesięciu latach.

Jan jest zatem wolny. Ale Wanda wcale nie jest zadowolona z takiego obrotu spraw. Narzeczeństwo pary znajomych było jej na rękę.

Odbywa się kolejne spotkanie, tym razem w biurze Zarańskiego na Natolińskiej. Jan oddaje agentce paczkę z bronią i dokumentami. Zapewnia ją, że do środka nie zaglądał, ale oczywiście to zrobił – przyznał się bratu i przełożonym – i zobaczył, że dokumenty Gestapo są wystawione na nazwisko Edith Müller. Fotografia nie pozostawia złudzeń. Mimo to zamiast skończyć tę znajomość, brnie dalej. Młodzi zaczynają się widywać regularnie.

Kolejna randka odbywa się w przerażających okolicznościach. Wanda zaprasza go telefonicznie do lokalu na Górskiego 4 lub 6 (śledczy tego nie ustalili). Referent mija w drzwiach człowieka w mundurze niemieckiego kapitana. Wie już ze stuprocentową pewnością, że ma do czynienia z podwójną agentką, nie reaguje więc, lecz gdy wchodzi do dużego pokoju, uginają się pod nim kolana. Na ścianie naprzeciwko wejścia widzi ślady po kulach. Wanda mówi enigmatycznie, że pół godziny temu stało się tu „coś dziwnego”. Zarański zapamiętuje te słowa. Przyciśnięty przez śledczych przyznaje, że wtedy, w listopadzie 1943 roku, zrozumiał, że Wanda kogoś zamordowała. Był to anonimowy członek

PPR, jakiś komunista albo Żyd. Albo jedno i drugie. On tego nie wie. Wanda, widząc jego konsternację, zdradziła mu swój plan. Jan ma rozgłosić w Podziemiu, że zabiła w mieszkaniu volksdeutscha. To miał być oficjalny komunikat: Wanda stoi po dobrej stronie i nie waha się użyć broni.

„Wywnioskowałem, że moja wizyta miała stwarzać pozory, że to ja jestem sprawcą tego zabójstwa”, zeznaje śledczym trzy lata po fakcie. Twierdzi, że był tak zdenerwowany, że dalszego ciągu spotkania nie pamięta. Przyznaje jednak, że bezwiednie mógł wtedy powiedzieć Wandzie za dużo. Co konkretnie? Podobno pseudonimy ludzi z Delegatury wziął pierwsze z brzegu. Mówił o tych, o których było powszechnie wiadomo, że działali. A inne wymyślił. Zapamiętał, że chodziło o oficerów „Wańkowicza” i „Dołęgę”. „Wańkowicz” to być może Stanisław Dangel, syn Felicji Wańkowicz, pracownik komórki więziennej w kontrwywiadzie KG AK. A może to pseudonim nieprawdziwy, tak jak „Kowalski” i „Sroczyński” które Zarański wymienił, aby Wanda nie uznała, że miga się od współpracy. Natomiast „Dołęga” to Stanisław Kauzik, który był ważną figurą w Delegaturze.

Zarański sporo o nim wiedział. Trudno dziś powiedzieć, czy jego informacje przyczyniły się do afery, która w AK-owskim kontrwywiadzie funkcjonowała pod nazwą „wystawienie Kauzika”.

\* \* \*

Stanisław Kauzik był znanym przed wojną politykiem. To on jako przedstawiciel II Rzeczypospolitej podpisał z Rosją traktat ryski w 1921 roku. W czasie okupacji w Delegaturze szefował Departamentowi Informacji i Prasy. W zgodnej opinii liderów kontrwywiadu jego ambicje sięgały jednak dalej. Stał się w Podziemiu szarą eminencją. Wszędzie go było pełno, zajmował się nawet sprawami, które nie leżały w jego kompetencji. Zdaniem Jana Zborowskiego z Wydziału Bezpieczeństwa Delegatury wiedział o Podziemiu więcej aniżeli sam szef AK i musiał mieć oparcie aż w Londy-

nie.

Do „wystawienia Kauzika” dochodzi dwa miesiące przed wybuchem Powstania Warszawskiego. Tajemniczy polski informator Gestapo z Biura Informacji i Propagandy Delegatury informuje kapitana Spielkera, że na dworcu WKD na Nowogrodzkiej pojawi się ktoś ważny. Gestapo obstawia teren i rozpoznaje w wystawionym osobniku Stanisława Kauzika. Od aresztowania odstępuje. Okazuje się, że Kauzik znajduje się na liście działaczy nietykalnych, poza tym zatrzymanie oficera pociągnęłoby za sobą dekonspirację informatora Gestapo.

„Te świnię w BIP-ie idą zbyt daleko”, tak miał skomentować próbę wsypania Kauzika współpracownik Spielkera, gestapowiec Bruno Schulz. Kogo miał na myśli? Trudno się w tym wszystkim połapać. Nie wiadomo przecież, czy cała afera nie jest wymysłem powojennych służb bezpieczeństwa, mającym pogrążyć więzionych AK-owców. Tak czy inaczej, informacja o wsypie szybko przedostaje się do polskiego kontrwywiadu. Śledztwo nie przynosi jednak rezultatu. Klauzik zmienia miejsce zamieszkania, zachowuje wzmożoną ostrożność<sup>[91]</sup>.

Oskarżony Zarański wije się jak piskorz pod gradem pytań, płacze w zeznaniach. Kronenberg raz jest agentką niemiecką, raz polską. Raz pracuje dla hitlerowców, innym razem dla naszych. Raz wystawia Niemcom narodowców, innym razem komunistów. Likwiduje ich polskimi albo niemieckimi rękoma. To po co jej broń od Niemców? Żeby się bronić przed Niemcami. Niemcami? Nie, Polakami. Którymi? „Zaza” gubi się w tym wszystkim.

Porucznik Jerzy Kaskiewicz musiał być bardzo ubawiony chaosem w głowie Zarańskiego. Jego przełożony Anatol Fejgin również. A Józef Różański? Ten, który za tym wszystkim stał, był wręcz zachwycony zeznaniami referenta.

---

91 Tekst rozprawy głównej procesu Tadeusza Myślińskiego, IPN BU 01251/138/6, s. 426- 427; IPN BU 01251/138/30.



## Rozdział 20

# Śledztwo kapitana Kaskiewicza. Część 3

– Jakimi skrytkami, do chuja pana!? Jakimi, kurwa, skrytkami!? – Jerzy Kaskiewicz zaczyna ciężko dyszeć, ale szybko się reflektuje. Głęboko oddycha, pociera skronie, prostuje się. Nie może się przecież tak denerwować. Przy jego zdrowiu, przy tych obciążeniach... W dodatku na oczach tej wstrętnej baby. Dopiero co awansował na kapitana, nie może tak...

Z drugiej jednak strony, jak działać inaczej? To już trzecia godzina przesłuchania. A wszystko psu na budę. Naprawdę czuje, że dłużej nie wytrzyma. Ostatnio w ogóle szybciej się męczy. Ale ta kobieta z twarzą naznaczoną czerwonymi pręgami jego palców kuli się teraz na zydlu, uparta jak osioł. To już druga Wanda Kronenberg, którą przesłuchuje w ostatnich tygodniach. Pierwsza, stara złodziejka, nawet nie była w AK. Druga siedzi teraz przed nim i też udaje, że nic nie wie. Coraz głośniejsze twierdzi, coraz śmielej i po pańsku, jakby gadała do służby, z góry, z pogardą, że jedyne, czym się zajmowała podczas okupacji, to jakieś skrytki. Że przez cały rok 1942, a potem cały 1943, nic tylko skrytki i zapadki. Z drewna, na sprężynkę, na przycisk. Duże, małe i takie bardzo wąskie, jedynie na plik kartek. W podłogach, pod klepkami, w progach i w łazienkach. Nawet za kaflami w piecach. Skrytki, schowki, przegródki.

– Chuj z nimi wszystkimi, do cholery – denerwuje się. Wysuwa żuchwę do przodu. Z powodu tego grymasu więźniowie nazywają go „Szczękały”. Pociera podbródek. Wypuszcza powietrze. Oj, napiłby się kompotu z kantyny, ten wiśniowy dobry był. Jak u matuli. Słodki. Nie, dziś znowu nie jest w formie. A przecież wie, że oni tylko czekają, aż się zagotuje i eksploduje jak granat. Bo

lubią, burzuje, jak traci kontrolę. Jak oczy zachodzą mu mgłą, jak krew gotuje się w żyłach. Czują to, widzą. To jego zaangażowanie. Że chce posunąć sprawę do przodu, ułatwić, usprawnić. W dupie mają. Śmieją się ze śledczego, rechoczą potem w celi, opowiadają kolegom. Jak się ciskał, jak mu mundur parował, mokre plamy pod pachami... pachami. Kurwa!

– Jeszcze raz, na spokojnie – myśli. Znowu głęboki wdech. I jeszcze jeden. Już! Lecimy od początku.

– Imię?

– Wanda.

– Nazwisko?

– Kronenberg.

– Pseudonim?

– „Jolita”.

– Stopień?

– Podporucznik.

– Przydział?

– „Drzewo”.

– Jakie, kurwa, drzewo?

– To wydział w Komendzie Głównej. Kwatermistrzostwo.

– Czemurow.

– ...?

– Kto to był Czemurow?! Ten, którego zastrzełaś!

Jeszcze nie pociekła jej ani jedna łza, ale kapitan już wie. Pocieknie za chwilę. Zna te babskie uniki. Te wzruszenia, mazgajstwo, chlipania. Próby chwytania za serce.

– Spójrz na mnie!

Nie patrzy, oczy ma już mokre. Gotowe do dramatycznego pokazu.

– Ma...zu...rin... To pseudonim, prawda? Kto to był? Mów!

Kobieta jest młoda, ładna. Zadbane ręce, długie palce. Podoba mu się. W odróżnieniu od tej pierwszej Kronenberg ma klasę. Ta pierwsza to nieporozumienie. Oszustka jakaś! No owszem, też się nazywała Kronenberg, ale co z tego? Znała Deżakowskiego, zdrajcę, ale to też nie był tamten. Kuzyn jakiś czy ktoś. Właściwego Deżakowskiego przecież dorwali, zabili pod Warszawą AKowcy. Nasza pomyłka, zdarza się – myśli kapitan. – Aresztowaliśmy nie tę, co trzeba. Nazwisko to samo i tyle. Ale ta, ta musi być właściwa. Pieprzona baro-

nessa. Zwinęła ją towarzysze z Łódzkiego. Tam się próbowała ukryć przed władzą ludową.

– Posłuchajcie. Wiem, że Mazurin nie nazywał się Mazurin, bo to pseudonim. To był gestapowiec, szwabski agent. Dostaniemy go, a wy nam w tym pomożecie. My go zwinimy, wy możecie liczyć na litość socjalistycznej ojczyzny. Znajdą się okoliczności łagodzące. Moja w tym...

Odchyła się do tyłu i zamyśla. Miewał już takie chwile w trakcie przesłuchań. Zapomina o świecie. Nawet nie przypuszcza, jak bardzo w tym przypomina swojego szefa, pułkownika Fejgina. W tym spojrzeniu, sposobie układania rąk na biurku...

I w tej pozornej łaskawości wobec oskarżonego. Nawet wiersza nauczył się na pamięć. Tej ballady Mickiewicza, co ją tak Fejgin ukochał. Jak to leciało, o tym Almazorze...

„Hiszpanie – woła – na waszym progu Przychodzę czołem uderzyć,  
Przychodzę służyć waszemu Bogu,  
Waszym prorokom uwierzyć”.

W zasadzie los tej kobiety jest przesądzony. Gestapowska kurwa, ustawiona wysoko, odpowiedzialna za śmierć towarzyszy. Nazwisk jeszcze nie udało się ustalić, ale zrobi się. Sprawa jest oczywista. Z drugiej strony polskich faszystów też trochę ubita. Przetrzebiła te brunatne szeregi. Przyznali to nasi agenci, nasze wtyki w AK. Różneta zdrowo, i tych, i tamtych. I naszych, i reakcję. To było nie było, też jakaś zasługa. Coś tam sędzia może odpuści. Rok, dwa... potem amnestia, dobre sprawowanie. A jak zaczniesz jeszcze w Fordonie czy Strzelcach współpracować, doniesie na koleżanki z celi, zamelduje... kto wie? Może wyjdzie po dziesięciu latach, piętnastu. Kapitan wzdyga się. Co ja, do kurwy...!? Mowę obrończą piszę?

Prawda jest jednak taka, że wciąż mało wie. Przełożeni naciskają, a on tkwi w miejscu. Może dlatego ten awans taki mizerny. Tylko jedna gwiazdka. Gówno, nie awans. Musi ruszyć do przodu. Inaczej zdegradują go do Rzeszowa albo jakiejś Małkini. Niby tyle już się dowiedział, poskładał, uszeregował, ale to wciąż mało.

– Ej, Kronenberg, Kronenberg... Kiedy wy zmądrzejecie? No kiedy? Powiedźcie mi. Tak na poważnie, uczciwie...

Kobieta podnosi twarz, patrzy mu w oczy.

Kapitan kręci zrezygnowany głową. Wściekłość gdzieś wyparowała. Prze-

sluchanie to nie jest tylko rach ciach, po ryju i do protokołu. Z taką jak ona to jednak trzeba jak z jajem. Zawsze mu Fejgin powtarza: człowiek to dowód! On nam jest potrzebny. Na rozprawie, przed sądem, pod nowym ludowym orłem bez tej pańskiej korony, ma wszystko wyznać jak na spowiedzi, żarliwie i bez zająknięcia. Wcześniej człowieka trzeba przygotować. Najpierw zmiękczyć, przestawić, spowolnić, pozwolić mu, by stary świat zostawił za sobą. Potem należy uważnie wprowadzić go do nowego. Niech zobaczy, jak tu jest. Niech pomyśli. To jest najważniejsze. I nie od razu trzeba po ryju! Wszystko w swoim czasie. Tę akurat chlasnął raz, już nie mógł zdzierżyć. Męczy się coś ostatnio zbyt szybko, brakuje cierpliwości. Tak wyszło. Trudno.

Coś długo ta Kronenberg nam się opiera. Wtedy, w 1946 roku, gdy ruszyły procesy ludowców i była potrzebna, jak na złość zapadła się pod ziemię. Szukaliśmy, szukaliśmy i nic. Ale gdyby nam wszystko wychodziło, to już cała reakcja byłaby za kratami albo na Kołymie. Ale jeszcze będzie... wszystko w swoim czasie.

– Imię?

– Wanda.

– Nazwisko?

– Kronenberg.

– Za co ten krzyż zasługi z mieczami od tego waszego Bora?

– Wszystkie dziewczęta dostały, cały nasz oddział łączniczek. To było na 11 listopada, święto niepod...

– Wiem, co to za święto.

Kapitan jest już opanowany. Mówi bardzo spokojnym, cichym głosem. Nawet szeptem. Jego twarz tuż przy jej twarzy. Ustami dotyka jej ucha. W normalnych okolicznościach mógłby się zaciągnąć zapachem jej skóry, włosów, ale teraz ciągnęło od niej siennikiem z pryczy.

– Srebrny krzyż, ho, ho... 11 listopada 1942. To pewnie za nawiązanie owocnej współpracy z Untersturmführerem Frickserem, co? Jemu tak ochoczo dawaliście... co?

Kobieta unosi powoli oczy. Przerazenie. Tak, teraz to widać wyraźnie. Łez już nie ma, jest panika.

– Ja... nie wiem... o czym pan mówi. Nie znam żadnego Fricksera, jak Boga kocham, tego Mazurina też nie znam! To jakieś nieporozumienie, kosztarne nieporozumienie. Ja służyłam w „Drzewie”. Robiliśmy dla AK skrytki. Byłam łączniczką, zanosila do ślusarza zamki. Czasami bratam deseczki na

schowki. To były dobre skrytki. Nikt nie wpadł. Nie zacięły się... zamki chodziły, naoliwione...

– Kleinert?

– Nie znam. Naprawdę!

– Schulz?

– Nie.

– Eugeniusza Bisanza też nie znacie? I nie wiecie, że to wasze AK go udusiło? Na oczach żony!

– Panie oficerze, nie wiem. Pan mnie z kimś...

– Milczeć!

Nie wytrzymuje. Kurwa będzie go pouczać, będzie mu pierdolić, że się pomylił. Że znowu się pomylił. Że ona to nie ona. Że...

Kapitan tapie się za serce. Czyli za kieszeń w mundurze. Wdech, wydech, wdech, wydech...

– Twarda AK-owska sztuka – myśli. – Dobra jest. No to inaczej porozmawiamy...

## Rozdział 21

# „Kuria" wydaje wyrok

Kuria w organizacji kościelnej to organ, przez który papież sprawuje władzę. Tak jak on sam jest nieomylna. Nie popełnia błędów i nie ma od jej decyzji odwołania. *Roma locuta, causa finita!* Taki Rzym, a w zasadzie Watykan, mieliśmy też w okupowanej Warszawie. W naszej rzeczywistości był to podziemny sąd, zwany na początku sądem kapturowym. Dopiero z czasem zyskał przydomek „Kuria”. Czy też był nieomylny? To właśnie po wyroku „Kurii” i zatwierdzeniu go przez Komendanta Głównego AK do zdrajców wyruszali likwidatorzy. Wykonywali wyrok „w imieniu Rzeczypospolitej...”. To, że do „Kurii” trafi w końcu sprawa Wandy, było tylko kwestią czasu. Do AK zaczęło docierać coraz więcej doniesień o jej antypolskiej działalności.

„Kuria” zbierała się w nieużywanej sali sądu apelacyjnego na placu Krasińskich w Warszawie, w bocznej oficynie Pałacu Rzeczypospolitej, dziś siedzibie zbiorów specjalnych Biblioteki Narodowej. Trzech panów pojawiała się bez zapowiedzi. Sądowy woźny dyskretnie dawał im klucz, panowie wchodzili do nieogrzewanej sali, rozkładali papiery na stole i decydowali o życiu i śmierci. W sprawie Wandy spotkali na początku 1944 roku. Niestety, niewiele więcej wiadomo. Nie zachował się protokół ani akta sprawy.

Wiadomo tylko, że postawiono jej zarzut zdrady.

\* \* \*

Pierwsze dowody kolaboracji Wandy pojawiają się w 1942 roku. Dokumenty AK z tego okresu mówią, że „Lida” jest niemiecką konfidentką na odcinku antykomunistycznym. Jeśli ma kogoś na sumieniu, to czerwonych. W tym okresie nawet najbrutalniejsza egzekucja przedstawiciela komunistycznego wywiadu to raczej okoliczność łagodząca, żeby nie powiedzieć: zasługa. W kwietniu 1943 roku, po ujawnieniu przez Niemców grobów katyńskich, nastąpiło całkowite zerwanie stosunków polsko-radzieckich. Strzelanie do komunistów miało zatem podstawę może nie prawną, ale moralną na pewno.

Zatem w aktach sprawy Wandy zarzutów o likwidowanie komunistów raczej nie było. Nie sądzę także, aby tam były zeznania Jana Zarańskiego. Wprawdzie widział ślady kul, ale to za mało na wyrok skazujący. Ponieważ nie możemy liczyć na mocne dowody, skupmy się na zeznaniach powojennych. To wtedy rozwiązały się języki. O tym, że ofiar było więcej, donoszą świadkowie. No właśnie: świadkowie. Czy taki status im w ogóle przysługuje?

Edwarda Kowalewskiego vel Edmunda Koniecznego już znamy. Siedział po wojnie w tej samej celi co Zarański. To blagier jakich mało, prawdziwy mistrz w odwracaniu kota ogonem. W czasie okupacji był wybitnym agentem Gestapo. W uznaniu zasług otrzymał nawet prestiżowy sygnet z trupią główką. Podszycując się pod szefa organizacji niepodległościowych, wystawił do odstrzału wielu AK-owców. Jego zeznania na temat Wandy już cytowałem.

Kolejny chętny do zeznań to Czesław Czajkowski, „Szeremeta” To także nie byle kto, szef Dwójki, czyli wywiadu na cały rejon warszawski. O mordowaniu przez Wandę młodych patriotów miał poinformować AL, gdy jego macierzysta AK uznała, że agent-

ka już się nie przyda. Ale o tym, że „Szeremeta” wystawił Wandę, wiemy od Kowalewskiego. Do prawdopodobności tego ostatniego należy podchodzić z dużą rezerwą. To nie koniec listy.

Juliusz Garztecki, „Wilczur”, to postać absolutnie niesamowita. W czasie wojny tak skutecznie rozpracowywał Polską Armię Ludową, że przewerbował się sam, występując z AK. Szpiegowską karierę z powodzeniem kontynuował po wojnie. Czterdzieści lat po okupacji jako szanowany kombatan z AK na zlecenie generała Kiszczaka wytropił ukrywającego się po 13 grudnia 1981 roku działacza opozycji, Józefa Pinióra. Miłość do tajniackiej roboty nie rdzewieje! W kontrwywiadzie AK pełnił funkcję zastępcy szefa referatu „Sonda”, prowadzącego rozpoznanie małych organizacji politycznych o bliżej nieznanym charakterze. Chodziło o stwierdzenie, czy nie powstały z inspiracji Gestapo lub komunistów i czy nie działają przeciwko AK. Dotyczyło to na przykład organizacji Miecz i Pług. Ta powołana w 1939 roku formacja chrześcijańsko-narodowa została spenetrowana najpierw przez Gestapo, potem przez NKWD. Garztecki poznał baronównę Kronenberg, rozpracowując tę właśnie grupę. W lipcu 1943 roku natrafił nawet na jej zdjęcie ze Spielkerem. Jaka szkoda, że fotografia nie zachowała się do naszych czasów<sup>[92]</sup>! Po wojnie pisał, że agentka sypia z gestapowcami z Szucha, ale też „wciąga do swego mieszkania chłopaków z organizacji, przez całą noc każe się chędożyć, a rano zabiera ich gestapo. Wydała już ze trzydziestu”<sup>[93]</sup>.

A zatem mamy tu hurt, nie detal. Nie ma co, Wanda w oczach „Wilczura” to prawdziwa seksmaszyna. Tyle tylko, że łóżkowe wyczyny Wandy Garztecki opisał w powieści. Czy literatura może być dowodem w sprawie? Szukajmy dalej.

Kolejny świadek to Stefan Kisielewski. Znany publicysta katolicki

---

92 Zeznania Jana Zborowskiego w sprawie „Myśliński i inny” IPN BU 0125/138/10, s. 141.

93 Juliusz Garztecki, *Koralowce*, Warszawa 1958, s. 351.



w powieści *Podróż w czasie* oskarżył Wandę o „sypnięcie ukrywającego się starego bankiera Wertheima” Ten z kolei, na torturach, wydał Gestapo kryjówkę swoich dwóch synów. Znowu literatura, ale Kisiel miał sporo znajomych z AK i być może coś od kogoś usłyszał<sup>[94]</sup>. Suka, a dokładnie „zepsiałą córką przyzwoitej rodziny” nazwał Wandę niezwykle elegancki wobec kobiet Władysław Bartoszewski w wywiadzie rzece udzielonym pod koniec swojego życia<sup>[95]</sup>. Niestety, nie zdążyłem go zapytać, co konkretnie miał na myśli. Wiem tylko, że przyjaźnił się z Zarańskim, informacje o Wandzie czerpał zapewne od niego. Mamy więc tylko poszlaki, składające się jednak na fatalną opinię. Wanda to gestapowa i kurwa. Suka i modliszka. Zdrajczyni, która wydaje swoich. Groźna, nieobliczalna, perwersyjna. Wredna i zakłamana. Śmiercionośna.

A zaczyna przecież skromnie – jako zastraszona córka szantażowanego ziemianina żydowskiego pochodzenia! Chcąc ratować męża, pracuje we Lwowie najpierw dla SiPo, potem dla Gestapo. Ale to przestaje jej wystarczać. Zostaje agentką Abwehry. Jednocześnie zaczyna dostarczać meldunki polskiemu Podziemiu. Niektóre o niczym, niektóre bardzo przydatne. Pod koniec 1943 roku na podstawie pozyskanych od niej informacji zaczyna się operacja przeciwko Bisanzowi i Leśniewskiej. Agent Abwehry zostaje zlikwidowany, Leśniewska unika wyroku ze względu na brak przekonujących dowodów zdrady. A może okolicznością łagodzącą okazała się jej pomoc Żydom<sup>[96]</sup>?

Na pewno dzięki meldunkom Wandy zostaje zabity w 1944 roku Włodzimierz Szelechow, jej wierny współpracownik. Akurat ta likwidacja wcale nie była jej w smak. Lubiła go, dobrze im się

---

94 Stefan Kisielewski, *Podróż w czasie*, w: *Powieści warszawskie*, Warszawa 2011, s. 139.

95 Władysław Bartoszewski, Michał Komar, *Mimo wszystko*, dz. cyt., s. 340.

96 Protokół przesłuchania podejrzanego Stefana Rysia z dn. 11 III 1951 r., IPN BU 01251/138/20, s. 67–70.

razem pracowało. Wolałaby pozbyć się Smysłowskiego, na którego regularnie i celowo donosi, sugerując jak najszybsze rozwiązanie sprawy.

Wanda ma także własną siatkę agentów w Warszawie i Wołominie, w kieleckich i sochaczewskich lasach odwiedza partyzantów. Których? Z AK czy z Narodowych Sił Zbrojnych? Może komunistycznych? Jeździ także do Berlina, by odbierać nagrody. Wynika z tego, że Kronenberg to gejzer energii, rekordzistka tajnych służb. Wszędzie jej pełno, na agentach AK robi to duże wrażenie. W epoce wzmożenia uczuć patriotycznych jej sposób bycia odbiega od normy. To nie jest skromna łączniczka, dziewczyna o rumianej buzi i jasnych włosach splecionych w warkocze. Seksapil Wandy jest legendarny.

Nieznany z nazwiska „Jastrzębiec” (być może chodzi o kapitał Samuela Lwa Kostrowickiego) raportuje, że to „przystojna, zgrabna, szczupła kobieta, ciemna szatynka o twarzy owalnej, o żywych, inteligentnych oczach, których wyraz nadaje całej twarzy coś nieuchwytnego, lecz wyraźnie żydowskiego”<sup>[97]</sup>.

Jej wiek ocenia trafnie na 23 lata. Tymczasem inny agent kreśli odmienny obraz. Owszem, jest wysoka, ale w jego relacji twarz ma raczej pociągłą. Włosy ciemne, oczy duże, piwne, głos niski i dźwięczny. Ten agent daje jej około 30 lat! Czy można się pomylić aż o tyle? Agentowi rzuca się w oczy pewien znak szczególny: lekko krzywe nogi. Ubiera się ekstrawagancko. Relacja informatora brzmi jak sprawozdanie z pokazu mody: „Bluzka czerwona z jedwabiu, spódnica brązowa z kortu, kamasze damskie, brązowe, na niskim obcasie. Futerko nosi krótkie na 3/4. Koloru zbrukanego śniegu, kapelusz mały zielony. W torebce posiada pistolet”<sup>[98]</sup>.

Widocznie Wanda potrafi się przepoczwarzać. Wie, jak manipulować, jak omamiać i czarować. Na łagodną i subtelną, na tempera-

---

97 Raport według relacji „Jastrzębca” z dn. 30 V 1944 r., AAN 203-M-128, karta 8.

98 Sprawozdanie Białowieży II z maja 1944 r., AAN 203-III-105, s. 86.

mentną i narowistą! Faceci do niej lgną, lecą jak ćmy do ognia. A przecież nic dobrego ich nie czeka. Wanda wiąże się tylko z tymi, którzy potrafią zrobić na niej odpowiednie wrażenie: Mazurin, Wołoszyn, Kochanowicz, Szelechow, Spielker, Schmidt... Ale czy to wystarczy, by skazać ją na śmierć?

Kolejne meldunki kontrwywiadu już nie dotyczą zwykłej kobiety. Za dużo w nich emocji, za dużo seksualnych podtekstów. Ci wszyscy faceci ze spluwami, w lśniących oficerkach, ze spoconymi dłońmi aż buzują od erotycznych fantazji. Ewidentnie widzą w niej kogoś więcej niż szpiega.

Czarownicę, wampirzycę, mroczną *femme fatale*. Rzeczywiście, Wanda jak mało kto nadaje się na żeńskie wcielenie Władcy Draculi. Wypalone w 1939 roku ruiny domu Kronenbergów straszą niczym opustoszałe zamczysko. Jako pół Angielka, pół Polka i „cała Żydówka”, w dodatku arystokratka, nie należy do wspólnoty. Funkcjonuje bez własnego narodu i bez wyraźnej tożsamości. W niektórych meldunkach występuje nawet jako Niemka albo Rosjanka. Do tego jest groźna, poluje na mężczyzn. Gdy tylko napisze donos, już kombinuje, kogo by tu wziąć na ząb. Najlepiej płowowłosego AK-owca. Dziewiczego, dobrodusznego patriotę, Polaka-katolika. A może buraczanego AL-owca, nieokrzesanego komucha? Gdy któryś z nich, oczarowany naiwniak, już do niej przywierza, ona zatapia w nim kły i chłepcze krew. Krew polską, krew bohaterską! Potem jak na wampirzycę przystało, pozbywa się ciała. Dzięki diabelskim sługom i kochankom gestapowcom. Zła do szpiku kości! Tak widzieli ją faceci, którzy sami mieli sporo na sumieniu. Kisielewskiego, Bartoszewskiego i Zarańskiego o nic nie podejrzewam. Po prostu powtarzali zasłyszane opinie. Ale reszta to podwójni agenci, ludzie, którzy po wojnie oskarżając innych, z siebie samych próbowali zdjąć odium zdrajców.

Wanda musiała być sądzona za mordowanie „naszych”. Wspomniałem, że akt oskarżenia się nie zachował, ale znalazłem mel-

dunki, które mogły być jego podstawą. Być może nawet wiem, kto go napisał. Mógł to być Stefan Ryś, „Józef”, lub Stanisław Leszczyński, „Vigil”. Ewentualnie Lucjan Milewski, „Baczyński” Pierwszy, oprócz tego, że piastował ważną funkcję w kontrwywiadzie (był zastępcą Zakrzewskiego), w podziemnym systemie sprawiedliwości pełnił prawdopodobnie funkcję prokuratora. Drugi z ramienia kontrwywiadu dostarczał potrzebne kwity. Na ich podstawie powstawał formalny dokument. Trzeci to dziś najbardziej znany prokurator Podziemia.

Zanim został spisany akt oskarżenia, pod koniec 1943 roku „Biuletyn Informacyjny” opublikował ostrzeżenie, które można traktować jako wstęp do procesu. Jest w nim mowa o tym, że Wanda Kronenberg to renegatka i konfidentka, należy jej się wystrzegać i się z nią nie zadawać. Pamiętajmy, że żyją wtedy matka i ojciec oskarżonej. Rodzice sympatyzują z Podziemiem, ojciec Leopold jest współpracownikiem AK. Co czuł, czytając obwieszczenie na temat córki? Szukałem tego dokumentu. Ani w „Biuletynie Informacyjnym”, ani w miesięczniku „Rzeczpospolita Polska”, organach prasowych Delegatury Rządu na Kraj, niczego nie znalazłem. Tak jakby tekst zniknął, wypłócił ze wszystkich zachowanych egzemplarzy. Czy sąd rzeczywiście obradował w nieczynnej sali sądu apelacyjnego? Tego też nie jestem pewien. Sędziowie zbierali się również w prywatnych mieszkaniach. Na pewno skład orzekający był trzyosobowy. Przewodniczącym WSS obszaru warszawskiego był wtedy Władysław Sieroszewski, „Sabała”. Napisał po wojnie kilka opracowań, z których wyłania się obraz potężnej maszyny sprawiedliwości<sup>[99]</sup>.

\* \* \*

---

99 Władysław Sieroszewski, *Z działalności Wojskowego Sądu Specjalnego Okręgu, a następnie Obszaru Warszawskiego AK (1940–1944)*; tenże, *Przyczynek do historii Wojskowych Sądów Specjalnych*, Warszawa 1974, maszynopis, Centralne Archiwum Wojskowe, IX.3.50.95.

Wyroki wydawać powinien pełny skład, czyli przewodniczący i asesory, przedstawiciele komendanta AK, na którego obszarze toczyła się sprawa. Ponieważ jednak ściąganie ich z terenu bywało bardzo uciążliwe, obowiązki asesorów przejęli ostatecznie sędziowie. Sądili przestępstwa na szkodę państwa i narodu. Sprawy zagrożone karą śmierci dotyczyły zdrady, szpiegostwa, prowokacji, denuncjacji oraz prześladowania i krzywdzenia ludności polskiej. Tylko teoretycznie sądy wojskowe sądziły żołnierzy. W praktyce przed „Kurią” stanąć mógł każdy. Musiały być spełnione dwa warunki: oskarżony musiał być Polakiem i mieć polską krew na rękach. Niemców można było likwidować bez wyroku. W podziemnym sądownictwie obowiązywało prawo do obrony, ale zasada ta miała charakter iluzoryczny. Ani oskarżeni, ani obrońcy nie brali udziału w rozprawie. To sąd miał obowiązek stać na straży ich praw. Rozstrzygał jednak na podstawie dokumentów, które dostarczył prokurator. Zresztą trudno sobie wyobrazić, aby Wanda stanęła przed sądem w futerku i w zielonym kapelusiku u boku swego adwokata. Nie dano jej głosu. Żadnej obrony nie było.

Co konkretnie wpłynęło na ostateczną sentencję? Znalazłem trzy dokumenty, które mogły się liczyć w tej sprawie. Ale czy akurat one przesądziły o winie Wandy? Wątpię. Zacytował je po wojnie anonimowy informator UB. Zeznał, że niejaki agent „Jerzy” dostarczył AK informację, jakoby Wanda rozpoznawała dla Gestapo „agentów pracujących na płaszczyźnie antypolskiej”. Wśród biorących udział w takiej konfrontacji „figuruje również i nazwisko Lidy – miała ona zidentyfikować osobę z KN”. Dla takiego pechowca mogło to oznaczać co najmniej wycieczkę do Auschwitz. Czy Wanda doprowadziła do jego śmierci? Nigdy się nie dowiemy. Nie znamy jego tożsamości, ale zarzut inwigilowania środowiska Konfederacji Narodu przez Wandę sugerują także inne źródła.

Kolejna negatywna opinia jest jeszcze mniej jednoznaczna. To

duże opracowanie „Stahla”<sup>[100]</sup>. Cytowałem je wielokrotnie. Zdanie-dowód brzmi następująco: „447 lt./97-R: Rumun o nazwisku Popowicz ostrzegał Węgrów przed panną Baronesse Kronenberg, jako niebezpieczną agentką”. Kim był Popowicz? Nie wiem. Czy był świadkiem czegoś konkretnego? Nie, tylko ostrzegał. W takim razie trzecia opinia. Autora znamy doskonale. „Atl./Odr.” w meldunku z 4 marca 1944 roku napisał: „Wanda po prostu szaleje, meldunki oceniane są w Sipo jako bardzo wartościowe”. Skrót „Odr.” pochodzi od pseudonimu „Odrawąż”. Kryje się za nim Adam Steinborn, znany już nam „herbaciarz”. On również chciał oddać Wandę Kronenberg pod sąd. Tyle tylko, że jego zarzut to opinia z drugiej ręki. To są jedyni świadkowie oskarżenia, których znalazłem. Czy to właśnie ich opinie dostał do ręki prokurator, zanim napisał akt oskarżenia? Te dowody są żadne. Żeby skazać na śmierć, sędziowie musieli mieć coś pewniejszego.

I znowu pomocne okazuje się dossier pana Lecha Ćwikowskiego. Odnajduję tam sygnaturę kolejnego dokumentu. To ostatni raport „Lidy”. Dlaczego został wyłączony z reszty? Pochodzi z 10 grudnia 1943 roku. Sporo przemawia za tym, że właśnie ten papier przesądził o wydaniu wyroku.

Bohaterem kwitu jest niejaki „Zawadzki”. Trudno go zidentyfikować. W Podziemiu funkcjonariuszy i agentów o takim pseudonimie było wielu. „Zawadzki” był Wilhelm Horatio Cook, samozwańczy agent brytyjskiego wywiadu. oraz Tadeusz Żenczykowski, w AK zajmujący się Akcją „N”, a potem propagandą antysowiecką. Pseudonimu „Zawadzki” używali także Gustaw Schulz, agent Gestapo, człowiek Spielkera, i Leopold Rutkowski, szef Departamentu Spraw Wewnętrznych w Delegaturze. Który z wymienionej czwórki to on? Dużo przemawia za Rutkowskim, ale odnośną wrażenie, że raport specjalnie napisany jest tak, aby rozpoznanie było niemożliwe.

Wanda „Zawadzkiego” po prostu się bała. Napisała wprost, że

---

100, „Stahl” dz. cyt., s. 15-16.

nie chciałyby stanąć mu na drodze. Był wpływowy, pociągał za wiele sznurków. Określiła go jako germanofila, który na pewien czas opuścił szeregi Podziemia i dopiero tuż przed końcem 1943 roku ponownie nawiązał kontakt z generałem „Borem”. Wcześniej nie mógł się z liderami Podziemia dogadać, bo parł do porozumienia z Niemcami. „Z. mocno jedzie na górę (AK), tj. wszystkich oficerów i sztab uważa za pajaców wiecznie kłócących się między sobą, ludzi o fałszywym zrozumieniu obecnej sytuacji politycznej, nie umiejących zastosować się do wymogów chwili. Jako główny zarzut stawia niedocenywanie szans zwycięstwa Niemiec i w związku z tym konieczności pójścia na rękę z Niemcami przeciwko komunie. Dalej uważa, że metody stosowane w walce podziemnej są dziecinne i nie dające absolutnie żadnych rezultatów a jedynie narażające społeczeństwo polskie na coraz to nowe ofiary i straty”, pisze<sup>[101]</sup>.

Potem pada ważne zdanie, że „Zawadzki” opowiada się za wywołaniem antyniemieckiego powstania tylko po, by szybko je stłumić. Polskimi rękoma, rozkazem komendanta głównego. Dlaczego? By wymóc na Niemcach całkowite zawieszenie broni i pokojowe współżycie już do końca okupacji.

„Niestety jednak »góra« i starsi oficerowie w swej upartej głupocie są temu przeciwni i zadowolają się takimi rzeczami jak malowanie kotwic na murach miasta, wysadzanie pociągów itd., co pociąga tylko za sobą nowe represje i straty wśród społeczeństwa”, relacjonuje jego tok rozumowania.

Zdradza, że nad Komendą Główną AK zawisło spore niebezpieczeństwo. „Zawadzki” zdeterminowany jest przejąć władzę, a jedyny człowiek, który go popiera to... „Bór”.

\* \* \*

Czy to właśnie zdanie zdecydowało o tym, że Podziemie straciło do niej resztki zaufania? Oskarżenie komendanta AK o chęć poro-

---

101      Raport „Lidy”: Bizans-Zawadzki, AAN 203-III-105, karty 52n.

zumienia z Niemcami wystarczyło, by ruszyli po nią likwidatorzy? Chyba nie tylko. „Lida” brnęła dalej. Przyznaje, że „Zawadzki” jest coraz popularniejszy. Wielu oficerów w Podziemiu uważa, że głównym wrogiem Polski jest teraz Rosja Radziecka, a nie Niemcy, tak jakby naciski Spielkera w tym względzie wreszcie zaczęły przynosić rezultaty. Szef AS-a każdemu zatrzymanemu funkcjonariuszowi Podziemia próbował wbijać do głowy: głównym wrogiem Niemców są teraz Sowieci! Dobrze byłoby połączyć siły. W tym miejscu „Lida” podaje kolejną ważną informację. Wśród liderów AK jest jeden wysoki rangą oficer, który kategorycznie przeciwstawia się takiemu polsko-niemieckiemu zbliżeniu. To Bolesław Kozubowski, „Mocarz”, szef kontrwywiadu Okręgu Warszawa AK.

„Mocarz” spotykał się ze Spielkerem. Został dwukrotnie aresztowany, ale za każdy razem wychodził na wolność. Po raz pierwszy wpadł w 1942 roku, po raz drugi w akcji w barze Pod Wróblem na ulicy Mazowieckiej w grudniu 1943 roku. Wyszedł po trzech dniach. Zdaniem badaczy tematu nie został wtedy przez Niemców zidentyfikowany. Wanda twierdzi co innego. „Mocarz” cały czas ze Spielkerem negocjował. Ten po raz ostatni aresztował go 12 czerwca 1944 roku i już nie zwolnił. Ale też nie zabił.

Rozgrywka Kozubowskiego ze Spielkerem to temat na film sensacyjny. Wydaje się, że „Mocarz” był jedynym Polakiem, przed którym esesman czuł respekt. Może dlatego, że był równie bezwzględny? Znana jest jego akcja skierowana przeciwko współpracownikowi gestapo Lopkowi Skokowskiemu. Został zabity na oczach innego podwójnego agenta, którego „Mocarz” odciągnął na bok i raczył w trakcie strzelaniny sugestywną rozmową. Wszystko po to, by go przekonać, że zdrada nie popłaca, i żeby się jeszcze ostatni raz zastanowił, komu tak naprawdę chce służyć. Jemu, „Mocarzowi”, czy jednak Spielkerowi?

– Znam go – przyznał się Wandzie Spielker, gdy ta zapytała



go, czy rzeczywiście jest między nimi jakaś rywalizacja<sup>[102]</sup>.

Stosunki obu panów były w pewnym momencie tak napięte, że urządzili na siebie regularne polowanie. To nieznany epizod warszawskiej okupacji: dwóch liderów służb wywiadowczych prowadzi przeciwko sobie operację, której stawką jest życie. Spielker czuje wtedy, że może z pojedynku nie wyjść żywy. „Nastawanie Mocarza na Spielkera było bardzo silne i ten czynił wszystko, aby doprowadzić do jego ujęcia”, mówił dość oględnie w komunistycznym więzieniu jeden z pracowników wywiadu Delegatury. Dodał także, że przygotowania do zamachu na Spielkera były już dość zaawansowane. Zwyciężył argument, że Spielker to zdecydowanie „najrozsądniejszy” Niemiec, z którym można się jednak dogadać i w związku z tym nie warto go likwidować.

Wanda wyraźnie dowiedziała się sporo o sprawie, której znać nie powinna. Czy to politycy Podziemia odpowiedzialni za polskoniemieckie operacje na wysokim szczeblu postanowili ją zniszczyć? Zastanawiają też daty. Wyrok na Wandę miał zapaść na przełomie roku 1943 i 1944 roku. Tymczasem Popowicz ostrzega w lutym, Steinborn donosi w marcu. Tylko „Jerzy” informuje przełożonych w styczniu. Zatem wyrok musiał zapaść dużo później, po piętnastym marca. Właśnie z tego dnia pochodzi meldunek „Stahla”, który materiał o Wandzie kończy charakterystycznym zdaniem: „Na skutek swego sprytu i nieprzeciętnej urody jest bardzo niebezpieczna. Jeżeli uzyska się 100% pewności jej pracy tylko dla wroga, należy ją bezwzględnie zlikwidować”.

„Jeśli się uzyska...” napisał. Zatem jeszcze tego nie wiedział, a sprawa nie była wcale przesądzona. W dodatku Wanda miała obrońcę.

Pracując u Niemców, realizowała dla AK prace zleczone przez kogoś bardzo wpływowego. Kontrwywiad musiał się z nim liczyć. Ten ktoś bronił jej już od dawna skutecznie i wytrwale. Bardzo dobrze znał jej ojca, był dla niej jak dobry duch. W raporcie

---

102Tamże, karta 54.

„Stahla” jako jedyny występuje pod inicjałem. „Została wprowadzona do naszej Firmy przez p. W., jej opiekuna, z obowiązkiem jednostronnej pracy dla nas”, napisał. A zatem – tajemniczy pan W.

Odtwórzmy sekwencję zdarzeń: najpierw Wanda zaczęła współpracę z Niemcami na odcinku antykomunistycznym. Następnie AK, pod wpływem pana W., zaproponowała jej współpracę, Kronenberg się zgodziła i oddała Podziemiu duże przysługi. „Całość uwydatniała pracę konfdencyjną przeciwko komunistom i żydom”, pisał „Stahl”. Być może wszystko toczyłoby się po myśli obu stron, gdyby nie charakter Wandy. „Stahl” twierdził, że „Lida” nie była we współpracy do końca szczerą. Wtedy odwiedził ją człowiek kontrwywiadu i przeprowadził rozmowę ostrzegawczą: „Po ostrej rozmowie przyznała się, że kłamie – powodów swego stanowiska w tej sprawie nie umiała wytłumaczyć”. Nadal nie wiemy, w jakiej konkretnej sprawie oszukała AK. Czy chodziło właśnie o „rozpoznawanie” złapanych przez Gestapo konspiratorów? Echa afery doszły nawet do pana W., ale jej wysoko ustawiony protektor nie przejął się tym zbyt. „Przyznanie się Lidy do kłamstwa p. W. ocenil jako dodatnią cechę jej charakteru”, napisał „Stahl”. W końcu jednak i on skapitulował, gdy pojawiło się kolejne, być może rozstrzygające, oskarżenie: „Ostatnio otrzymała polecenie rozpracowania komendanta AK”. Ta informacja musiała wreszcie postawić kontrwywiad na baczność. O ile nie ma przekonujących dowodów, że Wanda wystawiła albo próbowała wystawić generała „Grotę”, o tyle z generałem „Borem” Komorowskim najwidoczniej już jest inaczej. Otrzymała polecenie...

Kontrwywiad podejrzewał, że do „Bora” Wanda zbliżyła się dzięki ojcu, a także przez swojego opiekuna, pana W., rzekomo ministra. No to kim, do cholery, była ta dwuznaczna postać!? „Szeremeta” ujawnił po wojnie, że chodzi o niejakiego Wielomiejskiego, byłego ambasadora Polski w Berlinie. Padał nawet adres pana ministra: Aleje Ujazdowskie 4, mieszkania 2<sup>[103]</sup>. Niestety,

103Anonimowy dokument „Dot. Kronenberg Wanda” z dn. 2 XI 1947 r.,

„Szeremeta” coś poplątał. Podany przez niego adres nie istnieje, a w spisie przedwojennych dyplomatów nie znajduję nazwiska Wielomiejski.

Tymczasem kontrwywiad ustalił, że Wanda zaczęła także działać „na terenie Delegatury Rządu RP na Kraj” Miała dojście do delegata Jana Stanisława Jankowskiego, a także do wojewody Józefskiego (zapewne chodzi o Henryka Józewskiego, byłego wojewodę wołyńskiego i łódzkiego). A jednak – mityguje się „Stahl” – „z tych kręgów również nikogo nie zasypała”. Widać, że polskie służby zaczynają się jej bać, jakby nagle dostrzegły swoje wieloletnie zaniechanie.

W lutym 1944 roku wysłannik polskich służb (być może był to „Jastrzębiec”) przeprowadził z Wandą rozmowę rozstrzygającą. To zeznanie musiało już trafić na sędziowski stół. Teraz siedzę nad nim pochylony w czytelni IPN. Tak się składa, że czytelnia mieści się tuż obok byłego sądu apelacyjnego, w którym zbierała się „Kuria”. Czuję, że historia zatacza koło. Dokładnie w tym samym miejscu, siedemdziesiąt lat temu, rozstrzygał się los Wandy. Oto trzech smutni panowie z „Kurii” i ja ze wzrokiem utkwionym w ekranie komputera.

\* \* \*

Dokument jest przejmujący. W jego świetle Wanda wreszcie staje się człowiekiem, a nie jedynie produktem czyichś przemysłów. Fantazmat zamienia się w realną osobę. Nie w groźną wampiryzkę, która wabi do siebie młodych i ich morduje, ale w zwyczajną dziewczynę, zmęczoną kobietę, która czuje, że zbliża się kres, i próbuje racjonalnie wytłumaczyć swoją współpracę z Niemcami. Przede wszystkim mówi, że żadnego polskiego konspiratora nie wydała. Nie brała udziału w konfrontacjach w siedzibie Gestapo. To kłamstwa. Ma wielu wrogów, którzy chcą jej zaszkodzić. Zaznacza, że w sytuacji, w jakiej się znalazła, musiała działać na

dwie strony. Sprawy zaszły już za daleko. Coraz głębsza współpraca to teraz jej strategia. Nie tylko na przetrwanie, ale także funkcjonowanie w świecie służb. „Korzystna wymiana informacji”, tak to uzasadniła. I „sympatie osobiste”, dodała szczerze. Wanda zdaje sobie sprawę, że po raz kolejny zbierają się nad nią czarne chmury. Tym razem jednak nie ma już siły walczyć. Gdy agent naciskają, by zaczęła mówić prawdę, cierpliwie tłumaczy, że nie ma już zaufania do nikogo. Straciła je nawet do AK. W Podziemiu pojawia się frakcja, która grozi jej śmiercią, a ona chce żyć.

„Wam mówię 60 procent więcej”, wyznaje.

I w tym właśnie momencie pęka. Rozsypuje się jako i kobieta, i jako agentka. Cały jej sztafaż genialnego szpiega leży w gruzach. „Dalej wyjaśniła, że od dziecka nie była zrozumiana, a pozostawienie jej samej sobie wyrobiło w niej uraz psychiczny, pewien kompleks, którego nie rozumie i którego nie potrafi się pozbyć, chciałaby mieć kogoś, z kim mogłaby podzielić się swymi troskami – byłoby jej wówczas znacznie łatwiej. Na zakończenie dodała: »Niech mnie Pan zrozumie i więcej nie męczycy«”<sup>[104]</sup>. „Jastrzębiec” odstąpił. W raporcie napisał, że w tym momencie zakończył spotkanie i już więcej nigdy się do niej nie zgłosił.

Jaki wyrok mogła wydać „Kuria”?

---

104,„Stahl”, dz. cyt., s. 16.

## Rozdział 22

# Strzały na Królewskiej

Trochę sapię, trochę stękam i wspinam się na metalowe ogrodzenie. Przekładam jedną nogę, ostrożnie, potem drugą, skacząc. Łupnęło, jakby ktoś zrzucił worek kartofli. No ale jestem po drugiej stronie. Przez tę siatkę nie skakałem już prawie trzydzieści lat. Ostatni raz zrobiłem to w czwartej klasie liceum. Huknąłem z woleja, a piłka poleciała hen, aż do ogrodu Saskiego. Musiałem po nią pobiec.

Jestem na boisku warszawskiego liceum imienia Mikołaja Reja przy ulicy Królewskiej. Trochę się tu zmieniło. Kiedyś pod stopami był asfalt, teraz jest miękki tartan. Zerkam, czy mnie cieć nie przegoni, ale nigdzie go nie widzę. Pewnie jest zajęty czymś innym, jak przed laty jego poprzednik. Wyciągam z kieszeni i-phone'a, uruchamiam portal Warszawa1939 i zaczynam podróż w czasie. Portal to rezultat benedyktyńskiej pracy miłośników starej Warszawy. Na obecną siatkę ulic nałożyli stare plany, zaznaczając na zielono te budynki, które nadal istnieją, i na czerwono te, których już nie ma. Wiedziałem, że z tą okolicą historia obeszła się bez znieczulenia. Ekran buchnął czerwienią, jakby go ktoś podpalił. Po tej stronie Królewskiej nie przetrwał prawie żaden budynek. Nawet z mojej szkoły ostała się jedynie połowa. Szukam

adresu Królewska 16 na tyłach Zachęty. To tu historia rodu Kronenbergów miała zatoczyć pełne koło. Tu zmierzali likwidatorzy z elitarnego oddziału 993/W, by zakończyć żywot zdrajczynie i „afery Lidy”.

Jest 17 kwietnia 1944 roku. Do bramy eleganckiej kamienicy zbliża się dwudziestu twardzieli. Wśród nich Izabela Horodecka, „Teresa”, niegdyś koleżanka „Wery” z pracy. W spoconej dłoni pierwszy raz w życiu ściska kolbę efenki, belgijskiego pistoletu Browninga. Idzie na akcję, która może zakończyć się jatką, i jest potwornie zdenerwowana. Do tej pory nikogo nie likwidowała osobiście.

Nie zgadza mi się topografia. W tej okolicy nie ma takiego adresu. Kiedyś istniał, ale daleko stąd. Kamienica Granzowa znajdowała się kilkaset metrów dalej. Tymczasem i Izabela Horodecka, i jeden z egzekutorów Bolesław Bąk, „Szlak”, wyraźnie wskazują na tyły Zachęty. Tu właśnie stoję, ale Królewskiej 16 ani śladu. Odwracam się w lewo. Tuż za siatką, przez którą się gramoliłem, wznosi się wielka, brudna i bura ściana oklejona banerami. Że też wcześniej nie zwróciłem na nią uwagi! To przecież resztką ekskluzywnej kamienicy Maksymiliana Gurewicza: potężna kubatura, taras widokowy na ogród Saski, dwa ozdobne skrzydła, ładny dziedziniec. Królewska 23, jedyna pięciopiętrowa kamienica w tej okolicy. Jeszcze raz zaglądam do relacji „Szlaka”. „Po dojściu na wyznaczone miejsce, zobaczyłem, że jest to olbrzymia pięciopiętrowa kamienica czynszowa, gdzie Kronenbergowie zajmowali całe pierwsze piętro wraz z oficyną. W sąsiedztwie ich domu znajdował się gmach »Zachęty« ze stacjonującą wewnątrz kompanią Wehrmachtu”. Czyżby zatem to było tutaj?

Znowu patrzę w ekran i powoli zanurzam się w czasie...

Jeden z likwidatorów kulturalnie zapukał do drzwi mieszkania, otworzyła młoda pokojówka. Tak raportował „Szlak”. Z kolei jego

brat, Stanisław Bąk, powiedział, że do mieszkania wtargnęli. Nie silili się na udawanie znajomych baronówny, bo i tak zdradzały ich ubrania. Wyglądali za biednie jak na tak wysokie progi. Ale naprawdę dziwne jest co innego. Przecież nie było to mieszkanie Wandy. W rzeczywistości mieszkała z rodzicami przy ul. Moniuszki 7, w pilnie strzeżonym budynku. To nie była jej pokojówka<sup>[105]</sup>. Tymczasem młoda dziewczyna mówi, że „pani nie ma w domu”. Wtedy dobre maniery się kończą. Likwidatorzy wpadają do środka, rozbiegają się po pokojach. „Andrzejewski”, „Burza”, „Ćwach” na lewo, „Kieł” i „Szlak” na wprost. W środku nie ma właścicielki, nie ma jej ochroniarzy. Jest za to kucharka. Ona i pokojówka są oszołomione, ale nie panikują. „Szlak” nakazuje im wejść do kuchni. AK-owcy zakładają kocioł. Mają zamiar wpuścić wszystkich, którzy się tu zjawią. Gdy pojawi się wreszcie Wanda, dwa-trzy strzały i wycofają się. Oczywiście, zginie również ochrona, ale tej nigdy nie liczy się w statystykach. Na razie wszystko idzie jak należy. „Ryś”, „Kruk” i „Roch” obserwują wejście. „Doktór” „Gołąb” i „Sokół” czekają po przeciwnej stronie ulicy. Dźwigają cały arsenał, broń maszynową i granaty na wypadek komplikacji. W mieszkaniu robi się cicho. „Szlak” próbuje wyciągnąć coś od służących, ale te milczą jak zakłete. Pisze, że nie mógł ich zmusić do mówienia siłą, bo „przymusu wobec niewinnych nigdy nie stosowaliśmy”. W tym zdaniu fałsz czuć na odległość. Jego branża to jedno wielkie stosowanie przymusu. Kilkadziesiąt akcji, w których wziął udział, to cały katalog trupów, również niewinnych osób.

---

105W tym rozdziale korzystam z następujących materiałów: Robert Bielecki, Juliusz Kulesza, *Przeciwko konfidentom i czołgom. Oddział 993/W Kontrwywiadu Komendy Głównej AK i batalion AK „Pięść” w konspiracji i Powstaniu Warszawskim 1944 roku*, Warszawa 1996, s. 220 – 224; Izabela Horodecka, *Ocalone od niepamięci. Wspomnienia z lat 1939–1945*, Sopot 1992, s. 47–48; Bolesław Bąk, *Księga wspomnień. Okupacja*, Warszawa 1973, s. 84–85; Bernard Zakrzewski, *Uwagi do wspomnień kolegi Bolesława Bąka ps. Szlak*, Warszawa 1974» maszynopis w Bibliotece Uniwersytetu Warszawskiego, dział rękopisów, zbiór Roberta Bieleckiego, 2974/6.

Tym razem pomyłki nie będzie. Są świetnie przygotowani. Na rogu Marszałkowskiej i Królewskiej czeka na Wandę komitet powitalny. Szef delegacji, Stefan Matuszczyk, „Porawa”, ma ją rozpoznać i dać hasło do likwidacji. Przed laty mieszkał we Włocławku, widział Wandę niejedną raz. Oprócz niego ma ją wskazać jeszcze jeden z agentów kontrwywiadu, żeby pewność była stuprocentowa. Dlatego tak bardzo zdumiewa to, co wydarzyło się potem.

Horodecka relacjonuje, że w pewnym momencie, mniej więcej kwadrans po rozpoczęciu akcji, obstawa na skrzyżowaniu Królewskiej z Marszałkowską zwróciła uwagę na idącą z eleganckim mężczyzną brunetkę, która zachowywała się dość dziwnie. „Rzuca się wprzód, potem gwałtownie cofa, chce (bo o tym mówi do swojego towarzysza) wsiadać do tramwaju”.

Jej ruchy są tak gwałtowne, że Horodecka nie odrywa od niej oczu. Jest absolutnie pewna, że to „cel”. Ma broń, cały czas trzyma efenkę w kieszeni, uzbrojony jest również towarzyszący jej „Cug”. „Teresa” patrzy wymownie na „Porawę”, ale ten milczy. Również wbija wzrok w Wandę i... nie daje żadnego znaku. W tym momencie robi się zamęt. Mijają ich w biegu chłopcy z grupy Bąka i „Andrzejewskiego”. Jeszcze przed chwilą byli w mieszkaniu. „Wijemy - wsypa!” – krzyczą. „Porawa” daje hasło do odwrotu. Po minucie w okolicy nie ma już nikogo.

Co się wydarzyło? Jaka wsypa? Zmieńmy miejsce obserwacji, wejdźmy z powrotem do mieszkania na Królewskiej.

Pokojówka i kucharka czekały na rozwój wypadków w kuchni i, jak pisze „Szlak”, „choć nasze zachowanie było nad wyraz poprawne i grzeczne”, zdradzały niczym nieuzasadnioną nerwość. Naradzały się szeptem. W pewnym momencie poderwały się gwałtownie i zniknęły za ścianą oklejoną boazerią. Wszystko to na oczach likwidatorów tarasujących wejście. Okazało się, że w



korytarzu, w ścianie oklejonej boazerią, były zamaskowane drzwi, wiodące na klatkę schodową. Pokojówka i kucharka otworzyły je i wybiegły na schody, wołając pomocy. „Na wezwanie Andrzeja – stój! zareagowały jeszcze większym piskiem, pędząc na złamanie karku”. „Burza”, który stał najbliżej, wyskoczył za nimi ale, jak pisze jego brat, „kule były szybsze”. Położył je trupem. „Niestety nie było innej rady, wypuszczenie wystraszonych dziewcząt mogło przynieść nam nieobliczalne następstwa”. Błamaż. Podobno wszyscy po akcji wracali chmurni i milczący. „Akcja nie z naszej winy nie została wykonana. Dwie młode niewinne dziewczyny swoją głupotą same wydały na siebie wyrok. Bo nie było w tym wypadku innego wyboru. Strzały z ulicy Królewskiej długo brzmiały w naszych uszach, a zwłaszcza Andrzej chodził przez kilka dni zadumany”, pisał „Szlak”. Dopiero na drugi dzień dowództwo dostarczyło likwidatorom fotografię baronówny. Dziwnie zachowująca się na ulicy kobieta to rzeczywiście była Kronenberżanka. Horodecka pisze: „Zła byłam okropnie, ale winę za niepowodzenie akcji ponosił osobnik z innego ugrupowania, który miał ją dowódcy pokazać. Trudno było strzelać do osoby, co do której tylko instynkt nam mówił, że jest to nasza »podopieczna«. A instynkt czasami rzeczywiście jest nieomylny!” A zatem o niepowodzeniu akcji, zdaniem AK-owców, zdecydowały jej przypadkowe ofiary. Zginęły, bo próbowały się uratować. Z kolei Wanda zachowywała się „dziwnie” i dlatego przeżyła.

To wszystko nie dawało mi spokoju. Przypadkowa strzelanina, „cel”, który w ostatnim momencie zmienia swą trasę, dziwna nieobecność człowieka z kontrwywiadu, który miał dodatkowo potwierdzić tożsamość skazanej. Dlaczego nie przyszedł? Zestawiam te wersje z protokołami przesłuchań Jana Zarańskiego. Mam nadzieję, że obraz się wyklaruje, zamiast tego pojawiają się kolejne

znaki zapytania.

Zarański spotyka się z Wandą następnego dnia po zamachu. Wanda przychodzi do niego do domu w towarzystwie obstawy, która karnie czeka pod kamienicą<sup>[106]</sup>. Błada, wzburzona, roztrzęsiona, już nie taka harda i bezczelna jak wcześniej, oświadcza Zarańskiemu, że z niego rezygnuje i zrywa współpracę. Wyraża nadzieję, że nie skompromitowała Jana, utrzymując z nim stosunki. Przeprasza za brutalną groźbę i szantaż. Swoje przygnębianie tłumaczy informacją o frontowych sukcesach wojsk radzieckich i nieuchronnej klęsce Niemiec. O zamachu z dnia poprzedniego nawet nie wspomina. Mówi za to, że kocha ojczyznę i że wbrew pozorom jej zachowanie jest słuszne. Nie powinna być potępiana przez tych, którzy walczą z Niemcami. Oni wszystkiego nie wiedzą. Nienawidzą jej, a tymczasem powinni działać razem. Przykładają rękę do tego, że Polska zamiast odzyskać niepodległość, straci ją na rzecz Sowietów. Mówi także, że sama nie dożyje końca wojny.

Jeszcze raz patrzę na fasadę kamienicy Gurewicza. Trzydzieści lat temu przechodziłem koło niej codziennie. Nie przypuszczałem nawet, że rozegrał się tu taki dramat. Podchodzę do ogrodu. Stwierdzam, że jest jeszcze wyższe niż pół godziny temu. Biorę głęboki wdech, napinam wszystkie mięśnie, chcę przeskoczyć i... coś sobie przypominam. W tej okolicy wydarzyło się coś jeszcze. W aktach sprawy Zarańskiego jest przecież notatka anonimowego AK-owca, chyba „Szeremety”. Napisał, że pierwsza próba likwidacji na Królewskiej nie powiodła się, ofiara została w porę ostrzeżona. „Krótco po tym była zorganizowana druga próba zamachu na agentkę”, informuje. Potwierdził to Kazimierz Leski. W procesie Zarańskiego powiedział, że „(...) pierwsza próba na ul. Królewskiej 17 nie udała się ze względu na ostrzeżenie jej przez

---

106Protokół przesłuchania Jana Zarańskiego z dn. 10 XII 1946 r., IPN BU 0259/101/, t. 6, s. 60.

właściciela mieszkania, do którego szła. Druga próba na wiosnę 1944 zakończyła się poważnym zranieniem, po którym leczyła się w szpitalu niemieckim sióstr elżbietanek na Mokotowie”<sup>[107]</sup>. Mimo to działalność agentki nie ustaje. „Nasze źródła na Szucha informowały, że w dalszym ciągu rozpracowuje Delegaturę”, napisał Leski. Ciąg dalszy dopowiedział w procesie kolega Zarańskiego, Andrzej Żółtowski<sup>[108]</sup>. Zeznał, że ostatni raz widział się z Wandą na trzy dni przed wybuchem powstania, w jej mieszkaniu przy ulicy Moniuszki 7. Dziewczyna opowiadała mu wtedy, że kilka tygodni wcześniej niemiecka żandarmeria postrzeliła ją na Marszałkowskiej. Dostała w lewą pierś. Musiała się leczyć, ale już jest wszystko dobrze.

\* \* \*

W Archiwum Akt Nowych odnalazłem listy wyroków wykonanych przez oddział likwidatorów państwa podziemnego. Na pierwszej liście przy jej nazwisku zaznaczone są dwie daty: 17 kwietnia 1944 roku i... 20 maja 1943 roku. Na drugiej liście Wanda Kronenberg ma aż dwie rubryki. Pierwsza akcja miała miejsce 20 maja 1943 roku, dopisek: akcja nieudana. Druga akcja odbyła się 17 kwietnia 1944 roku. I również była nieudana. Zaraz pod tymi datami autor dopisał trzecią, słabo dziś widoczną. Mrużę oczy i czytam: 27/28 sierpnia 1943 roku<sup>[109]</sup>. To by oznaczało, że zamachy były aż cztery. Dwa w 1943 roku i kolejne dwa rok później. Wszystkie nieudane. Niemiecka próba zakończona postrzałem w pierś była jedynie mydleniem oczu znajomym. Strzelali Po-

---

107Protokół przesłuchania Kazimierza Leskiego z dn. 11 XII 1946 r., IPN BU 0259/101/, t. 6, s. 67–69.

108 Protokół przesłuchania Andrzeja Żółtowskiego z dn. 16 XII 1946 r., IPN BU 0259/101/, t. 6, s. 81.

109 Wszystkie listy akcji, jakie przeprowadził oddział 993/W, znajdują się w AAN, Archiwum Haliny i Bernarda Zakrzewskich oraz w Zbiorze Roberta Bieleckiego w Dziale Rękopisów Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego, sygn. 2974–2976.

lacy. Ależ się na nią wzięli!

## Rozdział 23

# Na stos rzuciliśmy...

„Oto dziś dzień krwi i chwały  
Oby dniem wskrzeszenia był  
W tęczę Franków Orzeł Biały  
Patrząc lot swój w niebo wzbił  
A nadzieją podniecany  
Woła na nas z górnych stron:  
Powstań Polsko, skrusz kajdany  
Dziś Twój tryumf albo zgon!”

*Warszawianka*. Ileż to razy rozbrzmiewała w oczekiwaniu na taką właśnie chwilę! 1 sierpnia 1944 roku, gdy huknęły nieliczne karabiny, poturlały się po bruku filipinki, zapaliła na pancierzach tanków benzyna, nastąpił długo oczekiwany „tryumf”. Wreszcie można było zaciągnąć się głęboko zapachem wolności, nasycić zemstą.

Komendantem II rejonu Śródmieście jest Władysław Abramowicz, „Litwin”. Jego wersję wypadków z pierwszego dnia powstania już znamy. Wanda miała się do niego zgłosić z prośbą o kontakt z generałem „Borem” w celu przekazania wiadomości od nie-

mieckiego dowództwa. Ale okazuje się, że nie tylko on zapamiętał piękną dziewczynę. Ciąg dalszy tej historii odnajduję we wspomnieniach Eugeniusza Brulińskiego z batalionu „Golski”<sup>[110]</sup>. 2 sierpnia w budynku Wydziału Architektury na Koszykowej zbierają się grupy AK-owców. Jedni żołnierze wracają z akcji, drudzy robią przystanek w drodze do swoich jednostek. Podporucznik Stanisław Topór, „Wróbel”, przedstawia się jako żołnierz „defensywy”. Nie jest sam, przyprawdza kobietę. Bruliński jest chyba mniej spostrzegawczy od „Litwina”, bo opisuje ją jedynie jako osobę młodą. Zatem to „Wróbel” prowadzi Wandę, nie odwrotnie, jak pisał „Litwin”. W sumie drobnostka, ale należy to sprawdzić.

Odnajduję w archiwach „Wróbla”. To ten sam, którego „Litwin” uparcie nazywa „Zającem”. „Wróbel” czy „Zajac”, też niby drobnostka, ale to już druga nieścisłość. Służył w kontrwywiadzie, był oficerem informacyjnym w batalionie „Golski” i swoje meldunki podpisywał jako „V-3”.

Wersje zaczynają się różnić. W odnalezionym przeze mnie meldunku „Wróbel” pisze, że 1 sierpnia przebywał na placu Unii Lubelskiej. W zbombardowanym budynku straży ogniowej zwrócił uwagę na piękną kobietę. Pomagała nosić rannych. „Jej zachowanie przemawiało, że należy do naszych oddziałów kobiecych”<sup>[111]</sup>, twierdzi. Gdy sytuacja została opanowana, ranny w nogę „Wróbel” podchodzi do nieznanym, zagaduje, ale zaczyna się niepokoić, gdy ta odpowiada, że pracuje w „Dwójce” i że 2 sierpnia powinna nawiązać kontakt z szefem wywiadu. Chwilę potem „Wróbel” dostrzega pozostawioną torbę kobiety. Zagląda, ciekawość zawodowa. Widzi dwa dokumenty Gestapo, wystawione na nazwiska Wanda Kronenberg i Edith Müller. Co ciekawe, Wanda po

---

110Eugeniusz Bruliński, *3 Batalion Pancerny AK „Golski”*, Warszawa 1996, s. 79.

111Meldunek V-3 do D-1, Stanisław Topora ps. „Wróbel” do Henryka Trojańczyka z dn. 11 VIII 1944 r., Centralne Archiwum Wojskowe, sygn. IX.3.42.27, karta 89.

tej dekonspiracji nie wygląda na przerażoną, nie próbuje uciekać. „Wróbel” po prostu ją zatrzymuje, a następnie postanawia doprowadzić do komendy rejonu. I tak docierają razem do „Litwina”. Ten aresztował parę, uznając, że „Wróbel” i Wanda działają razem. „Wróbel” zostaje zwolniony, bo rozpoznaje go gospodyni lokalu. Ktoś również potwierdza tożsamość Wandy, która „zostaje wysłana” z misją w aleję Szucha. Ma się zameldować następnego dnia o godzinie 8.15 na ulicy Hożej.

Zwracam na to uwagę: wysłano ją z misją! Nie szła z własnej inicjatywy, tak jak w relacji „Litwina”. O charakterze misji dowiaduję się z kolejnego źródła. To wersja majora Juliusza Łoskoczyńskiego, zastępcy „Litwina”<sup>[112]</sup>. Łoskoczyński napisał, że 1 sierpnia około godziny 22 zastał szefa podczas ożywionej rozmowy z Wandą. Towarzyszyło im jeszcze kilku oficerów. Wanda miała przedstawić oficerom swoją legitymację Gestapo i wyjaśnić, że pracuje u Niemców w porozumieniu z AK i na jej rzecz. „Następnie zadeklarowała, że chciałaby zakończyć powyższą działalność przez udanie się do gestapo na Szucha, ażeby tam zbadać, co Niemcy myślą i zamierzają w związku z wybuchem powstania, oraz na drugi dzień przynieść swoje spostrzeżenia do K-my II-go Rejonu”, napisał. „Litwin” naradza się z Łoskoczyńskim. Uznają, że niczym nie ryzykują, Wanda nie zna sytuacji wojskowej i nie może zaszkodzić. Kronenberg zostaje odprowadzona do placówki u wylotu placu Zbawiciela i wypuszczona. 2 sierpnia nie pojawia się na umówionym spotkaniu. Przychodzi dopiero kolejnego dnia. Sprawy zaczynają się komplikować. Zdaniem Łoskoczyńskiego przychodzi dobrowolnie. Zdaniem „Wróbla” zostaje zatrzymana. Relacja „Litwina” jest niejednoznaczna: wynika z niej, że patrol spotyka Wandę przypadkiem. W jednym punkcie panowie zgadzają się ze sobą: Kronenberg jest już osobą „trefną”. Dlaczego – trudno orzec. Oficerowie twierdzą, że znaleziono przy niej meldunki o sytuacji oddziałów AK. „Litwin” mówi o dwóch granatach. Wszy-

---

112List majora J. Łoskoczyńskiego do rotmistrza L.J. barona de Kronenberg z dn. 30 XII 1959 r., SPP Londyn, sygn. TPI.

szy są pewni, że szpieguje. „Litwin” według relacji współpracowników, miał zaordynować pospieszny proces. Wanda „przyznała się, że pracuje na korzyść gestapo i że ona strzelała systemem kатыńskim naszych oficerów”, zeznał „Wróbel”.

Ta ostatnia informacja jest zdumiewająca. Sama się przyznała? Tak po prostu opowiedziała, że mordowała AK-owców, strzelając im w tył głowy? Przecież dwa dni wcześniej rozmawiała z nimi w spokojnym i rzeczowym tonie, nic nie wskazywała na to, że ujawni się jako zbrodniarka wojenna. Ciekawe, który z oficerów wykazał się talentem do wyciągania tak bulwersujących zeznań. Znam relację z podobnego przesłuchania. Zostało przeprowadzone w zakładzie stolarskim na Krochmalnej, dwa miesiące wcześniej. Indagowanym był wtedy Eugeniusz Świerczewski, „Gens”, agent Gestapo. To on wystawił Niemcom generała „Grotę”, a potem jego samego wytropił kontrwywiad. Dość szybkie dochodzenie przeprowadził znany już nam oddział 993/W. „Gens”, jak twierdzili potem świadkowie, był rozmowny. „Protokół przesłuchania” jest znany historykom. Łatwo się domyślić, że nie była to rozmowa przy kawie. Już sama lokalizacja uruchamia wyobraźnię. Zakład stolarski: strugi, wkręty, szczypce. Po serii pytań i satysfakcjonujących odpowiedzi zdrajcę uduszono<sup>[113]</sup>.

Jak wyglądał „proces” Wandy, ani „Litwin”, ani „Wróbel” ani Łoskoczyński nie wyjaśniają. Ten ostatni podaje, że był wówczas pochłonięty inspekcjami podległych mu jednostek i ze sprawą nie był bezpośrednio związany. Z kolei Bruliński w ogóle nie wchodzi w szczegóły: „Dowódca II rejonu I Okręgu AK Władysław Abramowicz, »Litwin« kazał ją rozstrzelać. W kamienicy przy ul. Kruczej 5 lub 7”.

---

113Robert Bielecki, Juliusz Kulesza, *Przeciwko konfidentom i czółgom...*, dz. cyt., s. 245–251 oraz Emil Marat, Michał Wójcik, *Ptaki drapieżne, Historia Lucjana „Sępa” Wiśniewskiego, likwidatora z kontrwywiadu AK*, Kraków 2016, s. 156.



Jest jeszcze jeden świadek. To oficer o pseudonimie „Kucharski” Wytropił go w tej sprawie Mieczysław Ćwikowski. Nie udało mi się ustalić jego tożsamości. Nie znają jej także inni historycy, ale wszyscy są zgodni co do tego, że „Kucharski” nie cieszył się dobrą opinią. Stawiano mu zarzuty o popełnianie przestępstw i samowolę podczas powstania. Jego żołnierze kradli i zbyt pośpiesznie likwidowali podejrzanych. Agent kontrwywiadu AK Stanisław Mierzwiński twierdził, że „Kucharski” był uczciwym człowiekiem, ale nie miał najmniejszego przeszkolenia kontrwywiadowczego i wzorował się na metodach gestapowskich, bo „sam wycierpiał dużo od Niemców”<sup>[114]</sup>. Taki oto człowiek zajął się sprawą Wandy. Albo był amatorem i ignorantem, albo jeszcze gorzej – lubił to, co robił. Jak średniowieczny inkwizytor. Zamiast odesłać podejrzaną do sztabu, „Kucharski” i „Litwin” postanawiają załatwić sprawę u siebie i po swojemu. Czy Wanda była torturowana? Nie wiem. Ale brutalne traktowanie potwierdza Andrzej Gass, dziennikarz specjalizujący się w tajemnicach II wojny światowej. O Wandzie udało mu się porozmawiać trzydzieści lat temu z Wincentym Kwiecińskim, szefem kontrwywiadu warszawskiego okręgu AK. To właśnie jemu „Litwin” powinien przekazać Wandę bezwzględnie po jej zatrzymaniu. To, co opowiedział oficer, jest wstrząsające.

Wanda w trakcie zaimprovizowanego procesu na podwórku miała tłumaczyć „Litwinowi”, że to jakieś koszmarnie nieporozumienie i że jest niewinna, że trzeba odesłać ją do sztabu. Powiedziała także arcyważne zdanie, kluczowe w tej sprawie. Widocznie czuła, że wszystko idzie w złym kierunku, że powstańcy szykują się do wykonania wyroku. Sięgnęła po ostateczny argument, uznając, że uratuje jej życie. Zdekonspirowała się. Już się nie zaślaniała pracą w AK. Zagrała *va banque*. Powiedziała, że pracuje dla wywiadu brytyjskiego.

---

114Wywiad i kontrwywiad Armii Krajowej, red. Władysław Bułhak, Warszawa 2008, s. 234.

Jak reaguje „Litwin”? Oświadczenie Wandy nie robi na nim najmniejszego wrażenia. Widocznie brytyjskich łączników widział na pęczki. Poza tym schwytana agentka miała już wyrok śmierci, nawet podwójny! A także – i to przesądziło sprawę – miała niemieckiego kochanka. Konkretnie: oberführera Wenera. W swoim sprawozdaniu „Litwin” napisał, że o tym wiedział. Czy rzeczywiście? Te obcisłe bryczesy i pejcz w ręku... To zdecydowanie silniej działa na wyobraźnię aniżeli raporty do MI 5. Rotmistrz ustawia kobietę pod ścianą, rozkazuje zarepetować swoim żołnierzom broń.

I wtedy dzieje się rzecz straszna. Wanda, bezsilna i wściekła, wykrzykuje w stronę plutonu egzekucyjnego dwa potworne słowa: „Heil Hitler!”

W tym samym momencie padają strzały<sup>[115]</sup>.

\* \* \*

Ten spazmatyczny wrzask cały czas brzmi mi w uszach. Co właściwie zmaltretowana, przerażona kobieta chciała wykrzyknąć? Że pozdrawia ukochanego Führera?

Sam „Litwin” nie przyznał się do tego. W wersji wydarzeń, którą podał Centralnemu Archiwum Wojskowemu jako jedynie prawdziwą, stwierdził, że nie było żadnego procesu, że w ogóle nic niesłusownego się nie wydarzyło. 3 sierpnia po prostu wracał z dowódcą „Młotem” i jego zastępcą z obchodu swojego odcinka bojowego. Na chwilę zatrzymali się przy ul. Kruczej 11, gdzie przetrzymywani byli jeńcy. I gdy już zamierzał odejść, podchorąży Młot szepnął mu na ucho, że z naprzeciwka nadchodzi Kronenberzanka: „Obejrzałem się i stwierdziłem, że podąża w moim kierunku. Czekam. Dałem rozkaz (...) zrewidować, czy ma broń (...)”

---

115Andrzej Gass, *Podwójna agentka*, „Express Wieczorny”, 22 sierpnia 1998.

gdy pchor. Młot przystąpił do rewizji kieszeni – ubrana była w bryczesy i buty w cholewami - nagle nastąpił zamach i silne uderzenie pejczem w głowę rewidującego. Jeden moment – suchy trzask i Kronenberżanka pada martwa na chodnik. Spowodował to odruchowy strzał, oddany przez pchor. Młota, gdy ten został uderzony pejczem. Przy dalszej rewizji już na podwórku posesji Nr. 11 – stwierdzono dwa granaty w kieszeniach spodni. Odchodząc, wydałem zarządzenie, by na miejscu wykopano grób i pochowano, co się też stało”<sup>[116]</sup>.

„Na stos rzuciliśmy jej życia los, na stos, na stos...”.

---

116Roman Abramowicz, *Powstanie Warszawskie. Relacja d-cy II rejonu....*, dz. cyt., s. 28.

## Rozdział 24

# Blondynka, Brutus i rikszarze

Mija już trzeci rok, od kiedy tropię Wandę. A może to ona szpieguje mnie? Nasz związek, chyba mogę to tak nazwać, ma już swoją historię. Przeżywał wzloty i upadki... działo się sporo, przynajmniej w mojej głowie. Na początku były same wątpliwości. Miałem wrażenie, że ktoś zakłamał tę historię. Wykrzywił ją, spaczył. Opisał Wandę jako zjawę, własne wyobrażenie szpiega w spódnicy, na którą naciągnął lateks, bo tak mu się przecież dziwki kojarzą. Wyzywające i zepsute. Potem uświadomiłem sobie, że było inaczej. To ona była ofiarą. Panienka z dobrego domu, walcząc w obronie swojego ukochanego, w obronie mamusi i tatusia, w obronie starego świata, w którym dorastała, a który brutalnie odchodził, zesłała do podziemia. Zaczęła spiskować. Intrygi i knucie to przecież broń słabszego. Partyzanci zawsze kryją się po lasach, szpiegdy za płachtami gazet. Jej kamuflaż też był iluzją. W Podziemiu znalazła się na scenie, w dodatku jasno oświetlonej. Wciąż była w stolicy okupowanego kraju, mieście huczącym od plotek.

A potem odkryłem, że to jednak nie mogła być świetlana postać. Przeciwnie, że to bohaterka zdecydowanie negatywna, wredna, że to parszywa baba była. Postanowiłem, że nie chcę mieć z nią nic wspólnego. Nawet się rozstaliśmy, prawie na rok. Oburzony,

okłamany, odtrącony rzuciłem się w nurt innej historii. Rozmawiałem z Zofią Posmysz, autorką *Pasażerki*. Z tych rozmów zrobiła nam się książka, a ja miałem czyste sumienie. Znana pisarka, autorka *Wakacji nad Adriatykiem* i fenomenalnego, nigdy nieopublikowanego reportażu *Odnaleźć się w Arizonie*, to naprawdę świetlana postać.

Po roku byłem z powrotem. Wróciłem do Wandy jak do zapomnianej zadry. Nadal mnie uwierała. Zacząłem znowu szukać. I odkryłem nowe materiały. Wtedy zrozumiałem, że ta bestia, wredna zdrajczyni, renegatka ma prawo do obrony, z którego powinna skorzystać.

I znowu stanąłem. Uświadomiłem sobie, że w określeniu „ginać w pomroce dziejów” jest coś sprawiedliwego. Jeśli nie ma jasności, może lepiej przykryć historię całunem milczenia? Nie szukać na siłę odpowiedzi, czy była dobra, czy zła. Wanda nie wygrała wojny, nie potrafiła nawet wyjść na swoje. Długo chciałem znaleźć cokolwiek, jakiś ślad dobra, który tłumaczyłby moje śledztwo, uzasadnił książkę. Przecież Roman Czerniawski mimo wątpliwości był dobry, Władysław Pantera, „Boczoń” także. A Krystyna Skarbek? Krystaliczna! To i w Wandzie na pewno coś błyszczało.

Długo o to walczyłem. W końcu zrozumiałem, że ta historia nie może być czarno-biała. Mało rzeczy podczas okupacji było właśnie takich, jednoznacznych. Co to, do cholery? Konkurs piękności? Zawody na dobro i zło, przeciąganie liny w czyścucu? Była jaka była... wystarczy tego.

Jest środa, kolejny tydzień, kolejny miesiąc dłubania w znanych zdaniach.

Telefon od Lecha Ćwikowskiego wrywa mnie z lektury akt osobowych obsady zgrupowania „Ruczaj”. Mój rozmówca jest podekscytowany. Z tryumfem w głosie informuje, że odcyfrował kolejną partię swoich zapisków sprzed lat.

– Niech pan koniecznie zajrzy do relacji Janiny Popiel-Dutkie-

wicz, „Grażyna” – krzyczy do słuchawki. – Mam tu zapisane, że ona widziała śmierć Wandy!

Znam tę relację z Archiwum Historii Mówionej Muzeum Powstania Warszawskiego. Janina Popiel-Dutkiewicz, „Grażyna”, łączniczka w kompanii „Habdank”, twierdzi, że 3 sierpnia na Kruczej złapano „gołębiarkę”. „Gołębiarzy” zna każdy, kto interesuje się powstaniem. Tak nazywano strzelców wyborowych. Byli zmorą warszawiaków. Strzelali zza węgła czy ze strychów, stąd potoczna nazwa. „Wyglądała jak Hiszpanka, brunetka, miała czarną kurtkę i czarne spodnie i ją złapali. Prowadzili na rozstrzelanie. Jak pluła, drapała i krzyczała na tych chłopców! Przy samym rozstrzelaniu nie byłam, ale pamiętam, jak wojowała z tymi chłopcami”, opowiadała „Grażyna”.

– Nie chodzi o śmierć „gołębiarki”! – denerwuje się Ćwikowski. – Niech pan czyta, co jest dalej!

Po historii z „gołębiarką” następuje przerażający opis samosądu na jakiejś blondynce. Czuję, że ludzie w Śródmieściu wtedy dosłownie oszaleli. Ogarnął ich amok. Widocznie napięcie było tak wielkie, że obudziły się upiory. Zacytuję większy ustęp, bo sens jest trudno uchwytny: „Chodziłam z meldunkami. Na przykład na ulicy Chopina, jak 1 sierpnia mój oddział zajmował budynki, w których mieszkali gestapowcy (...) W jednej piwnicy jakiś gestapowiec ukrywał rodzinę żydowską i myśmy wypuścili tych Żydów. Oni się żywili tylko kartoflami surowymi [dawanymi] przez tego gestapowca.

I nie wiem, czy o tym mówić, bo tę sprawę prowadził wywiad angielski, ale tam pracowała w gestapo właśnie z AK, z ramienia wywiadu, Polka, blondynka. Przyszłam 2 sierpnia do »Hrabiego«, a to się stało 1 [sierpnia], jak zajmowali mieszkania na ulicy Chopina. Ona się tłumaczyła, że jest z ramienia wywiadu, pracowała w gestapo, i podała pseudonim i adres, gdzie był jej mąż, porucznik AK. I jak 2 [sierpnia] przyszłam, to... Aha, wyjątkowo żandarmeria poszła sprawdzić tego męża i okazało się, że o takim pseudonimie nikogo nie ma, a tymczasem, jak się potem okazało, akurat w dniu powstania zmienili pseudonimy. I jak przyszłam 2

[sierpnia] na Mokotowską, na Piusa, gdzie był mój pluton »Hrabiego«, przyszedł oficer i pytał się, gdzie... Aha, powiesili... W naszym oddziale było dużo rykszarzy, więc element był niespecjalnie ciekawy, i ją powiesili i jeszcze się kłócili o pierścionki. [...]

– Pani знаła nazwisko tej kobiety?

– Nic nie wiem bliżej, on tylko pytał, gdzie jest pochowana, bo ją powiesili. Nie wiedziałam, bo to było poprzedniego dnia, ale chyba któryś z tych chłopców [wiedział]. Wreszcie ten rykszarz ją zastrzelił. Potem był ranny i umarł”<sup>[117]</sup>.

Oddzwaniam do pana Lecha.

– Przecież Wanda miała kasztanowe włosy, to nie ona – mówię zrezygnowany. – Poza tym gdzie ulica Chopina, a gdzie Kruca? To dwa kompletnie różne miejsca.

Ale pan Lech nie chce mnie słuchać. Zaczyna nucić:

– Brunetki, blondynki, ja wszystkie was... kto po latach pamięta, jakie miała włosy?

– A ta historia z Żydami? – nie daję za wygraną. – Gestapowiec ich ukrywał w niemieckiej dzielnicy? Co ona może mieć z tym wspólnego?

I gdy tłumaczę, że to humbug, jakieś brednie i nieporozumienie, przypominam sobie słowa Edmunda Kowalewskiego, wspomnianego już agenta Gestapo, potem UB, który w procesie złożył następujące zeznanie: „Drugie mieszkanie konspiracyjne Kronenberg miała przy ul. Szopena, gdzie również mordowała swe ofiary zwabione na spotkania”. Czuję, jak wali mi serce. To wszystko wygląda jak film Tarantina. Na piętrze ktoś morduje komunistów, a w piwnicy przechowuje Żydów. Do tego krwawe samosądy, w tle płonie Warszawa.

Faktycznie, Leśniewska ratowała Żydów z getta. Ci ludzie musieli się gdzieś podziać. Czyżby Wanda zaoferowała piwnicę swojego służbowego mieszkania?

---

117Relacja Janiny Dutkiewicz w Archiwum Historii Mówionej MPW, maj 2010, rozmowę prowadził Mariusz Rosłon.

Przecież to byłoby igranie z ogniem. Ale z drugiej strony, co takim igraniem podczas okupacji nie było?

Jestem załamany. Nie zbliżam się do końca tej historii, raczej się wciąż oddalam. Właśnie odbiłem od brzegu i złapałem wiatr w przeciwnym kierunku. Zaraz oszaleję. Uświadamiam sobie, że przecież nigdy nie skończę książki, nie rozwikłam tajemnicy. To po prostu niemożliwe. Wracam do biurka, na którym brakuje już miejsca na cokolwiek. Od lat piętrzą się tu stopy książek, których i tak nigdy nie przeczytam. Chcę zrzucić sterty papierów, sprzątać protokoły mojej męki. Przecież to nie ma już sensu. Mam dość. Telefon uparcie dzwoni.

– Musi pan przyjechać, znalazłem coś jeszcze.

Jest późno, ale jadę. Zrezygnowany dzwonię do drzwi.

Chcę retorycznie zapytać pana Lecha, jakie to wszystko ma znaczenie, ale ten łapie mnie za rękę i ciągnie do środka. Uświadamiam sobie, że nie byłem u niego trzy lata. Mieszkanie się zmieniło. Już nie ma raf z papierów, zniknęły stopy gazet.

Pan Lech znalazł pierwszą wersję książki swojego ojca. Podaje mi poklejony, podkreślony maszynopis. Karty rozsypują się w dłoniach. Szukamy rozdziału o Wandzie. Jest! Czytam na głos: „W pierwszych dniach powstania w rejonie ul. Mokotowskiej i ul. Kruczej powstańcy od »Habdanka« zauważyli często spacerującą wysoką młodą, przystojną dziewczynę o długich włosach czasem skręcającą w uliczki boczne Hożą i Wilczą i odwiedzającą także kawiarnie Forkasiewiczów w podwórzu przy ul. Kruczej 11, gdzie było większe skupisko powstańców. Wyglądem różniła się ona od wymizerowanych w tym czasie Polek, co rzucało się w oczy i ją wyróżniało. Po jej odejściu z reguły zaczynały nadlatywać niemieckie samoloty i z precyzją bombardować wybrane punkty oporu. Tak zakończyła się jej wizyta na ul. Wilczej nr 26 A, gdzie w warsztacie st. sierżanta »Choinki« Stefana Choińskiego wyrabiano granaty. Podobnie było na Hożej nr. 29, gdzie było większe



skupisko powstańców i centralny obóz jeńców niemieckich. Zaczęto ją obserwować. Aż wreszcie podczas jednego z takich spacerów na ul. Kruczej przechodzący powstaniec rozpoznał ją i zatrzymał jako osobę, która była obecna przy jego badaniach przez gestapo na Szucha. Po wylegitymowaniu okazało się, że była to Edith Kronenberg. Powstańcy poprowadzili ją na ul. Kruczą 11, gdzie był obóz dla zatrzymanych volksdeutschów.

W momencie gdy skręcali z ulicy Kruczej na podwórze domu nr 11, były więzień gestapo nie wytrzymał nerwowo i zastrzelił ją. Koledzy byli oburzeni, że zastrzelił ją bez wyroku sądowego, ale gdy przy zabitej znaleziono legitymację gestapowską (SD-Sonderdienst) rozgrzeszono go. Relacja »Choinki« i »Jura«.

Czyli jednak był to indywidualny akt zemsty na kolaborantce, podwójnej agentce, wyrok za tortury na Szucha? Patrząc na pana Lecha, on na mnie. Milczymy.

– To nie trzyma się kupy – wyrokuję w końcu. Zaczynam tłumaczyć.

Najpierw dziwnie zachowująca się kobieta przykuwa uwagę żołnierzy, potem odnajduje się ktoś, kto rozpoznaje w niej oprawczynię z Szucha i do niej strzela. Samosąd okazuje się usprawiedliwiony. Strzela człowiek, który był torturowany na Gestapo. Nonsens. Skoro go torturowali, to co teraz robi na ulicy? Pomęczycieli go trochę, potem przeprosili i wypuścili na wolność? To mało prawdopodobne. W świetle tej relacji Wanda aż się prosi o kulkę. Posiada nadludzką umiejętność sprowadzania na głowy powstańców niemieckich samolotów. Donosi wrogowi, gdzie kto się rozlokował, co należy zbombardować.

– Ale jak to robiła? Podawała koordynaty GPS-em? Może przez telefon? – kpię.

– Przecież telefony wtedy działały! – mówi pan Lech. – Proszę czytać dalej...

I pokazuje w zeszycie dopisek ojca: wersja II. „Według wyjaśnień kpr. pchor. »Brutusa« Edith Kronenberg została rozstrzelana

na zgodnie z wyrokiem sądu wojskowego, a relacjonujący był naczynym świadkiem tej sceny. Wyrok sądu był szeroko komentowany w rejonie Mokotowskiej i Kruczej. Relację pchor. »Brutusa« w całej rozciągłości potwierdził kpr. »Rubby«, któremu informację o wykonaniu wyroku przekazał osobiście jeden z jego wykonawców. Kpt »Rubby« był świadkiem aresztowania na ulicy i egzekucji innej kobiety – »gołębiarki«. Niosła ona w koszyku kartofle, a pod kartoflami były naboje karabinowe. W czasie rewizji znaleziono u niej legitymację Gestapo. Podczas przesłuchań nie przyznała się do znajomości języka polskiego. Zgodnie z wyrokiem sądu została ona powieszona na balkonie domu przy ul. Mokotowskiej”.

Tu relacja się kończy. Tego wszystkiego pan Mieczysław nie zdecydował się dopisać do wersji przeznaczonych do druku. Sprawdzamy wymienione nazwiska i pseudonimy. Jerzy Szuster, „Jur”, i Stefan Choiński, „Choinka”, z kompanii „Habdank” już nie żyją. Kazimierz Wiewióra, „Brutus”, zdążył jeszcze złożyć relację dla Archiwum Historii Mówionej, ale nie ma w niej ani słowa o Wandzie. Widocznie uznał te wypadki za mało chwalebne. Też już nie żyje. Kaprala „Rubby’ego” w ogóle nie możemy odnaleźć.

Wszyscy oni twierdzili, choć każdy miał informacje z drugiej ręki, że zanim kobietę szpiega zastrzelono, odbył się proces i że liczne dowody winy były bezsprzeczne. Żadnych wątpliwości.

– Czyli zupełnie inaczej niż w relacji „Litwina” – mówię.

– Bo u niego nastąpił nieszczęśliwy wypadek, gdy Wanda po raz drugi została zatrzymana. Niefart.

„Litwin” okazał się kłamcą. Napisał, że mimowolnym sprawcą jej śmierci miał być podchorąży „Młot”. Gdy przystąpił do rewizji, Wanda zamachnęła się i dzieliła go z całej siły pejcem w głowę. „Jeden moment – suchy trzask i Kronenberżanka pada martwa na chodnik”, napisał.

– No i ma pan wytłumaczenie, po co w tej historii pejcz... – mówi pan Lech.

– ...żeby uzasadnić własną śmierć? – wchodzi mu w zdanie.

Mam już pewność: „Litwin” wymyślił sobie ten rekwizyt. W latach sześćdziesiątych wiedział, że esesmani używali pejców, że to standardowe niemalże narzędzie pracy każdego oprawcy. Żeby wytłumaczyć własną zbrodnię, włożył Wandzie do ręki dowód zdrady. Ale zagadek jest więcej.

– „Grażyna” mówiła, że ją powiesili. Też kłamała? Kim są ci mordercy rikszarze? – Myślę na głos. I wtedy doznaję olśnienia.

Warszawscy rikszarze byli na usługach kapitana Spielkera! Na taką informację natknąłem się, czytając zeznania jego współpracownika z alei Szucha, gestapowca Schulza. Niemiec siedział po wojnie w polskim więzieniu. Był przesłuchiwany w wielu sprawach, stał się wręcz konsultantem historycznym. Na potrzeby różnych śledztw tłumaczył kulisy funkcjonowania warszawskiego Gestapo. Zdradził wiele cennych informacji. To właśnie on ujawnił, że Spielker, geniusz rozbijania Podziemia, zorganizował jeszcze przed powstaniem w Śródmieściu grupę rikszarzy wywodzących się ze środowisk narodowych. Eks-falangiści dorabiali, wożąc warszawiaków, a przy okazji informowali Gestapo o podejrzanych pasażerach. Była to jeszcze jedna metoda pozyskiwania przez Spielkera informacji. Dlaczego werbował ich spośród narodowców? To długa historia, ale wystarczy powiedzieć, że wielu z nich zaczęło współpracę z Niemcami jeszcze w 1939 roku, zanim Spielker pojawił się w Warszawie. Na początku okupacji Niemcy pozwolili działać byłym oenerowcom i stworzyli z nich antysemityczne bojówki. To oni zorganizowali mało dziś znany pogrom wielkanocny w 1940 roku i za pozwoleniem Niemców przez kilka tygodni terroryzowali miasto. Ostatecznie współpraca została przerwana, ale niewykluczone, że z tych kilkudziesięciu polskich ochotników Niemcy stworzyli w kolejnych latach system infiltracji Podziemia. Nie udało mi się tego wyjaśnić. Być może jednak były podwładny Spielkera mówił właśnie o nich.

Co to może oznaczać? Że Wandę rozstrzelali ludzie będący wtykami Gestapo. Tylko po co?! Żeby zatrzeć ślady własnej współpracy z wrogiem? Żeby pozbyć się świadka?

A może ktoś ze środowiska Konfederacji Narodu, organizacji, którą Wanda miała infiltrować, wreszcie wykorzystał okazję, aby się zemścić? Nie mam pojęcia. Hipotez jest kilka. A jedna bardziej szokująca od drugiej. Łapię się za głowę, w której od dawna przestało się to wszystko mieścić.

## Rozdział 25

# Śledztwo kapitana Kaskiewicza. Część 4

- Przyznała się?
- Nie chce, szefie.
- Wiem, że nie chce, Jureczku, nie o to... Czy potwierdziła?

Dyrektor X Departamentu Anatol Fejgin siada bokiem na biurku Kaskiewicza. Z krasnego oblicza aż bije duma. Rozgląda się po królestwie poddanego. Jeszcze niedawno sam w takiej kanciapie zęby i żebra reakcji rachował, a teraz? Od rana jest w dobrym nastroju. Niedawno duży awans, bo X Departament wysunął się na czoło walki z kontrrewolucją, i podwyżka, niczego sobie. No i ten Humer jakoś przestał się ciskać, mniej złośliwy. Sprawy nabrały tempa, praca Idzie wartko, a on to wszystko jeszcze podkreśli. Towarzysze z politbiura będą zadowoleni.

- Nie o to chodzi, panie pułkowniku. To chyba... to nie ona.

Ostatnie zdanie Kaskiewicz wypowiedział nieco ostrożniej, pół tonu ciszej, jakby sam się wstydził efektów miesięcznego śledztwa. Ale fakt pozostaje faktem. Przesłuchiwał już drugą Wandę Kronenberg i nic. Przecież nazwiska mogą się powtarzać, tak bywa. Pierwsza zmyliła resort, bo znała Deżakowskiego, ale żeby druga nie była tą co trzeba, to już zakrawało na kpiny.

- Jureczku, co wy mi tu pierdolicie.

Pułkownik zaplata palce obu dłoni i opiera je o kolano. Wzrok skupia na twarzy podwładnego.

– Jo nie ona”? – drwi. – A jak ma w papierach? Chcecie mi powiedzieć... Że Wanda Kronenberg to znowu nie jest Wanda Kronenberg? Już druga?!

– Bo widzicie, obywatelu pułkowniku, sprawy tak się mają, że... – Źle zaczął. Teraz czuje to bardzo wyraźnie. Jeszcze towarzysz pułkownik gotów pomyśleć, że mu dywersję w departamencie robi. Krytykanctwo szerzy. Sabotaż uprawia. Powinien z miejsca zacząć od sukcesu, może umiarkowanego, ale jednak. Że sprawy idą do przodu, że osadzona dostrzegła już swoją winę, już dojrzewa, powoli staje się gotowa do procesu. Ale jest już za późno. Wzrok Fejgina staje się jak ostrze cyrkla.

– Bo... bo...

– No wykrztuś to, do chuja pana.

No, co poradzić, trzeba walić z mostu.

– To nie hrabina. Tfuu... Baronowa... Bo Kronenbergowie mieli herb Labor i tytuł... no nie był hrabiowski.

Fejgin podrywa się z biurka jak rażony prądem.

– Kaskiewicz! Co wy mi tu... To jest doskonały materiał!

– Tak, ale...

– Imię się zgadza? Nazwisko się zgadza? Zapluty karzeł... karlica reakcji, tak?

– Tak, tyle że...

– To co się tak z nią pierdolicie jak chuj w przeręblu. Barony, hrabiny... to wsio ryba, wrogowie ludu i tyle. Za wszarz ich i do karca. Innej nie dostaniecie, kurwa... Jurek!?

Kaskiewicz zna szefa. Wie, co się wydarzy za chwilę. Parę głębszych wdechów, bo szef lubi się przed akcją w ten sposób dotlenić, potem wystrzeli wodospadem wyzwisk, eksploduje wielopiętrową kaskadą przekleństw. A te Fejgin potrafi nawlekać tak misternie, głos modulować tak sprawnie, że nawet trupa by z grobu poderwał. Tak się zazwyczaj działo. Ale dziś jest inaczej. Czuje, że choć szef jest zdenerwowany, to jednak nerwy trzyma na wodzy. Coś tu zaraz będzie się działo, tylko co?

Ślady operacji „Hrabina” – tak ją nazwałem dla własnego użytku – odnalazłem w teczce Wandy Kronenberg. Z początku, gdy czytałem poszczególne dokumenty, nic nie łączyło się w całość. Ubecy zbierali materiały, wszystkie, jak leci. Potem jednak z tego gąszczu meldunków i raportów, donosów i podsłuchów, zaczął się wy-

łaniać konkretny zarys sprawy. Okazało się, że Wanda ma gigantyczny potencjał. Burżujka, gestapówa, współpracownica AK i Delegatury. Nie tylko zapluty karzeł reakcji, do tego jeszcze renegatka i zdrajczyni. Przekonał się o tym oskarżony Jan Zarański, brat najbliższego współpracownika premiera Mikołajczyka. Wystarczyło, że znał Wandę. Został uznany za jej agenta, a skoro jej, to i Gestapo. Odtąd był już żywą ilustracją tezy, że obóz londyński na pasku Hitlera walczył z obozem postępu. Dokładnie tak odczytał to w 1946 roku Władysław Bartoszewski. Jako dziennikarz „Gazety Ludowej”, organu PSL, siedział wtedy w więzieniu. Pewnego dnia otwarto drzwi do jego celi i do środka wepchnięto właśnie Jana Zarańskiego. Cele były wtedy remontowane, więźniów lokowano tymczasowo. Dwadzieścia cztery godziny wystarczyły, aby Bartoszewski wyrobił sobie zdanie o prowokacji: „Upatrzyli go sobie, bo jego starszy brat Józef był sekretarzem Mikołajczyka w czasie rozmów w Moskwie, teraz zaś objął kierownictwo polskiej sekcji BBC (...) To krótkie spotkanie w celi kazało mi się zastanowić, jak daleko pójdzie próba szantażu i jakie będą jej skutki”, pisał po latach<sup>[118]</sup>. Zarański został skazany. Ale Kronenberg jeszcze nie skończyła gry...

– Oczywiście, że to nie jest żadna hrabina. Tamta nie żyje, gdzieś przepadła. Chuj z nią! Ale dostałeś nową. I ta się nadaje. Jest... kurwa mać, żywa jest! Żywa... - Fejgin staje do niego tyłem i patrzy w okno.

Ciemne niebo, przelatuje wrona, ktoś wali blaszaną michą w blendę. Tak. Teraz słyszał to już wyraźnie. Pułkownik mamrocze cicho pod nosem. Mówi do siebie, jakby dopiero układał sobie jakiś plan.

– Żywa musi być. Żywa i gotowa. Chętna do współpracy. Jeśli jest żywa, to mamy dowody. I mucha nie siada. Tak jak nas uczyli towarzysze radzieccy. Starych błędów już nie popelnimy!

Fejgin wyciąga z kieszeni na kłapie papierosa, jednego. Zapala go, zaciąga się. Mocno. Podchodzi jeszcze bliżej do okna. Więźniowie ciągną po mro-

---

118Władysław Bartoszewski, Michał Komar, *Mimo wszystko*, dz. cyt., s. 343.

czym dziedzińcu wózek z kotłem. Przenosi wzrok nad dachy pawilonu.

Ma już 42 lata. On, syn biednego paskarza, jeszcze niedawno myślał, że będzie tłukł wrogów ludu do końca, aż sobie pięści odbije. Podeszwy zetrze na kościach. Aż tu nagle, chociaż nic tego nie zapowiadało, zrobił się przeciąg. Powiało, a on oderwał się jak piórko i poszybował. Wysoko. Warto było się sta- rać, pomyślał, naprawdę warto.

– Przyniosłem ci wyrok Zarańskiego z PSL-u. Sprawa z czterdziestego siódmego. Walka z reakcją. Współpraca z nazistami, poczytaj. Tam masz gotowy materiał o Wandzie. No... – Gasi papierosa w kryształowej popielnicy. Wstążka dymu płynie prostu pod sufit. – Lecę.

Wstaje, wyciąga dłoń do podwładnego. Reflektuje się jednak i tylko klepie go po ramieniu.

– A ty pomyśl. Ten Mazurin, co razem z naszą hrabiną strzelali do towa- rzyszy, to wtedy nosił pseudonim „Aleksander”. A wiesz, jaki pseudonim miał Hrynkiewicz?

– Jaki... Hrynkiewicz? – Kaskiewiczza aż zatkało. – Ten... Hrynkiewicz? Nie...

– Ten, ten. Poglówkuj trochę. Na razie się nie spiesz. W Grenadzie zara- za... poniatno?

Wąska wstęga dymu, której końcówka ginie gdzieś pod sufitem, załamuje się gwałtownie. Trzaskają drzwi. Ostatnia iskierka żaru tłąca się w przełama- nym pecie gaśnie.

– Jakiej Grenadzie? – zamyśla się Kaskiewicz.

Te szarady szefa go dobijają. O zarazie w Grenadzie słucha od dawna. W ogóle Fejgin zanudza ich Mickiewiczem. Jego, Duszę, Kwaska, Grzędę... Wie- dzą oczywiście, że Mickiewicz to poeta ludu, narodowy wieszcz, że sławił i czerpał z ludowej spuścizny, ale widocznie jego akcje poszły w górę.

Kiedyś w kantine, szef wyrecytował nawet na głos jakąś pieśń Różań- skiemu, a ten ku zdumieniu sali podchwycił i już dalej ciągnęli na dwa głosy. Cały wiersz, do końca. Ballada *Alpuhara*. Ładna nawet. Tam o tej zarazie jest...

Co z tym Hrynkiewiczem? Oczywiście, zna jego historię, kto z towarzyszy na Mokotowie jej nie zna?! Bogusław Hrynkiewicz. Nasz człowiek, nasz as, ge- niusz roboty konspiracyjnej! Tyle że teraz na aucie. Był wtyką PPR-u w Gesta-



po, i to najlepszą! Gdy przed laty Kaskiewicz przeglądał jego raporty, był dumny. Hrynkiewicz dawał wzór! Przedwojenny komunista, więzień sanacji. Z chwilą wybuchu wojny zadekował się w Białymstoku. Tam znaleźli go radzieccy towarzysze, wyszkolili, wystali do Warszawy. W stolicy Hrynkiewicz rozwinął skrzydła. Poznał „grupę inicjatywną” z towarzyszem Nowotką na czele, poznał towarzyszkę Fornalską, Skonieckiego. No i miał dar. O tym, jak wszedł w kontakt z Gestapo, uczyli w szkole wywiadu. To był podręcznikowy *modus... oper... oper...* jakoś tak. Co za talent! To jemu resort zawdzięczał informacje o wszystkich zbrodniach AK. Szczegółowe i wyczerpujące. To on w lutym 1944 roku zdobył archiwum AK. To była doskonała akcja, dla niepoznaki przeprowadzona z Niemcami. Gestapo wzięło swoje materiały, my swoje. Hitlerowcy nie połapali się, że ich wykiwaliśmy. To Hrynkiewicz przejął Miecz i Pług, to on pierwszy wszedł na kontakt z komendantem „Grotem”. Wiedział o nim wszystko. Wszędzie miał swoich ludzi. Nasz „Aleksander”.

No ale potem coś się stało. Coś w nim w końcu pękło. Tak to przynajmniej tłumaczyli towarzysze radzieccy. Ktoś go złamał? Wystraszył? Tego do końca nie wiadomo. Stracił czujność. Dat się podejść przeciwnikowi, Marianowi Spychalskiemu. Spychalski... Szpion zakamuflowany w naszych szeregach.

Kaskiewicz dopiero teraz uświadamia sobie, że chodzi po pokoju jak lew w klatce.

– Grenada, Grenada... o co w tym wszystkim...?

Czuje, że szef wystawia go na próbę.

– Grenady, szarady, domysły. O co chodzi? O co, kurwa... No i co ma z tym wspólnego Kronenberg? I ten stary proces z czterdziestego siódmego?

Podnosi teczkę, waży w dłoni. Ciężka, pękata. Sfatygowana zielona okładka. Przeszła już przez wiele rąk, czyli towarzyszom na tym zależy.

Otwiera, przewraca kilka kart. Odnajduje wyrok Zarańskiego. „Oskarżam Jana Zarańskiego, syna Jana, urodzonego dziewiętnastego lipca tysiąc dziewięćset osiemnastego, w Wiedniu... wyznania, wykształcenia, kawalera, bez majątku, pełniącego funkcję redaktora »Gazety Ludowej« organu... o to, że... czynił przygotowania do usunięcia przemocą ustanowionych organów władzy

zwierzchniej”... srata tata... o! jest że w czasie wojny, w okresie od października 1943 do 1944 roku dobrowolnie współpracował z władzą niemiecką przez to, że utrzymywał stały kontakt z oficerem Sicherheitspolizei Warschau Abwehra... Kronenberg Wanda... Edith Müller... okazywał jej pomoc w ściganiu osób prześladowanych przez okupacyjne władze niemieckie”.

Przerzuca kolejne strony. Znajduje początek akapitu, zaczyna znowu cisutko, potem na głos, jak prokurator na sali. „Wanda Kronenberg była wybitnym szpiegiem niemieckim i jako oficer »Sicherheitspolizei Warschau Ab. IV N i Ab. IV AS« oraz »Abwehrstelle Breslau« na terenie całej Polski prowadziła ożywioną działalność, zmierzającą do opracowania schematycznego organizacji podziemnych, ich zamierzeń i taktyki walki z Niemcami, zbadania prądów politycznych poszczególnych organizacji”...

Przerywa. Po co szef mu to dał? Zna przecież te wszystkie zarzuty. Prze-studiował jej służbę dokładnie. Wie, że Wanda miała na sumieniu towarzyszy... „Z drugiej strony, utrzymując kontakt z szefem »Sicherheitspolizei Warschau Ab. IV AS« Spielkerem, składała mu szczegółowe sprawozdania z wywiadu politycznego, otrzymując jednocześnie od niego wytyczne inspiracji politycznej, skłócenia organizacji między sobą i skierowania ich działalności w kierunku zwalczania prądów demokratycznych w Polsce. Kronenberg utrzymywała również kontakt z szefem »Sicherheitspolizei Warschau AB. IV N« – Birknerem, któremu wskazywała ludzi, przede wszystkim Żydów, członków organizacji lewicowych polskich i członków dywersji organizacji AK do likwidacji”... [119].

Kaskiewicz powolnym ruchem zamyka teczkę. Pamięta doskonale, że ona nie tylko wydawała towarzyszy, ludzi lewicy i ukrywających się Żydów. Wydawała w ręce Gestapo też swoich: AK-owców, eneszetowców, narodowców. Ludzi z różnych partii politycznych. Ba! Samego towarzysza Boya-Żeleńskiego wydała w ręce oprawców. Gdzieś o tym przeczytał. Była bezwzględna, jak przystało na przedstawicielkę zdegenerowanej klasy posiadaczy! Proces Zarańskiego to była wtedy, w czterdziestym siódmym, duża sprawa. Na ławie oskarżonych grupa z PSL-u. Zarański, braciszek tego od Mikołajczyka, dostał siedem lat. Za współpracę z Kronenberg. Ładnie się to wtedy ułożyło: „Narodowiec, gestapo-

---

119Akt oskarżenia przeciwko Augustyńskiemu Zygmuntowi, Zarańskiemu Janowi, Pawlinie Leonowi i Maciejcowi Zygmuntowi, dokument zatwierdzony przez naczelnika wydziału śledczego MBP ppłk. Różańskiego, 27 VIII 1947 r., IPN BU 0259/101/1, s. 77–78.

wiec i PSL-owiec w jednej osobie”, takie byty nagłówki gazet.

Dobra robota. Ale czego oczekiwał szef teraz?

Kaskiewicz delikatnie kładzie teczkę na biurku. Patrzy w okno, patrzy z powrotem na odpis wyroku. Siedem lat. Tylko tyle. Pewnie o to chodziło szefowi. To było mato, za mało. Zdecydowanie za mało. A dlaczego? Bo nie mieli żywych dowodów. Nie mieli... A teraz, gdyby się tak postarać i połączyć żywą Wandę z oskarżonymi, to... Jeszcze raz: Kronenberg pracowała z Birknerem, to już wiedział. Z tym samym Birknerem, z którym pracował Hrynkiewicz... A, to ciekawe! Szef powiedział teraz, że Hrynkiewicz to „Aleksander”, „Aleksander” z kolei to... Mazurin. A kogo zlikwidował Mazurin w 1943? No, no... naszego człowieka zamordował! Czemu durowa!

I nagle ujrzał przed sobą zamek na wysokiej górze. Z dołu szturmują hiszpańscy rycerze, na górze Maurowie bronią się resztkami sił. I nagle otwiera się brama zamczyska i chyłkiem wyjeżdża okutany płaszczem jeździec.

Zbliża się do obozowiska wroga...

„Hiszpanie – woła – na waszym progu  
Przychodzę czołem uderzyć,  
Przychodzę służyć waszemu Bogu,  
Waszym prorokom uwierzyć”.

## Rozdział 26

# Brytyjski łącznik

Profesor Janusz Paszyński mówi jedno słowo: „Pomyłka” A potem przez godzinę relacjonuje swoją wersję wypadków.

– Znałem Kronenbergów jeszcze z Włocławka. Mój ojciec pracował u prezesa Leopolda Jana w Banku Handlowym na ulicy Kościuszki, pod numerem trzecim. Mieszkaliśmy w domu pracowników, nad bankiem. Schodząc do ojca do pracy, czasami spotykałem Kronenberga. Ale to było przed wojną.

Na mojego rozmówcę trafiłem przypadkiem. Przeglądałem relacje byłych powstańców w Archiwum Historii Mówionej MPW. W pewnym momencie na ekranie komputera zajaśniało podkreślone nazwisko „Kronenberg”, pojawiające się w relacji Paszyńskiego, który od lat na własną rękę próbował się dowiedzieć, co się stało z Wandą. W powstaniu walczył w Zgrupowaniu „Krybar” na Powiślu. Gdy jesienią 1945 roku wrócił do rodziców we Włocławku, znowu spotkał starego Kronenberga. Były już prezes wynajmował u nich pokój. Mama wzięła Janusza na stronę.

– Powiedziała mi wyraźnie: jeśli będziesz z Kronenbergiem rozmawiać, nie pytaj go o córkę. Powstańcy ją rozstrzelali.

Tylko tyle wiedziałem, nie pytałem. W środowisku bankowców, w którym przecież prezes Leopold Jan Kronenberg grał

przed wojną pierwsze skrzypce, sprawa śmierci jego córki była głośna. Jako pierwszy w tej sprawie zabrał głos Tadeusz Czaplicki, ziemianin, sąsiad Kronenbergów. Opowiadał wszem wobec, że córka jego przyjaciela została rozstrzelana z błędnego wyroku AK. „W rzeczywistości była agentką angielską, czego w zamieszanu Powstania Warszawskiego nie mogła udowodnić”<sup>[120]</sup>.

W podobnym tonie wypowiadał się Stanisław Wachowiak, również przedstawiciel przedwojennej finansjery. We wspomnieniach opublikowanych w Paryżu powtórzył, że do tragedii doszło przez pomyłkę, że Wanda została zastrzelona jako szpieg, choć w polskim wywiadzie była nieoceniona ze względu na świetną znajomość niemieckiego. „Był to jeden z najtragiczniejszych wypadków naszego Podziemia. Cóż pomogły uroczyste rehabilitacje – biedna Wanda zmarła za Ojczyznę!” napisał<sup>[121]</sup>.

Profesor Paszyński. o pomyłce dowiedział się od Józefiny Kowalewskiej, siostry Leopolda Jana. Jako „wróg ludu i szpieg” Kowalewska spędziła w komunistycznym więzieniu kilka lat. Po wyjściu na wolność zwierzyła się matce profesora, że Wanda rzeczywiście była agentką Intelligence Service, a jej współpraca z Niemcami była tylko przykrywką.

– Na ile prawdziwa była to wiadomość, nie wiem. Kowalewska mogła tak mówić, by oczyścić honor rodziny, ale postanowiłem sam to sprawdzić, zrobiłem małe śledztwo – przyznaje Paszyński.

Pan profesor wiele lat temu rozmawiał z historykiem Juliuszem Kuleszą, autorem wybitnej pracy o likwidatorach z kontrwywiadu AK.

– Kulesza mówił, że jeden z tych niedoszłych wykonawców już po wojnie napisał mu, że gdy szli wtedy w kwietniu 1944 roku

---

120Tadeusz Czaplicki, *Szlacheckie ostatki. Dwudziestowieczna opowieść polskiego ziemianina*, Warszawa 2000, s. 255.

121Stanisław Wachowiak, *Wspomnienia*, „Zeszyty Historyczne” 1986, z. 77, s. 48.

na ul. Królewską, mieli wątpliwości co do słuszności wyroku. Gdy sam dwa lata temu rozmawiałem o tym z Kuleszą, nie potwierdził tego. Już nie pamiętał. W kolejnym wznowieniu jego książki nadal jest mowa o zamachu na Królewskiej i tragicznej śmierci przypadkowych ofiar, ale o wątpliwościach wykonawców nie ma ani słowa.

A jednak jest jeszcze jedna poszlaka.

– Tadeusz Czaplicki powiedział mi, że ktoś z ziemiańskiego kręgu z Kujaw był w latach pięćdziesiątych w Londynie – kontynuuje Paszyński. – Leopold Jan Kronenberg był już wtedy na emigracji. Ten ktoś spotkał go i zapytał wprost, z czego żyje. Przecież komuniści zabrali mu wszystko, uciekł z Polski jedynie z sygnetem rodowym na palcu. Uzyskał odpowiedź, że rząd brytyjski płaci mu za śmierć córki.

To dla mnie sensacyjna wiadomość. Coś jest na rzeczy. Ojciec Wandy, który po ucieczce przez zieloną granicę znalazł się w Londynie, postanowił walczyć o dobre imię córki. W tym celu zaczęła pisać do żyjących dowódców AK, szukać świadków. Ślady jego dochodzenia są dziś dostępne w londyńskim Studium Polski Podziemnej, instytucji dokumentującej polski wysiłek zbrojny podczas ostatniej wojny. To wstrząsające listy. Zdruzgotany śmiercią córki ojciec prosi o wyjaśnienia. Pyta, co właściwie się stało wtedy, tam, w Śródmieściu, pierwszego dnia powstania. Dlaczego jego córka musiała zginąć?

Pierwszy list skierował do pułkownika Edwarda Pfeiffera, „Radwana”, byłego komendanta I Obwodu Warszawa Śródmieście AK. To właśnie pułkownik był przełożonym „Litwina”. Domagał się od niego aresztowania Wandy, gdy tylko ta pojawi się na jego terenie<sup>[122]</sup>. Kronenberg przyznaje w liście, że zamierza ubiegać się o rehabilitację córki. Dla niego sprawa jest oczywista. Wanda zginęła, „wykonując powierzone sobie zadania”, jej

---

122List E. Radwana Pfeiffera do L.J. barona de Kronenberg z dn. 28 XII 1959 r., SPP Londyn, sygn. TPI.

śmierć była wynikiem „samosądu”. Sugeruje pułkownikowi, że na jego terenie doszło do zbrodni.

„Samosądu dopuścili się członkowie K-mdy 2 Rejonu służbowo podporządkowani Panu. Milczenie otaczające ponurą tajemnicę czynu, popełnionego z premedytacją rzuciło niezasłużenie hańbiący cień na dobre imię śp. Wandy Kronenberg, która działając – między innymi – w oparciu o założenia zawarte w treści załączonego dokumentu (fotokopię »Tedder Certificate« 1939–1945, The War Office, August 7 1947, MI 1/8085/9/19) złożyła swe młode i ofiarne życie na posterunku żołnierskim w walce o wspólną sprawę. Na zakończenie pragnę zapewnić Szanownego Pana, iż Jego pozytywną reakcję na moją prośbę będę sobie poczytywał jako dozgonny dług wdzięczności starego, zbolełego ojcowskiego serca. W oczekiwaniu łaskawej odpowiedzi załączam wyrazy szacunku i poważania”.

List nawet dziś robi duże wrażenie. Zapewne zrobił je także na „Radwanie”. Pułkownik odpisał baronowi jeszcze przed końcem 1959 roku<sup>[123]</sup>. Widać, że starał się tak formułować myśli, aby nie wywoływać dodatkowego bólu. Dla niego wszystko w tej sprawie było jasne: Wanda była zdrajczynią, zginęła z wyroku sądu. Napisał, że niewiele pamięta, bo na początku walk przebywał w Śródmieściu Północnym i był kilka razy ranny. Zrobił jednak coś, co przeczy jego własnym słowom. Poprawił drobiazg w wiadomości ojca. Napisał, że „rzecz” działa się nie 1 sierpnia, ale w dniach pomiędzy 1 a 3 sierpnia. To oznacza, że musiał znać co najmniej kilka relacji, a te, jak wiadomo, nie są co do daty jednoznaczne. W ostatnim zdaniu zasugerował, że więcej mogliby pomóc świadkowie, którzy zapewne żyją w kraju. Niestety, dostęp do nich uznał za niemożliwy.

Kronenberg nie odpuszczał. Odnalazł zastępcę „Litwina”, majora Łoskoczyńskiego. Jego wersję już znamy. On również zasłonił się

---

123Odpowiedź L.J. barona de Kronenberg z 8 II 1960 r., SPP Londyn, sygn. TPI.

niepamięcią i ranami odniesionymi na początku walk. Nie kończy to jednak sprawy.

W liście do „Radwana” ojciec Wandy powołał się na dokument War Office, według niego koronny dowód na niewinność córki. To certyfikat wydany baronowi przez Naczelnego Dowódcę Sił Lotniczych w Naczelnym Dowództwie Alianckich Sił Ekspedycyjnych. Prawdziwa laurka za udzielanie pomocy brytyjskim żołnierzom w okresie wojny. Tyle tylko, że to dokument dziękczynny dla barona, nie dla jego córki. Powoływanie się na to konkretne pismo jest więc nadużyciem. Można je oczywiście wybaczyć „zbołałemu ojcu”. Ale czy posuwa naszą sprawę do przodu?

W lutym 1960 roku Kronenberg odpisał „Radwanowi”. Podziękował za sprostowanie daty śmierci córki, wytłumaczył, że mogło mu się coś pomylić, bo ostatnie miesiące jego pobytu w Polsce były niezwykle dramatyczne. Ponieważ zbiegł z kraju pod koniec 1946 roku, nie mógł już potem korespondować z „najbliższymi współpracownikami” córki. Ale podał ich nazwiska. „To przecież koronny dowód jej niewinności!” napisał. Dokładnie na takie zdanie czekałem!

Pierwsza osoba to Maria Marynowska. Działała w Kedywie, należała do Oddziału Dywersji Kobiet „Dysk”. Niestety, zginęła podczas powstania. Drugi współpracownik wymieniony przez Kronenberga to minister Józef Wielowieyski. Aha! Czuję, że wreszcie ruszam z miejsca. Minister Wielowieyski to przecież tajemniczy pan W., człowiek, który skojarzył Wandę z wywiadem AK, a potem stał przy niej wiernie, ratując z niejednej opresji. To on także, co wynika z raportu „Stahla”, bronił jej przed kontrwywiadem, gdy zapadała już decyzja o likwidacji. To za jego wiedzą i zgodą pracowała w Gestapo! W materiałach, na które trafiłem, nazwisko było podawane z błędem. Raz pan Nowomiejski, innym razem minister Wielomiejski. Dlatego nie mogłem go odnaleźć!



Teraz zagadka została rozwiązana.

Jest nadzieja, że uda się ostatecznie potwierdzić tożsamość pana W. Dzwonię do Andrzeja Wielowieyskiego. Znany polityk obozu solidarnościowego sam był przecież w czasie wojny w AK. Od lat zajmuje się historią swojej rodziny, może coś wie na ten temat? Dzwonię, przedstawiam mu wyniki mojego śledztwa i... trafiam w próżnię. Uświadamiam sobie, że popełniłem błąd. Rzuciłem do słuchawki zbyt wiele informacji naraz. To wszystko jest skomplikowane, ja gadam dygresyjnie, czuję, że nie możemy dojść do porozumienia. Gdy w końcu były opozycjonista dochodzi do głosu, nie ma dla mnie dobrych wieści.

– Józef Wielowieyski był moim stryjecznym dziadkiem. W okresie okupacji mógł się opiekować Wandą Kronenberg i całym domem Kronenbergów pod nieobecność Leopolda – bo miał odpowiednią pozycję społeczną, miał środki, był człowiekiem zamożnym, mimo że we wrześniu jego mieszkanie zostało zniszczone podczas bombardowania. Działał w Czerwonym Krzyżu. Ale w naszych rozmowach nazwisko Wandy Kronenberg nigdy nie padło. Nie znali się. Skąd zatem Leopold wiedział, że Wanda kontaktowała się z Józefem, a ten się nią opiekował czy ją „prowadził” – nie mam pojęcia. Nic mi o tym nie mówił.

W słuchawce zalega cisza. Jestem rozzarowany. Myślałem, że „prowadzenie” wtyki w Gestapo to tajemnica rodu Wielowieyskich, tymczasem Andrzej Wielowieyski, moja jedyna nadzieja, nic o sprawie nie wie. Tłumaczy jeszcze, że Józef, członek przedwojennego Stronnictwa Narodowego, chociaż tuż przed wrześniem pogodził się z sanacją, nie cieszył się szacunkiem AK. Współpracował raczej z Delegaturą, tworzył sztab doradców, współpracował z ministrem spraw zagranicznych w rządzie kra-

jowym, dyrektorem Knollem.

Gdy opowiadam mu o dwuznacznej grze Wandy, o tym, że reprezentowała być może odłam AK, który chciał współpracy z Niemcami, czuję, że pan Andrzej tężeje. Nie chce powiedzieć niczego, co mógłbym opacznie zrozumieć. Gdy proponuję spotkanie, odmawia.

– Nie mam nic do dodania – mówi. Ja też nie wiem, co powiedzieć. Jak mam skomentować fakt, że polityk Stronnictwa Narodowego był protektorem agentki, która mogła mieć polską krew na rękach? Kończymy rozmowę.

Być może w tym samym miejscu utknął ojciec Wandy prawie sześćdziesiąt lat temu. Nie odnalazłem więcej jego listów. Rehabilitacja córki nie doszła do skutku.

Pozostaje jedynie sprawa dokumentu, na jaki się powołuje: „Tedder Certificate” 1939–1945, The War Office, August 7 1947, MI 1/8085/9/19. To podziękowanie za pomoc brytyjskim żołnierzom, którzy zbiegli z niemieckiej niewoli. W podziemnym slangu mówiło się na nich „dorsze”<sup>[124]</sup>.

Ich historia to fenomenalny temat na film. Dzielni Brytyjczycy, którzy uciekli z oflagów czy stalagów, a potem trafili pod opiekę AK, byli dla Podziemia istnym dopustem bożym. Nie tylko należało ich ukrywać i utrzymywać, ale także cierpliwie uczyć polskiego i dbać, by z nudów niczego nie nabroili. Nie było to wcale proste. W sierpniu 1941 roku delegat Rządu RP na Kraj Cyryl Ratajski alarmował ministra spraw wewnętrznych Stanisława Kota w Londynie, że pod opieką Podziemia znajdowało się już około sześćdziesięciu takich „fighterów”, w większości kłopotliwych i niesubordynowanych. We wrześniu 1941 roku komendant ZWZ był wręcz zrozpaczony. Meldował generałowi Sikorskiemu, że

---

<sup>124</sup> Anna Zapalec, *Druga strona sojuszu. Żołnierze brytyjscy w Polsce w czasie II wojny światowej*, Gdańsk 2014, s. 266.

Anglicy zachowują się wyjątkowo nonszalancko. Przerzucanie ich trasami AK na Zachód jest bardzo niebezpieczne i kosztowne. W Podziemiu powstał nawet specjalny cennik „obsługi” dorsza. W połowie 1942 roku koszty utrzymania i przerzutu jednego jeńca szacowane były na 9500 złotych plus koszty personelu i utrzymania adresu konspiracyjnego w wysokości 1600 złotych. Podziemie nie zapomniało także o 1000-złotowej zapomodze dla rodziny osoby, która za pomoc ukrywającemu się wpadła w niemieckie łapy. Niestety, wsyp było coraz więcej. Wpadki zazwyczaj kończyły się dla Polaków tragicznie.

Ilu takich Brytyjczyków znalazło schronienie w domu Kronenbergów? Trudno powiedzieć. Tuż po Powstaniu Warszawskim generał Bór-Komorowski odznaczył Leopolda Jana specjalnym krzyżem właśnie za pracę na „brytyjskim” odcinku. Zatem musiało być ich wielu. Czy pięćdziesięcioletni arystokrata zajmował się nimi osobiście? Przerzucał nocami z punktu do punktu, uczył życia w okupowanym mieście, języka polskiego, do tego karmił i dbał, aby nie oszaleli z nudów? Trudno sobie wyobrazić, by nie korzystał z pomocy córki. Przecież Wanda mówiła perfekcyjnie po angielsku, miała znajomości, do tego była w ich wieku. Okazuje się, że dowodów na to dostarczył... „Litwin”. W swoim opracowaniu dotyczącym wypadków w ogarniętym powstaniem Śródmieściu, rotmistrz Władysław Abramowicz opisał jednego z warszawskich Anglików. Nazwał go kapitanem Johnem<sup>[125]</sup>.

„W pierwszych dniach powstania przyprowadzono do mojej kwatery ppor. lotnictwa angielskiego, który zbiegł z obozu jenieckiego (mówił to sam) i w Warszawie nawiązał kontakt z AK, która się nim zaopiekowała w sensie wyrobienia dowodów i dostarczenia kwater”, tak Abramowicz zaczyna część wspomnień dotyczącą Anglika. Okazuje się, że Anglik miał wystawione przez KG AK za-

---

125Roman Abramowicz, *Powstanie Warszawskie. Relacja d-cy II rejonu....*, dz. cyt., s. 58- 59.

świadczanie, że wolno mu się poruszać po całym terenie opanowanym przez powstańców. „Spotkanie w kwaterze »Litwina« nie było miłe. Kapitan »John« od progu powiedział, że przyszedł w sprawie Wandy Kronenberg. Wiedział, że nie żyje, wygarnął zdumionym powstańcom, że popełnili koszmarny błąd. »Zginęła niewinnie i on musi ją pośmiertnie zrehabilitować«, powiedział. Wyjaśnił, że była z nim spokrewniona. Zestawiając poszczególne wypowiedzi i fakty, jak kontakty Johna z Kronenberżanką i jego przyście na teren II Rejonu, przebywanie w kwaterze w pobliżu Al. Szucha, jego obecność przy barykadzie na ul. Piusa w momencie przedarcia się Niemców, dochodzę do wniosku, że zarówno Kronenberżanka, jak i ppor. John byli szpiegami angielskimi i pracowali, jak to się mówi, na dwie ręce” , pisał „Litwin”.

„Litwin” miał prawo tego nie wiedzieć, ale Anglik był prawdziwym bohaterem, zrobił dla walczącej Warszawy więcej niż cały brytyjski rząd! Naprawdę nazywał się John Ward. Stał się najsłynniejszym korespondentem z Warszawy. W sumie nadał do Londynu sto depesz z powstania. Transmitowało je BBC, przedrukowywał „The Times”. Nikt nie mógł potem powiedzieć: nie wiedzieliśmy, co się w mieście dzieje! Jako poddany Jej Królewskiej Mości miał wielką zaletę: był Anglikiem, nikt na Zachodzie nie mógł mu zarzucić braku obiektywizmu. A przecież przedstawiciele Gabinetu Wojennego Zjednoczonego Królestwa oczekiwali tylko wiarygodnych meldunków. Polakom nie ufali, wielokrotnie skarżyli się, że zamiast faktycznego obrazu sytuacji dostają propagandę! Wiadomości od „Johna” nie zmieniły chłodnego stosunku Anthony ego Edena, ministra spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii, do powstania, zmusiły go jednak w końcu do opracowania memorandum dla premiera. Wstrząsające depesze trafiły na biurko Churchilla. „John” pisał o niespotykanym okrucieństwie Niemców, dawał przykłady heroizmu cywilów, wołał o pomo<sup>[126]</sup>. Przejmująco opowiadał o samotności miasta. Dostrzegł w porę to,

126Zob. <http://www.warsawuprising.com/doc/dispatches1.htm> (dostęp: 1 IX 2017).

na co inni byli ślepi: „Armia sowiecka przez kilka ostatnich dni znów stoi beczynnie u bram Warszawy (...) Jestem dumny jako Anglik, że mogę walczyć razem z Polakami. Apeluję do całego narodu brytyjskiego: pomóżcie Warszawie!” Jego zasługi dla Polski zostały docenione przez liderów AK. Dostał dwa Krzyże Walecznych. Ale wcześniej był lotnikiem<sup>[127]</sup>. W maju 1940 roku jego bombowiec został zestrzelony nad Luksemburgiem, on wyskoczył na spadochronie. Dostał się do niemieckiej niewoli i ostatecznie trafił do obozu w Lesznie. 17 kwietnia następnego roku uciekł i został złapany. Osadzono go w areszcie w Gostyniu, skąd zwiął już na dobre. W Warszawie Anglik rozwinął skrzydła konspiratora. Już jako podporucznik AK zaczął szkolić w radiotelegraficznym rzemiośle Polaków, tłumaczył komunikaty z nasłuchu, konstruował radioodbiorniki. Nawązał kontakty z działaczami „piłsudczykowskiego” Konwentu Organizacji Niepodległościowych, wszedł również w środowisko rosyjskiej arystokracji i „białych” emigrantów. Być może tam poznał Wandę.

Po wojnie Ward wrócił do ojczyzny. Do końca życia nie utrzymywał kontaktów z Polakami. Tak jakby nie mógł przeboleć fatalnej pomyłki. Z żadnego z brytyjskich archiwów nie otrzymałem odpowiedzi na pytanie o jego pracę w Warszawie. Takie milczenie świadczy o jednym. John Ward do końca życia pracował w wywiadzie. Zmarł w 1995 roku.

Przyznając się do kontaktów z Wandą w szaleństwie powstańczego Śródmieścia, Ward wydał jej przekonujące świadectwo. Tak, działała w słusznej sprawie. Jej praca dla Gestapo była tylko przy-

---

127Informacje o Wardzie pochodzą z: Norman Davies, *Powstanie '44*, przeł. Elżbieta Tabakowska, Kraków 2004; Jakub Radecki, *Angielski łącznik. Porucznik Ward nadaje z płonącej Warszawy*, [www.konflikty.pl](http://www.konflikty.pl) (dostęp: 10 II 2017). Korzystałem też z niewydanej książki Kamila Tchorka, której ustalenia opublikował w internecie anonimowo, <http://niepoprawni.pl/blog/jeszcze-nie-przypisane/powstanie-warszawskie-w-oczach-brytyjczyka>, (dostęp: 20 XI 2014).

krywką. Tylko co z tego? Spóźnił się, nie zdążył jej uratować. Już nie żyła.

## Rozdział 27

# Nie mam już nic...

To chyba *Skromność*... A może *Energia*? Brakuje jeszcze dwóch rzeźb. Zostały potłuczone, rozleciały się w proch. Były alegoriami ukochanych cnót wielkiego Kronenberga, ale ich imion nie udało mi się ustalić. Może *Pracowitość*? Wielki Leopold miał ją w herbie. *Przebiegłość*? Albo *Upór*? Jestem w lapidarium przy Muzeum Ziemi PAN. Siedzę na murku. Ciepły marmur miło grzeje w siedzenie. Patrzę na to, co kiedyś było rzeźbami Marconiego. Figura z lewej, obleczona w grecką draperię, jest nieco wyższa. Nie ma ręki. U tej z prawej można rozpoznać dłoń, dostrzec kciuk. Niegdyś potężne kariatydy, teraz obłe figury bez głów. Tyle zostało z pałacu na Królewskiej, z dumy rodu Kronenbergów, wizytówki ich potęgi. Smętne relikty przeszłości.

Tuż po wojnie były jeszcze w doskonałym stanie. Sam pałac, w porównaniu z kamienną pustynią dookoła, nie wyglądał najgorzej. Został wprawdzie wypalony, ale grube, kamienne mury oparły się wstrząsom i detonacjom. Początkowo planiści zamierzali przekazać go Niemieckiej Republice Demokratycznej na ambasadę. Gdy przyjaciele zza Odry zrezygnowali, zgłosili się Francuzi. Ci jednak narzekali, że jeśli odbudują pałac w kształcie narzuconym przez konserwatora zabytków, sale na dole będą miały

po sześć metrów wysokości. To zbyt „niemieckie”, uznali. A może ktoś w politbiurze pomyślał, że ambasada francuska na placu Stalina to za duża ekstrawagancja?

Ostatecznie pałac poszedł pod kilof na przełomie 1961 i 1962 roku. Masakrowanie ścian trwało kilka miesięcy, gruz został skrzętnie uprzątnięty. Zostały *Skromność* i *Energia*.

Co czuł Leopold Jan, patrząc na nie po powstaniu? Nie trafił do niewoli, ewakuował się z miasta z ludnością cywilną. Do Warszawy wrócił w styczniu 1945 roku. Pewnie tak jak inni właściciele wspaniałych rezydencji stanął przed tym, co ocalało, i zaczął liczyć. Stać go na odbudowę czy nie? Warto czy nie warto? Według szacunków zespołu ekspertów, powołanego w 2004 roku przez Miasto Stołeczne Warszawę do ustalenia wartości zniszczeń wojennych, stracił prawdziwą fortunę. Dokładnie dwanaście milionów osiemset dwadzieścia trzy tysiące osiemset sześćdziesiąt złotych. Tylko trzy i pół razy mniej niż Zamek Królewski w Warszawie<sup>[128]</sup>. Zresztą, i tak nie zatrzymałby pałacu na długo – dekret Bieruta znacjonalizował wszystkie zabytki i duże nieruchomości.

Ojciec Wandy wybrał się zatem do Wieńca. Chciał zobaczyć, czy ocalał jego drugi pałac, ten ukochany, a także ocenić kondycję majątku swojego i siostry w pobliskim Brzeziu. Stadnina przepadła, co do tego nie miał żadnych złudzeń.

To, co ujrzał, musiało zboleć. Pałac był zdemolowany i ograbiony. Kronenberg zaczął jeździć po okolicy, rozwieszając kartki z prośbą o zwrot pamiątek rodzinnych. Wiedział, że grabieży dokonali „jego” ludzie. Pracownicy folwarku, robotnicy okresowi, może służba. Na niczym mu tak nie zależało jak na zdjęciach. Wszystko inne gotów był zostawić nowym właścicielom. Podał nawet termin, kiedy się po nie zgłosi. Nie przypuszczał, że wła-

---

128Raport o stratach wojennych Warszawy, [https://www.rodaknet.com/Raport\\_o\\_stratach\\_wojennych\\_Warszawy.pdf](https://www.rodaknet.com/Raport_o_stratach_wojennych_Warszawy.pdf) (dostęp: 16 II 2017).



snymi rękami rozwiesza na siebie wyrok. Dokładny opis tego, co się wydarzyło, znalazłem w opracowaniu historyka Piotra Rybarczyka<sup>[129]</sup>.

Tak wyglądał dla byłych ziemian koniec świata, koniec wielowiekowej tradycji. Tak rodziło się nowe. Pałac formalnie odebrano Kronenbergowi 21 lutego 1945 roku. Ruszyła reforma rolna. Od tego czasu Leopold Jan był w Wieńcu niemile widziany, chociaż mógł jeszcze do majątku przyjeżdżać. Ale i to miało się zmienić. Wgląd w panujące w Wieńcu nastroje daje nam lektura pamiętników miejscowego ubeka. „Na drugi dzień pojechaliśmy razem do miejscowości Wieniec (razem z sekretarzem powiatowego PPR tow. Władysławem Woźnickim) pomówić z chłopami. Po przyjeździe na miejsce i zrobieniu zebrania, na które chłopie niechętnie przyszli, tow. Woźnicki mówił o PKWN i reformie wolnej itp. U chłopów wyczułem lęk i jednocześnie bojaźń”.

My, tłumaczył ubek, chłopów rozumieliśmy: tam wyrosli, Kronenberg był dla nich wszystkim. „Po zorientowaniu się na miejscu wniosek był jeden – baron przeszkadza. Po przemyśleniu tej sprawy postanowiłem barona zamknąć”.

Nieświadomy niczego Kronenberg pojawił się w Wieńcu 24 marca 1945 roku i wtedy został aresztowany.

Protokół przesłuchania to przejmujący dokument tamtych czasów. Napisany z błędami, wyraźnie zdradza chęć dziejowego odwetu. Ostatnia wymiana zdań między Kronenbergiem a przesłuchującym jest krótka i kategoryczna:

- Co macie do powiedzenia?
- Nie mam nic.

---

129Piotr Rybarczyk, *Uwięzienie ostatniego Kronenberga. Nieznane Kronenbergiana w zasobie delegatury IPN w Bydgoszczy*, „Przegląd Archiwalny Instytutu Pamięci Narodowej” 2013, t. 6, s. 227–258.

Na tym protokół zakończono, a Leopold Jan poszedł siedzieć.

„Mieliśmy dość podstaw, aby przymknąć pana dziedzica – to też widok był nie lada, jak dziedzic, pan na włościach – słynny Kronenberg, rąbał na podwórku UBP drzewo”, wspominał Oskar Dorsz, przedwojenny komunista, kierownik miejskiego posterunku MO we Włocławku. On również nie krył satysfakcji. Fortuna kołem się toczy, teraz to jemu bogacze będą palić w piecu.

Odsiadka nie była jednak długa. Zaledwie siedemdziesiąt osiem dni, od 31 marca do 16 czerwca 1945. Piszę „zaledwie”, bo inni „posiadacze” i „wrogowie ludu” usiedli od razu na kilka lat. Kronenberg został zwolniony po głodówce. W odróżnieniu od pozostałych wypuszczonych tego dnia na wolność właścicieli ziemskich nie podpisał oświadczenia o „niepodejmowaniu działań wymierzonych przeciwko Rządowi Tymczasowemu”. Był jeszcze hardy.

Wspomniany już ubek miał powiedzieć Kronenbergowi, że siedzi w więzieniu tylko dlatego, że sprzeciwiał się reformie. Kronenberg wypalił mu wtedy, że przecież po 1920 roku był za przeprowadzeniem reformy rolnej i w tej sprawie wystąpił nawet w sejmie. Ale trafiła kosa na kamień. Funkcjonariusz zaripostował pytaniem, czy za ten czyn pan baron został z innymi posłami zamknięty w Berezie Kartuskiej. Leopold Jan nie odpowiedział. Gdy ubek zapytał, co Kronenberg teraz, po zwolnieniu, zamierza robić, znowu zapanowało milczenie. Funkcjonariusz wyczuł, że dziedzic jeszcze nie pękł. Pewnie ma zamiar wrócić do pałacu. I co wtedy? Towarzysze zwierzchnicy nie będą zadowoleni, może mu baron pobuntuje chłopów. Ubek powiedział zatem, że chłopci już podzielili ziemię między siebie, a w pałacu urządzili dom ludowy albo żłobek. I na koniec wypalił: „Powiedziałem mu, że przecież zostawił rodzinę w Anglii i na pewno ona na niego czeka. Na tym rozmowę zakończyliśmy”.

Kronenberg został wystawiony za bramę. Stał tak przez chwilę, jakby znokautowany. Ostatnie zdanie funkcjonariusza było ciosem nie lada, o wiele mocniejszym niż odebranie wszystkich pałaców i ziemi. Niech wraca do Anglii, rodzina na pewno na niego czeka. Kiedy dokładnie zginęła jego żona, Wanda de Montalto, nie wiemy. Znalazłem aż trzy daty jej śmierci, okoliczności są te same: śmierć pod gruzami Warszawy. Na pewno nie zginęła we wrześniu 1939 roku. Wtedy była tylko ranna. Służba wyniosła ją z pałacu w fotelu, dzięki czemu i fotel ocalał. Być może zmarła więc w 1943 roku podczas sowieckiego bombardowania Warszawy. Ale chyba najbardziej prawdopodobne jest to, że zginęła w Powstaniu Warszawskim.

Leopold miał też syna. Leopold Wojciech jako dziedzic był szczególnie chroniony podczas okupacji, w zasadzie żył pod kloszem. Nie wolno mu się było angażować w konspirację. Ukończył Wyższą Szkołę Agrarną na tajnych kompletach. Do tego realizował swoją pasję, grał na gitarze. Ale nie wytrzymał w tym natchnionym stanie zbyt długo. Wymógł na ojcu przyrzeczenie, że gdy tylko skończy osiemnaście lat, będzie mógł wziąć do ręki coś cięższego niż instrument. Co Leopold Jan miał synowi powiedzieć? Że mu zabrania? Że wystarczy działająca w konspiracji siostra? Nie wiem, gdzie Wojciech spędził powstanie. Ale zaraz po nim pojawił się w partyzanckim mundurze. Trafił do 25. Pułku Piechoty AK Ziemi Piotrkowskiej. Wyczerpujące śledztwo dotyczące jego losów przeprowadził dziennikarz Radosław Nowek, to dzięki niemu wiadomo, co stało się dalej<sup>[130]</sup>. Chłopak służył w 1. kompanii, obsługiwał cekaem. Został amunicyjnym-ladowniczym. Pseudonim „Kicki”.

Podobno nie miał w lesie łatwo. O tym, że służył z przylepioną

---

130Radosław Nowek, *Poszukiwanie brzoźowego krzyża. Wojciech Kronenberg „Kicki”*, [www.k0nskie.org.pl/2013/08/p0szukiwanie-brz0z0weg0-krzyza-w0jciech.html](http://www.k0nskie.org.pl/2013/08/p0szukiwanie-brz0z0weg0-krzyza-w0jciech.html) (dostęp: 16 II 2017).

„łata” Żyda, wiadomo od partyzanta Konrada Leśniewskiego, „Orlika”.

„Chociaż Wojciech Kronenberg był wnukiem przechrzty i miał dwie ojczyzny, to jednak bardziej uważał się za Żyda niż Polaka”, powiedział dziennikarzowi, zdradzając tym samym, jak koledzy w oddziale go traktowali.

Wiadomo, że trzymał się z takimi samymi jak on „dziwakami”: Henrykiem Wojarskim, „Zeusem”, i kapralem „Zniczem” Wszyscy byli Żydami.

6 listopada 1944 roku oddział „Kickiego” zatrzymał się we wsi Boków w lasach przysuskich. Przez pięć godzin odpierał ataki wroga. W końcu dowódca dał rozkaz do wycofania się. Niestety, rozkaz nie dotarł do 1. kompanii.

Przy jednym z karabinów uwijali się „Kicki” i „Zeus” Zabarykadowali się w jednej z chałup i pruli z karabinu do podchodzących Niemców. Uratowali w ten sposób życie innym. „Trwają zawzięcie na swoich stanowiskach, umożliwiając reszcie przedarcie się do lasu. Sami jednak zostają odcięci. Walczą do ostatka. Giną, wypełniając bez reszty swój żołnierski obowiązek”<sup>[131]</sup>.

Piękna żołnierska śmierć. Niestety, to wersja heroiczna. Mieszkanka wsi Zychy Marianna Pałka zapamiętała to inaczej. Opowiedziała Nowkowi, że w gajówce, z której uciekali partyzanci, zostali ciężiej ranni. Nie mieli szans się uratować, już nie mogli chodzić. „Gajówka już się paliła, a oni tam w środku spalone, panie, żywcem”. Podobno tylko jeden z rannych partyzantów wyczołgał się z płonącej chałupy. Kałmuk stanął nad nim i wycelował broń. W miejscu śmierci „Kickiego” i „Zeusa” mieszkańcy wsi postawili dwa brzoźowe krzyże. Z czasem się rozpadły. Ciała przeniesiono po latach do żołnierskiej mogiły na cmentarzu w Niekłaniu Wielkim. Spoczywają tam do dziś.

Czy wtedy, na progu wrocławskiego więzienia, bezdzielny już

---

131Eugeniusz Wawrzyniak, *O Panie, skrusz ten miecz*, Warszawa 1982, s. 164–165.

wdowiec postanowił uciec? Jeśli tak, to zdecydował się na ucieczkę w ostatniej chwili. Pierwsze aresztowanie miało być tylko przygrywką. Prawdziwy proces, z odpowiednią pompą, z upokarzającym ceremoniałem należnym „wrogowi ludu”, czekał go już niebawem. Mógł zostać oskarżony o cokolwiek. Tak jak jego siostra Józefina, którą władza ludowa skazała na siedem lat więzienia za współpracę z wywiadem brytyjskim. Odsiedziała w Fordonie – więzieniu dla kobiet – połowę kary. Wyszła złamana, do końca życia mieszkała kątem u znajomych. Samochód poturcił ją 3 lutego 1969 roku na przejściu ulicznym. Zmarła tego samego dnia.

W 1947 roku Leopold był już w Londynie. Ostatecznie osiadł w Stanach Zjednoczonych. Mieszkał w Los Angeles, zmarł w 1971 roku.

Pod koniec życia przekazał Muzeum Historycznemu Warszawy pamiątki z Polski. Wśród kilkudziesięciu zdjęć nie było ani jednej fotografii Wandy.

## Rozdział 28

# Śledztwo kapitana Kaskiewicza. Część 5

Nu, popili wczoraj niemnożko... Ależ byto hucznie, wesoło. Jak to szło? „Idzie Wieś przez wieś... worek piasku niesie...”. Ha, ha... Kapitan siedzi w gabinecie i trzyma się za głowę. Kac rozsadza mu czaszkę i mimo klina i kilku ogórków wcale nie czuje się lepiej. Ślęczy nad maszynopisem już drugą godzinę. Nie idzie mu w tym stanie. Raport jest prawie gotowy, jeszcze ostatnie poprawki, maszynistki przepiszą i do dzieła. Ale od rana zdążył przewrócić zaledwie trzy strony i stanął... Dalej nie dato rady. Literki zaczęły skakać, wersy plątać się, gubił wątek. Przed załzawionymi oczami zaczynają mu się przewijać porwane obrazy z wczorajszej nocy. Śpiewy, tańce, kazaczoki... I znowu ten Mickiewicz. Pułkownik Fejgin stoi na stole i recytuje, a wszyscy pokładają się ze śmiechu...

„Patrzcie, o giaury! Jam siny, blady,  
Zgadnijcie, czym ja postem? –  
Jam was oszukał, wracam z Grenady,  
Ja wam zarazę przyniosłem”.

Dużo czasu zajęto mu rozwiązanie zagadki. Szefowi chodziło o towarzysza „Wiesława”. Władysława Gomułkę! Sekretarza generalnego Polskiej Partii Robotniczej. O odchylenie narodowe, błędy w postrzeganiu roli Związku Radzieckiego, przeciwdziałanie kolektywizacji... To nad tym siedział już od miesiąca. Składał wątki do wątków, fragmenty do strzępów. Wszystko ma tu grać, musi do siebie pasować, wynikać jedno z drugiego. I trzeba powiedzieć, że mu się udało, napracował się jak mato kto. Powstał elaborat, gotowe założenie

śledztwa. Dwadzieścia stron. Było tu, co trzeba, krok po kroku, gotowy materiał dla prokuratora.

Ależ to była impreza. Ileż ten Światło potrafi wypić! A Różański! Ho, ho, tęgie głowy... „Idzie Wieś przez wieś...” Ryczeli ze śmiechu. Bo towarzysz „Wiesław” to teraz wróg, na niego szukają haków. Ale głowa dziś nie do użytku. Wszystko się jeszcze przewraca, kotłuje, chybotcze... karuzela. Należała mu się ta chwila wytchnienia. Od tygodnia w ogóle nie wychodził z gabinetu, aż się koledzy zaczęli niepokoić. Nie schodził do kantyny, nie odbierał telefonów. Tylko jak się lampka zaświeciła, wtedy wiedział, że to od szefa. I podnosił słuchawkę. Prostał się na krzesło, odginał zgarbiony kark, mrużył przekrwione oczy, *tak toczno, tak toczno* i odkładał. Chodził potem po swojej klitce, palił, znowu chodził, myślał. Myślał, tak jak szef kazał. I wszystko wymyślił, wyjaśnił. Wyklarował i ułożył... aż doprowadził sprawę do końca. Napisał, postawił kropkę...

– Dialektyka, Jurek, dialektyka! – powtarzał sobie.

Ciężka to była robota. Ale i czasy nie są łatwe. Jak to powtarza towarzysz Kwasek, nie ma lekko w przemyśle ciężkim, ha, ha... Towarzysz Fejgin miał to wszystko genialnie w głowie poukładane. No ale wiadomo: tam, na górze, nie takie operacje z Różańskim potrafili wyczarować. Choć okazało się, że i praca w terenie się przydała. I konfidenci, nie można ich lekceważyć. To przecież towarzysz „Wilczur” z kontrwywiadu AK przejął na czas archiwum reakcji. Nie zdążyli go spalić, łobuzy. Wystawił ich do wiatru. A tam były papiery na Wandę. Okazuje się, że mieli ją na widelcu już w 1943. Ale coś nie pozwalało wykonać wyroku. Miesiąc, dwa, pięć, rok... Chodzili za nią i chodzili. I dupa. Nie wykonali. Ależ ich ta dziewczyna kiwała. Jak ten nasz piłkarz Wilimowski Brazylijczyków.

Odsuwa głośno krzesło. Jęczy. Głowa. Jakby mu ktoś świdrem wiercił skroń.

– Błąd. Znowu Błąd, Jureczku! – Zimny pot występuje mu na czoło. Klepie się nerwowo po policzkach. Jak to teraz na wszystko trzeba uważać, jak to najpierw trzeba pomyśleć, żeby nie palnąć niczego...

– Uważaj, co mówisz! – karci się w myślach. – Ernest Wilimowski to przecież dzisiaj zdrajca.

Już zaczyna się zastanawiać, jakiego by tu piłkarza użyć za przykład, ale się przywołuje do porządku. A i szukanie okazuje się wysiłkiem ponad siły. Nie o to chodzi. Tu chodzi o nią. O Wandę. Kiwała te swoje służby, całą reakcję,

jak chciała. Sami nie mogli się jej, czy ich... doliczyć. Raz była blondynką, raz brunetką, raz była tu, raz tam. W końcu jednak ją dorwali. W powstaniu. Zabili. Ale na szczęście bez świadków. I to się okazało fenomenalną okolicznością. Bo najpierw przydała się w 1947 roku w procesach przeciwko PSL-owcom. Kto ją znał, *znaczył*: szpion, zdrajca, renegat. Skoro raz dobrze poszło, pójdzie i drugi raz. I właśnie nad tym kapitan siedział od tygodni. Nad połączeniem tego w jeden ciąg, jedną nitkę zbrodni.

– Skoro Wanda Kronenberg była suką Birknera, tego gestapowca z Szucha, a ten się znał i działał z Hrynkiewiczem, czyli „Aleksandrem”, czyli Mazurinem... woda się skończyła... a Hrynkiewicz był przecież człowiekiem Spychalskiego, bo był... to znaczy, że ta gestapowa знаła się również z towarzyszem „Wiesławem”. Znaczy... Władysławem Gomułą. Działali wspólnie, rączka w rączkę. Tak, tak, z naszym towarzyszem Gomułą. I tak ziarno do ziarnka, przebrała się miarka... Wiesio jest ugotowany. Mamy oto powiązanie Gomuły z Gestapo. Jak po sznurku, wszystko wyjaśnione. I teraz wszystko to nam ładnie wyśpiewa pani baronessa. Jak na spowiedzi. Gdzie, z kim i dlaczego.

Skoro już się odnalazła. I będzie zeznawać. A jak ją Gomułka zobaczy na sali sądowej, to spadnie z krzesła. Znaczy, z ławy się osunie. Trzeba to tylko dobrze wszystko rozegrać. Nowa Wanda musi być cacy! Musi być przekonująca, musi być wiarygodna. Ma mówić głośno, głosem pewnym, tonem oskarżycielskim.

Powie się, że wtedy, w powstaniu, powiesili jakąś inną żonę, kogoś tam... nieważne. Poza tym niejednemu psu Burek. Świadkowie przepadli... oj, jak boli... na drugi raz trzeba zagryzać smalcem.

Kaskiewicz czuje, jakby ściany napierały na niego z czterech stron, jakby pokój robił się coraz mniejszy. Brakuje mu powietrza. Odpina kolejny guzik. Ale z roboty jest zadowolony. Udowodnił, że Gomułka to zdrajca! Zadanie wykonane. Pochyla się jeszcze nad papierami. Bredzi dalej, już na głos:

– Idzie Wieś przez wieś... geniusz ten wieś... wieszcz... Mickiewicz... na prawdę.

Wszystko kręci się w zawrotnym tempie. Do góry, na dół, w bok... Kapitan czuje, że traci grunt pod nogami, że karuzela porywa go ze sobą, a pod stopami hula wiatr. Skronie wyslizgują się ze spoconych dłoni i głowa opada na biurko. Słyszcć ciężkie tąpnięcie. Ucho trąca kałamarz. Atrament wylewa się na papier.



Wanda i „Wiesław” toną razem w niebieskim oceanie kapitanowego snu.

„Pocałowaniem wszczepiłem w duszę  
Jad, co was będzie pożerać,  
Pójdźcie i patrzcie na me katusze:  
Wy tak musicie umierać!”

## Rozdział 29

# Kim jesteś, Wando?

Zgrzyt zamka i kłódka ustępuje. Podwoje bramy uchylają się, wjeżdżam. Jestem na terenie „Pałacu Wieniec”. W cudzysłowie, bo pałac zmienił status i teraz znajduje się w rękach prywatnych. „Pałac Wieniec, Sp. z o.o. z siedzibą w Toruniu” to własność firmy, która w przyszłości ma odnowić to miejsce, przywrócić mu blask. Ale czy tak się stanie? Tego ochroniarz nie wie. Na razie on tu jest gospodarzem i palcem pokazuje, gdzie mam zaparkować.

Stawiam auto za bramą. Biorę z siedzenia starą fotografię i ruszam. Wielkie dęby otaczają pałac ze wszystkich stron. Park jest zapuszczony, od dawna nie koszą tu trawy. Ale to dobrze. Nikt nie oszukuje tu czasu. Dawna rezydencja Kronenbergów wygląda tak jak większość polskich pałaców, którym wprawdzie udało się przetrwać wojnę, czasy stalinowskie i PRL, ale potem nikt nie miał na nie pomysłu. Spokojnie niszczeje z dala od wścibskich oczu. Do 2006 roku funkcjonował tu Oddział Gruźlicy i Chorób Płuc Szpitala Wojewódzkiego we Włocławku.

Podchodzę do głównego wejścia. Pałac jest eklektyczny, nie ma klarownej formy. O tym, że po wojnie leczono tu ludzi, informuje wielki napis zaraz przy wejściu: Pulmonologia. Główny hol już dawno stracił reprezentacyjny charakter. Ostatni administrator

przedzielił go ścianą, zmniejszył o połowę. Wnętrze wydaje się niegościnne, zimne, kanciaste, jakby mieścił się tu garnizon, a nie letnia rezydencja. Przez okno wpada dużo słońca. Wchodzę. I łup, już od progu dostaję po oczach. Ściany są jadowicie błękitne, wewnątrz wygląda jak wzburzone morze. Złuszczony tynk tworzy fale, białe bryzy zwijają się w rulony. W innych miejscach długie na metr olejne gile zwisają z sufitu. Są jak stalaktyty w kredowej jaskini. Wspinam się na piętro po reprezentacyjnych schodach. W połowie drogi dostrzegam dziurę w ścianie. Tak, to tu wisiał wielki obraz narodowego bohatera. *Kościuszko rozdaje chłopom ziemię*. Bardzo przewrotny motyw w pałacu kogoś, kto posiadał pięć tysięcy hektarów.

Wchodzę do wielkiego salonu. Niegdyś było to serce domu. To tu rodzina omawiała najważniejsze sprawy, tu spotykała się z gośćmi. Dziś wewnątrz jest wyprute i wybebeszone. Magia przytulnego zakątka bezpowrotnie zniknęła.

Przypominam sobie kadry z filmu *Na Sybir!*, który tak zafascynował małą Wandę. W kilku ujęciach widać fasadę pałacu. Śnieżna biel ścian, smukłe kolumny na ganku, zadbane klomby i piękna fontanna. Tak pałac zapamiętała Wanda, która ostatni raz widziała go latem 1939 roku. Kim tak naprawdę byłaś? – myślę, trzymając w ręku jej ostatnie zdjęcie.

W lipcu 1942 roku do Warszawy przyjechała trupa niemieckich akrobatów Camilla. Ich występ pod gołym niebem obserwowały setki mieszkańców. Nad placem Napoleona i ulicą Szpitalną, dosłownie kilkaset metrów obok domu Wandy, akrobaci rozpięli linę i nad głowami zdumionych gapiów wykonywali skomplikowane akrobacje. Jeden z numerów polegał na tym, że linoskoczek tracił równowagę i gdy już, już miał spadać, odzyskiwał kontrolę nad ciałem, by po chwili znowu wpaść w tarapaty i cudem się uratować. Czy te popisy nie przypominały jej strategii przetrwania? Ona też doszła do dużej wprawy. Jej sposób na życie polegał

na ciągłym wyprzedzaniu zagrożenia. Gdy pojawiały się kłopoty, Edith Müller albo Wanda Jegoroff, Wera albo Lida, pakowała się w kolejne, piętrzyła nowe przeszkody, by spektakularnie znaleźć wyjście z sytuacji, odwracając od siebie uwagę. Pracowała tak dużo, pisała tak wiele, że sprawiała wrażenie osoby głęboko wtajemniczanej i zaangażowanej. Zasypywała swoich przełożonych ogromną liczbą skomplikowanych danych, rozplątywanie wątków zajmowało potem miesiące. W tym czasie przynosiła kolejne dane. I następne. I tak miesiąc w miesiąc. O czym świadczyła taka metoda?

\* \* \*

Wanda pracowała tylko i wyłącznie dla siebie. Wszystkich innych oszukiwała. Robiła to, by przetrwać. Trochę szczuła, więcej manipulowała, dużo kłamała. Robiła to niezwykle skutecznie aż do Powstania Warszawskiego. Dopiero wtedy, w okresie chaosu i anarchii straciła kontrolę nad sytuacją. Od początku była na straconej pozycji. Zagrażali jej Niemcy, nie ufali Polacy. Jeśli zatem manewrowała i manipulowała, robiła to w samoobronie. I robiła to naprawdę genialnie. Z wycuciem, minimalizując ryzyko. Dostarczała haki, donosy, dowody. Wszystkiego tyle, aby zawsze pozostawić niedosyt. To wielka umiejętność tak lawirować. Prawdziwy kunszt, przy którym wygibasy gwiazd Camilli stawały się jedynie cyrkową sztuczką.

Wychodzę z pałacu, idę w stronę ogrodu. Patrzą na fotografię, którą wziąłem ze sobą. W tle tylna fasada pałacu, na pierwszym planie stoi dziewczyna. To właśnie Wanda Kronenberg. Ile mogła mieć wtedy lat? Gdy wybuchła druga wojna, skończyła siedemnaście. Tu wygląda na młodszą, zatem fotograf mógł zrobić to zdjęcie w okolicach 1937 roku. Dziewczyna w sukience stoi nienaturalnie, niezgrabnie, jakby nie chciała pozować. Widać, że jest z czegoś niezadowolona.

Fotografia przedstawiająca naburmuszoną baronównę Kronenberg na tle pałacu, matecznika polskości, najcelniej opisuje historię rodu. Jest tu wszystko, co trzeba. Na pozór piękne i szlachetne, w rzeczywistości krzywe, niepasujące do siebie. Fałsz i zgrzyt. Wanda, którą fotograf uchwycił wbrew jej chęci, międli coś w dłoniach, najchętniej zeszlaby już z planu. Dlaczego się krzywi? Co jest nie tak?

Podnoszę głowę znad zdjęcia. Dokładnie w tym samym miejscu, gdzie stała modelka, stoi teraz stare krzesło. To połamany zydel, ale jeszcze zdatny do siedzenia. Jest tu od dawna, prawie wrósł w ziemię. Ktoś go pewnie wyciągnął z pałacu. Wygląda upiornie. Stoi tu jednak, jakby na kogoś czekał. Jakby ktoś z niego regularnie korzystał, zasiadał na nim co wieczór i patrzył tam, gdzie Wanda przed laty. Czuję dziwny dreszcz. Próbuję dostrzec to coś, ale nic przed sobą nie widzę. Tylko nieczynną fontannę i dziki, zarośnięty ogród. I wtedy to sobie przypominam. Kadry z filmu *Na Sybiri!*.

Kolorowy tłum w kujawskich strojach tańczy na placu przed fontanną.

Film jest niemy, ale już słyszę dźwięki skrzypek. Dołączają do nich basy, potem reszta instrumentów. Po chwili orkiestra już gra na całego, chłopstwo zaczyna podrygiwać. Polski lud, zachwycony odzyskaną wolnością, idzie w radosne płąsy. A duch Wandy patrzy na to obojętnym wzrokiem. Pustymi oczodołami śmierci.

## Epilog. Losy

Wanda Kronenberg (1922–1944), córka Wandy de Montalto i Leopolda Jana. Po wojnie jej ciało zostało ekshumowane z podwórka kamienicy przy ul. Kruczej 11 w Warszawie. Nie udało mi się ustalić, czy trafiła do rodzinnego grobowca na Powązkach, czy spoczęła w zbiorowej mogile ofiar Powstania Warszawskiego na warszawskiej Woli. Nie została zrehabilitowana.

Wanda Kronenberg z domu Nurzyńska, córka Zofii i Michała, urodzona 5 maja 1905 roku, stała się ofiarą zamieszania wokół swojej imienniczki. Od 1944 do 1945 roku przebywała w Krakowie, po zakończeniu wojny wróciła do stolicy. Gdy w 1952 roku Urząd Bezpieczeństwa zaczął identyfikować ją z agentką Gestapo, pracowała w Centrali Handlowej Przemysłu Farmaceutycznego w budce z piwem.

Wanda Kronenberg, „Jolita”, podporucznik Armii Krajowej. „Za postawę wobec wroga, poświęcenie i dzielność w służbie” została odznaczona przez Dowódcę Armii Krajowej Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami oraz Brązowym Krzyżem Zasługi z Mieczami. Po wojnie mieszkała w Warszawie. W spisie uczestników powstania w Muzeum Powstania Warszawskiego nie figuruje.

Wojciech Kronenberg, „Kicki” (1925–1944), brat Wandy, ukończył podczas okupacji szkołę agrarną. Zginął śmiercią żołnierza. Został pochowany na cmentarzu miejskim w Nieklaniu w mogile partyzantów 25. Pułku Piechoty AK, poległych 5 września 1944 roku w potyczce pod Bokowem. Na płycie wyryty jest napis „Cześć ich pamięci!”

Leopold Kronenberg (1891–1971), ojciec Wandy, ostatnie lata wojny spędził, administrując dobrami w powiecie łowickim. Wyjechał z Polski pod koniec 1946 roku. Z całej fortuny udało mu się uratować kilkadziesiąt zdjęć, teczkę rodzinnych dokumentów, srebrne binokle, oczko sygnetu oraz parę kluczyków. W Wielkiej Brytanii ożenił się po raz drugi z Janiną Byszewską, z którą wyemigrowali w latach pięćdziesiątych do USA. Mieszkał w Los Angeles. Do końca życia nosił w klapie marynarki znaczek Polski Walczącej, zmarł w grudniu 1971 roku.

Józef Wielowieyski (1879-1951), prawnik, dyplomata, działacz Polskiego Czerwonego Krzyża. Okupację spędził w Warszawie. Zdaniem Leopolda Kronenberga aż do powstania opiekował się jego żoną i córką w Warszawie. Po wojnie był prezesem Warszawskiego Oddziału Przyjaciół KUL. Został pochowany w rodzinnej krypcie w Nawarzcach koło Jędrzejowa.

Jan Zarański, „Zaza” (1918–1985), prawnik i dziennikarz. Skazany w stalinowskim procesie za kolaborację i próbę siłowego obalenia ustroju na siedem lat więzienia. Przesiedział trzy lata. W 1956 roku został zrehabilitowany. Kontynuował pracę dziennikarza. W 1980 roku został doradcą Regionu Mazowsze NSZZ Solidarność.

Mazurin, agent Gestapo o nieustalonych personaliach. Ponieważ wśród komunistów nosił pseudonim „Aleksander”, możliwa jest identyfikacja z Bogusławem Hrynkiewiczem. Wiadomo, że próbował namówić liderów AK do współpracy przeciwko komunistom

w Warszawie. Jego oferta została odrzucona, a on sam zniknął z AK-owskich meldunków w 1944 roku.

Włodzimierz Szelechow, przewodniczący Wszechświatowego Związku Faszystów Rosyjskich, najbliższy współpracownik Wandy Kronenberg. Zdaniem Stefana Rysia z kontrwywiadu AK, zeznającego w powojennych procesach, został zlikwidowany w maju lub lipcu 1943 roku w Warszawie.

Zofia Leśniewska, właścicielka Salonu Sztuki, przeżyła wojnę. Mimo że to u niej w lokalu mieścił się punkt kontaktowy Abwehry, przez kontrwywiad AK została uznana za niewinną. Po wojnie pracowała krótko w Hotelu Polonia jako szefowa salonu brydzowego. Mieszkała w Konstancinie. Nie była sądzona za kolaborację. Nie została także uhonorowana przez Instytut Yad Vashem tytułem Sprawiedliwej wśród Narodów Świata.

Borys Smysłowski (1897–1988), rosyjski wojskowy, działacz emigracyjny, mason. W 1944 roku został dowódcą I Rosyjskiej Armii Narodowej (kolaborującej z Niemcami) i na jej czele pod koniec wojny przekroczył granicę z neutralnym Lichtensteinem, gdzie został internowany i dzięki temu nie trafił w ręce Sowietów. Przez kilka lat mieszkał w Argentynie. Jego życie i służba stały się kanwą filmu *Wiatr ze wschodu*. W rolę Smysłowskiego wcielił się Malcolm McDowell.

Paul Firckers, czyli doktor Schmidt, oficer prowadzący agentkę Edith Müller na terenie Generalnego Gubernatorstwa. Ostatnie lata wojny spędził w Berlinie. Jego dalszy los nie jest znany.

SS-Hauptsturmführer Alfred Spielker, dowódca Sonderkommando IV AS, dotrwał na tym stanowisku do momentu wybuchu Powstania Warszawskiego. Jego sztab mieścił się w plebanii kościoła Świętego Wojciecha. Stamtąd koordynował działania swoich



agentów w mieście. Jest kilka wersji dotyczących jego śmierci. Miał zginąć pod koniec wojny w Wiedniu albo podczas obrony Poznania.

SS-Standartenführer Ludwik Hahn (1908–1986), komendant SD i policji bezpieczeństwa w dystrykcie warszawskim. Po wojnie ukrywał się aż do 1950 roku. Alianci zaprzestali wtedy jego poszukiwań. Przez kolejne dziesięć lat prowadził bogate życie zawodowe, zajmował wysokie stanowisko w niemieckiej firmie maklersko-ubezpieczeniowej. Został aresztowany w 1960 roku. Oskarżony w kilku procesach. Skazany na dożywocie, ze względu na chorobę nowotworową został jednak zwolniony i ostatnie trzy lata życia spędził w domu.

SS-Hauptsturmführer Wolfgang Birkner (1913–1945), członek NSDAP i SS. W okresie kampanii wrześniowej był członkiem Einsatzgruppe IV działającej na Białostoczczyźnie, potem pracował w Warszawie. Prawdziwą karierę zrobił po 2000 roku. W wielu publikacjach dotyczących pogromu w Jedwabnem jego nazwisko pojawiało się w kontekście niemieckiej odpowiedzialności za wiele akcji antyżydowskich na Podlasiu w 1941 roku. To on przez zwolenników teorii o niemieckiej inspiracji mordy oskarżany jest dziś o zbrodnię w Jedwabnem, popełnioną 10 lipca 1941 roku. Dowodem ma być sprowadzenie do miasteczka tego samego dnia ponad dwustuosobowego Kommando Białystok. Według różnych źródeł zginął w Powstaniu Warszawskim albo podczas walk o Poznań.

SS-Obersturmbannführer doktor Ernest Kah (1899-1969), najpierw kierownik referatu, od 1941 do 1944 roku kierownik Wydziału III, czyli SD. Był także zastępcą komendanta SiPo und SD na dystrykt warszawski. Po wojnie mieszkał w Niemczech. Franz (Franciszek) Grablowski, rezydent Referatu III F wywiadu wojkowego Abwehry, zwanego też w polskich dokumentach „P-3”

Wanda Kronenberg miała być jego najcenniejszą agentką. Po wojnie mieszkał w Hamburgu. Nigdy nie stanął przed sądem. W latach sześćdziesiątych pracował w Swissair na lotnisku w Zurichu jako specjalista od urzędzeń nawigacyjnych. Według polskich służb próbował werbować Polaków do roboty szpiegowskiej w NRF. Mawiał, że oferuje im pomoc, aby „zrehabilitować się za swoją przeszłość okupacyjną”.

Izabela Horodecka (1908–2010), główna wywiadowczym oddziału 993/W, koncesjonowanych likwidatorów kontrwywiadu KG AK. Po wojnie działaczka PTTK. Uprawiała kajakarstwo, odbywała liczne podróże i organizowała wycieczki. W 1992 roku opublikowała wspomnienia z okresu wojny i działalności w 993/W.

Bernard Zakrzewski, „Oskar” (1907–1983), od kwietnia 1941 roku szef Wydziału Bezpieczeństwa i Kontrwywiadu Oddziału II KG ZWZ-AK. Po wojnie pracował w Społem, od 1947 roku był adwokatem. W 1949 roku został skazany na piętnaście lat więzienia. Siedział do 1956 roku, potem został zrehabilitowany. Autor licznych (choć niepublikowanych) prac z dziedziny historii wywiadu i kontrwywiadu AK.

Halina Zakrzewska, „Herminia”, „Beda” (1909–2005), łączniczka II Oddziału KG ZWZ-AK, pracowała między innymi z pułkownikiem Januszem Albrechtem, zastępcą generała Roweckiego. Po wojnie w Polskim Radiu, była też wykładowczynią w Wyższej Szkole Teatralnej w Łodzi. Pracowała jako sekretarz literacki w Teatrze Narodowym w Warszawie. Razem z mężem przekazała do Archiwum Akt Nowych archiwum domowe, na które składa się wiele dokumentów dotyczących, wywiadu i kontrwywiadu AK.

Kazimierz Leski, „Bradł” (1912–2000), inżynier budowniczey okrętów podwodnych, w kampanii wrześniowej pilot. Od początku okupacji związany z wywiadem. Najpierw w „Muszkietierach”, po-

tem w II Oddziale KG AK. W powojennych procesach skazany na dwadzieścia lat więzienia, wyszedł w 1955 roku. Pracował w przemyśle okrętowym, potem w Polskiej Akademii Nauk. Opatentował wiele wynalazków. W 1989 roku. został przewodniczącym Związku Powstańców Warszawskich. Ostatnio powstał o nim komiks autorstwa Tobiasza Piątkowskiego i Marka Oleksickiego.

Stanisław Siekierski, „Stahl” (ur. 1914); były pracownik komórki „Bradla”. Po wojnie służył w II Korpusie Polskim we Włoszech. Zamieszkał w Kanadzie. Do kraju wrócił w latach sześćdziesiątych. Był adiunktem w Instytucie Koniunktur i Cen.

Adam Steinborn, „Odrowąż” (1903-1982), jeden z najbardziej cenionych agentów wywiadu AK. Zaraz po wojnie próbował wrócić do handlu. Aresztowany w 1949 roku, zesłany do pracy w kopalni. Po amnestii pracował jako specjalista ds. handlu zagranicznego w Metalexporcie, do 1974 roku pełnił funkcję wiceprezesa Izby Polsko- Belgijskiej. Wykładał handel zagraniczny. W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych inwigilowany przez polskie służby jako podejrzany o udział w masonerii.

John Ward (1921–1995), brytyjski pilot RAF, oficer AK, uczestnik Powstania Warszawskiego, autor korespondencji nadawanych drogą radiową do Londynu. Po powstaniu walczył jako partyzant z Niemcami i Armią Ludową w okolicach Kielc. Ujawnił się Sowiecom w 1945 roku. Przez Odessę przedostał się na Malte, a stamtąd do Anglii. Był pracownikiem brytyjskiego wywiadu. Zmarł w Londynie.

Romuald Burbo (ur. 1924), niemiecki konfident. W 1947 roku został zatrzymany w Raciborzu podczas próby nielegalnego przekroczenia granicy. Po wyjściu na wolność udzielał się w ZMP, ale został oskarżony o nadużycia finansowe i skazany w 1950 roku na dwa lata więzienia. W lipcu 1953 roku został ponownie aresz-

towany. Wyszło bowiem na jaw, że w okresie wojny był konfidentem niemieckiej policji kolejowej i doprowadził do śmierci kilku ludzi z Podziemia. Jego agenturalnej działalności (zarówno dla AK, jak i Gestapo) mimo bogatego materiału dowodowego nie udało się udowodnić. W opinii sądowno-psychiatrycznej z 1954 roku czytamy: „Osobowość psychopatyczna (...), widoczna skłonność do odgrywania roli bohaterskiej lub czarnego charakteru, ma skłonność do kłamliwego przedstawiania faktów, do zmyślania sobie różnych wydarzeń, kłamca patologiczny”. W latach pięćdziesiątych zaangażowany w tajemniczą operację Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego związaną z próbą oskarżenia członków AK o współpracę z Wandą Kronenberg.

Janusz Ketling-Szemley, właściwie Cezary Szemley (1915–1979), od 1939 roku członek Polskiej Ludowej Akcji Niepodległościowej. Po wojnie udało mu się oczyścić z zarzutu denuncjacji na Gestapo dwóch członków redakcji podziemnego pisma, za co był skazany przez WSS na karę śmierci. Świadek w wielu procesach stalinowskich. Zdaniem wielu badaczy sporą część wojennej biografii (w tym pomoc żydowskiemu ruchowi oporu w getcie) zwyczajnie zmyślił.

Roman Abramowicz, „Litwin” (1902–1973), w czasie powstania dowódca 2. Rejonu Obwodu Śródmieście AK. Po wojnie w 1966 roku złożył w Centralnym Archiwum Wojskowym swoją relację z działań powstańczych. Zrobił to, jak zaznaczył we wstępie, by prostować przekłamania innych kombatantów. Praca została zakwalifikowana jako dokument odpłatny.

Edward Kowalewski, „Zygmunt Konieczny”, współpracownik niemieckiego wywiadu. Aresztowany w 1947 roku i sądzony w stalinowskich procesach. Został rozpoznany jako niemiecki prowokator i agent Gestapo. Oskarżony o współpracę z wrogiem, zaoferował swoje umiejętności UB. Wykorzystywany jako prowokator w

celi. Skazany na karę śmierci.

Janusz Garztecki, „Wilczur” (1920–2017), pisarz, tłumacz, fotografik. W okresie okupacji zastępca szefa referatu Politycznego Kontrwywiadu KG AK „Sonda” Po wojnie, do lat osiemdziesiątych, czynny pracownik bezpieczeństwa PRL. W 1945 roku przekazał w ręce UB archiwum kontrwywiadu AK. Pracował w misjach wojskowych w Rzymie i w Paryżu. Zdekonspirowany, wrócił do kraju i został aresztowany. Wyszedł na wolność w 1954 roku. Jako AK-owski kombatanant „współpracował” ze środowiskami opozycyjnymi. Zakładał Klub Krzywego Koła, był publicystą i artystą fotografikiem. W stanie wojennym został internowany.

Jerzy Kaskiewicz (1923–1999), w sierpniu 1944 roku został milicjantem. W 1945 roku zarejestrowany jako „wywiadowca”. W Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego od września 1945 roku. Rozpracowywał wielu członków Podziemia. Torturował Stanisława Sędziaka, cichociemnego. Dyscyplinarnie zwolniony w 1955 roku. Za znęcanie się nad aresztantami skazany na cztery lata więzienia.

Anatol Fejgin (1909–2002), funkcjonariusz Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego od 1949 roku, wcześniej w informacji wojskowej. Dyrektor X Departamentu, manipulował wyborami do sejmu w 1952 roku. W ramach przygotowań do procesu przesłuchiwał Władysława Gomułkę. Po ucieczce na Zachód pułkownika Józefa Światły zawieszony, po czym zwolniony dyscyplinarnie z resortu. W 1957 roku skazany na dwanaście lat więzienia. Wyszedł na wolność w 1964 roku. W 1968 roku zwolniony z pracy w Instytucie Badań Jądrowych w ramach antysemitycznych czystek, zatrudniony w Ministerstwie Łączności. W latach dziewięćdziesiątych świadek na procesie Adama Humera.

## Podziękowania

Po raz pierwszy przeczytałem o Wandzie Kronenberg we wspomnieniach powstańca Mieczysława Ćwikowskiego, „Zbigniewa”. Być może gdyby nie telefon do jego syna, Lecha Ćwikowskiego, ta książka nigdy by nie powstała. Dziękuję zatem obu: pierwszemu za iskrę zapalną, drugiemu za niejedną kubel zimnej wody i ponowne rozniecanie mojego zapału. To Lech Ćwikowski jako pierwszy pokazał mi, jak czytać w powstańczych dokumentach między wierszami. Bez tej lekcji nie ruszylibym z miejsca.

Serdeczne podziękowania składam również Łukaszowi Wilińskiemu, byłemu koordynatorowi programu „Korzenie” w Fundacji Kronenberga. To on dopingował mnie na początku pracy, przekazywał kolejne dokumenty i zdjęcia. Za te ostatnie dziękuję też Mariannie Sokołowicz i Wojciechowi Świdierskiemu.

Andrzejowi Gassowi dziękuję za godzinne konsultacje. Gdyby nie jego pasja, wiele tajemnic II wojny światowej nigdy nie zostałyby ujawnionych. To on dotarł do osób, które były zaangażowane w rozpracowywanie agentki w ramach śledztwa kontrwywiadu AK, i jako pierwszy dziennikarz opisał historię jej śmierci.

Dziękuję również Barbarze Engelking za udostępnienie mi relacji Heleny Korzeniewskiej, z kolei Nawojce Cieślińskiej-Lobkowicz za pomoc w ich interpretacji i spacer po nieistniejących antykwariatach przy ulicy Mazowieckiej.

Agnieszce Skalskiej z Muzeum Narodowego w Poznaniu dziękuję za pomoc przy ustalaniu losów zaginionych dzieł sztuki. Z kolei Magdalenie Guziejko z warszawskiego Muzeum Etnograficznego dziękuję za konsultacje w sprawie Indian Achuar.

Dziękuję również Katarzynie Mossakowskiej i Alicji Donimirskiej za konsultacje w sprawie rodziny Kronenbergów.

Wojciechowi Źródłakowi z Muzeum Tradycji Niepodległościowych w Łodzi dziękuję za konsultacje w sprawie dziejów 25. Pułku Piechoty AK. To tam służył brat Wandy Kronenberg, Wojciech. W tym miejscu chciałbym także podziękować Radosławowi Nowkowi, dziennikarzowi, który ustalił szczegóły śmierci Wojciecha Kronenberga i podzielił się ze mną tą wiedzą.

Dziękuję również Maciejowi Żuczkowskiemu z Instytutu Pamięci Narodowej za pomoc w zbieraniu materiałów archiwalnych. Pani Agnieszce Haskiej za udostępnienie materiału prasowego o zakończeniu procesu Jana Żarańskiego.

Piotrowi Burasowi serdeczne dzięki za pomoc w tłumaczeniu dokumentów, a Pawłowi Dunin-Wąsowiczowi za podpowiedzi w sprawie warszawskich powieści Stefana Kisielewskiego.

Dziękuję również Emilowi Maratowi, z którym zacząłem podróż przez tę historię. Wiem, że jeszcze niejedna przed nami. Dziękuję Ci za słowa otuchy i wsparcie. Bez nich gaśnie każda iskra.

## Aneks

W dokumentach zamieszczonych w tej części książki zmodernizowano ortografię i interpunkcję, poprawiono oczywiste błędy oraz uwspółcześniono formy niektórych zapisów, m.in. te, które wynikały z ograniczeń technologicznych (ukośniki zamiast nawiasów). Ujednolicono zapis skrótów i liczebników. Wyróżnienia stosowane przez autorów dokumentów (podkreślenia, cudzysłowy) pozostawiono bez zmian, podobnie jak niektóre charakterystyczne formy wyrazów (np. Ghetto). Pomyłki w nazwiskach oznaczono, dodając w nawiasie kwadratowym właściwą ich formę. Również w nawiasach oznaczono fragmenty nieczytelne oraz brakujące słowa.



1. Sprawa operacyjna dot. Wandy Kronenberg vel Wera, Lida, Alicja Brzeska-Jasiłkowska. Imię ojca: Leopold Jan, ur. 02-05-1922 r. Agentka Gestapo, pseudonim „Lida”. IPN BU 0423/4658, karty 13-18.

KRONENBERG Wanda vel Brzeska Wera Lida - 445 stycznia/ Junosza

Moniuszki 7 m. 5 tel. 65930

Hortensja 6

Lat 24. córka bar. Leopolda Jana Kronenberga i matki Angielki. Od dwóch lat pozostaje na usługach Gestapo. Uciekła swego czasu z domu z osobnikiem pozostającym na usługach Gestapo, noszącym nazwisko Grot. Grot przyłapany na kradzieży brylantów został rozstrzelany przez Gestapo. Obecnie Kronenberg Wanda żyje z jakimś gestapowcem.

447 lt./97-R: Rumun o nazwisku Popowicz ostrzegał Węgrów przed panną Baronesse Kronenberg jako niebezpieczną agentką.

4315 pż./993-P: Konfidentka Burknera (Birknera) (vk) - wk Brzeska Lida Wera.

4415 lt./E.27: Grot, z którym uciekła Kronenberg, był kuzynem Mieroszewskiej Elżbiety, współwłaścicielki „Rio-Rity”.

4415 mr./997/Stahl: Ur. 2 V 1922 r. w Warszawie. Przybyła do Warszawy z gm. Wieniec, pow. włocławski. Używa nazwisk Müller Edith lub Jegorow. Współpracowała z 2 oficerami wywiadu polskiego Jasiłkowskim Witoldem ps. „Grot” i Ordą Borysem (ps.). Obaj oni prowadzili jakieś ciemne interesy. Posiadali dużo pieniędzy, mieli bron, korzystali z aut niemieckich.

Aresztowani przez g- po kilku (dniach?) zostali zwolnieni. Na terenie wywiadu polskiego podlegali jakiemuś Koziarskiemu. Jasiłkowski był w kontakcie z Ukrainką Hołodzińską. W interesy i do pracy Jasiłkowski wciągnął Wandę Kronenberg, która wyjechała z nim do Lwowa i tam jakoby wzięła z nim ślub. Obecnie Jasiłkowski jest w obozie, a Orda nie żyje. Kronenberg, będąc w kontakcie z jakimś gestapowcem, jest całkowicie na usługach G-estapo. Pracuje w referacie Szpilker (Spielker), rozpracowując polskie organizacje i opracowując dla Gestapo serwis prasy podziemnej. Poza tym Kr. utrzymuje bliski stosunek z Szelechowem (vk). Z ramienia Sz. wyjeżdża często w kieleckie i sochaczewskie na kontakty z oddziałami partyzanckimi pracującymi na tamtych terenach. Istnieje przypuszczenie, że są to oddziały komunistyczne.

Pracę wywiadowczą zaczęła w org. PPS wprowadzona przez jakiegoś podchorążego W.P. Towarzystwo Szelechowa (vk) i Leśniewskiej (vk) wyzyskała jako odskocznię do infiltracji do Gestapo, następnie do RSHA.

Początkowo pracowała dla Szelechowa, po czym została wprowadzona do naszej Firmy przez p. W., jej opiekuna, z obowiązkiem jednostronnej pracy dla nas. Dzięki współpracy z Lidą informator miał wgląd do kartoteki Szelechowa, z której zostały wyciągnięte numery bieżące spraw - całość uwydatniała pracę konfidencyjną przeciwko komunistom i żydom. Zakres pracy S. był przypuszczalnie obszerniejszy i obejmował również działań przeciwko organizacjom polskim.

Lida tłumaczyła, że S. przed aresztowaniem część materiałów zniszczył (jest mało prawdopodobne, by S. pozbył się choć części materiału przemawiającego za

jego lojalnością w stosunku do Gestapo). Lida kilkakrotnie podkreślała, że praca jej chroni jej rodziców i rodzinę przed konsekwencjami żydowskiego pochodzenia, zaś udział w naszej służbie tłumaczyła patriotyzmem. Momenty pracy Lidy wskazujące na jej nielojalność wobec Polski, a jednocześnie podkreślające metodykę jej pracy: Raport Lidy, z jednoczesnym przekazaniem odpowiednich meldunków do nas i do RSHA, o zamachu trucicielskim wykonanym na nią przez K - w rezultacie przyznaje się następnie, że fakt ten w ogóle nie miał miejsca, a chodziło jej tylko o zrobienie dobrego wrażenia. 1 XI 42 Lida raportuje o proponowanym jej wyjeździe do Turcji - przez 3 miesiące jest to jej podstawowy temat raportów. Finał - wyjazd do Berlina i pożegnanie z Frickserem (vk). 16 XI 42 Frickser pozostawił Lidzie swoją teczkę służbową. Zawartość teczki jednak nie została sfotografowana z powodu braku kontaktu. Dopiero gdy pozostawienie teczki powtórzyło się kilkakrotnie, doszło do sfotografowania dokumentów i wówczas okazało się, że w teczce prócz znanych nam materiałów Lidy nic szczególnego nie ma (wyciąg do kartoteki Fricksera: „sprawa charakterystyczna. Mało prawdopodobne, by człowiek o tego rodzaju intelekcie co F. rażąco i częstotliwie naruszał przepisy służbowe, mam wrażenie, że chodzi tu o zainteresowanie Lidy, względni o dostarczenie jej na oko efektownego wyniku jej pracy. Pytanie otwarte dla kogo: IS czy GL”).

2 II 43 sprawa przekazania przez Mazurina listy oficerów polskich do Gestapo. Lida stale twierdziła, że lista ta została zniszczona przez Insera (vk). Sprawa Bondorowskiego (vk) - rozgrywkę inspirowaną przeciwko dr. Kaah (Kahowi) (vk) Lida przeprowadziła wyraźnie wbrew naszemu poleceniu (list inf. do 25

VIII 1943 r.). Pomimo otrzymanego od informatora zakazu Lida brała udział w przeprowadzonych aresztowaniach, konfrontacjach itp., a następnie początkowo zaprzeczała, by w tej sprawie miała otrzymać jakiegokolwiek polecenia (zakaz) i dopiero po ostrej rozmowie przyznała się, że kłamie - powodów swego stanowiska w tej sprawie nie umiała wytłumaczyć. Treść przeprowadzonej w tej sprawie rozmowy była znana p. W. na drugi dzień (informator dowiedział się o tym w lutym 1944 r. ).

Przyznanie się Lidy do kłamstwa p. W. ocenił jako dodatnią cechą jej charakteru, natomiast informator twierdzi, że Lida po rozmowie nie miała innego wyjścia, gdyż podał on jej dokładne miejsce i okoliczności, w jakich odbyła się jego rozmowa z nią w sprawie Chor. i w związku z tym dalsze jej trwanie w kłamstwie uniemożliwiłoby dalszą ich współpracę. Zakomunikowanie p. W. treści rozmowy oraz jej ostrego przebiegu zabezpieczyło Lidę przed ewentualnymi dla niej konsekwencjami w tej sprawie.

Praca Lidy z Prickserem i Inserem oparta była na osobistym i bliskim kontakcie z nimi. Obaj oni dostarczali jej informacji, zdaniem ich nieszkodliwych dla Gestapo. Doskonale orientowali się w charakterze jej pracy i nie sypnęli jej przypuszczalnie ze względu na osobistą do niej sympatię oraz z uwagi na to, że pozostawienie Lidy w dotychczasowej sytuacji doprowadzi w końcu do tego, że będzie ona starała się okupić dobrym materiałem K. oraz że zostanie zmuszona do rozpracowania organizacji polskich. Po wyjeździe Pricksera i Insera Lida przeszła do Birknera (vk) i Spilckera (Spielkera) (vk). Informator, mając na uwadze przypuszczalne wyżej przytoczone nastawienie Fricksera i Insera do osoby Lidy, zapropono-

wał Lidzie ograniczenie jej działalności do Bisanca (Bisanza) (vk) i oderwanie jej od Birknera i Spilckera (Spielkera). Ha propozycję tę Lida nie zgodziła się, twierdząc, że doprowadziłoby to do jej położenia. W tym okresie natarczywie domagała się przez cały czas dostarczania jej materiału K. dla Gestapo, podkreślając, że w przeciwnym razie nie wyobraża sobie pracy w wywiadzie. W styczniu 1944 agent Jerzy zameldował, że w składzie osób, biorących udział w konfrontacji w Gestapo, agentów pracujących na płaszczyźnie antypolskiej, figuruje również i nazwisko Lidy - miała ona zidentyfikować osobę z KN (Konfederacji Narodu).

Dla wyjaśnienia tej kwestii informator przeprowadził w lutym 1944 r. całonocną rozmowę z Lidą, jednak faktu w konfrontacji Lida nie potwierdziła. Nacisk w rozmowie został położony na wyjaśnienie metod jej pracy, stosunek do Szelechowa i podsowieckich, mianowicie, dlaczego NKWD pomaga jej w pracy przeciwko PPR (Grupa Saszki dostarczyła jej fotografię Horbaczewskiego (vk) w otoczeniu kom. berlińskiego). Lida nie potrafiła wyczerpująco podejść do zagadnienia, stanowisko swoje wytłumaczyła kontaktami i sympatiami osobistymi, a metoda, którą uważa za najlepszą, to korzystna wymiana informacji. Na postawione jej przez informatora pytanie odnośnie zdekonspirowania metod pracy i na jednoczesny zarzut, że coś powstrzymuje ją od szczerej rozmowy, Lida oświadczyła, że do nikogo nie ma na 100 procent zaufania oraz że jej ewentualne wynurzenia zostałyby niezwłocznie zaraportowane - „Wam mówię 60 procent więcej i inaczej” - powiedziała. Dalej wyjaśniła, że od dziecka nie była zrozumiana, a pozostawienie jej samej sobie wyrobiło w niej uraz psychiczny, pewien kompleks, którego nie rozumie i którego nie

potrafi, się pozbyć, chciałyby mieć kogoś, z kim mogłyby podzielić się swymi troskami - byłoby jej wówczas znacznie łatwiej. Na zakończenie dodała: „Niech mnie Pan zrozumie i więcej nie męczy”. Wobec takiego postawienia sprawy przez Lidę informator zajął stanowisko, że w tych warunkach nie może z nią współpracować. Jeżeli jednak po namyśle zmieni ona swoje stanowisko, to podejmie znów z nią pracę. Po urwaniu tego kontaktu podstawiona osoba, pomimo bezpośredniego dojścia do lidy, nie potrafiła wejść do ośrodków jej pracy, lida zachowała zdecydowaną i kategoryczną ostrożność, np. wyparła się bliskiego kontaktu z Szelechovem.

W międzyczasie wpłynęły dwa niezależne meldunki z terenu o wydajnej pracy lidy dla Gestapo: 1) Popowicz ostrzega przed Kronenbergową, 2) E. Muller mel. Atl./Odr. z 4 III 44 r: „po prostu szaleje, meldunki oceniane są w Sipo jako bardzo wartościowe”.

Pracuje w Abwehrstelle, rozpracowuje komun. Zachodzi podejrzenie, czy nie interesuje się również ruchem niepodległościowym. Osoba młoda, sprytna, o bardzo szerokich możliwościach. Do pracy w Gestapo wciągnął ją Grot, rozstrzelany przez Gestapo za jakieś ciemne interesy. W.K. żyje z gestapowcem. Przypuszcza się jej kontakt z wywiadem angielskim. Pracuje dla dr. Szpilker (Spielkera), rozpracowując polską prasę podziemną. Ostatnio otrzymała polecenie rozpracowania komendanta AK. W pracy pomaga jej bliski kontakt z Kom. Ros., zna dobrze Szelechowa, przypuszczalnie posiada kontakty na komunę. Na skutek swego sprytu i nieprzeciętnej urody jest bardzo niebezpieczna. Jeżeli uzyska się 100 procent pewności jej pracy tylko dla wroga, należy ją bezwzględnie zlikwidować. Na terenie Gestapo znana jako Edith

Müller lub Jegorow.

Inser 669 nr./997 Stahl.

2. Sprawa operacyjna dot. Wandy Kronenberg vel Wera, Lida, Alicja Brzeska-Jasiłkowska. Imię ojca: Leopold Jan, ur. 02-05-1922 r. Agentka Gestapo, pseudonim „Lida”. IPN BU 0425/4638, karty 22-23.

MELDUNEK

Sprawa Wandy Kronenberg

Odpis z odpisu

Wanda Kronenberg, córka barona Kronenberga i Angielki, wyszła przed wojną za mąż za młodego dziennikarza (jego nazwiska nie znam). W 1939 r. we wrześniu wraz z rodziną próbuje uciec przez Zaleszczyki za granicę. Nie udaje się to jej i jej mężowi. Osiedla się we Lwowie. Wanda zaczyna pracować jako informátorka NKWD. Nie pracuje jednak szczerze, gdyż jednocześnie szuka kontaktów z reakcyjnymi ugrupowaniami ukraińskimi i polskimi. Poza tym gromadzi materiały dotyczące partii, aparatu bezpieczeństwa i działaczy komunistycznych i demokratycznych. Na terenie Lwowa i Ukrainy. Z chwilą wkroczenia Niemców do Lwowa Wanda zgłasza się do pracy w „Gestapo”, któremu przekazuje swoje materiały. Bez wątpienia jej dziełem była śmierć Boya-Żeleńskiego. We Lwowie styka się z rotmistrzem W.P. Deżakowskim, również agentem Gestapo. Od tego czasu trwa między nimi wymiana informacji. We Lwowie Gestapo nie poznaje się na zdolnościach Wandy.

Z uwagi na jej żydowskie (założyciel rodziny Kronenbergów baron Leopold, przemysłowiec polski z lat 1850-1870, pochodził z żydowskiej rodziny) pochodzenie ma zatargi z szefem lwowskiego Gestapo. Tu przychodzi jej na pomoc Deżakowski. Zaznajamia ją z Szul-



cem (nazwisko kryptonim) z RSHA (Reichs Sicherheits Haupt Abwehrstelle).

Ten zabiera ją ze Lwowa i przenosi do Warszawy, gdzie Wanda zaczyna prowadzić „robotę” na całego. Jest w stałym kontakcie ze wszystkimi ugrupowaniami faszystowskimi, polskimi i rosyjskimi. Do oddziału II Komendantury Sił Zbrojnych na Kraj AK dociera przez „panią Stefę”, pracownicę „pani Solden”. (Pani Solden, nazwisko prawdziwe Tomala, występowała jako świadek w procesie Niepokulczyckiego). K.S.H. (Oddział II) ma od niej informacje dotyczące jej pracy w Gestapo. Wiedzą oni, że nie pracuje ona szczerze dla AK, lecz dla Niemców, jednak uważają ją za potrzebną ze względu na to, że dawała ona AK informacje dotyczące wywiadu radzieckiego, posiadane przez Gestapo. Poza tym bierze ona czynny udział w pracach własowców i białogwardyjskich komitetów. Gdy w 1943 r. - 1944 r. na jej ślad trafił rezydent radzieckiego wywiadu Mazurin wraz z białogwardyjskim oficerem Szelechowem lub Smysłowskim udaje się do jego mieszkania i tam zabijają go wspólnie. Z tego czynu chełpi się w referacie do II Oddziału AK. Gestapo używa jej do robót prowokacyjnych, jak rozpowszechnianie zgubnych teorii w szeregach AK o stanie z bronią u nogi itp. Od tej pracy zabiera ją Szulc i każe jej dotrzeć do Bora-Komorowskiego, a przez niego starać się o zlecenie na wyjazd za granicę do II Korpusu Andersa (Wanda jest kuzynką Andersa). Tam ma prowadzić robotę dla Niemców, to jest przekonać Andersa o tym, że jego miejsce jest u boku Niemców przeciw ZSRR.

Tej „akcji” przeszkadza wybuch powstania warszawskiego, jednak jej imieniem nazywają Niemcy radiostację w Rupnie, która nadaje audycję dla II Kor-

pusu, i starają się wywrzeć wrażenie, że jej kierowniczką jest Wanda. Do chwili wybuchu powstania Wanda prowadzi robotę swą, przy czym przez nią odbywają się targi za jednego zwolnionego z Szucha AK-owca daje ona trzech żydów lub „komunistów”. W tym pomaga jej Deżakowski. W czasie powstania warszawskiego Wanda jest rzekomo rozstrzelana, ale mimo iż starałem się swego czasu ( na polecenie MBP) odnaleźć świadka jej śmierci - nie udało mi się to wcale. W roku 1946 r., w czasie, gdy pracowałem w Min. Pracy, poznałem tam żonę przedwojennego ministra Leśniewskiego - Zofię. Ponieważ w czasie okupacji jej nazwisko wiązane było z Wandą, postanowiłem przeprowadzić wywiad - w czasie rozmowy Leśniewska zapytana o Wandę zaczęła się mieszać i nie mogła mi dać konkretnej odpowiedzi. Leśniewska była w czasie okupacji współwłaścicielką dużego domu sztuki i hurtowni galanteryjnej na Mazowieckiej. Wspólnikami jej byli: niemiecki spekulant Bissans (Bisanz) i przedwojenny właściciel tych sklepów Żyd. Po pewnym czasie Żyd ten został aresztowany przez Gestapo i ślad po nim zaginął. Leśniewska była zamieszana w sprawę jego aresztowania. Ostatnie wiadomości mam o niej z czasu, gdy pracowała w hotelu „Polonia” jako kierowniczka klubu brydżowego. Z firmą Leśniewskiej miał współpracować Starykon-Kasprzycki.

Romuald Burbo

3. Raport (według relacji „Jastrzębca”), ściśle poufne.

AAN 203-III-128.

W pierwszych dniach kwietnia br. meldowałem o nieujawnionym bliżej kontakcie młodej Polki nazwiskiem Kronenberg z Szelechowem, czynnym współpracownikiem wywiadu wojskowego niemieckiego. Postanowiłem ustalić, czy pani owa ma coś wspólnego z rodziną baronów Kronenbergów, dobrze znanych ziemian powiatu lipnowskiego („Wieniec”).

Znajomy mój kontaktujący się z domem Kronenbergów z czasów przedwojennych podał mi garść informacji, które przedkładał.

Pan Jan Leopold Kronenberg, syn chrzczonego żyda polskiego barona Leopolda Kronenberga i znanej artystki teatrów warszawskich Reszkówny, zam. przed wojną w domu przy placu Małachowskiego nr 4» a obecnie - Moniuszki nr 7, ma dwoje dorosłych dzieci: 20-letniego syna i 23-letnią córkę Wandę, mężatkę, która niedawno rozeszła się z mężem. Baron Kronenberg (ojciec) siedzi obecnie z dala od Warszawy na dzierżawie razem z synem i ze swoją siostrą panią Kowalewską; w Warszawie stale przebywa baronowa z córką.

Baronowa jest z pochodzenia Włoszką, primo voto pani Rowton, przy czym pierwszy jej mąż był inżynierem z zawodu, Anglikiem z pochodzenia, i mieszkał w Petersburgu, i miał wysokie stosunki. Państwo Rowton mieli dwóch synów: Mikołaja i Aleksandra, przy czym Mikołaj był chrzestnym synem jednego z wielkich książąt rosyjskich - Borysa Włodzimierowi-

cza.

Pani Rowton po owdowieniu wyszła za mąż za barona Jana Leopolda Kronenberga i obaj pasierbowie - Mikołaj i Aleksander - kształcili się w polskich szkołach, nie przyjmując obywatelstwa polskiego, a zachowując angielskie po ojcu. Stałym domowym wychowawcą obu Rowtonów (w Polsce) był przez kilka lat emigrant rosyjski, syn popa, niejaki Wietuchow. Aleksander Rowton zmarł, Mikołaj zaś jest obecnie oficerem armii angielskiej. W związku z koneksjami włosko-polsko-angielskimi Gestapo swego czasu wzywało panią Kronenbergową i żądało wyjaśnień co do obu jej synów z pierwszego małżeństwa.

Pani Wanda Kronenberżanka (nazwiska po mężu nie znam) jest to przystojna, zgrabna, szczupła kobieta, ciemna szatynka o twarzy owalnej, o żywych, inteligentnych oczach, których wyraz nadaje całej twarzy coś nieuchwytnego, lecz wyraźnie żydowskiego. Jest to młoda kobieta w typie, który Rosjanie charakteryzują nazwą „razwiaznaja barysznia” (tupet duży połączony z temperamentem) i której dominującą cechą charakteru jest samowola i ryzykanctwo. Te cechy charakteru spowodowały, że w czasie wojny wbrew woli i perswazji rodziców wyszła za mąż; o mężu pani Wandy cicho całkiem w domu Kronenbergów.

Pani Wanda interesuje się bardzo wypadkami na froncie wschodnim. Dom pań Kronenberg jest wyprany całkowicie z zainteresowań sprawami polskimi, o których jednak milczy córka, jak i matka, która natomiast akcentuje swą jednaką wrogość do Niemców, jak i do bolszewików.

W domu pań Kronenberg bywa dość często pan, którego tytułują ministrem; jest to pan w wieku około 60-ki, średniego wzrostu, energiczny, nazwiska nie

zdołałem ustalić.

Pani Wanda mniej więcej przed rokiem w rozmowie towarzyskiej ujawniła, że zna nieźle język rosyjski. Gdy ktoś z obecnych (osoba mi znana) wyraził z tego powodu zdziwienie, pani Wanda odparła dosłownie: „ja oczeń dalnowidna” (jestem bardzo dalekowzroczna), przy czym podała, że nauczyła się języka rosyjskiego od jednej ze swoich koleżanek.

Gdy w związku z pojawieniem się na terenie lokalu Szelechowa jakiejś pani Kronenberg zapytano panią Wandę, czy ma jakieś znajomości wśród miejscowej kolonii rosyjskiej i czy nie zna niejakiego Szelechowa, odparła, że nie ma kontaktów z emigracją rosyjską, że Szelechowa nie zna osobiście, natomiast zna go z widzenia, jako że pokazano go jej na ulicy, i na tym urwała swe informacje na ten temat, widocznie zaintrygowana postawionym jej pytaniem.

O pani Wandzie zebrano informacje i drogą pośrednią, z których wynika, że były administrator domu Kronenbergów przy ul. Moniuszki nr 7, niejaki pan Poniatowski, człowiek inteligentny i cieszący się w dobie wojny dobrą opinią, miał jej wystawie bardzo krytyczną opinię już nawet nie jako Polce, lecz tylko obywatelce polskiej.

Pani Wanda przychodzi dość często do domu po godzinie policyjnej i odprowadzają ją oficerowie SS, co zresztą potwierdza dozorca domu.

Miał również miejsce następujący incydent. Podczas jednej z blokad przez Gestapo ulicy Moniuszki każdego, kto wychodził z domu, zatrzymywano i o ile nie posiadał „murowanych” dokumentów pracy - z miejsca przeznaczono na Skaryszewską. Między innymi zatrzymano służącą pp. Kronenbergów, która zwróciła się do dozorca z prośbą, by zawiadomił panią Wandę.

Ta zeszła do kierującego blokadą gestapowca, pogadała z nim na boku i pokazała jakiś papier, po czym służąca odzyskała wolność. Świadcami tego wypadku byli: ww. Poniatowski i dozorca domu - Moniuszki nr 7. Incydent opisany traktuję b. ostrożnie, bowiem p. Poniatowski może mieć jakieś zadawnione urazy z tytułu odebrania mu administracji domu przy ul. Moniuszki nr 7, zaś baronowa K. zakwalifikowała dozorcę wymienionego domu jako człowieka wysoce nieżyczliwego dla swych pracodawców.

Obie panie Kronenberg stwierdzają z całą stanowczością, że w Warszawie nie ma drugiej rodziny tego samego pnia genealogicznego, ale w czasie wojny doszły ich bardzo niepochlebne słyuchy o jakimś młodym Tadeuszu Kronenbergu, który podaje się za barona i urabia swym wysoce lekkomyślnym trybem życia złą opinię synowi baronowej.

Mąż baronowej, gdy dowiedział się o tym „kuzynie”, oświadczył, że w czasie wojny trzeba na to machnąć ręką, gdyż nie będzie szukał ochrony nazwiska u władz niemieckich.

Zważywszy, że znajomość języka rosyjskiego i charakterystyczne powiedzonko pani Wandy na ten temat oraz fakt, że ktoś z jej otoczenia wskazał jej na ulicy (!) właśnie nie kogo innego, a Szelechowa, mimo że (jak twierdzi pani Wanda) nie posiada ona jakichkolwiek powiązań z emigracją rosyjską i znajomości w kołach kolonii rosyjskiej w Warszawie, jak również uwzględniając charakterystyczny szczególnie - jej całkowity brak zainteresowania sprawami polskimi przy równoczesnym dużym zainteresowaniu frontem wschodnim, wszystko to (łącznie z informacjami pochodzącymi z terenu domu przy ul. Moniuszki nr 7, które zresztą traktujemy bardzo ostrożnie) rzucone na tło

pewnych cech charakteru pani Wandy, o których mowa wyżej, daje wokół jej osoby pewne cienie i stwarza pole do supozycji, że pani Wanda nie mówi prawdy na temat Szelechowa i być może jest tą właśnie tajemniczą panią Kronenberg-Grot, która kontaktuje (się) z Szelechowem.

Mając dokładny rysopis pani Wandy, postaram się stwierdzić, czy rysopis ten nie pokrywa się z wyglądem i sposobem bycia owej tajemniczej Kronenberg-Grot.

30 V 44 994/B

4. Anonimowy dokument: „Dot. Kronenberg Wanda” z dn. 2 XI 1947. Akta sprawy Jana Zarańskiego. IPN BU 0259/101/, t. 1, karty 32-34.

IPN BU 0259/101/1

Notatki z pamięci, stąd możliwe niedokładności w szczegółach i przesunięcia dat.

Córka barona Kronenberga i jego żony Angielki z pochodzenia żydowskiego. Zamieszkała z rodzicami w Warszawie, ul. Moniuszki.

Niedługo po inwazji niemieckiej, jeszcze pod koniec 1939 r., początek 1940 poznaje Jasińkowskiego, ps. Grot, podającego się za oficera WP, z którym wyjeżdża do (Lwowa) i tam bierze ślub.

Wkrótce potem wraca sama do Warszawy i występuje pod panięńskim nazwiskiem jako panna. Nawiązuje kontakty z PPS, z którym jednak szybko zrywa. Wydaje się, że już w tym czasie posiada kontakt z ad Pc (nieczytelne) Warszawa.

Wanda Kronenberg wykorzystuje pozycję i stosunki rodziców oraz opiekuna swego min. Wielomiejskiego (Wielowiejskiego), byłego posła Polski, zdaje się w Berlinie (zamieszkały w Al. Ujazdowskich 4 m. 2) - szybko wchodzi w towarzyski kontakt ze stanami kierowniczymi życia politycznego Warszawy, które to kontakty wykorzystuje jako nieświadomych informatorów. Z drugiej strony nawiązuje kontakty z młodymi ludźmi należącymi do organizacji podziemnych, specjalnie grup wykonawczych, wobec których odgrywa rolę działaczki konspiracyjnej, względnie stara się opanować jako kobieta.



### Działalność proniemiecka:

Wanda Kronenberg pracuje jako agentka Sicherheitspolizei Warschau Obt. IV N. Übs AS oraz Abwehrstelle (III-F) komórki warszawskiej - Al. Ujazdowskie 36/38, tzn. „Rustungskommando” SiPo pracuje pod kierunkiem Burknera (Birknera) (Leiter IV N) oraz Spielkera (Spielkera) (Lester IV SA - niewątpliwie najzdolniejszego oficera SiPO Warszawa posiadającego bardzo szerokie kompetencje).

Dla Abwehrstelle Warschau (III F) pracuje, zdaje mi się, dla kpt. Golona, ps. „dr. Gärtner”, poza tym posiada bezpośrednie kontakty z krakowską centralą Abwehrstelle III F, wraz ze Spielkerem jeździła do Berlina, gdzie dostaje specjalne instrukcje.

W Warszawie współpracuje jednak z Wł. Szelechowem, kierownikiem Komitetu Rosyjskiego, ul. Przeskok 4, również pracownikiem SiPo Obt IV N, częściowo korzysta z tego lokalu w celu opracowywania raportów oraz kontaktów.

Z krakowską komórką Abwehrstelle kontaktuje się w Warszawie w Salonie Sztuki Wineta, należącym do Leśniewskich. Kontaktuje się tam z Bisanzem i innymi. Raporty raz podpisuje jako Edith Muller.

### Rodzaj działalności i zainteresowanie:

Wanda Kronenberg działa przede wszystkim na terenie „Delegatury Rządu RP na Kraj”, gdzie wykorzystuje stosunki na dojście do najważniejszych kół do Delegatury, do Jankowskiego włącznie. O ile pamiętam jednak, operuje w środowisku woj. Józefskiego. Czerpie stamtąd informacje dot. ogólnej linii politycznej, nastrojów, ustosunkowania się poszczególnych członków Delegatury do różnych problemów, systemu organizacyjnego władz konspiracyjnych itp.

Ma również kontakty na sztab Kom. Gł. AK, tu jednak jej inf. nie są już tak obszerne i szczegółowe jak z terenu Delegatury, choć charakter ich jest podobny.

Nigdy nie stwierdzono z obu tych kręgów bezpośredniego sypania pani Kronenberg, niemniej jej raporty są bardzo dobrze cenione tak w SiPo, jak i Abwehrstelle - nawet bywa osobiście wzywana do RSHA Berlin.

Jednocześnie posiada rozległe kontakty wśród młodzieży, gdzie stara się uchodzić za działaczkę konspiracyjną, czerpiąc jednocześnie inf. o zamierzonych działaniach itp.

Wraz z Szelechowem prowadzi działalność rozpracowywania środowisk komunistycznych oraz „wyłapywania Żydów”. W tym terenie akcja jej idzie po linii bezpośredniego „sypania”. Z chwilą zastrzelenia Szelechowa działalność ta zanika.

okoliczność łagodząca: Wanda Kronenberg, wykorzystując dobrą stronę swego opiekuna min. Wielomiejskiego (Wielowiejskiego) i przez niego bezpośrednio nawiązuje kontakty z naszym kontrwywiadem, oferując współpracę. Zostaje podjęta, jednak jej działalność od pierwszej chwili obliczona jest na „zabezpieczenie się” oraz rozpracowanie nas. Ze względu jednak na pewne korzyści kontakt jest jednak utrzymywany mniej więcej do końca 1943, pocz. 1944« Korzyści te są osiągnięte nie z jej dobrej woli, a mimo niej.

Prace swoje dla Niemców motywuje koniecznością zabezpieczenia rodziny (żydowskie pochodzenie) oraz chęcią służenia naszemu wywiadowi (praca dla Niemców od 1940, oferowanie współpracy nam - druga połowa 1942). Dla nas pracuje jako „Lida”.

Dla swej pracy dla „Abwehrstelle III F” Wanda Kronenberg używa jeden z pseudonimów: „Wera” „Wanda Jegorow”.

Stwierdzono udział osobisty WK w rozpracowywaniu aresztowanych w SIPO na Szucha. Dzięki niej rozpoznani zostali aresztowani działacze „Konfederacji Narodowej” oraz nasz pracownik z AK.

Udziału osobistego w likwidacji ludzi WK nie stwierdzono, znany jest jednak fakt chwalenia się przez nią, że właśnie wróciła z likwidacji Żydów, przy czym pokazywała ślady krwi na ubraniu i rękach.

Wanda Kronenberg chodzi zawsze z bronią oraz legitymacją SS na nazwisko Edith Muller.

#### Kilka szczegółów z działalności:

W roku 1943 (zdaje się około połowy roku) miała miejsce próba upicia Wandy Kronenberg na przyjęciu i dokładnego poznania szczegółów jej pracy, poprzez sfotografowanie papierów (o których posiadaniu wiedziałem). Przy rewizji dokonanej wtedy nie znaleziono jednak żadnych papierów, które wtedy z wielką pewnością powinna posiadać przy sobie. Ponieważ było tam parę osób, z których część sprowadzona przez Wandę Kronenberg, nasuwa się przypuszczenie posiadania tych papierów przez kogoś z obecnych.

W II poł. 1943 r. ma miejsce rozmowa mojego agenta z WK w „otwarte karty”, przy czym zostaje jej powiedziany zarzut pracy przede wszystkim dla Niemiec. Argumentów zbić nie potrafi, jednak w ciągu najbliższych dni wykazuje „wielką aktywność”, starając się zrzucić winę za niedawanie nam materiałów na brak kontrmateriałów. Proponuje przy tym dostarczenie jej materiałów o komunistach. Z tego względu dotych-

czas nasz agent zostaje od niej oderwany. Przy wszelkich próbach podstawienie innego inną drogą jest niesłychanie ostrożna i nie przyznaje się nawet do posiadania kontaktów niemieckich. Jej aktywność wywiadowcza z terenu Delegatury nie słabnie,

Zdaje się, na samym początku 1944 ukazuje się w Biuletynie Inf. ostrzeżenie przed Wandą Kronenberg jako agentką niemiecką, co zresztą w owym czasie nie jest już publiczną tajemnicą.

W początkach 1944 r. zostaje wydany przez Sąd Wojskowy wyrok śmierci na Wandę Kronenberg. Pierwsze próbne wykonanie zorganizowane na ul. Królewskiej nie udaje się, bo zostaje ostrzeżona o „obstawie” przez mieszkańca lokalu, do którego miała się udać.

Krótko po tym zorganizowana druga próba - kończy się tylko ciężkim poranieniem WK, po którym leży dłuższy czas w szpitalu (6 tyg - 2 miesiące) w szpitalu Elżbietanek (wyłącznie służbowy szpital dla Niemców).

Należy zaznaczyć, że w tym czasie chodzi stale z ochroną 2 cywilnych gestapowców. Pomimo tych faktów informacje z terenu Delegatury nie ustają - potem jest nieuchwytna i pilnie strzeżona.

W pierwszych dniach powstania 1944 zostaje rozpoznana na ulicy Kruczej przy robieniu wywiadu wojskowego, schwytana i powtórnie skazana na śmierć za szpiegostwo i dywersję z bronią (strzelanie z ukrycia). Wyrok wykonano zdaje się 4 sierpnia. Przy schwytaniu posiadała jedynie dokumenty SS.

5. Raport. IPN BU 01222/5114, karty 20-22.

Na skutek osobistego kontaktu z jednym z wybitniejszych emigrantów rosyjskich (b. carskim sztabowym oficerem), anglofilem, zebrałem następujące dane.

Na skutek zdrady wyborowej brygady tzw. własowców sztab niemiecki zarzucił myśl formowania oddziałów antybolszewickich z jeńców wojennych Rosjan i to, co było już zorganizowane częściowo, wysłano na front zachodni, częściowo skierowano do robót fortyfikacyjnych w charakterze batalionów robotniczych. Sam gen. Własow ma przebywać w Niemczech i nawet podobno ożenił się z Niemką. Równolegle z likwidacją imprezy gen. Własowa zlikwidowana została ROA (Rosyjska Armia Wyzwoleńcza kolaborująca z Niemcami), przy czym jako motyw likwidacji w kołach b. carskich oficerów podają jakoby ujawnioną robotę ścisłe nacjonalistyczną rosyjską podjętą bez wiedzy i zgody sztabu niemieckiego przez płk. Smysłowskiego łącznie z płk. Szapowałowem. Jak już meldowałem przed kilkoma tygodniami, płk Smysłowski był czymś w rodzaju szefa sztabu ROA, zaś Szapowałow jest płk. armii bolszewickiej, który dobrowolnie przeszedł na stronę Niemców i który podczas pobytu w Warszawie w sztabie ROA wygłaszał odczyty w tutejszym „Wojskowym Sojuszu”.

Smysłowski jest b. carskim kapitanem, który znalazłszy się na emigracji w Niemczech, poszedł na służbę wywiadu ofensywnego niemieckiego i wykazał w tej dziedzinie takie zdolności, że po pewnym czasie skierowano go na tajny kurs sztabu generalnego, po ukończeniu którego został wysłany w specjalnej misji do Indii.

Przed wybuchem wojny polsko-niemieckiej mieszkał w Warszawie, korzystał z prawa azylu jako emigrant rosyjski i wówczas już posiadał stopień oficera armii niemieckiej. Po wybuchu wojny niemiecko-rosyjskiej awansował na mjr. i powierzono mu prowadzenie kontrwywiadu rosyjskiego na ziemiach Rzeczypospolitej. Gdy na tapetę dnia weszła ROA, Niemcy mianowali Smysłowskiego płk. ROA i powierzyli mu odpowiedzialne funkcje w sztabie tej organizacji.

Smysłowski z tytułu spokrewnienia z Niemcami jeszcze przed wojną polsko-niemiecką zmienił nazwisko i w szeregach armii niemieckiej znany był jako REGIENAU. Nazwisko to ma mieć pięknie zapisaną kartę wśród rodzin arystokratycznych Niemiec i z tego tytułu nie używa się łącznie ze szlacheckim „von”.

Pułkownik sowiecki Szapowałow, z zawodu robotnik, stary partyjny działacz komunistyczny, dzięki zasługom położonym w dobie wojny domowej oraz ujawnionym zdolnościom awansował w hierarchii wojskowej i po ukończeniu czerwonej akademii wojskowej osiągnął stopień pułkownika. Płk Szapowałow w gronie zaufanych osób miał się wyrażać, że Rosjanie nie mają najmniejszego interesu prowadzenia walki z bolszewikami na rachunek Niemiec, raz dlatego, że Niemcy przegrali bezapelacyjnie wojnę w sensie strategicznym (mówił to w grudniu 1943 r.), po drugie Rosja, jeśli chce być mocarstwem, musi zachować zdobycze socjalne bolszewizmu, usuwając jednocześnie panowanie partii komunistycznej i likwidując żydów na obszarach państwa rosyjskiego. Tymczasem Niemcy, jak to ujawniła ich okupacja, na terenach odebranych Rosji chcą Sowiety rozkawałkować i spowodować nawrót do kapitalistycznych form gospodarki, co nie odpowiada interesom narodu rosyjskiego. G-dy o tych

wynurzeniach płk. Szapowałowa dowiedzieli się Niemcy, zniknął on nagle z horyzontu i jak chce plotka wciąż się powtarzająca w kołach emigracji rosyjskiej, został już zlikwidowany. Zważywszy, że równocześnie miano ustalić bliski kontakt Szapowałowa z płk. Smysłowskim, niełaska dotknęła i tego ostatniego: został osadzony w twierdzy Osowiec, gdzie dotychczas ma przebywać. Natomiast obronną ręką wyszedł pomocnik Smysłowskiego na terenie sztabu ROA w Warszawie niejaki Bondarewski (b. por. carskiej armii), człowiek, który dla złotówki sprzedaje własnego brata i który do dzisiejszego dnia pracuje w kontrwywiadzie niemieckim i przebywa w Warszawie. Informator mój, który zna osobiście Smysłowskiego, jest zdania, że ostrze pracy płk. S. było skierowane przeciwko bolszewikom i komunie, a nie przeciwko akcji niepodległościowej Armii Krajowej.

Wyżej wymieniony Bondarewski zadenuncjował w roku 1941 przed Niemcami swego najlepszego przyjaciela, emigranta rosyjskiego niejakiego Szelechowa, który przed wojną szereg lat mieszkał w Warszawie i w lecie 1939 r. zmuszony był przymusowo opuścić Polskę (wyjechał do Bułgarii) na skutek żądania policji politycznej.

Szelechow jest zagorzałym monarchistą, przedwojennym faszystą rosyjskim i pełnomocnikiem szefa tych faszystów, niejakiego Radziejowskiego, który swą kwaterę główną miał w Charbinie. Szelechow nigdy nie krył się ze swoimi ultramonarchistycznymi poglądami i niewielkie swe mieszkanko miał zawieszane portretami Mikołaja II. Wiem, że w roku 1939 przez mjr. Bohdana Zarembe, b. oâcera Oddziału Ii-go, składał memoriał polityczny naszemu sztabowi gł. w sprawie organizowania Legionu Rosyjskiego na wypa-

dek spodziewanej wojny polsko-niemieckiej.

Szelechow deklarował się jako polonofil (ma żonę Polkę) i żył w trudnych warunkach materialnych. Po wkroczeniu Niemców do Warszawy Szelechow przybył z Bułgarii, wszedł w kontakt z Borysem Kowerdą (zabójca Wojkowa) i przy pomocy byłego carskiego rtm. gwardii, emigranta od szeregu lat zamieszkałego w Polsce i w Warszawie, niejakiego Sergiusza de Magnon (obecny adres Złota nr 14) zorganizował akcję dywersyjną przeciwko bolszewikom, oczywiście za wiedzą i zgodą sztabu niemieckiego, jednak we własnym zakresie i bez uciekania się do pomocy finansowej Niemców, choć ci, poza dostarczaniem broni i materiałów wybuchowych, ofiarowali się z pomocą pieniężną.

Szelechow i wyżej wymieniony de Magnon założyli spółdzielnię rosyjską (bodajże przy ul. Przeskok nr 4), która korzystała z przydziału wódki w ilości 100 litrów miesięcznie - po cenach monopolowych, a nadto z innych przydziałów kontyngentowych. Obroty handlowe ww. spółdzielni i dobrowolne ofiary zbierane wśród emigrantów Rosjan, którzy w dobie okupacji „porośli w piórka” (m.in. renegat Domański, który swego czasu służył nawet w armii polskiej i ożeniony jest z prawosławną żydówką; o Domańskim, Polaku z pochodzenia i katoliku, który jest obecnie prawosławny i podaje się za Rosjanina, pisałem na kanwie wywiadu przeprowadzonego na rozkaz z góry w sprawie wyjazdu Ferdynanda Goetla i innych do Katynia), miały służyć za podstawę finansową akcji Szelechowa contra bolszewikom, akcji, która pociągnęła za sobą nawet dość liczne ofiary wśród zwerbowanych ochotników: Rosjan i Polaków. Między Szelechowem a prezesem Komitetu Rosyjskiego - Wojciechowskim były mocne tarcia, bowiem Szelechow zarzucał - i to nie bez



racji - Wojciechowskiemu, że poszedł całkowicie „na żłób” niemiecki i jako niemiecki urzędnik dla spraw emigracji rosyjskiej na terenach GG. werbuje nie tylko tłumaczy do armii niemieckiej, lecz chętnie widzi wstępowanie Rosjan w szeregi niemieckie.

Szelechow po pijanemu wyraził się do ww. Bondarowskiego, że chętnie zamordowałby prezesa Wojciechowskiego. Bondarowski tę pijacką wypowiedź podał Niemcom i Szelechow został aresztowany. Gdy go zwolniono, zabronili mu Niemcy wszelkiej działalności politycznej. Dla charakterystyki Bondarowskiego, którego mój informator nazywa po prostu kanalia, podaję, że pracował on na kilka lat przed wojną w warszawskim oddziale „Wagons lits Cook”, gdzie dopuścił się malwersacji i prawomocnym wyrokiem skazany był na dwa lata więzienia. Aby mógł odpowiadać z wolnej stopy, Szelechow wystarał się dlań o kaucję, za co Bondarowski „wywdzięczył” mu się podczas obecnej okupacji.

Szelechow podtrzymuje obecnie kontakt z młodą 25-letnią kobietą, podającą się za Polkę, mężatkę, z domu baronównę (?!) Kronenberg, której mąż, członek jakiejś narodowej organizacji, został mniej więcej przed 1,5 rokiem aresztowany we Lwowie i osadzony w Oświęcimiu pod nazwiskiem (czy pseudonimem) „Grot”.

Otóż owa Kronenberg-Grot, by uzyskać oswobodzenie męża, nawiązała kontakt z kontrwywiadem niemieckim i prowadzi przy pomocy zwerbowanych (czy też jej przydzielonych) młodych chłopców jakąś akcją antykomunistyczną na terenie Warszawy. Akcja ta musi najwidoczniej leżeć w interesie Gestapo, skoro chłopcy tej pani Kronenberg-Grot otrzymali broń od Niemców.

Mniej więcej przed dwoma tygodniami do lokalu

wiadomej spółdzielni rosyjskiej przyszło trzech cywilnych osobników, którzy legitymowali się jako agenci Gestapo i oświadczyli, że muszą zlustrować lokal spółdzielni. Na lustrację lokalu ruszyli, trzymając prawe ręce w kieszeniach palt. W tym samym czasie w lokalu spółdzielni, w kuchni, znajdowała się ww. Kronenberg-Grot w towarzystwie kilku ze swojej „gwardii”. Gdy podający się za agentów Gestapo wkroczyli do kuchni, towarzysze owej pani momentalnie włożyli ręce do kieszeni marynarek, co widząc, przybysze wycofali się bez słowa. Według słów Kronenberg-Grot niezwłocznie po wizycie agentów Gestapo dzwoniła w al. Szucha z zapytaniem, czy byli delegowani jacyś agenci na lustrację lokalu, i otrzymała odpowiedź, że nic o tym nie jest wiadome.

Szelechow i pani Kronenberg-Grot wnioskujeją, że to byli bojówkarze PPR, którzy chcieli wykonać zamach na panią Kronenberg, widząc jednak kilku z jej ludzi i ich zdecydowane zachowanie się, wycofali się, nie podejmując nierównej walki.

„Woinskij Sojuz” został najpierw podporządkowany prezesowi Wojciechowskiemu - jako VIII Wydział Komitetu, a następnie rozwiązany, jak twierdzą Rosjanie przeciwni orientacji filogermańskiej, dzięki intrygom tegoż Wojciechowskiego, bowiem w łonie „Wońskiego Sojuza” narastała nieustannie opozycja przeciwko Wojciechowskiemu. Prezesa Wojciechowskiego charakteryzują te same koła emigracji rosyjskiej jako człowieka bezsprzecznie inteligentnego i zdolnego, mistrza w lawirowaniu, a równocześnie jako osobnika o przerostach ambicji i dużej dozie karierowiczostwa, a równocześnie zdolnego do wykorzystywania swej pozycji dla rachunków osobistych z niewygodnymi mu ludźmi. W kołach emigracji zarzucają

Wojciechowskiemu, że miał być współpracownikiem Oddz. II-go i starał się przed wojną akcentować swój rzekomy polonofilizm, który zaś - w dobie okupacji - stara się być dobrze widziany przez Niemców, zaskarbia sobie ich względy, co wystawia mu świadectwo człowieka o bardzo wiotkim kręgosłupie moralnym. Wojciechowski obawia się bardzo zamachu ze strony komuny i dlatego w lokalu Komitetu (przy ul. Wiejskiej) stale dyżuruje ochrona zbrojna i sam Wojciechowski stale nosi broń.

Te same co i wyżej wymienione koła emigracji rosyjskiej są więcej niż krytycznie usposobione do Metropolity Dionizego i wyrażają przypuszczenie, że rząd Rzplitej surowo osądzi jego ustosunkowanie się do Niemców w dobie okupacji.

Stwierdzam, że informatora, na którego rewelacjach oparłem niniejszy raport, znałem jeszcze przed wojną jako człowieka uczciwego, inteligentnego, lojalnie odnoszącego się do Polski, a choć hołduje pewnym doktrynom faszystowskim, niemniej w Niemczech widzi wrogów Rosji i potępia wszelkie formy wysługiwania się im przez emigrację rosyjską, wobec czego rewelacje jego zasługują na zaufanie.

1 IV 1944 r. 994/B.

6. Raport „Lidy”, 1. Bisanz - Zawadzki (ostatni zachowany raport „Lidy”). AAN 203-IH-105, karty 52-54a.

W ostatnich czasach przeprowadziłam dużo rozmów z Z. w Ąrmie Vinetta, w Konstancinie, jak r3wnieŹ i na terenach neutralnych jak kawiarnie. Reasumując je wg jego własnych sł3w, wygląda to następujĄco:

Z. miał zawsze dośc ostre starcia z g3rĄ ZWZ; po-  
sądzano go o germanofilstwo do tego stopnia, Źe na-  
wet raz miano zlikwidować. Ponieważ nie mógł dojśc w  
Źadnym razie do porozumienia na temat wsp3łpracy z  
Niemcami przeciw komunistom i zasadniczej linii  
ustosunkowania się ruchu wolnościovego polskiego do  
okupant3w, opuścili on dobrowolnie ZWZ. Jak dosŹło do  
powt3rznego nawiĄzania stosunk3w i mianowania go  
oficjalnym łącznikiem międy Borem a Bisanzem, nie  
jest jasnym. Ze sł3w jego wynikałoby, Źe ZWZ sam się  
zn3w do niego zwr3cił, gdyŹ pomimo wszystko uważa-  
nym jest za wartościovĄ jednostkę. NiezaleŹnie od  
zajmowanego stanowiska Z. mocno jedzie na g3rę, tj.  
wszystkich oficer3w i Sztab uważajĄc za pajac3w  
wiecznie kł3cĄcych się międy sobĄ, ludzi o fałszy-  
wym zrozumieniu obecnej sytuacji politycznej, nie  
umiejĄcych zastosować się do wymog3w chwili. Jako  
gł3wny zarzut stawia im niedocnienie szans zwycię-  
stwa Niemiec i w zwiĄzku z tym koniecznościov p3jścia  
rękę w rękę z Niemcami przeciwko komunie. Dalej  
uważa, Źe metody stosowane w walce podziemnej sĄ  
dziecinne i nie dajĄce absolutnie Źadnych rezulta-  
t3w, a jedynie naraŹajĄce społeczeństwo polskie na  
coraz to nowe ofiary i straty. W jego mniemaniu na-  
leŹałoby wywołać powstanie lub teŹ rozruchy na duŹĄ  
skalę, jako Źe byłoby to jedynĄ rzeczą, którĄ Niemcy

by zrozumieli w odpowiedzi na stosowany przez nich terror i rozstrzeliwania.

Niestety jednak „góra” i starsi oficerowie są w swej upartej głupocie przeciwni temu i zadowolają się takimi rzeczami jak malowanie kotwic na murach miasta, wysadzanie pociągów itd., itp., co pociąga za sobą nowe represje i straty wśród społeczeństwa. Twierdzi, że cała „młodzież” (podchorążówka) są za nim i jego zdania, i gdyby chciał, to mógłby ich za sobą poprowadzić. Jedynym rozsądnym człowiekiem, który podziela jego zapatrywania i jest tego zdania, jest „Bór”, który obecnie znajduje się poza Warszawą. Zastępca jego ma być jednym z tych upartych „starszych”, ludźmi, którzy przeszkadzają i nie dopuszczają do o&cjalnej współpracy ruchu polskiego z Niemcami przeciwko komunie, mają być w górze niejaki „Stanisław” i „Maciej”. Niestety Z. nie powiedział dokładnie, czy ich osobiście zna lub też kontaktuje się z nimi. Podczas jednej z ostatnich naszych rozmów, które miały miejsce w ostatnim tygodniu, wyraził się Z., że cała ta zabawa zaczyna mu się nie podobać, stając się coraz mniej bezpieczną, co przypisuje pewnemu sceptycznemu, negatywnemu i nieufnemu ustosunkowaniu się Spilкера (Spielkera) do niego i jego pracy, jak również i odpowiednie mu pójścia na rękę ze strony Gestapo, jeśli chodzi o odwzajemnianie się za dostarczone materiały, np. zwalnianie ludzi reklamowanych itp.

Poznałam następujących łączników i agentów Z.:

1. „Stefan” - lat około 26, wysoki, szczupły, ciemny blondyn, jasne oczy i cera, prosty rasowy nos, brak zęba w lewej górnej szczęce, spokojny, opanowany sposób bycia i mówienia. Stefan był głównym adiutantem Z. Niestety 29 ub. m. wyszedł Stefan ze swo-

jego tymczasowego mieszkania w Warszawie i więcej nie wrócił. Kilka dni później powiedział mi Z., że Stefan został aresztowany na ulicy, podobno złapany i rozstrzelany. Z. twierdzi, że nazwisko jego było na liście.

2. „Marian” - lat około 36, mały krępy brunet, duży garbaty nos, małe wąskie jasne oczy i usta, doskonale gra w pokera.

Z. miał w opracowaniu następujące rzeczy: szef NKWD na Warszawę o pseudonimie Gondarski alias Gandarski; Bielski albo Bielecki, agent komuny siedzący w Gestapo jako V-Mann. Brat jego ma zakład fryzjerski na ul. Mokotowskiej. Walasiewicz albo Waleśiewicz, zam. Marszałkowska 33 m. 14, niejaka „panna Zofia”, zam. al. 3-go Maja 2. Jakiś większy fisz wywiadu bolszewickiego kursujący na trasie Wilno-Warszawa-Wiedeń. Jedną z jego agentek ma być niejaka panna „Ziuta”, z zawodu tancerka występująca pod pseudonimem „lulu”. Prawdziwe jej nazwisko ma być Zula Siwińska. Przebywa ona często w lokalu „Pod Znachorem” na ul. Boduena, rudawa blondynka, wysoka, szczupła, podobna na żydówkę. (Rysopis dziwnie podchodzący na moją „Janinę” z ul. Chmielnej 26).

Za mało jeszcze znam Z., aby wydać o nim opinię, jeśli chodzi o charakterystykę.

W ogóle robi na mnie wrażenie człowieka grającego w życiu „va banque”, niepozbawionego sprytu i przebiegłości, ale za mało ostrożnego, co spowodowane jest dużą pewnością siebie. Nie chciałabym go mieć za przeciwnika, gdyż wygląda na to, że nie przebiera w metodach i środkach, jak długo prowadzą one do celu. Doskonały aktor nie wypadający z roli jedynie w stosunku do swojego partnera. Dobra znajomość psychologii i fachowe nie pozbawione wyrachowania i

przemyslenia podejście do wybranego obiektu.

Dowiedziałam się dziś od Bis. (Bisanza), że Spilker (Spielker) aresztował 8-go Zawadzkiego w dość chytry sposób, bo wzywając go wraz z Bis. (Bisanzem) do siebie. Bis. jest oburzony, wyjechał natychmiast do Krakowa o pomoc. Podobno Gestapo łódzkie ma dowody na współpracę Zaw. z grupą terrorystyczną, której ułatwiał działanie na terenie łódzkim przez możliwości swe i kontakty z Gestapo przez Bisanza. Znosi się na dużą awanturę w tej sprawie. Oprze się to wszystko o Oberfuhrera w Krakowie, jako że Czurda wierzy w Zawadzkiego jako łącznika Bora, także z jednej strony w tym meczu będzie Bisanz i Kraków, a z drugiej Spilker (Spielker) i Łódź.

Bisanz jest tym obrotem sprawy zrozpaczony, jako że boi się, aby Bór (hr. Komorowski) się nie zasypał. Zupełnie obiektywnie muszę przyznać, że o ile wiem, nigdy nie robił świństw Polakom, a nawet przez swe przyjazne ustosunkowanie się do problemów polskich i stawania w obronie narodu popsuł sobie opinię mocno i nawet teraz Spilker (Spielker) podejrzewa go o pracę w interesach Polaków. Jako partner w pracy politycznej Bis. (Bisanz) jest przyjemny, jako że na ogół postępuje uczciwie i prosto, jest bezsprzecznie zdolny i sprytny, ale ma jeden feler, a mianowicie jest przez to niebezpieczny, że pochlebstwami można dużo od niego wydostać, a nawet owinać go naokoło palca ( )

3. Minorski Sergiusz. Ponieważ nie przypominam sobie, czy w tej sprawie pisałam, podam ją jeszcze raz w całokształcie. Znajomy Szelechowa, niejaki Makiedonski, o którym już poprzednio pisałam, opowiedział mu w początku listopada br., co następuje:

W końcu października został w okolicy Dęblina

zrzucony z samolotu niejaki Sergiusz Minorski, były kochanek Wandy Wasilewskiej, który z nią i ze swymi dwoma braćmi Aleksandrem i Iwanem wyjechali w 1939 r. do Rosji Sowieckiej.

Makied. zobaczył Minorskiego, który jest jego siostrzeńcem, w pierwszych dniach listopada na ul. Marszałkowskiej na rowerze. Wiadomość tę natychmiast przekazał do II-ki, która tę rzecz rozpracowuje i od której dowiaduje się o dalszym jej przebiegu. Po pewnym czasie podał Szel. że Minorski używa w PPR-rze pseudonimu „Minia” i że ma swą melinę na Żoliborzu. Ma być również szefem okręgu tego. Gestapo zrobiło nalot na melinę w czasie, gdy odbywało się posiedzenie, ale Minorski uciekł. Zaaresztowano tylko 12 komunistów. Min. ma około 32 lat, wysoki, gruby, waży ok. 90 kg, szatyn. Dalsze wiadomości były, że Minorski mieszka na ul. Szustra pod nazwiskiem Stefan Sowiński i tam ma być również jako taki zameldowany. Pomocnikiem jego, jednocześnie szef jaczekki komunistycznej na Żoliborzu, jest niejaki Leonard Kaczenko, zam. na ul. Chocimskiej. Agent i informator Min., który stoi z nim w bezpośrednim kontakcie i uprzedza go o ewentualnych, grożących mu niebezpieczeństwach, jest niejaki SS-Scharfuhrer Tubor (Tauber albo Tobor) z Gestapo.

(wiadomości te przekazałam Birknerowi)

Spilker (Spielker) w rozmowie na temat problemu współpracy Polaków z Niemcami przeciwko komunie oświadczył, że człowiekiem rozbijającym wszystkie pertraktacje na ten temat w „górze” ZWZ jest niejaki „Mocarz”. Wyraził się „ich kenne ihn” (ja go znam). To samo powiedział mi Birkner, ale bez dodatku, że go zna.

U Szel. była jego znajoma pracująca dla ZWZ, któ-



ra go ostrzegła, że PPH nosi się z zamiarem zlikwidowania go. Akcją tą ma kierować niejaki Romanowski, członek egzekutywy PPR-u.

Pomocnikiem Birknera i rodzajem „totum facki” jest niejaki Franz używający nazwiska Wroński. Lat około 38, mały ciemny szatyn, długi nos, lekko wypukłe duże niebieskie oczy, wąskie wargi, amerykański wąsik, mocno przygolony do góry, tak że stanowi wąską linię nad wargami, lekko zachrypnięty głos, mówi dobrze po polsku. Siedzi w wydziale Birknera, klapa 367. Często tłucze się po mieście w zielonawo-niebieskim wozie Opel Kapitan, 17 Ost 2215.

Poznałam jedną z agentek Holenii, zam. na ul. Rozbrat 28 m. 35 tel. 88264, używającą pseudonimu „Charlie”, na nazwisko Tommi albo coś w tym rodzaju, imię jej zdrabnia się na „Cyli”. Lat ok. 26, wysoka, szczupła, jasna blondynka, małe niebieskie oczy, prostawy nos, wąskie usta. Mówi trochę po polsku, angielsku, francusku i włosku. Mieszka wraz z matką, lecz niezbyt często bywa w W-wie. Obecnie wyjechała do Krakowa i wraca w niedzielę, tj. 12-go b.m. Rano.

Warszawa 10 XII 1943

7. Protokół przesłuchania świadka Kazimierza Leskiego z dn. 11 grudnia 1946 r. przez oficera śledczego Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego por. Jerzego Kaskiewicza. IPN BU 0259/101/6, karty 67-69.

Pytanie: Czy znacie Wandę Kronenberg?

Odpowiedź: Wandy Kronenberg osobiście nie znam. Znam ją jedynie z widzenia, gdyż jako kierownik sekcji wywiadów obcych w kontrwywiadzie KU (Komendy Głównej) AK poleciłem mojemu podwładnemu, by ten pokazał mi ją na ulicy w związku z podejrzeniem o jej pracę dla wywiadu niemieckiego oraz Gestapo.

Pytanie: Proszę opowiedzieć, co wam jest wiadomym jako kierownikowi sekcji KW KG AK o antypolskiej działalności Wandy Kronenberg w czasie okupacji?

Odpowiedź: Wandą Kronenberg kontrwywiad KG AK począł bliżej interesować się w początkach 1942 r. na podstawie jej poprzedniej działalności meldowanej już w 1940 r. Konkretne fakty współpracy Wandy Kronenberg zdołałem ustalić już w początkach 1942 r. W 1940 r. po powrocie ze Lwowa Wanda Kronenberg wykorzystuje swoje znajomości w kołach PPS, a mniej więcej od 1942 r. pozycję społeczną i towarzyską swoich rodziców w celu wejścia do kół Delegatury Rządu: oraz góry AK, z których czerpie informacje natury ogólnej, politycznej, organizacyjnej itp. Od 1942 r. Wanda Kronenberg ma stwierdzony kontakt z „Sicherheitspolizei Warschau Ab. IV N” (Nachrichtenwesen) oraz z „Abwehrstelle Warschau” (3F), później nawiązuje kontakt z „Sicherheitspolizei Warschau Ab. IV AS” oraz z „Abwehrstelle Breslau” (centrala wywiadu na południowo-wschodnią Europę).

Praca Kronenberg dla „Abwehrstelle” oraz „Sie-

herheitzpolizei Ab. IV AS." ma charakter ogólnoinformacyjny, a dla „Sicherheitspolizei Ab. IV N" podawała informacje personalne, wskazując poszczególnych ludzi do aresztowań. Dla „Sicherheitspolizei Ab. IV N" wskazywała Wanda Kronenberg przede wszystkim Żydów, członków lewicowych organizacji polskich, oraz członków dywersji z org. AK. Wskazywanie ludzi policji niemieckiej Wanda Kronenberg rozpoczęła w drugiej połowie 1943 r. W tymże czasie Kronenberg wyjeżdżała w towarzystwie kierownika „Sicherheitspolizei Ab. IV AS" Spilkera (Spielkera) do centrali do Berlina (Reichssicherheitspolizei Hauptamt) w celu wynagrodzenia jej za wybitne zasługi oraz otrzymania nowych specjalnych zadań. O ile mi jest wiadomym, było to wielkie wyróżnienie Kronenberg, gdyż z warszawskich agentów nikt nie był wzywany do Berlina. W pracy dla „Sicherheitspolizei AB IV N" Kronenberg kontaktowała się z kierownikiem tego wydziału Birknerem, a w pracy dla „Abwehrstete Warschau" kontaktowała się z Hauptmannem Gallenem (ps. dr Gartner). Współpracując z Abwehrstelle Breslau, korzystała z kontaktu w placówce warszawskiej, mieszczącej się w salonie sztuki „Wineta" przy ul. prawdopodobnie Szpitalnej, należącej do Leśniewskiej.

Kontaktuje się ona tam między innymi z Bizancem (Bisancem). W Warszawie Kronenberg współpracuje jeszcze z komitetem rosyjskim (ul. Przeskok 4) w osobie jego przewodniczącego Włodzimierza Szelechowa, również agenta „Ab. IV N". Współpraca jej z Szelechovem polegała na wskazywaniu Birknerowi Żydów i wszystkich członków organizacji tajnych polskich. Birknerowi Kronenberg wskazywała ludzi z dołów organizacyjnych, górne swoje kontakty pozostawiała jako źródło informacji. Kronenberg raporty kierowa-

ne do Sicherheitspolizei i Abwehrstelle podpisywała jako Edith Müller, na to samo nazwisko posiadała dokumenty SS w stopniu oficerskim. Oprócz tego używała pseudonimów dla Abwehrstelle „Wanda Jegorow” i „Wera”.

Pytanie: Czy znane są wam nazwiska ludzi wskazanych przez Wandę Kronenberg do „Sicherheitspolizei Warschau Ab. IV N”?

Odpowiedz: We względu na znaczny wpływ czasu nazwisk tych już nie pamiętam, pamiętam jedynie fakt konfrontacji, która miała miejsce w 1943 r. w siedzibie Sicherheitspolizei przy ul. Szucha, w czasie której Kronenberg wskazywała z ukrycia ludzi znanych jej z organizacji, a aresztowanych i niezidentyfikowanych przez Gestapo. W czasie konfrontacji wskazała między innymi aresztowanych działaczy „Konfederacji Narodowej” oraz naszego pracownika z wywiadu org. AK - nazwiska nie pamiętam.

Pytanie: Kto wydał wyrok na Wandę Kronenberg i jak on został wykonany?

Odpowiedź: Wyrok śmierci został wydany przez sąd wojskowy AK w konsekwencji jej wrogiej działalności antypolskiej w końcu 1943 r. Pierwsza próba wykonania wyroku przy ul. Królewskiej nr prawdopodobnie 17 nie powiodła się ze względu na ostrzeżenie jej przez właściciela mieszkania, do którego szła. Próba druga wykonania wyroku prawdopodobnie wiosną 1944 r. zakończyła się poważnym jej poranieniem, po którym leczyła się w szpitalu niemieckim w zakładzie sióstr Elżbietanek na Mokotowie. Natomiast wyrok śmierci został wykonany w pierwszych dniach powstania przy ul. Kruczej, nr prawdopodobnie 9. Mniej

więcej w okresie pierwszej próby wykonania wyroku w „Biuletynie Informacyjnym” podane było ostrzeżenie przed Wandą Kronenberg jako agentką Gestapo i przed ludźmi, którzy z nią współpracowali. Po pierwszej próbie zamachu nieudanego na Kronenberg chodzi ona stale w ochronie dwóch cywilnych Niemców i nosi ze sobą bron. Po wyjściu Kronenberg ze szpitala jest ona bardzo pilnie strzeżona i w mieście nieuchwytna. Przy aresztowaniu Kronenberg w czasie powstania posiadała jedynie dokumenty SS i broń.

Pytanie: Kto w organizacji „AK” rozpracowywał z Wandą Kronenberg?

Odpowiedź: Początkowo do 1942 r. rozpracowywały Wandę Kronenberg agendy KW okręgu warszawskiego, a od 1942 r. zajmowała się tą sprawą sekcja wywiadów obcych KW KG AK. Szczegółowo rozpracowywała grupa „Stahla” - Siekierskiego. Siekierski znał Wandę Kronenberg osobiście.

Pytanie: Kogo znacie z ludzi, którzy współpracowali z Wandą Kronenberg?

Odpowiedź: Nie przypominam sobie obecnie nazwisk ludzi, którzy współpracowali z Wandą Kronenberg, jak również nie przypominam sobie nazwisk współpracujących z Kronenberg podanych w „Biuletynie Informacyjnym” w ostrzeżeniu.

Pytanie: Czy znane jest wam nazwisko Zarański Jan, ps. „Zaza” - współpracownika Wandy Kronenberg?

Odpowiedź: Nie przypominam sobie tego nazwiska jako współpracownika Wandy Kronenberg oraz twierdzę stanowczo, iż Zarański Jan, ps. „Zaza” nie współpracował z KW KG AK.

Pytanie: Czy członkowie org. bojowej AK na najniższym szczeblu zajmowali się kontrwywiadem?

Odpowiedź: Istniał wyraźny zakaz zajmowania się kontrwywiadem przez jednostki liniowe ze względu na niebezpieczeństwo „wpadek”.

Pytanie: Co chcecie dodać do swego zeznania?

Odpowiedź: Pragnę dodać, iż w 1943 r. Wanda Kronenberg przysłała do naszego jednego z agentów i chwaliła się, wskazując na plamy krwi na ubraniu, że jest to krew zastrzelonego przez nią człowieka, jakoby żyda. Ponadto dodaję, iż o wyjściu jej ze szpitala wiosną 1944 r. pomimo krycia się przez nią przed członkami organizacji polskich, informacje jej ze środowiska „Delegatury” płynęły w dalszym ciągu, co stwierdziły nasze agendy w materiałach przejmowanych w „Sicherheitspolizei”.

Na tym protokół przesłuchania zakończono. Protokół jest zgodny z moimi zeznaniami i po odczytaniu przeze mnie podpisany.

Zeznał: Leski Kazimierz

Przesłuchiwał: oficer śledczy M.B.P. Kaskiewicz  
ppor.

8. Protokół przesłuchania podejrzanego Stefana Ry-  
sia, Warszawa z dn. 11 III 51 r. IPN BU 01251/138/20 s.  
67-70.

(...) Eugeniusz Witczak, oficer śledczy: Kto to był Bi-  
sanz i co wiecie o jego działalności?

Stefan Ryś: Bisanz, imię prawdopodobnie Jan,  
przed wojną zamieszkiwał w Gdyni i pracował w któ-  
rejś z firm portowych. Z tamtego terenu nie znam go.  
Jego rodzice posiadali przed wojną i w okresie oku-  
pacji znaną w Krakowie kawiarnię-cukiernię Bisanz.  
Brat jego, pułkownik przedwojenny, w okresie okupa-  
cji był organizatorem SS Schutzen Dywizjonu Gali-  
zien we Lwowie.

W 1943 r. został zlikwidowany przez komendę Ob-  
szaru AK Lwów. Losów jego rodziny z terenu Krakowa  
nie znam. W przeczytanych aktach sprawy z 1949 r.  
dotyczących przewodniczącego Wszechświatowego  
Związku Faszystów Rosyjskich Włodzimierza Szelecho-  
wa przez podległy mi aparat Kntr KG AK jako agenta  
Abwehry i Gestapo zostało ustalone, że do właścici-  
elki salonu sztuki, nazwy nie pamiętam, przy ul.  
Mazowieckiej nr 11 Leśniewskiej, imienia nie pamię-  
tam, przyjeżdża z Berlina osobnik podający się za dr.  
Schmidta. Osobnik ten został ustalony jako oficer  
Gł. Kom. Bezpieczeństwa Rzeszy RSH G z Oddziału VI,  
który według moich wiadomości rozpracowywał zagad-  
nienia wschodnie. W kontakcie ze Schmidtem była  
znana agentka wywiadu niemieckiego Lidia Kronen-  
berg. Przy każdorazowym przyjeździe Schmidta zasa-  
dzili się do Leśniewskiej Szelechów, Lidia Kronen-  
berg i odbywali posiedzenia w mieszczącej się nad  
firmą Leśniewskiej podobnej firmie handlującej

działami sztuki „Vinietta”, której właścicielem był właśnie Bisanz prawdopodobnie. Jak w dalszym rozpracowaniu ustalono, że pod szyldem firmy „Vinietta” Bisanz prowadzi placówkę, tzn. stoi na czele placówki Oddziału VI RSHK. O konkretnej działalności Bisanza ustalono, że werbuje on przeważnie Rosjan, Ukraińców i Białorusinów oraz Polaków z terenów wschodnich, którzy byli skoszarowani na Pradze, adresu dokładnego nie pamiętam, jako robotnicy na terenach ZSRR zajętych przez Niemców. Ludzie zawerbowani pod pretekstem ucieczki z tych obszarów byli wysyłani do lasu w celu nawiązania kontaktu z partyzantką radziecką i GL i rozpracowywania oddziałów w terenie. (...)



9. Poniesienie z dnia 11 XII. 1946 r. IPN BU 0259/101/1 karta 34.

Zarański Jan mówił mi, że wczoraj wieczorem, tzn. 10 XII br., był wzywany do oficera śledczego, gdzie był również pułkownik Różański i prokurator w stopniu kapitana. Płk Różański dał podobno Zarańskiemu 3 dni terminu do przyznania się, że:

1. współpracując z Kronenberg Wandą na rzecz Niemiec, wydał dużo osób z PPR, a między innymi: przyjaciela prezydenta Bieruta oraz kilku innych komunistów, wchodzących, w skład Rządu Tymczasowego;

2. że po przybyciu do Warszawy Mikołajczyka zwierzył się przed Mikołajczykiem o swojej współpracy z Gestapo i wydawaniu Niemcom komunistów i pomimo tego Mikołajczyk zaangażował go (Zarańskiego) do pracy w Redakcji i

3. że o ile nie przyzna się do powyższych zarzutów w terminie oznaczonym, to zostaną aresztowani matka jego i brat.

Zarański mówi, że nie przyzna się do powyższych zarzutów, gdyż tego nie było. Nie zna nazwisk komunistów, których likwidowała Kronenberg Wanda, jak również nie wydawał przed nią żadnych komunistów, których nie znał.

Przeczy również temu, by zwierzał się przed Mikołajczykiem o swojej współpracy z Gestapo i Kronenberg Wandą, natomiast podaje o zwierzaniu się przed Mikołajczykiem o pracy w AK.

Zarański przed kilkoma dniami mówił mi, że opowiedział Mikołajczykowi o swym kontakcie z Kronenberg, lecz nie mówił, że współpracował z Niemcami, dzisiaj przeczy temu.

Opowiada Zarański, że w swym zeznaniu stwarza legendę i że to czyni bardzo starannie i umiejętnie, w co mu o&cer śledczy wierzy i protokołuje. Również w dalszym ciągu zamierza zeznawać legendę Sosnowski.

10. Pismo Bernarda Zakrzewskiego do Zarządu Głównego Związku Bojowników o Wolność i Demokrację z dn. 19 III 1966 r. AAN, Archiwum Hanny i Bernarda Zakrzewskich.

Potwierdzam odbiór pisma z dnia 7 III br. w sprawie Wandy Kronenberg.

Sprawa Wandy Kronenberg jest mnie znana. Była to córka Gabryela Kronenberg, w czasie okupacji miała dokumenty na nazwisko Kronenberg baronesse. Była współpracowniczką Gestapo, była w Berlinie w Reichsicherheitshauptamt, była używana do intryg między Gestapo a Abwehrą. W Warszawie była rzeczywiście związana i formalnie na sznurku Szelechowa. Została rzeczywiście zabita w czasie Powstania Warszawskiego. Go do jej śmierci nie ma wątpliwości. Jej domowa sytuacja była o tyle skomplikowana, że ojciec jej był w kontakcie z Delegaturą, był kilka razy zatrzymany przez Gestapo, bo był w czwartym pokoleniu żydowskiego pochodzenia, z rodziny bankierów wiedeńskich. Matka była rodowitą Angielką. Zginęła w czasie powstania od bomby. Zajmowała się trochę opieką nad Anglikami, którzy uciekli z obozów. Nie wiem, co panów specjalnie interesuje, i dlatego podaję tylko parę ogólnych informacji.

Łączę pozdrowienia

## Fotografie



Zachowało się zaledwie kilka zdjęć Wandy Kronenberg. To prawdziwy cud, że ocalały. Zaraz po zakończeniu działań wojennych jej ojciec poprosił kuzynów i przyjaciół o oddanie mu wszystkich jej wizerunków. Co się stało z odzyskanymi fotografiami, nie wiadomo. Te, które publikujemy, ocalały, bo były rodzinnymi pamiątkami niani Wandy, Janiny Palińskiej. Na zdjęciu mąż niani - Stefan Paliński, ulubiony masztalerz Kronenberga, oraz jego trzyletnia podopieczna.



„Bywała krnąbrna, potrafiła być uparta i złośliwa...” - tak wspomina młodziutką Wandę córka jej niani. Na zdjęciu Wanda i Wojciech (drugi z lewej) w towarzystwie opiekunek: angielskiej bony (pierwsza z lewej) i polskiej niani Janiny Balińskiej (pierwsza z prawej). Zdjęcie wbrew temu, co mówi podpis, pochodzi sprzed 1936 roku.



Uczyła się w Anglii, na wakacje przyjeżdżała do Wieńca. Przez, kilka letnich miesięcy pałac pełen był gości z różnych stron świata. Na zdjęciu Wanda (pierwsza z prawej) z przyjaciółkami Halszką i Renatą pod samochodem ojca. To tym autem Leopold Jan opuści Wieniec we wrześniu 1939 roku.



Jak przystało na córkę ziemiańskiego rodu, Wanda Kronenberg wychowywała się z końmi. Jeździła świetnie, uczestniczyła nawet w wyścigach organizowanych na prywatnym torze w dobrach jej ojca. Na zdjęciu stajnie w Wieńcu, początek lat trzydziestych.



Do Powstania Warszawskiego Wanda ruszyła w stroju... do jazdy konnej. Rotmistrz Władysław Abramowicz „Litwin” w swoich wspomnieniach opisał ją z pejczem w ręku. A może to była szpicruta? Tu na zdjęciu Wanda (druga od lewej) z angielskimi przyjaciółmi rodziny na terenie prywatnego toru wyścigowego w Wieńcu.





„Oto pomnik mojej głupoty” - miał kokieteryjnie powiedzieć na widok swojego nowego pałacu w Warszawie wielki Leopold Kronenberg. Wybudowany w 1871 roku u zbiegu ulic Mazowieckiej i Królewskiej rozmachem i komfortem przerastał wszystkie rezydencje arystokracji i burżuazji w mieście. Gości witały u wejścia cztery kamienne kariatydy, dwie z nich przetrwały do dziś. Stoją w lapidarium Muzeum Ziemi PAN w Warszawie.



Wielki Leopold Kronenberg (1812-1878), twórca finansowej potęgi rodu, zwalczając tendencje antysemickie w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych XIX wieku, kupił „Gazetę Codzienną” i postawił na jej czele słynnego pisarza Józefa Ignacego Kraszewskiego. Tego ruchu nigdy nie wybaczyli mu polscy narodowcy. Do końca życia Leopold, a potem także jego potomkowie, byli oskarżani o udział w antypolskim, żydowskim spisku - mimo że sam Leopold był już ewangelikiem, a jego synowie i kolejne pokolenia katolikami. Pradziadek Wandy został pochowany na cmentarzu ewangelicko-reformowanym w Warszawie.



Wojtek, młodszy o trzy lata brat Wandy, był uzdolniony muzycznie. Grał na gitarze. W okresie okupacji ukończył szkołę agrarną, Wymusił na ojcu zgodę, że po zdaniu matury będzie mógł wstąpić do Podziemia. Stało się to po Powstaniu Warszawskim. Zginął w listopadzie 1944 roku.



„Symfonia miłości i poświęcenia” - tak o kinowym hicie *Na Sybir!* z 1930 roku (udźwiękowanym w 1937 roku) pisała „Gazeta Codzienna”. Premiera filmu kręconego w Wiedniu była wielkim wydarzeniem w domu Kronenbergów. Gwiazda przedwojennego kina Jadwiga Smosarska była natchnieniem ośmioletniej Wandzi. Tu na zdjęciu z partnerującym jej Adamem Brodziszem.



Melodramat *Na Sybir!* opowiadał o wypadkach 1905 roku. Młodziutka córka dobrodusznego ziemianina wpada w sam środek politycznej intrygi. Zakochuje się w polskim bojowniku o niepodległość, arcydzielnym Ryszardzie Prawdzicu, i organizuje jego odbicie z więzienia na Syberii.



Adria była najbardziej luksusową restauracją i dancینگiem w przedwojennej Warszawie. Bawiła się tu towarzyska śmietanka stolicy. Wanda nie miała do tego centrum rozrywki daleko, wyjście z jej kamienicy mieściło się dosłownie naprzeciwko wejścia do Adrii, W trakcie okupacji lokal był „nur für Deutsche”.



Perkusista i saksofonista George Scott przed wojną dyrygował orkiestrą taneczną w kawiarni Bodega i kawiarni Kameleon. W czasie wojny dostał pozwolenie pracy w Cafe Swan i Adrii. Wanda rekomendowała kontrwywiadowi AK dyskretną opiekę nad nim. Scott był Amerykaninem, interesowało się nim Gestapo.



Siedziba Gestapo na Szucha. To tu próbowała się przebić na początku Powstania Wanda Kronenberg. W budynku pracowali jej ostatni bezpośredni przełożeni: SS-Hauptsturmführer Wolfgang Birkner i Krominalkomissar SS-Hauptsturmführer Alfred Spielker, dowódca Sonderkommando IV AS, oficer, który najgłębiej spenetrował polskie Podziemie.



KRONENBERG Wanda vel Brzeska Wera Lida

447 ~~dn.~~ /Jun  
sza

Moniszki 7.m.5. tel. 6.59.30

Hortensja 6

10

Lat 24. córka bar. Leopolda Jana i matki Angieliki. Od dwóch lat pozostaje na usługach GO. Uciekła swego czasu z domu z osobnikiem pozostającym na usługach GO, noszącym nazwisko Grot. Grot przyłapany na kradzieży brylantów został rozstrzelany przez GO. Obecnie Kronenberg Wanda żyje z jakimś gestapowcem.

447 lt./97-R: Rumun o nazwisku Popowicz ostrzegł Węgrów przed panną Baronasę Kronenberg, jako niebezpieczną agentką.

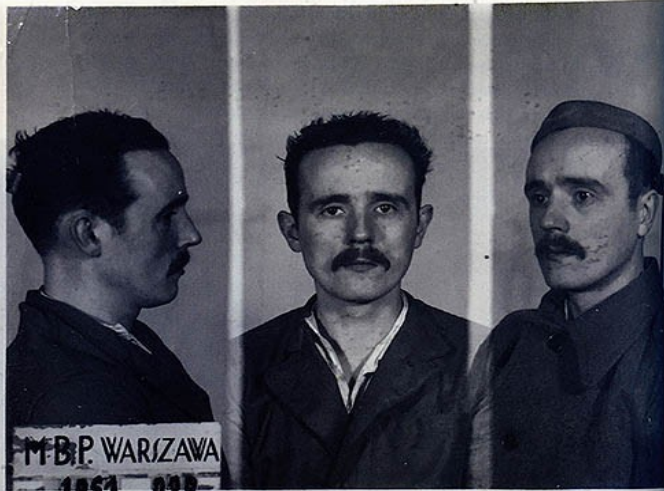
4315 p2./993-P: Konfidentka Burknera /vk/ - wk Brzeska Lida Wera

4415 lt./E.27: Grot z którym uciekła Kronenberg był kuzynem Mieroszewskiej Elżbiety, współwłaścicielki "Rio-Rity".

4415 nr./997/Stahl: Ur. 2.5.1922 r. w Warszawie. Przybyła do Warszawy z gm. Wieniec, pow. wrocławski. Używa nazwisk Muller Editch lub Jegorow. Współpracowała z 2 oficerami wyw. polskiego. Jasolskim Witoldem ps. "Grot." i Ordą Borysem /ps./. Obaj oni prowadzili jakieś ciemne interesy. Posiadali dużo pieniędzy, mieli broń, korzystali z sut niemieckich. Aresztowani przez GO-po kilku zostali zwolnieni. Na terenie wyw. polskiego podlegali jakiemuś Kozłarskiemu. Jasiłkowski był w kontakcie z ukraińką Hołodzińską. W interesy

Teczka Wandy Kronenberg w IPN-ie sporządzona przez służbę bezpieczeństwa PRL-u ma 57 stron. Część umieszczonych w niej dokumentów pochodzi z archiwum kontrwywiadu AK (na zdjęciu), przejętego po wojnie przez przewerbowanego agenta Juliusza Garzdeckiego, „Wilczura”. Z kolei raporty „Lidy” pisane dla AK znajdują się dziś w Archiwum Akt Nowych. Ubecy, którzy po wojnie poszukiwali agentki, prawdopodobnie ich nie czytali.

Część I. Okres okupacji.



F.M.B.P. WARSZAWA  
1951 029

Proszę o udzielenie informacji:

BURBO Romuald  
nazwisko i imię (drukowanymi literami)

Stanisław  
imię ojca

imię i nazwisko panienske matki

15. 08. 1924 r.  
data i miejsce urodzenia

zawód

narodowość

poch. społ.

obywatelstwo

Miejsce pracy

Romuald Burbo w czasie okupacji był współpracownikiem niemieckich służb wywiadowczych. Po wojnie (już w PRL-owskim areszcie) twierdził, że tak naprawdę pomagał Podziemiu i znał Wandę Kronenberg. Według niego to ona odpowiadała za śmierć Tadeusza Boya-Żeleńskiego w lipcu 1941 roku we Lwowie.





Rotmistrz Władysław Abramowicz „Litwin” (tu na zdjęciu w swoim sztabie na podwórku kamienicy przy ul. Kruczej 7, trzyma ręce na mapie) był w Powstaniu Warszawskim dowódcą 2. Rejonu Obwodu Śródmieście AK. W swoich powojennych, nieopublikowanych wspomnieniach napisał, że agentka Edith Müller zginęła przez przypadek, podczas rutynowej kontroli.



Rodzina Kronenbergów mieszkała w czasie wojny w kamienicy przy ul. Moniuszki 7. To tu odwiedzał Wandę jej opiekun i promotor w Abwehrze, doktor Schmidt. Resztki zniszczonej w czasie Powstania kamienicy zostały wyburzone w latach pięćdziesiątych. Dziś w tym miejscu znajduje się parking przy Filharmonii.



Pałac Kronenbergów został zbombardowany we wrześniu 1939 roku. Jego wypalone mury ocalały i przetrwały wojnę. Władza ludowa nie zdecydowała się na odbudowę pałacu, mimo że początkowo został przeznaczony na ambasadę francuską. Wizytówka chwały ziemiańskiego rodu zniknęła z powierzchni ziemi w 1961 roku. Dziś w tym miejscu stoi hotel Victoria.

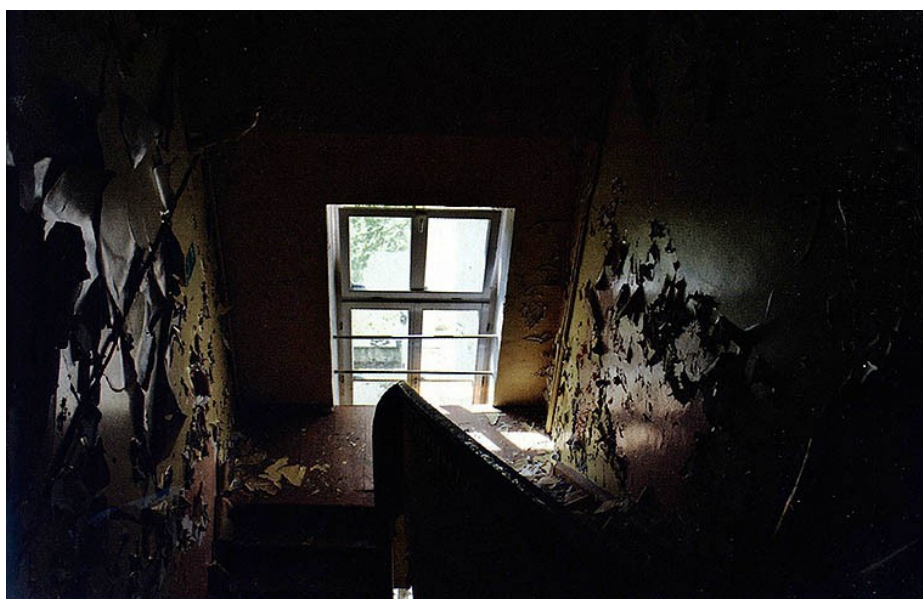


W kwietniu 1944 roku Wandę Kronenberg próbowali zastrzelić likwidatorzy kontrwywiadu KG AK z oddziału 993/W. Nieudany zamach został przeprowadzony w kamienicy na tyłach warszawskiej Zachęty na Królewskiej, To prawdopodobnie tu (a nie przy Królewskiej 16 czy 17, jak wspominali po wojnie byli AK-owcy) doszło do tragedii. Zamiast agentki zginęły dwie niewinne kobiety: kucharka i pokojówka.



„Proces” niemieckiej agentki miał się odbyć na podwórku kamienicy przy ul. Kruczej 11. Dziś w tym miejscu jest trawnik na tyłach Urzędu Dzielnicowego Śródmieście. Kamienica nie ocalała. Wszystkie pochowane tu ofiary Powstania zostały po wojnie ekshumowane.





Eklektyczny pałac w Wiedniu zaprojektował dla Kronenbergów architekt Artur Goebel. Budowla powstawała w latach 1890-1892. Rodzina została z niego wywłaszczona w 1945 roku. Przez lata był tu komitet PPR-u, potem sanatorium, a do 2006 roku szpitalny oddział gruźlicy i chorób płuc. Od tego czasu obiekt powoli niszczy się.



Wanda Kronenberg przed pałacem w Wieńcu. Miała wtedy piętnaście, może siedemnaście lat. To ostatnie zachowane zdjęcie przyszłej agentki Edith Müller.



W miejscu, gdzie młodziutka Wanda pozowała do fotografii, stoi dziś połamane krzesło. Nikt nie wie, kto i kiedy je tam postawił. Stoi tak, jakby codziennie ktoś z niego korzystał. Może ona?

## Bibliografia

- Kazimierz Bartoszewicz, *Wojna żydowska w roku 1859 (początki asymilacji i antysemityzmu)*, Kraków 1913.
- Władysław Bartoszewski, *1859 dni Warszawy*, Kraków 1984.
- Robert Bielecki, Juliusz Kulesza, *Przeciw konfidentom i czołgom. Oddział 993/W Kontrwywiadu Komendy Głównej AK „Pięść” w konspiracji i Powstaniu Warszawskim 1944 roku*, Warszawa 1996.
- Konrad Bielski, *Tajemnica kawiarni „U Aktorów” Z notatnika obrońcy*, Lublin 1970.
- Zbigniew Błażyński, *Mówi Józef Światło. Za kulisami bezpieki i partii 1940–1955*, Warszawa 2003.
- Włodzimierz Borodziej, *Terror i polityka. Policja niemiecka a polski ruch oporu w GG 1939–1944*, Warszawa 1985.
- Michał M. Borwicz, *Organizowanie wściekłości*, Warszawa 1947.
- Eugeniusz Bruliński, *3 Batalion Pancerny AK „Golski”*, Warszawa 1996.
- Władysław Bułhak, *Misje Jana Nowaka-Jeziorańskiego jako emisariusza politycznego w latach 194–1945 i jego konflikt z doradcą Churchilla mjr. Desmondem Mortonem*, w: *Jan Nowak-Jeziorański: kurier Armii Krajowej, redaktor Radia Wolna Europa, polityk*, red. Paweł Machcewicz, Rafał Habielski, Wrocław–Warszawa 2011.
- Alina Cała, *Asymilacja Żydów w Królestwie Polskim (1864–1897)*.

- Postawy, konflikty, stereotypy*, Warszawa 1989.
- Alina Cała, *Żyd – wróg odwieczny? Antysemityzm w Polsce i jego źródła*, Warszawa 2012.
- Feliks Celnikier, *Żyd, czyli kto? Pojęcie Żyda w doktrynie i hitlerowskich poczynaniach prawodawczych. Studium absurdu i mistyfikacji*, Warszawa 2014.
- Ignacy Charszewski, *Niebezpieczeństwo żydowskie w niebezpieczeństwie kobiecem*, Warszawa 1929.
- Bogdan Chrzanowski, *Sprawa Anglika RONALDA CLARENCE'a JEFFERY'EGO – współpracownika wywiadu Armii Krajowej w świetle zachowanych dokumentów Sztabu Naczelnego Wodza Polskich Sił Zbrojnych*, w: *Studia nad wywiadem i kontrwywiadem Polski w XX wieku*, t. 1, red. Wojciech Skóra, Paweł Skubisz, Szczecin 2012.
- Nawojka Cieślińska-Lobkowicz, *Grabieżca ze znakiem Q. O rabunkowej działalności Pietera Nicolaasa Mentena (1899–1987)*, „Zagłada Żydów. Studia i Materiały. Pismo Centrum Badań nad Zagładą Żydów” 2015, t. 11.
- Nawojka Cieślińska-Lobkowicz, *Habent sua fata libelli. Okupacyjny rynek sztuki w Warszawie a własność żydowska*, „Zagłada Żydów. Studia i Materiały. Pismo Centrum Badań nad Zagładą Żydów” 2014, t. 10.
- Cywilna obrona Warszawy we wrześniu 1939 r. Dokumenty, materiały prasowe, wspomnienia i relacje*, oprac. Lucjan Dobroszycki, Marian Drozdowski, Marek Getter, Adam Słomczyński, Warszawa 1964.
- Tadeusz Czaplicki, *Szlacheckie ostatki. Dwudziestowieczna opowieść polskiego ziemianina*, Warszawa 2000.
- Norman Davies, *Powstanie '44*, przeł. Elżbieta Tabakowska, Kraków 2004.
- Józef Dąbrowa-Sierżputowski, *Wspomnienia wojenne, Warszawa 1939–1944*, Archiwum Państwowe m. st. Warszawy, Zbiór Rękopisów, sygn. 40.
- Stanisław Didier, *Rola neofitów w dziejach Polski*, Krzeszowice 2010.

- Roman Dmowski, *Separatyzm Żydów i jego źródła*, Warszawa 1909.
- Roman Dmowski, *Upadek myśli konserwatywnej w Polsce*, Warszawa 1914.
- Lucjan Dobroszycki, *Sprawa płk. dypl. Janusza Albrechta w świetle źródeł niemieckich*, „Wojskowy Przegląd Historyczny” 1960, nr 1.
- Eugeniusz Duraczyński, *Kontrowersje i konflikty 1939–1941*, Warszawa 1977.
- Alfons Filar, *Nasz człowiek w Abwehrze. Tajemnica Władysława Boczonja*, Warszawa 2012.
- Józef Garliński, *Między Londynem i Warszawą*, Londyn 1966.
- Juliusz Garztecki, *Armia Krajowa i nie tylko. Za i przeciw. Opowieści oficera kontrwywiadu*, Wrocław 2006.
- Juliusz Garztecki, *Koralowce*, Warszawa 1958.
- Andrzej Gass, *Podwójna agentka*, „Express Wieczorny”, 22 sierpnia 1998.
- Marek Getter, *Środowisko niemieckie w Warszawie w latach 1939–1944 (wybrane zagadnienia)*, w: *Warszawa lat wojny i okupacji 1939–1944*, red. Krzysztof Dunin-Wąsowicz, Janina Kaźmierska, Halina Winnicka, z. 3, Warszawa 1973.
- Jędrzej Giertych, *Tragizm losów Polski*, Krzeszowice 2005.
- Ferdynand Goetel, *Czas wojny*, Gdańsk 2000.
- Dariusz Gołębiowski, *Burza nad Czarną. Z dziejów 25 pułku piechoty AK ziemi piotrkowskiej*, Warszawa 1972.
- Leszek Gondek, *Polska karząca 1939-1945. Polski podziemny wymiar sprawiedliwości w okresie okupacji niemieckiej*, Warszawa 1988.
- Piotr Gontarczyk, *Polska Partia Robotnicza. Droga do władzy, 1941–1944*, Warszawa 2003.
- Waldemar Grabowski, *Delegatura Rządu Rzeczypospolitej na Kraj 1940–1945*, Warszawa 1995.
- Waldemar Grabowski, *Polska Tajna Administracja Cywilna 1940–1945*, Warszawa 2003.
- Waldemar Grabowski, *Szefostwo Biur Wojskowych Komendy*

- Główniej Związku Walki Zbrojnej Armii Krajowej, Warszawa 2011.
- Izabela Horodecka, *Ocalone od niepamięci. Wspomnienia z lat 1939–1945*, Sopot 1992.
- Stanisław M. Jankowski, *Karski. Raporty tajnego emisariusza*, Poznań 2009.
- Tadeusz Stefan Jaroszewski, *Dzieje pałacu Kronenberga*, Warszawa 1972.
- Ron Jeffery, *Wisła jak krew czerwona. Wspomnienia Anglika – żołnierza Armii Krajowej*, Warszawa 2006.
- Jan Nowak-Jeziorański, *Kurier z Warszawy*, Londyn 1976.
- Aleksander Kamiński, *Kamienie na szaniec*, Warszawa 1999.
- Krzysztof Kąkolewski, *Dziennik tematów*, [www.niniwa22.cba.pl/dziennik\\_tematow\\_1.htm](http://www.niniwa22.cba.pl/dziennik_tematow_1.htm) (dostęp: 16 II 2017).
- Stefan Kisielewski, *Powieści warszawskie*, Warszawa 2011.
- Ryszard Kołodziejczyk, *Bohaterowie nieromantyczni. O pionierach kapitalizmu w Królestwie Polskim*, Warszawa 1961.
- Ryszard Kołodziejczyk, *Portret warszawskiego milionera*, Warszawa 1968.
- Michał Komar, Władysław Bartoszewski, *Mimo wszystko*, Warszawa 2013.
- Mirosław Kopa, Aleksander Arkuszyński, Halina Kępińska-Bazylewicz, *Dzieje 25 pp Armii Krajowej. Geneza, struktura, działalność zbrojna, zaplecze, dramaty powojenne*, Łódź 2001.
- Stefan Korboński, *W imieniu Rzeczypospolitej...*, Warszawa 1991.
- Stefan Kozakiewicz, *Wspomnienia z okresu wojny, okupacji i pierwszych miesięcy po wyzwoleniu (1939–1945)*, „Rocznik Muzeum Narodowego w Warszawie” 1967, t. 11.
- Leopold Julian Kronenberg, *Polska wobec stron walczących, czerwiec–lipiec 1917 r.*, Warszawa 1917.
- Leopold Julian Kronenberg, *Wspomnienia*, Warszawa 1933.
- Kronenbergowie. Pamiątki rodzinne*, red. Małgorzata Dubrowska,

Warszawa 1998.

Józef Ignacy Kraszewski, *Roboty i prace. Sceny i charaktery współczesne*, Kraków 1969.

Jan Kruszewski, *Przed pół wiekiem w stolicy. Gawędy*, Warszawa 1971.

Andrzej Kunert, Halina Zakrzewska, *Dramat płk. Janusza Albrechta, „Dzieje Najnowsze”* 1982, nr 1–4.

Aleksander Kunicki, *Cichy front. Ze wspomnień oficera wywiadu dywersyjnego dyspozycyjnych oddziałów Kedywu KG AK*, Warszawa 1968.

Tadeusz Kur, *Sprawiedliwość pobłażliwa. Proces kata Warszawy Ludwika Hahna w Hamburgu*, Warszawa 1975.

Halina Krahelska, *Pamiętnik z okresu okupacji*, Archiwum Akt Nowych, oddział VI, archiwum lewicy, sygn. 383/II-3.

Anna Landau-Czajka, *W jednym stali domu... Koncepcje rozwiązania kwestii żydowskiej w publicystyce polskiej*, Warszawa 1998.

Leopold Kronenberg. *Monografia zbiorowa*, oprac. Franciszek Doleżał, Warszawa 1922.

Kazimierz Leski, *Życie niewłaściwie urozmaicone. Wspomnienia oficera wywiadu i kontrwywiadu AK*, t. 1–2, Gdańsk 2009.

Jan Józef Lipski, *Tunika Nessosa*, Warszawa 1992.

Paweł Maria Lisiewicz, *Bezimienni. Z dziejów wywiadu Armii Krajowej*, Warszawa 1987.

Czesław Madajczyk, *Generalna Gubernia w planach hitlerowskich*, Warszawa 1961.

Emil Marat, Michał Wójcik, *Ptaki drapieżne. Historia Lucjana „Sępa Wiśniewskiego, likwidatora z kontrwywiadu AK*, Kraków 2016.

Stanisław Marat, Jacek Snopkiewicz, *Ludzie bezpieczeństwa. Dokumentacja czasów bezpieczeństwa*, Warszawa 1990.

Antoni Marianowicz, *Życie surowo wzbronione*, Warszawa 1995.

Antoni Marianowicz, *Polska, Żydzi i cykliści. Dziennik roku przestępnego*, Warszawa 1999.

Bartosz Marzec, *Na wzgórzach Idaho. Opowieść o Bronisławie*



- Zielińskim, tłumaczu i przyjacielu Ernesta Hemingwaya, Warszawa 2008.
- Mecenas, kolekcjoner, odbiorca. Materiały z sesji Stowarzyszenia Historyków Sztuki, Katowice, listopad 1981, red. Elżbieta W. Karwowska, Anna Marczak-Krupa, Warszawa 1984.
- Włodzimierz Mich, *Związek Ziemiaków w Warszawie 1916–1926, Organizacja i wpływy*, Lublin 2007.
- Joanna Beata Michlic, *Obcy jako zagrożenie. Obraz Żyda w Polsce od roku 1880 do czasów obecnych*, Warszawa 2015.
- Julian Michalik, *Zburzenie Warszawy w 1939 r.*, Tel Awiw 1941.
- Bronisław Nietyksza, *Nadzieje, złudzenia, rzeczywistość. Wspomnienia z lat 1912–1945*, Warszawa 1985.
- Adolf Nowaczyński, *Mocarstwo anonimowe (Ankieta w sprawie żydowskiej)*, Warszawa 1921.
- Radosław Nowek, *Poszukiwanie brzoźowego krzyża. Wojciech Kronenberg „Kicki”*, [www.konskie.org.pl/2013/08/poszukiwanie-brzoźowego-krzyza-wojciech.html](http://www.konskie.org.pl/2013/08/poszukiwanie-brzoźowego-krzyza-wojciech.html) (dostęp: 16 II 2017).
- Magdalena Nowicka, *Żyd, czarownica i stara szafa. O konstruowaniu żydowskości autorów piszących o „trudnej” przeszłości*, „Teksty Drugie” 2012, nr 4 (136).
- Obrona Warszawy w 1939 r. Wybór dokumentów wojskowych*, oprac. Mieczysław Cieplewicz, red. nauk. Eugeniusz J. Kozłowski, Warszawa 1968.
- Edmund Odorkiewicz, *Kryptonim „Dorsze”*, Katowice 1971.
- Zofia Potocka, *Antykwariat „Miniatura” Wspomnienia*, „Rocznik Muzeum Narodowego w Warszawie” 1967, t. 11.
- Jan Pietrzykowski, *Tajemnice archiwum gestapo. Przyczynki do historii niemieckiej okupacji w Polsce*, Katowice 1989.
- Praga 1939 w dokumentach i wspomnieniach*, red. Andrzej Wesołowski, Warszawa 2015.
- Rozgłoszenia Polskiego Radia Wolna Europa, *Prawda o PAX-ie i Piaseckim*, Londyn 1968.
- Zygmunt Przetakiewicz, *Od ONR-u do PAX-u. Wspomnienia*, Warszawa 2010.

- Raport o stratach wojennych Warszawy, [http://www.rodaknet.com/Raport o stratach wojennych Warszawy.pdf](http://www.rodaknet.com/Raport_o_stratach_wojennych_Warszawy.pdf) (dostęp: 16 II 2017).
- Maren Roger, *Wojenne związki. Polki i Niemcy podczas okupacji*, przeł. Tomasz Dominiak, Warszawa 2016.
- Anna Rószkiewicz-Litwinowiczowa, *Trudne decyzje. Kontrwywiad Okręgu Warszawa AK 1943–1944. Więzienie 1949–1934*, Warszawa 1991,
- Szymon Rudnicki, *Obóz Narodowo-Radykalny*, Warszawa 1985.
- Jerzy Rutkowski kierownikiem Z.M.P., „Gazeta Lwowska”, 29 października 1937.
- Piotr Rybarczyk, *Uwięzienie ostatniego Kronenberga. Nieznane Kronenbergiana w zasobie delegatury IPN w Bydgoszczy*, „Przegląd Archiwalny Instytutu Pamięci Narodowej” 2013, t. 6.
- Jan Rzepecki, *Wspomnienia i przyczynki historyczne*, Warszawa 1984.
- Aleksander Senk, *Dziedzictwo Kronenbergów*, Warszawa 2010.
- Władysław Sieroszewski, *Z działalności Wojskowego sądu Specjalnego Okręgu, a następnie Obszaru Warszawskiego AK (1940–1944)*, w: *Najnowsze dzieje Polski 1939–1945, Materiały i studia z okresu II wojny światowej*, t. 8, Warszawa 1964.
- Władysław Sieroszewski, *Przyczynek do historii Wojskowych Sądów Specjalnych*, Warszawa 1974, maszynopis, Centralne Archiwum Wojskowe, sygn. IX.3.50.95.
- Bernard Singer, *Moje Nalewki*, Warszawa 1959.
- Antoni Słonimski, *Kroniki tygodniowe*, t. 1–3, Warszawa 2004.
- Robert Spalek, *Komuniści przeciwko komunistom. Poszukiwanie wroga wewnętrznego w kierownictwie partii komunistycznej w Polsce w latach 1948–1956*, Warszawa 2014.
- Tomasz Szarota, *U progu Zagłady. Zajścia antyżydowskie i pogromy w okupowanej Europie. Warszawa, Paryż, Amsterdam, Antwerpia, Kowno*, Warszawa 2000.
- Tomasz Szarota, *Okupowanej Warszawy dzień powszedni. Studium historyczne*, Warszawa 2010.

- Bartłomiej Szyprowski, *Podstawy prawne i działania sądownictwa Komendy Głównej ZWZ/AK*, online: <https://pk.gov.pl/wp-content/uploads/2016/07/daed666a4509e56b79d460857e47a5e2.pdf> (dostęp: 25 I 2015).
- Bartłomiej Szyprowski, *Prokurator w sądownictwie Polskiego Państwa Podziemnego*, online: <https://pk.gov.pl/wp-content/uploads/2016/07/ce2177a7fb1ed7d249cd8cac367f2051.pdf> (dostęp: 25 I 2017).
- Bartłomiej Szyprowski, *Sąd kapturowy przy Komendzie Głównej Związku Walki Zbrojnej w Warszawie (sierpień 1940 – listopad 1941). Podziemie w walce ze zdrajcami Rzeczypospolitej*, Warszawa 2016.
- Śladami walk żołnierzy VII-go Zgrupowania A.K „Ruczaj” w Powstaniu Warszawskim 1944 r.*, zebr. i oprac. Mieczysław Ćwikowski, Warszawa 1998.
- Tajne oblicze GL-AL i PPR. Dokumenty*, wybór i oprac. Marek J. Chodakiewicz, Piotr Gontarczyk, Leszek Żebrowski, t. 2, Warszawa 1997.
- Joanna Tokarska-Bakir, Ganz Andere, Żyd jako czarownica i czarownica jako Żyd w polskich i obcych źródłach etnograficznych, czyli jak czytać protokoły przesłuchań, „Res Publica Nowa” 2001, nr 8.
- Stanisław Wachowiak, *Wspomnienia*, „Zeszyty Historyczne” 1986, z. 77.
- Warszawa lat wojny i okupacji 1939–1944*, red. Krzysztof Dunin-Wąsowicz, Janina Kaźmierska, Halina Winnicka, z. 1–4, Warszawa–Poznań 1971–1975.
- Mirosław Warzyński, *Człowiek, obywatel, patriota – Bronisław Chajęcki (1902–1953)*, „Niepodległość i Pamięć” 2007, nr 25.
- Eugeniusz Wawrzyniak, *25 Pułk Piechoty Armii Krajowej Ziemi Piotrkowsko-Opoczyńskiej*, Warszawa 1999.
- Eugeniusz Wawrzyniak, *Na rubieży okręgu AK Łódź*, Warszawa 1988.
- Jacek Wilamowski, Włodzimierz Kopczuk, *Tajemnicze wsypy. Polsko-niemiecka wojna na tajnym froncie*, Warszawa 1990.

- Tadeusz Wittlin, *Ostatnia cyganeria*, Londyn 1974.
- Wywiad i kontrwywiad Armii Krajowej, red. Władysław Bułhak, Warszawa 2008.
- Zagłada Żydów. Pamięć narodowa a pisanie historii w Polsce i we Francji, red. Barbara Engelking, Jacek Leociak, Dariusz Libionka, Anna Ziębińska-Witek, Lublin 2006.
- Bogdan Zalewski, blog Jazzband/ytyzm, <http://www.rmf24.pl/tylko-w-rmf24/bogdan-zalewski/blogi/news-jazzband-tzm,nId,1541527> (dostęp 17 II 2017).
- Anna Zapalec, *Druga strona sojuszu. Żołnierze brytyjscy w Polsce w czasie II wojny światowej*, Gdańsk 2014.
- Jerzy Zamba, *Z pamiętnika bywalca. Patrząc na Warszawę*, Warszawa 1957.
- Związek Bojowników o Wolność i Demokrację, Koło przy Polskim Radio i Telewizji, *Księga wspomnień. Okupacja*, Warszawa 1973.
- Andrzej Żbikowski, *Polacy i Żydzi pod okupacją niemiecką 1939–1945. Studia i materiały*, Warszawa 2006.
- Monika Żeromska, *Moja ulica Mazowiecka*, „Rocznik Warszawski” 1995, t. 25.
- Andrzej Żor, *Kronenberg. Dzieje fortuny*, Warszawa 2011.
- Teodora Żukowska, *Na skraju dwóch światów. Wspomnienia 1939–1953*, Warszawa 2000.
- Życie na krawędzi. *Wspomnienia żołnierzy antyhitlerowskiego wywiadu*, oprac. Władysław Kozaczuk, Warszawa 1980.

## Źródła fotografii

Zdjęcia na s. 1–3 pierwszej wkładki oraz zdjęcie Wandy Kronenberg przed pałacem w Wieńcu na s. 8 drugiej wkładki: archiwum domowe Wojciecha Świderskiego i jego rodziny

Pałac rodziny Kronenbergów: Archiwum Państwowe m. st. Warszawy; zdjęcie ze zbiorów Wikimedia Commons, commons.wikimedia.org/wiki/File:Kronenberg\_Palace\_in\_Warsaw\_-\_c.1871.jpg

Zdjęcie Wojciecha Kronenberga: Zakład Fotograficzny „Rafael”, 1934 r.; archiwum Muzeum Warszawy, creativecommons.org/publicdomain/mark/1.0/deed.pl

Fotosy z filmu Na Sybir: autor nieznany; zdjęcia ze zbiorów Filmoteki Narodowej

Zdjęcia restauracji Adria oraz George’a Scotta: © Narodowe Archiwum Cyfrowe

Zdjęcie budynku Gestapo przy Alei Szucha: autor nieznany; zdjęcie ze zbiorów Wikimedia Commons, commons.wikimedia.org/wiki/File:Gmach\_Ministerstwa\_Wyzna

%C5%84\_Religijnych\_i\_0%C5%9Bwiecienia\_Publicznego.JPG

Strona z teczki Wandy Kronenberg: zdjęcie ze zbiorów Instytutu Pamięci Narodowej, sygnatura IPN BU 0423/4638

Zdjęcie Romualda Burbo: zdjęcie ze zbiorów Instytut Pamięci Narodowej, IPN GK 317/632

Zdjęcie kamienicy na ul. Królewskiej: © Maciej Misztalski

Sztab I Rejonu obwodu „Śródmieście” przed szturmem na małą PAST-ę: autor nieznany; zdjęcie ze zbiorów Muzeum Powstania Warszawskiego

Kariatydy z pałacu Kronenbergów oraz współczesne zdjęcia pałacu w Wieńcu: © Michał Wójcik

Zdjęcie grobowca Kronenbergów oraz współczesne zdjęcia Warszawy: © Tomasz Wójcik

Wyklejki: zdjęcia ze zbiorów Instytutu Pamięci Narodowej, sygnatura IPN BU 0423/4638